

ANN MAH

Miłość pięciu
smakach

Moim rodzicom

Jeść dobrze znaczy żyć dobrze - przysłowie chińskie

CZEŚĆ PIERWSZA
PÓLNOC

Kaczka po pekińsku

...tylko w Chinach, a przez długi czas jedynie w Pekinie, przyrządzano szczególną potrawę znaną jako beijing kaoya (Kaczka po pekińsku - najsłynniejszy pekiński smakołyk, obecnie produkowany przemysłowo. Kaczki, hodowane w jednym z gospodarstw rolnych koło Pekinu, są tuczone zbożem i pastą sojową. Oryginalność tego dania wyraża się w sposobie jego spożywania. Mięso z chrupiącą skórą, odpowiednio pokrojone, zawija się w naleśniki posmarowane sosem, obłożone paskami zielonej cebuli i ogórka (przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, red.) (po chińsku), Peking duck (po angielsku) i canard lacque (po francusku), czyli kaczkę po pekińsku. [...] przyrządzony drób ma lśniąca, złocistą i przyjemnie chrupką skórę oraz wilgotne soczyste mięso, a całość zniewalająco pachnie i pozbawiona jest zbędnego tłuszczu.

The Penguin Companion to Food

Mój pierwszy posiłek w Pekinie to pieczona kaczka, znana tutaj jako kaoya. Błyszczący brązowy ptak o chrupiącej skórze i rozpływającym się w ustach soczystym mięsie jest pokrojony zgodnie z tradycją na ponad sto plastrów. W milczeniu wypełniamy nimi naleśniki, maczając mięso i skórę w ciemnym słono - słodkim sosie, dodajemy drobno pokrojoną szalotkę oraz ogórek i zwijamy całość niczym cygaro. Przyleciałam do Pekinu za ledwie dwie godziny temu i wciąż czuję w głowie efekt długiego lotu, ale zajadam, aż moje palce robią się tłuste, a dzinsy nieprzyjemnie ciasne. Kiedy naleśniki się kończą, jem samą kaczkę, zanurzając kawałki skóry w brązowym sosie i rozkoszując się jej sycącą chrupkością.

Claire - moja siostra - patrzy na mnie z drugiej strony stołu. Nie widziałyśmy się od prawie dwóch lat, ale jej brwi wciąż układają się w znajomy inteligentny łuk.

- Pycha - mówię, uśmiechem pokrywając nerwowość. - Prawie jak u mamy.

- Mama robi lepszą - odpowiada Claire.

Widzę jednak, że ręce drżą jej lekko, gdy zapala papierosa. Staram się nie patrzeć zbyt nachalnie na obce mi wydęcie warg, gdy wydychuje dym. Papierosy to u niej coś nowego, ale wszystko, co dotyczy mojej siostry, jest trochę inne.

Pochłaniam prawie całą kaczkę, rozkoszując się znajomym, przypominającym dziczyznę aromatem, przywołującym wspomnienia

skrawków podkradanych matce z deski do krojenia. Pozostałe dania są dziwne i po skosztowaniu ignoruję kostki tofu zalegające w kałuży jaskrawoczerwonego oleju oraz talerz smażonej baraniny, od której dolatuje podejrzany zapach. Wokół mieszają się niezrozumiałe chińskie słowa, twarze nabierają rumieńców od piwa. Moja siostra, zawsze dbająca o linię, spokojnie pali papierosa za papierosem i patrzy, jak jem.

- Nie jesteś głodna? - pytam.

- Zjadłam duży lancz. - Odsuwa swój talerz. - Jak się czujesz po podróży? Powinnaś wziąć dziś przed snem melatoninę. A jeśli będzie bardzo źle, mam w apteczce Ambien. Podobno załogi samolotów biorą to między lotami. - Przeskakuje z tematu na temat, jakby chciała czegoś uniknąć.

- Tak, jestem śpiąca. - Próbuję stłumić ziewanie. - Ale jeszcze raz dziękuję, że mogę się u ciebie zatrzymać - mówię. Pod jej spojrzeniem czuję się nieswojo.

- Cieszę się, że przyjechałaś, mei. - Używa chińskiego słowa oznaczającego młodszą siostrę. W dzieciństwie nigdy tego nie robiłyśmy.

Po kolacji przechadzamy się labiryntem uliczek pośród hutongów, które tworzą stary Pekin. Ciepły, letni wieczór ma w sobie coś świątecznego - rodziny siedzą na zewnątrz, uciekając od duchoty maleńkich tradycyjnych domów z dziedzińcami. Mężczyźni ze spodniami podwiniętymi do kolan i podkoszulkami podciągniętymi tak, że ukazują zaokrąglone brzuchy, palą papierosy i odwracają się, patrząc groźnie za wysoką i szczupłą Claire. Rowery przemykają niebezpiecznie blisko przechodniów, a powietrze jest ciężkie od zapachów - czosnku, oleju oraz innych, nie tak miłych woni.

Pokonujemy wąskie uliczki. Nagle staroświecka wiejska atmosfera znika zduszona przepastną ulicą pełną rowerów i trąbiących samochodów. Claire zatrzymuje się w miejscu.

- Znajomi na mnie czekają - mówi - ale jeśli jesteś zbyt zmęczona... - Nie kończy zdania.

- Jestem wykończona, nie przejmuj się mną. Znajdę drogę do mieszkania.

- To twoja pierwsza noc - dodaje, myślami jakby będąc już gdzie indziej, a potem macha na taksówkę. Kiedy wsiadam, nachyla się nade mną i podaje kierowcy adres. Potem całuje mnie w policzek i zamyka

drzwi. - Do jutra, Iz. Spij dobrze.

Kiedy taksówka odjeżdża, widzę, jak Claire, śmiejąc się, rozmawia przez komórkę, a jej twarz ożywia się i jaśnieje. Pamiętam z dzieciństwa te nagłe zmiany nastrojów oraz coś jeszcze: moja siostra zawsze nienawidziła kaczkę po pekińsku.

Dlaczego przeprowadziłam się do Chin? Nie wiem tego do dziś - kiedy patrzę w przeszłość, wydaje mi się, że wszystko zaczęło się pewnego piątkowego wieczoru w Nowym Jorku. Była zima, a uczucie chłodu potęgował przenikający do szpiku kości wiatr.

Siedziałam przy kuchennym stole z przyjaciółmi, Julią i Andrew, popijając prosecco i patrząc, jak niebo przybiera kolor głębokiego, dającego nadzieję granatu, i zastanawiałam się, czy mogę winić ten zimowy wichur za zmrożenie mojego życia.

- Przechodzę chyba przedwczesny kryzys wieku ćwiartkowego - obwieściłam, odpychając od siebie miseczkę pistacji.

- Jesteś trochę za stara jak na kryzys wieku ćwiartkowego, chyba że planujesz dożyć 120 lat - powiedziała spokojnie Julia. Jako moja najlepsza przyjaciółka miała wyłączny przywilej komentowania faktu, że nieubłagane zbliżałam się do trzydziestki.

- To przez pracę - wyjaśniłam ponuro. - Jak nie obsługuję kserokopiarki, to opiekuję się dziećmi. Dzisiaj skończyłam wreszcie kserowanie artykułów Niny z ostatnich sześciu miesięcy...

- Twojej szefowej? - przerwała Julia. - Dlaczego nie wysłałaś tego do punktu ksero?

- Nina powiedziała, że nikt mi nie dorównuje w sztuce kserowania. Podobno robię najlepsze kserówki w całej firmie.

- Musisz o tym wspomnieć przy kolejnej ocenie zawodowej. - Julia się uśmiechnęła.

- Tak czy owak - ciągnęłam - przytaszczyłam wszystko na biurko, a tu Nina pojawia się z synem, Nickym. Nie miała czasu odwiedzić go do domu między sesjami terapii jungowskiej i freudowskiej, więc poleciła mi, żebym miała na niego oko.

- Ile on ma lat? - spytał z niedowierzaniem Andrew.

- Sześć. - Pociągnęłam wina. - Popędził do męskiej toalety i trzeba go było stamtąd wyciągać siłą. Weszłam do środka i zobaczyłam Richa. Właśnie się odlewał. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony.

- Isabelle, Rich to drań - powiedziała Julia, dolewając mi do

pełna.

- Wiem, że jest trochę... niesolidny. - Mój głos brzmiał niepewnie nawet dla mnie. - Ale to ciekawy człowiek. Wie sporo o sztuce, książkach i winie. Płynnie mówi po francusku...

- A do tego pracujecie razem. Rzucił cię w sali konferencyjnej, na litość boską.

- Daj spokój - zaprotestowałam. - Przecież ciągle... się spotykamy.

- Czyli sypiacie ze sobą. Iz, zasługujesz na coś więcej. Nie zapomnisz o nim, dopóki nie wyrzucisz go ze swojego życia.

- Oboje pracujemy jako dziennikarze, mamy tych samych znajomych. On jest wszędzie.

- Wiesz, czego potrzebujesz? - Julia obróciła w palcach kieliszek. - Przygody. Musisz stąd wyjechać. Oderwać się.

- Tak. - Andrew odkorkował kolejną butelkę. - Na przykład do Paryża! Tam wszyscy mówią po francusku.

Przez chwilę próbowałam wyobrazić sobie życie w Paryżu, myślałam o tym, jak szczupła i elegancka spaceruję gwarną ulicą, z szyją owiniętą szalem...

- Nieee, nie do Paryża - powiedziała Julia, brutalnie przerywając mi zadumę. Widząc na mojej twarzy rozczarowanie, ciągnęła: - Przykro mi, Iz, ale co miałabyś tam robić? Nie znasz francuskiego i nie masz szans na pozwolenie na pracę. Francuzi mają świra na punkcie takich spraw.

Kiedy tak siedzieliśmy, kontemplując smutną rzeczywistość, zaczęłam uświadamiać sobie absurdalność pomysłu Julii. Nie mogłam ot tak po prostu wyruszyć na wyprawę za granicę. Co z moimi przyjaciółmi? Z rodziną? Karierą? Po pięciu latach harówki przy rozgrzanej kserokopiarce w redakcji „Belle”, typowego czasopisma dla kobiet, pojawiła się w końcu szansa, żebym przeskoczyła ze stanowiska weryfikatorki danych na posadę pełnoetatowej autorki. Za kilka dni miałam spotkać się z naszą redaktorką naczelną, żeby porozmawiać o pracy w dziale reportaży. Po tylu latach krępującego wydzwaniania w ramach sprawdzania informacji, grzebania się w papierach i biegania nocą po pizzę dla ekipy zawałonej terminami, czułam, że nadszedł czas, aby naczelną zwrócić na mnie uwagę i zaczęła zwracać się do mnie per Isabelle, a nie Irene. Otwarłam usta, ale Julia była szybsza.

- Mam! - zawołała z entuzjazmem w oczach. - Pekin!

- Co? - zdążyłam jęknąć, po czym zakrztusiłam się winem. W głowie mi zawirowało, ale nim byłam w stanie coś powiedzieć, musiałam się wykaszleć. - Jak to się stało, że z Miasta Świąteł przenieśliśmy się do Miasta Spalin?

Zignorowała mnie.

- Wszyscy teraz mówią o Chinach. Mogłabyś wreszcie pisać własne artykuły, zamiast weryfikować pracę kogoś innego... Przecież zawsze o tym marzyłaś.

- Wątpię, czy z tego dałoby się wyżyć...

- Znasz mandaryński.

- Tylko kuchenną chińszczyznę - zaprzeczyłam.

- A co to? - wciął się Andrew.

- Podstawy konwersacji - wyjaśniłam. - Proste wyrazy, których nauczyłam się, spędzając czas w kuchni z mamą. Brakuje mi słownictwa, żeby pracować jako dziennikarka.

- Wzję dostaniesz bez problemu - ciągnęła niezrażona Julia. - I nie będziesz sama, możesz zamieszkać z siostrą.

- Z siostrą? - powtórzyłam, nie kryjąc zdumienia.

- No tak. Z Claire. Przecież ona pracuje dla jakiejś wielkiej kancelarii prawniczej w Pekinie, prawda?

- Nie widziałam jej od prawie dwóch lat. Nie mogę ot tak zastukać do jej drzwi.

- Nawet nie wiedziałem, że masz siostrę - powiedział Andrew.

- Bardzo się różnimy. - Wzruszyłam ramionami. - Ona robi zawrotną karierę prawniczą i rodzice stawiają ją za wzór.

- Na pewno jej na tobie zależy - zauważyła Julia - tylko tak dziwnie to okazuje. Musi czuć się tam samotna.

Nagle włączyła się elektroniczna niania i kuchnia rozbrzmiała płaczem głodnego niemowlęcia.

- Pora karmienia. - Julia hałaśliwie odsunęła krzesło.

- Ja pójdę. - Andrew precisnął się za jej plecami, po drodze całując ją w czubek głowy.

- Czyli Chiny. - Julia się do mnie uśmiechnęła.

- Chyba nie chcesz się mnie pozbyć - zażartowałam, ale w moim głosie zabrzmiał smutek.

- Daj spokój, Iz. Będzie nam ciebie bardzo brakowało. Po prostu - westchnęła ze zmęczeniem wynikłym z niedosypiania - kocham

Andrew i Emily. Uwielbiam nasze wspólne życie, ale to wszystko stało się tak szybko. Wiesz, rach ciach i po ślubie, pół roku i dziecko - zawałała się - to jest teraz moje życie. - Wskazała zagraconą kuchnię. - Ale czasem chciałabym przeżyć jeszcze jedną, ostatnią przygodę. Nie każdy ma szansę mieszkać za granicą... Ja taką okazję straciłam.

- A teraz chcesz przeżyć tę przygodę za moim pośrednictwem.

- Otóż to - zachichotała. - Przetrenuję, co będzie, kiedy Emily dorośnie.

- Ale Chiny? - Skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam na przyjaciółkę. Blond włosy miała upięte w kok, kaszmirowy sweter pasował do niebieskich oczu. - Nie jestem jakimś bananem, który szuka swoich korzeni - powiedziałam powoli, nie wiedząc, czy zrozumie.

- Bananem?

- No wiesz, na zewnątrz żółty, w środku biały...

- Och, Izzy - westchnęła z niecierpliwością. - Wyjazd do Chin nie zmieni twojego życia w powieść Amy Tan (Amy Tan - amerykańska pisarka chińskiego pochodzenia.). A poza tym - dodała, a w jej oczach zatańczył znajomy ognik - pomyśl o jedzeniu.

Zaśmiałam się. Julia należała do nielicznych osób, które podzielały moje niemal obsesyjne zainteresowanie jedzeniem. Studiowałyśmy książki kucharskie z takim samym zapałem, jak niektóre kobiety zgłębiają magazyny o modzie, i całe godziny spędzałyśmy na rozmowach, jak to będzie, gdy zwolnimy się z pracy i otworzymy księgarnię kulinarną z kuchnią testową i kawiarnią, który to pomysł swoją niepraktycznością przyprawiał Andrew o ból głowy.

Poznałam Julię pierwszego dnia pracy w „Belle”, kiedy pomogła mi wyjąć plik pogiętego papieru z przegrzanej kserokopiarki i dała plaster, żeby opatrzyć głębokie skaleczenie na palcu. Zostałyśmy przyjaciółkami jak to zwykle koleżanki z pracy, czyli plotkując o współpracownikach, ale znajomość scementowałyśmy dzięki wspólnemu zainteresowaniu jedzeniem, książkami i działem obuwniczym Barneya.

Dzisiaj Julia jest agentką literacką o nerwach godnych jej nazwiska - Steele. Potrzebuje ich przy negocjacjach o wysokie zaliczki dla swoich bestsellerowych autorów. Czasami kiedy patrzę, jak przytula pyzată córeczkę, zdumiewa mnie jej zdolność do łączenia pracy, małżeństwa i macierzyństwa. Nie trzeba było nawet dwóch lat,

żeby z samotnej, popijającej saketini dziewczyny z miasta zmieniła się w kogoś, kto rzuca cytatami z kreskówek. Julia i Andrew dali mi nadzieję, że prawdziwa miłość istnieje, że na każdego czeka gdzieś jego druga połówka. Do tego obiecali mi mieszkanie na poddaszu swojego wymarzonego domu, na wypadek gdybym nie znalazła tego jedyne.

- Mogłybyśmy uczyć kuchni chińskiej w kuchni testowej naszej księgarni! - zawołała Julia z entuzjazmem, kiedy Andrew wrócił, trzymając w ramionach uśmiechniętą rumianą Emily. Słyszając to, jęknął.

- Tylko nie to! Za każdym razem, kiedy wymawiasz te słowa, z naszego konta bankowego bezpowrotnie znika pięć procent.

Julia wyciągnęła ręce, by wziąć od niego dziecko.

- Jesteś zazdrosny, bo sam na to nie wpadłeś - odparła, poklepując pupkę córeczki.

- Aha - prychnął Andrew, ale patrzył na nią czule, odwracając się, żeby otworzyć zacinającą się szufladę. - Nie wiem jak wy - stwierdził, buszując w papierach - ale cała ta gadka o Chinach sprawiła, że zgłodniałem. - Wydobył zwinięte menu i triumfalnie je uniósł.

- Oo! Kurczak generała Zuo (Kurczak generała Zuo (kurczak generała Tso) - potrawa ze smażonego mięsa kurczaka podawana z brokułami i suszoną papryką czili w ostrym sosie słodko - kwaśnym, bardzo popularne danie kuchni hunańskiej serwowane w chińskich restauracjach Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nazwa potrawy wiąże się z nazwiskiem żyjącego w XIX w. generała Zuo Zongtanga, ale odniesienie do tej postaci jest niejasne.)! - zawołałam. Julia zadzwoniła do Mee's Noodle House z naszym zwykłym zamówieniem i w oczekiwaniu na dostawę otworzyliśmy kolejną butelkę wina.

Potem spałaszowaliśmy nudle i wieprzowinę w sosie słodko - kwaśnym, a temat Chin już nie wrócił. Życie w Nowym Jorku stawia wprawdzie przed człowiekiem liczne wyzwania, ale mając tak dobrych przyjaciół, pyszne jedzenie i pracę, która wkrótce mogła wreszcie dać mi satysfakcję, czy naprawdę chciałabym wyjeżdżać?

W poniedziałek rano mój boks pękał w szwach od stosów papieru. Żółte samoprzylepne karteczki informowały niechlujnym pismem mojej szefowej: „Faktury natychmiast!... Ksero - 3 kopie... Do działu kultury, PILNE!”. Thumiąc westchnienie, pozbierałam

wszystko, marząc o dniu, w którym papierzyska przestaną pączkować na moim biurku oraz będą miała własny, zamykany pokój, tak aby współpracownicy nie wiedzieli, kiedy umawiam się do ginekologa. Kiedy uporałam się już z górą papierzysk, zauważyłam czerwoną teczkę na spodzie. Na jej widok poczułam, jak mięśnie szyi mi tężeją. Czerwona teczka oznaczała jedno - pilną weryfikację. Pilną, czyli na zeszły tydzień, tyle że moja szefowa, Nina, jak zwykle zwlekała z poinformowaniem mnie aż do wczoraj. Pilną, czyli będę musiała potwierdzić każdy cytat i każdą informację na wczesne popołudnie. Pilną, czyli Nina będzie zaglądać do mnie co piętnaście minut.

Jak zwykle przykleiła żółtą karteczkę: „SZYBKO! Sprawdzić i do produkcji na 14:30. Dzięki". Starając się nie wybuchnąć, zaczęłam przeglądać artykuł, soczysty i dogłębny profil Jolly Jones, najnowszej gwiazdki Hollywood, która przeszła typową drogę od zera przez milionera do odwyku. Zaczęłam robić notatki i pochłonięta pracą nie zauważyłam, że idący korytarzem Richard zatrzymał się przy moim boksie.

- Cześć. - Pochylił się i spojrzał na mnie czule w sposób, który pewnie miał być nieodparcie uwodzicielski.

- Cześć - rzuciłam, sięgając pod biurko, żeby włączyć komputer.

- Jesteś jakaś zadowolona. Czy to znaczy, że mi wybaczyłaś? Wzruszyłam ramionami.

- Nie ma czego wybaczać. Od piątku nie dawałaś znaku życia, czyli musiałaś być zajęty.

Przebisnęłam się obok niego, zamierzając otworzyć gabinet Niny i włączyć jej komputer. Zabawiłam trochę w biurze, włączając światła i porządkując stosy starych numerów, ale gdy wróciłam, Richard wciąż czekał z wyrazem pobłażliwej sympatii na twarzy.

- Uwielbiam moją marudną, nadąsaną Isabelle - powiedział, a kiedy nie zareagowałam, zrobił przymilną minę. - Daj spokój, Iz. Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Wynagrodzę ci to w czasie lanczu.

Poczułam, że mięknę, patrząc na kosmyk ciemnoblonde włosów zachodzących mu na czoło i jedyne w swoim rodzaju przymrużenie szarych oczu. Ale pamiętałam o czerwonej teźce.

- Przepraszam, nie mogę. Mam termin.

- E tam, termin. - Uśmiechnął się nonszalancko. - Chodźmy do Pearl Seafood, weźmiemy ostrygi i wino.

- Nie mogę... Nie chcę wkurzyć Niny. Wiesz, w przyszłym

tygodniu ma zapaść decyzja o pracy w dziale reportażu.

Richard spojrział na mnie z podziwem.

- Iz, to może być wreszcie przełom dla ciebie. Możesz zostać etatową publicystką.

Zacisnęłam kciuki z siłą, która samą mnie zdziwiła.

- Miejmy nadzieję - mruknęłam.

Resztę przedpołudnia spędziłam ze słuchawką wciśniętą między ramię i ucho, starając się dotrzeć do wszystkich źródeł wymienionych w artykule, podczas gdy moje palce głośno wystukiwały słowa w wyszukiwarce LexisNexis. Autorka, niezależna dziennikarka Zara Green, uważana była za jedną z naszych wschodzących gwiazd i słynęła z asertywności. Spotkałam ją kiedyś na nieformalnym lanczu dla asystentów i spodobały mi się jej entuzjazm oraz determinacja. Niestety, pisząc o Jolly Jones, zostawiła tyle luk, że czułam się jak autor widmo, a nie weryfikator.

W porze lanczu zajrzała do mnie szefowa.

- Skończone? - Rzuciła udęczone spojrzenie na monitor. Jako redaktor naczelna Nina była jedną z najpotężniejszych kobiet w nowojorskich mediach, ale żyła w ciągłym strachu, że straci stanowisko z powodu niedotrzymanego terminu.

- Nie całkiem.

- Kiedy? - Nina w stresie mówiła równoważnikami zdań.

- Nie wiem. Potrzebuję jeszcze kilku godzin. Mam parę pytań...

Westchnęła tak ciężko, że kartki na moim biurku zaszeleściły.

- To już będzie pewnie tysięczny artykuł, który dla nas weryfikujesz, prawda? Powinnaś umieć robić to z zamkniętymi oczami.

- Chodzi o to, że brakuje bardzo wielu informacji... a do tego nie mogę skontaktować się z połową źródeł. A Zara nie odbiera telefonu i nie odpowiada na mejle. Czy ten tekst jest na pewno gotowy?... - Pytanie zawisło w powietrzu.

- Isabelle - ucięła. - Zajmij się swoją pracą, a moją zostaw mnie. Zara Green to szanowana dziennikarka i bardzo wątpię, by coś zmyślała.

- Ale...

- Jeśli nie jesteś w stanie zdążyć, bez problemu znajdę kogoś innego do tego zadania.

- Nie chodzi o termin, ale...

- Dobrze. Oczekuję artykułu na moim biurku za godzinę.

Próbując nie poddać się frustracji, znów chwyciłam za telefon, żeby zadzwonić do Zary. Ku mojemu zdziwieniu odebrała po trzecim sygnale.

- Tu Isabelle Lee z „Belle”. Weryfikuję twój artykuł i mam kilka pytań w sprawie źródeł...

W miarę jak odhaczałyśmy kolejne punkty w moich notatkach, zauważyłam, że Zara mówi do mnie per „złotko”, jak gdyby nie chciało jej się pamiętać mojego imienia.

- Złotko, nie fatyguj się szukaniem Henry'ego Collinsa... Aktualnie medytuje w Tybecie. Jest absolutnie poza zasięgiem - zapewniła mnie.

- Henry Collins... - zajrzałam do notatek. - Ten statysta w ostatnim filmie Jolly, który twierdzi, że się z nią przespał?

- Tak. I że do seksu kazała mu się przebrać za misia.

- Jego słowa są dość zastanawiające... - Właściwie powinnam powiedzieć „kuriozalne”. - Cała ta historia z niedźwiedzim fetyszyzmem, jej obsesja na punkcie uli, smarowanie go miodem, wypchany łoś jako seks zabawka, a potem chowanie się na całe dni w ciemnym pokoju i nazywanie tego hibernacją... To wszystko wydaje się dość... niezwykle. Naprawdę chciałabym go o to zapytać. Jesteś pewna, że nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym? Nie sprawdza mejli?

- Wątpię, czy mnisi mu na to pozwalają. - Zaśmiała się. - Są bardzo surowi. Pewnie przez tę herbatę z masłem jakowym.

- Ale ja muszę wszystko sprawdzić!

- Możesz spróbować jakoś się z nim skontaktować, ale wierz mi, to strata czasu. Sama byłam kiedyś weryfikatorką i wiem, że masz pewnie milion innych spraw na głowie.

- Na pewno nie dał ci numeru telefonu czy czegoś takiego?

- Nie - odparła ostro. - Tak jak mówię, jest w Tybecie. Nie chce, żeby ktokolwiek się z nim kontaktował. Zaufaj mi.

Czułam niepokój, ale przypominałam sobie słowa Niny: Zara Green to szanowana dziennikarka. Czy mogła wymyślać takie rzeczy? Zakończyłam rozmowę i przesłałam artykuł do działu produkcji. Reszta popołudnia upłynęła mi na kopiowaniu materiałów Niny, odbieraniu jej telefonów i zamawianiu dla jej syna bezglutenowego wegańskiego tortu urodzinowego. Trzy dni później, kiedy numer trafił

do sprzedaży, nawet ja musiałam przyznać, że artykuł wyglądał świetnie, zilustrowany zdjęciami Annie Leibovitz. Ale pomimo najlepszych intencji nie mogłam pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak.

Ranek przed moją oceną zawodową spędziłam na wpatrywaniu się w niebo w poszukiwaniu szczęśliwych omenów. Uznałam, że złote słońce i puchate obłoki mogą oznaczać tylko pozytywny rezultat. Po drodze do pracy uśmiechnęło się do mnie troje ludzi, na chodniku znalazłam jednocentówkę, a w Starbucksie barista zaczął przyrządzać moje beztłuszczowe cappuccino dokładnie w chwili, gdy weszłam do środka.

Szczęście nie opuszczało mnie także w biurze, gdzie ktoś zostawił lukrowanego pączka na moim biurku. Ugryzłam go i sprawdziłam automatyczną sekretarkę - dioda migiała szybciej niż kogut ambulansu. „Masz osiem nowym wiadomości”. To dziwne, pomyślałam, wstukując kod. Ale może Nina przechodziła kryzys. Kiedyś zostawiła mi czternaście wiadomości, gdy byłam w toalecie, tylko dlatego, że nie mogła znaleźć swojej karty do metra.

Pierwsza wiadomość rzeczywiście była od Niny.

- Iz, przyjdź proszę do mojego biura - prosiła wesoło.

Moje serce zwolniło. Głos szefowej brzmiał zupełnie normalnie. Pewnie chciała porozmawiać o grafiku na przyszły tydzień czy czymś w tym stylu.

Niestety wiadomości druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta i siódma także były od Niny, a jej głos stawał się coraz ostrzejszy. Ostatnia brzmiała:

- Gdzie jesteś? Muszę cię widzieć natychmiast!

Zanim zdążyłam ruszyć korytarzem do jej biura, stanęła przy moim biurku.

- Wiesz coś o tym? - spytała bez żadnych wstępów. - Miałaś pojęcie?

- Słucham? O co chodzi?

Spojrzałam na jej pobladłą twarz, a potem ręce, w których trzymała najnowsze wydanie „Belle”.

- Właśnie zadzwonili do mnie z działu prawnego - powiedziała. Jej ręce lekko drżały. - Jolly Jones grozi nam procesem. Jest oburzona artykułem Zary Green.

Przełknęłam ślinę.

- O nie...

- Twierdzi, że - Nina pochyliła się, mówiąc bardzo powoli - że niektóre cytaty zostały sfabrykowane.

- Jest pani pewna? - spytałam, starając się, by głos mi się nie załamał.

Nina zaczęła chodzić w tę i z powrotem obok mojego biurka.

- Jak mogła nam to zrobić? Jak mogliśmy na to pozwolić? - Nachyliła się znów. - Sprawdziłaś każde źródło, prawda?

Serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

- Co na to Zara? - wykrztusiłam.

- Jeszcze z nią nie rozmawiałam - zacisnęła wargi. - Połącz mnie z nią.

Szybkim krokiem wróciła do biura i zamknęła drzwi.

Zary nie było w domu, komórkę miała wyłączoną. Ponawiałam próby, pragnąc z całych sił, by odpowiedziała, ale wobec braku efektu zapadłam się w fotelu. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Zara Green po prostu nie mogła być patologiczną kłamczuchą.

Podskoczyłam, gdy telefon zadzwonił, i złapałam za słuchawkę, ale to była tylko Julia.

- Iz, właśnie usłyszałam, co się stało.

„Niby skąd?” - pomyślałam zaskoczona. Czy wszyscy już wiedzą?

- Jak się czujesz? - spytała.

- Próbuję dodzwonić się do Zary - wyznałam.

- Nie panikuj, zanim wszystko się nie wyjaśni. Ściszyłam głos.

- Jeśli coś... się stanie - wyszeptałam - jak myślisz... czy mnie... zwolnią? Westchnęła.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu grobowym głosem - ale jestem pewna, że bez względu na to, co się stanie, wszystko się ułoży.

Usłyszałam piknięcie - sygnał drugiej rozmowy.

- Wiesz co, chyba Zara dzwoni. Oddzwonię, dobrze? Przełączyłam rozmowę. To była Nina. Jej głos dobiegał jakby z oddali.

- Przyjdź do mojego biura - poleciała. Próbowałam odpowiedzieć, ale przez ściśnięte gardło tylko niewyraźnie coś wykrztusiłam.

Jeśli, jak to mówią w naszej branży, zwolnienie to zaszczyt, wyglądało na to, że miałam przed sobą długą i wspaniałą karierę. Nina

patrzyła na mnie zza biurka z opuszczonymi ramionami.

- Właśnie rozmawiałam z Elaine - powiedziała cicho. Przełknęłam ślinę. Elaine była redaktorką naczelną. - Mam... Ona chce... - poprawiła się w fotelu. - Chodzi o to, że pismo nie może patrzeć na to przez palce. W „Belle” nie tolerujemy kiepskiego dziennikarstwa.

„W przeciwieństwie do artykułów o tym, jak udawać orgazm” - pomyślałam z goryczą.

- Dostaniesz półroczną odprawę, jeśli zgodzisz się na warunki. Wystarczy, że podpiszesz. - Wskazała plik papierów i podała mi długopis.

- Zwalniamie mnie? - zapytałam łamiącym się głosem. - Ale jak to... Dlaczego...

- Elaine uważa, że musimy wysłać sygnał. Zacząć od nowa, oczyścić atmosferę.

- Ale... - Nie byłam w stanie zbudować zdania. - To nie ja. Zara... - Słowa utknęły mi w gardle. Nina westchnęła.

- Niech to zostanie między nami, ale prawnicy Jolly zgodzili się odstąpić od procesu, jeśli znajdziemy winnych i zwolnimy ich z pracy - powiedziała cicho. - Nigdy już nie skorzystamy z usług Zary, ale ona jest niezależną dziennikarką. Nie pracuje u nas. A ponieważ to ty byłaś odpowiedzialna za weryfikację artykułu...

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale nie odezwałam się ani słowem. To nie było sprawiedliwe, ale Nina miała rację. Weryfikowałam artykuł i nie sprawdziłam każdego źródła. Nie sądziłam, że Zara sfabrykuje wypowiedzi. Zaufałam jej. Przez chwilę patrzyłam na dłonie Niny, a potem wzięłam długopis i podpisałam papiery. Oddając je, szukałam w jej twarzy śladów współczucia, ale oczy szefowej wyrażały przede wszystkim ulgę.

Powstrzymałam się od płaczu, kiedy podałyśmy sobie dłonie, kiedy sprzątałam biurko, kiedy żegnałam się z kolegami i dopiero kiedy przeszłam przez podwójne szklane drzwi redakcji „Belle”, moje marzenia o karierze dziennikarki utonęły w powodzi łez.

Nazajutrz (po zużyciu trzech pudełek chusteczek) ruszyłam bez celu w miasto jako osoba bezrobotna. Właściwie nie tyle ruszyłam, co zamknęłam się w mieszkaniu, oglądając telewizję okryta pledem zrobionym na drutach przez ciotkę Marcie. A potem zadzwonił Rich i zaprosił mnie do restauracji.

- Bardzo chętnie - powiedziałam, starając się nie okazać zaskoczenia. Podziwiałam Richarda, choć nie słyszał bynajmniej z troskliwości. Tak czy owak zarezerwował na ósmą stolik w moim ulubionym francuskim bistro.

Pojawiłam się pierwsza i zamówiłam szampana. Wystarczył łyk, żebym poczuła się lepiej. Przecież byłam młoda, mieszkałam w medialnej stolicy świata, miałam cały notes kontaktów oraz wysublimowanego i życzliwego chłopaka... Nie było powodów do zmartwienia.

- Kochanie! - zawołał Richard od drzwi i ucałował mnie w oba policzki.

- Witaj, skarbie - powiedziałam, uśmiechając się szeroko. W czarnym golfie i tweedowych spodniach wyglądał zabójczo. Oczywiście nasz związek przeżywał wzloty i upadki, ale fakt, że teraz był tu ze mną, że zależało mu na mnie, wiele dla mnie znaczył.

Od razu zamówiliśmy stek z frytkami. Kiedy kelner odszedł, Rich wziął mnie za rękę.

- Moja biedna, kochana Isabelle - zaczął. - To musi być okropne.

- Gorzej niż okropne - westchnęłam.

- Masz już jakieś propozycje?

- Nie - przyznałam. - Julia chce, żebym poszła z nią jutro na jakąś imprezę wydawniczą, ale nie jestem pewna, czy zniosę upokorzenie. - Z nadzieją podniosłam na niego wzrok. - Może poszedłbyś ze mną?

- Och, Iz. No nie wiem. - Puścił moje dłonie. - Wiem, że sporo ci się teraz pokomplikowało... ale myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę.

Poczułam, jak wokół serca zaciska mi się ołowiana obręcz.

- Zawsze odpowiadało mi, że nasz związek był taki niedookreślony - ciągnął. - Nigdy nie czuliśmy presji, żeby trwał dwa tygodnie albo dwa lata...

- Półtora roku - zauważyłam cicho. Słowa z trudem wydobywały się z mojego ściśniętego gardła, a potem złość, szok i ból sprawiły, że zamilkłam.

- Nie zmuszaliśmy się, żeby go etykietować, nakładać ograniczenia i tak dalej...

Kelner przyniósł jedzenie. Ukroiłam stek i zobaczyłam, jak z mięsa wycieka czerwony sok. To była ostatnia rzecz, którą widziałam

wyraźnie. Potem łzy poleciały mi po policzkach, odepchnęłam krzesło i wyszłam.

Dzięki Bogu za Julię. Położyłam się na jej zielonej aksamitnej kanapie i płakałam, walcząc z bólem serca i głowy. Przygryzła wargi, ale powstrzymała się od retorycznego pytania: „A nie mówiłam?”. Rano wyciągnęła mnie siłą na targ, gdzie kupiliśmy jabłka. Przenikliwy wiatr kasał mnie w policzki, dłonie mi grabiły, ale kiedy Emily w swoim wózekku powitała pierwszy łyk ciepłego przecieru jabłkowego klaśnięciem w pulchne rączki, zdołałam się nawet uśmiechnąć. Po południu upiekłyśmy szarlotkę i poczułam się lepiej, odmierzając składniki, hałaśliwie szatkując jabłka, rękami ugniatając masło z mąką.

- Pomyślisz teraz o Pekinie? - spytała Julia. Prawdę mówiąc, już podjęłam decyzję.

Nie mogłam oczywiście ot tak zniknąć, ale dwa miesiące później moje mieszkanie było już podnajęte, większość mebli sprzedana, a ja nabrałam wprawy w rozszyfrowywaniu prawdziwych opinii o moich planach.

- To dopiero przygoda! - zawołała moja sąsiadka, Liz. - Ale c o tam będziesz robić?

W tłumaczeniu: zwariowałaś!

- Wyjeżdżasz do Chin? - zdziwiła się fryzjerka, podcinając moje długie ciemne włosy. - Powrót do ojczyzny musi być taki ekscytujący!

W tłumaczeniu: twoje życie to powieść Amy Tan.

Kiedy w weekend odwiedziłam dom rodziców na przedmieściach, przy lanczu wspomniałam mimochodem o swoich planach. Mama się rozpromieniła. Był to pierwszy uśmiech, jaki u niej zobaczyłam, po tym jak przyznałam, że zostałam wyrzucona z pracy (prawdę mówiąc, użyłam poręcznego określenia „zredukowali mnie”).

- Twój ojciec będzie taki szczęśliwy - stwierdziła. W tłumaczeniu: nie posiadam się z radości.

Spojrzałam na ojca, ale nawet jeśli był szczęśliwy, nie okazywał tego. Jako urodzony w Queens Amerykanin chińskiego pochodzenia w drugim pokoleniu nie miał silnych związków z Chinami. Jego rodzice opuścili prowincję Guangdong ponad osiemdziesiąt lat wcześniej.

Tego wieczora, kiedy zaspana układałam się w moim dawnym łóżku, wszedł po cichu do pokoju i wsunął mi do ręki studolarowy

banknot.

- Na nieprzewidziane wydatki - szepnął. - Nie mów mamie. W tłumaczeniu: martwię się o ciebie.

Jego obawy wcale mnie nie dziwiły. Rodzice niepokoiли się o mnie od lat. Choćby kwestia koledżu.

- Że niby gdzie chcesz studiować? - spytali na wieść, że składam papiery na Uniwersytet Nowojorski. - Czy mają tam program czteroletni?

Kiedy zaś zdobyłam dyplom, pojawiła się kwestia kariery zawodowej.

- Dziennikarstwo? - zdziwili się, kiedy zatrudniono mnie w „Belle”. - To kiepski pomysł. Nie zarobisz na życie!

Zwolnienie w atmosferze skandalu tylko potwierdziło ich obawy: zboczenie ze ścieżki modelowej kariery poważanego pracownika umysłowego prowadziło do katastrofy. Gorzej: do utraty twarzy.

Pobyty w domu rodziców był jak powrót do czasów dzieciństwa. Odwiedzałam ich raz w miesiącu - nie tak często, jak by chcieli - i za każdym razem, kiedy wchodziłam przez garaż, wiedziałam, czego się spodziewać. Wnętrze pachniało tak samo, całkiem przyjemnie łącząc woń gotowanego ryżu i lilii tygrysich z aromatem naftaliny. Ojciec jak zwykle siedział na wyściełanym fotelu, oglądając zawody golfowe i rozwiązując krzyżówki. Matka, wróciwszy do domu ze swoich trzech salonów (trzęsła największym azjatyckim imperium fryzjerskim na Wschodnim Wybrzeżu), krzątała się po kuchni, pilnując bulgoczącego bulionu wieprzowego albo siekając dymkę wielkim tasakiem, jednocześnie rozmawiając przez telefon po chińsku z moją ciotką Marcie. Dyplomy Claire wciąż wisiały w korytarzu - para ozdobnych dokumentów w złożonych oprawach, wyniośle podkreślających jej wykształcenie rodem z Ivy League (Ivy League - osiem prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych: Harvard, Yale, Princeton, Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth i Pennsylvania (przyp. tłum.)). A ja wciąż czułam tę samą niepewność nastolatki.

Również nasze sypialnie na piętrze pozostały bez zmian, choć Claire nie zawitała w domu od dwóch lat. W szafie wisiały jej sztruksowe żakiety pogrupowane według kolorów, a w szufladzie biurka znalazłam plik kuponów upominkowych do Barneya, które dałam jej kiedyś w nadziei, że porzuci na zawsze sieć Ann Taylor.

Wyglądały na nigdy nieużywane. Przejechałam wzrokiem po półce z jej podręcznikami ułożonymi według wysokości.

Claire mówiła, że otwarcie pekińskiego biura jej kancelarii stanowiło wielki awans, życiową szansę, ale kiedy obwieszczała nam tę nowinę, jej blada twarz nie zdradzała ekscytacji. Zawsze miała ambicje (była prymuską i redaktorką przeglądu prawnego), mimo to dziwiliśmy się, że przez cały ten czas praca tak ją od nas izolowała.

Matka zastała mnie na przeglądaniu starych podręczników Claire do nauki mandaryńskiego

(Język mandaryński (chiń. putonghua, „mowa powszechna”) - oparty na dialekcie pekińskim standardowy mówiony język chiński uznawany jako urzędowy w ChRL. Określenie „mandaryński” pochodzi od dawnej europejskiej nazwy chińskiego urzędnika, mandaryna.); patrzyłam na ideogramy ze zwykłą fascynacją i frustracją.

- Kontaktowałeś się z nią? - spytała tęsknym głosem, choć twarz miała spokojną.

- Jeszcze do niej nie pisałam - przyznałam.

- Byłabym taka szczęśliwa, gdybyście były obie razem w Chinach - stwierdziła z teatralnym westchnieniem.

Omam nie przewróciłam oczami. Uczucia mojej matki względem Chin pełne były tęsknoty wygnania, czemu dawała wyraz melodramatyzmem godnym opery mydlanej. Spędziwszy trzydzieści lat w Ameryce, wciąż uważała się za Chinkę i wielokrotnie wyrażała swój głęboki żal, że nie mówię płynnie po mandaryńsku.

- Mamo, to, że jadę do Chin, nie znaczy, że przeżyję jakieś niewiarygodne etniczne objawienie - odparłam niecierpliwie. - Ani że ja i Claire zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Zacisnęła wargi, patrząc na mnie z doskonale mi znajomym rozczarowaniem.

Najbardziej obawiałam się reakcji Claire, ale wreszcie zebrałam się na odwagę, napisałam do niej mejl i nerwowo czekałam na odpowiedź.

Do: Claire Lee Od: Isabelle Lee Temat: Pekin

Droga Claire!

Wiem, że długo nie pisałam, ale często myślę o Tobie i o Twoich przygodach w Chinach. U mnie w porządku, chociaż z pracą tak sobie i zastanawiam się nad zmianą, na przykład wyjazdem do Pekinu,

zwłaszcza że tyle się teraz mówi o Chinach. Nie jest mi łatwo to ująć, więc powiem wprost. Zastanawiam się, czy znalazłabyś dla mnie pokój w swoim mieszkaniu? Na krótko, aż stanę na nogach? Jeśli to kłopot, daj znać. Nie będę zła, obiecuję.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Pozdrowienia od mamy i taty. Twoja Isabelle

Jej odpowiedź, którą dostałam po dwóch tygodniach, była lakoniczna.

Do: Isabelle Lee Od: Claire Lee

Temat: Przeprowadzka do Pekinu?

Kochana Iz, oczywiście, że możesz przyjechać i zamieszkać u mnie tak długo, jak chcesz. Moje mieszkanie jest gigantyczne, a w Pekinie sama się przekonasz, ile warte jest życie literata w Nowym Jorku... Jestem zarobiona po uszy, więc pogadamy, jak przyjedziesz. Buziaki, C

I w ten sposób pewnego pięknego czerwcowego poranka znalazłam się w fotelu klasy ekonomicznej szesnastogodzinnego lotu do Pekinu przez San Francisco. Kiedy nasz samolot startował, East River mieniła się w słońcu, a ja żegnałam się z Nowym Jorkiem w milczeniu i z suchymi oczami, za to z łomoczącym sercem. Dostałam to, czego pragnęłam: szansę rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Tyle tylko, że miałam nieodparte wrażenie, iż po prostu uciekam.

Teraz siedzę w salonie wielkiego mieszkania Claire i choć mam na sobie sweter, drzę z powodu klimatyzacji, która nieubłaganie schładza powietrze do osiemnastu stopni. Przestronne wnętrza rozpościera się wokół z ostentacją, a jego ciszę sporadycznie przerywają dziwne buczenia i elektroniczne piknięcia.

- Nie przejmuj się tymi dźwiękami - powiedziała mi wcześniej Claire. - Oni lubią mieć na nas oko. To trochę denerwujące, ale nasz miejscowy prawnik mówi, że nic się z tym nie da zrobić.

Nie jestem pewna, kto to są owi „oni”. Chińscy szpiedzy? To jakiś absurd.

Apartament Claire, element pakietu dla ekspatów oferowanego przez prestiżową kancelarię, ocieka ekstrawagancką wyniosłością. Mierzącą prawie dwieście osiemdziesiąt metrów kwadratowych przestrzeń znaczą marmurowe kolumny, a na ścianach wiszą olbrzymie lustra w złożonych ramach. Wysmakowane meble Claire sprowadzone ze Stanów kulą się ze strachu w tym całym ogromie,

obok okien sięgających od podłogi do sufitu, przypominając własne miniatury. A jej ukochane środkowoazjatyckie dywany wyglądają na różowych marmurowych podłogach niczym serwetki.

Próbuję coś czytać, przeskakując całe akapity, bo słowa mieszają mi się przed oczami, a kiedy głowa opada mi po raz dziesiąty, włączę do łóżka. Zaśnięcie nie sprawia trudności, ale o drugiej w nocy już nie śpię, czując się rześka, jak gdyby była druga po południu, co biorąc pod uwagę dwanaście godzin różnicy czasu między Pekinem a Nowym Jorkiem, jest prawdą. Idąc do toalety, sprawdzam, czy Claire już wróciła, ale jej sypialnia pozostaje otwarta na oścież, a łóżko posłane.

Dzieli nas sześć lat różnicy wieku, ale tak naprawdę między nami rozpościera się przepaść. W dzieciństwie byliśmy sojusznikami przeciwko suszonym shitake (Shitake (*Lentinula edodes*) - gatunek grzybów jadalnych rosnących na próchniejących kłodach drzew, występujący w Azji Wschodniej, Chinach, Japonii. Obok walorów smakowych posiadają również właściwości lecznicze. W Chinach nazywane xianggu - „pachnące grzyby”.) i chrupkiemu uszakowi (Uszak (chiń. mu'er, „ucho drzewa”) - nazywany grzybem „mun” - gatunek jadalnego grzyba nadrzewnego, należącego do najczęściej wykorzystywanych w kuchni azjatyckiej.), stuletnim jajom (Stuletnie jaja (chin. pidan lub songhuadan) - rodzaj zakąski charakterystycznej dla kuchni chińskiej. Jest to jajko kacze, kurze lub przepiórcze zakonserwowane i przechowywane od kilku tygodni do kilku miesięcy w specjalnym roztworze składającym się m.in. z gliny, wapna, soli i łusek ryżowych.) drżącym niczym galaretką i niezliczonym miseczkom białego ryżu. Dla mojej matki, której rodzina uciekła z Szanghaju w 1949 roku, te wrażenia organoleptyczne stanowiły bezpieczny most łączący ją ze światem, do którego nie mogła wrócić. Dla nas, mierzących się z typową dla drugiego pokolenia grozą odmienności, cwieczorne chińskie kolacje wzmagały tylko apetyt na potrawkę z tuńczyka, posiłki serwowane w Taco Bell lub cokolwiek innego, czego nasi przyjaciele nie uznaliby za dziwne. Była to jedna z niewielu sytuacji, co do których się zgadzałyśmy. Kiedy dorosłyśmy, kapusta chińska i kurze łapki (Kurze łapki (chiń. fengzhua, „szpony feniksa”) - potrawa ze smażonych lub duszonych kurzych, rzadziej kaczych łap, często serwowana w restauracjach specjalizujących się w daniach dim sum.) nie miały

prawa wstępu do naszych kuchni. Posiłki jedzone w domu z rodzicami pozostały jednak takie same.

Nagle przypominają mi się dania, które dziś zjadłam z Claire: miękkie kostki tofu pływające w pikantnym oleju i tłuste plastry baraniny woniejące starym potem. Jedząc chińskie potrawy przez całe dzieciństwo, nie spodziewałam się, że doznam szoku kulturowego przy stole.

Byłam w Chinach dopiero jeden dzień, ale odkryłam, że to, co emigranci mówią o kraju, dotyczy także jego kuchni: im więcej się wie, tym mniej się rozumie.

Domowe jedzenie

Praktyka żywieniowa w Chinach to dwie skrajności: jeść, by żyć, oraz jeść dla przyjemności. Chińskie menu odzwierciedla tę opozycję/korelację między tym, co konieczne, a tym, co zbyteczne.

The Penguin Companion to Food

3:00. Nie śpię. 5:00. Ciągłe nie śpię. 7:30. Robię się senna...

Budzi mnie telefon. Dzwoni i dzwoni, nawet dwie poduszki na głowie nie są w stanie go uciszyć. Gramolę się z łóżka i chwiejnie idę do salonu, gubiąc się w przepastnej przestrzeni i od czasu do czasu przystając, żeby ustalić, skąd dobiega dźwięk. Kiedy już mam zamiar wrócić do łóżka i przykryć głowę trzema poduszkami, zauważam aparat pod stolikiem ze złożonym marmurowym blatem.

- Halo?

Ale słyszę tylko pulsujący sygnał - nawet on brzmi trochę obco. Rozłączam się i wracam do przytulnego, miękkiego łóżka. Światło wlewające się przez okna daje jasno do zrozumienia, że dzień zaczął się jakiś czas temu, ale nie patrzę na zegarek. Moja obecna ochota na sen jest równa pragnieniu, jakie kiedyś czułam na grudniowych wyprzedazach u Barneya: muszę mieć tyle, ile się da, do diabła z konsekwencjami. Padam na łóżko, uklepuję poduszki i podciągam puchową kołdrę po samą brodę. Pościel Claire jest tak delikatna, myślę, odpływając w sen. To musi być najlepsza egipska bawełna. Zanurzam się właśnie w błogiej nieświadomości, gdy telefon znów dzwoni.

Tym razem odbieram po pięciu sygnałach.

- Halo? - odzywam się, a potem dochodzę do wniosku, że skoro jestem w Chinach, powinnam spróbować mówić po mandaryńsku. - Wei?

- Proszę czekać na rozmowę z Claire Lee - oznajmia ktoś rzeczowo. Czekam. Czekam. I czekam.

Być może mój zanurzony w innej strefie czasowej mózg źle zrozumiał.

- Halo? - pytam, ale odpowiadają mi tylko trzaski.

Już mam się rozłączyć i wrócić do łóżka, kiedy rozlega się słodki jak miód głos Claire.

- Isabelle? Przepraszam, że musiałaś tyle czekać.

- Cześć - skrzeczę.

- O, obudziłam cię? Chyba nie spałaś jeszcze? Jest druga po

południu.

- Ja spałam? O tej godzinie? O nie. Jestem na nogach od świtu. Mój śmiech brzmi jak bulgot.

- To dobrze. Miałam dzwonić wcześniej, ale dziś mam w pracy urwanie głowy. Wiesz, na tej wczorajszej imprezie wpadłam na starego znajomego...

Próbuję się skupić, ale mój mózg nie przyswaja informacji. Gdybym zamknęła oczy, może potrafiłabym spać na stojąco jak koń?

- ...i bardzo chce się z tobą spotkać - kończy Claire. - Cieszysz się?

- Co?

- Ed Watson. Z pisma dla ekspatów. Czeka na twój telefon. Iz, czy ty mnie w ogóle słuchałaś?

Pismo dla ekspatów? Pośród mgły otepienia zapala się lampka alarmowa. Czy ona naprawdę myśli, że tylko to potrafię? Staram się nie dać poznać po sobie irytacji.

- Claire, nie wydaje mi się, żeby pismo dla mieszkających tu obcokrajowców było dla mnie właściwym miejscem. Pracowałam przecież dla jednego z największych nowojorskich czasopism dla kobiet... - Dlaczego ona nigdy mnie nie docenia?

- Ooo! - piszczy. - Sophia! Nie wiedziałam, że jesteś w mieście! Poczekaj chwilkę, dobrze? Zaraz skończę.

- Halo?

- Iz? Muszę kończyć. Wizytówka Eda leży na stole w kuchni. Powołaj się na mnie.

- Wrócisz wieczorem? - pytam z większą nadzieją w głosie, niż chcę okazać.

- Oj, przykro mi, kochanie... Będę pracować do późna, a potem mam iść na to przyjęcie. Wzięłabym cię ze sobą, ale będzie tam strasznie nudno, takie tam prawnicze sprawy... - Na chwilę przycicha.

- Ale może uda mi się z niego wyrwać.

- Nie, nie, nie. Dam sobie radę - mówię, starając się, by mój głos brzmiał reżolutnie. - Nie przejmuj się mną.

- Na pewno?

- Tak, zresztą muszę dojsć do siebie po locie.

- Chyba masz rację. - Czy tylko mi się zdaje, czy słyszę w jej głosie ulgę? - To co? Do zobaczenia? Buziaki. Pa, pa!

Rozłącza się, a ja patrzę tępo na telefon. Nie spodziewałam się, że

Claire będzie spędzać ze mną każdą wolną chwilę, ale zaskoczyła mnie swoją, jak by to ująć... towarzyskością. W Nowym Jorku jedyne imprezy, w których brała udział, odbywały się w biurze - szybkie kanapki późnym wieczorem podczas przygotowywania się do procesu. I ten jej akcent? Bardziej przypomina teraz brytyjski niż amerykański. Kochanie? Buziaki?

Zmieniło się też coś innego... coś mniej uchwytnego niż czerwone pasemka w jej ciemnych włosach i nowa elegancka garderoba. Można odnieść wrażenie, że Claire stara się być... trendy. Ale jak to możliwe? Claire, którą zapamiętałam, nosiła okulary w grubych oprawkach i była najlepszą uczennicą w klasie. Jako pierwsza osoba w naszej szkole poszła na Harvard, ale chyba nic nie było w stanie zabić rany po nieuczestniczeniu w licealnym balu absolwentów. Kiedy skończyła studia prawnicze (na Yale), jej życie w Nowym Jorku koncentrowało się na staraniach, by zostać wspólnikiem w kancelarii, i odwiedzaniu rodziców w weekendy. Rodzice ciągle namawiali mnie, żebym naśladowała Claire w stopniach, dyscyplinie i posłuszeństwie.

- Czemu nie jesteś jak twoja siostra? - lamentowała matka na widok moich trójek i czwórek. Nie rozumiała, że poświęcałam tyle samo wysiłku na sprawianie wrażenia, że jestem cool, co Claire na naukę. Patrzyliśmy nawzajem na siebie z mieszaniną zawiści i pogardy.

Wzruszając ramionami, idę do kuchni, gdzie wizytówka odbija się jaskrawą bielą od czarnego granitu blatu. „BEIJING NOW MAGAZINE” - tak wygląda logo, poniżej zaś widnieje tekst: Ed Watson, wydawca. Z drugiej strony to samo po chińsku.

Odgarniam z oczu kosmyk włosów i wzdycham. Claire przeprowadziła się na drugi koniec świata, ale jej umiłowanie porządku oraz potrzeba, by wszystko miało właściwe miejsce, pozostały bez zmian i stosują się także do mnie. Wygląda na to, że jestem teraz bałaganem, który trzeba uprzątnąć, plamą do wywabienia.

Ukrywam twarz w dłoniach. Muszę szybko znaleźć pracę - bilet do Pekinu kosztował mnie większość odprawy. Ale nie przyjechałam do Chin, żeby pracować dla jakiegoś szmatławca. Wzbiera we mnie żal i uraza. Dlaczego Claire wciąż mi przypomina, że nigdy jej nie dorównam?

Zostawiam wizytówkę, wracam do sypialni i odsuwam zasłony - za oknem szarzy się smogowaty dzień. Włączam laptopa i korzystam

z bezprzewodowego połączenia z internetem. Po półgodzinie guglania mam cały zestaw adresów mejlowych do redakcji pekińskich gazet. Piszę szybko:

Szanowny Panie Simonie Bank (albo Dennisie Frank, Szanowna Pani Mary Ellen Bates, Kathy Woo)!

Niedawno przeprowadziłam się do Pekinu z Nowego Jorku, gdzie pracowałam jako asystentka redakcji w miesięczniku „Belle”. Interesuje mnie relacjonowanie wydarzeń i zastanawiam się, czy miałby Pan/miałaby Pani czas, żeby porozmawiać ze mną o możliwości zatrudnienia w Pańskim pekińskim biurze. Bardzo podziwiam Pana/Pani pracę w „New York Times” (albo „Newsweeku”, „Chicago Tribune”, „Los Angeles Times”, „Washington Post” itd.). Czekam na odpowiedź. Z poważaniem
Isabelle Lee

Wpisuję adresy, dołączam CV i wysyłam kilkanaście mejli, trzymając mocno kciuki. Przez kilka następnych dni sprawdzam pocztę trzy, cztery, pięć, sześć razy dziennie, ale kiedy mija tydzień, zaczynam tracić nadzieję. Chodzę po Pekinie, przeciskając się przez tłumy. Claire zaoferowała się, że mi potowarzyszy, ale jej entuzjazm dla zabytków nie jest zbyt wielki, więc zwiedzam sama. W Zakazanym Mieście (Zakazane Miasto (chiń. gugong, „starożytny pałac”) - kompleks pałacowy dynastii Ming (1368 - 1644) i Qing (1644 - 1912), zbudowany w latach 1406 - 1420, znajdujący się w centrum Pekinu, obecnie udostępniony jako muzeum.) wędruje się przez labirynt dziedzińców i sal, czując się nikim pośród wysokich murów. Kiedy jestem w Świątyni Nieba (Świątynia Nieba (chiń. Tiantan, „ołtarz Nieba”) - kompleks sakralnych budowli w południowo - wschodniej części Pekinu, wzniesiony w latach 1406 - 1420.), słońce po raz pierwszy od dziewięciu dni przedziera się zza chmur zanieczyszczeń i świeci oślepiająco na białe marmurowe chodniki oraz zdobne pagody. Wspinam się na stromy odcinek Wielkiego Muru, zmuszając mięśnie do ciężkiej pracy na każdym stopniu, i podziwiam rozległy krajobraz z kamiennej wieży strażniczej. O zachodzie słońca spaceruję po betonowych przestrzeniach placu Tiananmen (Tiananmen (dosł. „Brama Niebiańskiego Spokoju”) - rozległy plac w centrum Pekinu, zbudowany na początku XV wieku, później wielokrotnie rekonstruowany. Począwszy od czasów dynastii Ming (1368 - 1644)

odbywały się tam ceremonie religijne i parady wojskowe. Miejsce znane z wielu wydarzeń politycznych, do historii przeszły krwawo stłumione przez rząd ChRL protesty z 1989 roku.), przystając razem z tłumem, żeby obejrzeć, jak czwórka pucołowatych wartowników opuszcza flagę. Wokół mnie ludzie poruszają się, wzdychają, robią zdjęcia. Z tyłu wszyscy wyglądają tak samo - zlewają się w jedną niewyróżniającą się czarnowłosą głowę. Nagle uświadamiam sobie szokującą prawdę: wyglądam tutaj zupełnie zwyczajnie.

Po dwóch tygodniach nie mam już złudzeń - brak odpowiedzi to odmowa. Perspektywa braku pieniędzy prześladowuje mnie niczym rój komarów. Po trzech tygodniach zarządzenie Claire na temat Eda doprowadza mnie prawie do szału. Staram się stworzyć plan B pozbawiony pism dla ekspatów i szkół językowych.

A potem kolejnego wilgotnego szarego poranka budzi mnie telefon.

- Isabelle Lee? - mówi jakiś mężczyzna krótko i rzeczowo. - Dennis Frank z „Washington Post”. Otrzymałem pani mejl i tak się składa, że szukamy asystenta do działu informacji. Może się pani zjawić u nas dziś po południu?

Próbując opanować drżenie rąk, zapisuję adres i rozłączam się. Dzięki Bogu, wreszcie coś! Już zaczynałam myśleć, że będę musiała posłuchać siostry. Kilka minut później grzebię w walizce, która dotąd stała w kącie nietknięta - liczyłam, że nie będę musiała rozpakowywać się jeszcze co najmniej przez kilka dni - i wyciągam bikini w kwiaty, bluzkę z cekinami oraz tweedową spódnicę. Boże, o czym ja myślałam, kiedy się pakowałam? Wreszcie znajduję jasny lniany żakiet i błękitną jedwabną bluzkę - świetny, czysty, profesjonalny strój. Jest zbyt gorąco, żeby włożyć marynarkę, więc przerzucam ją sobie przez ramię jak zawadiacka młoda reporterka.

Na ulicy wymijam grupę rowerzystów w strasznych kaskach w stylu Dartha Vadera i przywołuję taksówkę sunącą w sznurze samochodów po Guanghai Lu. W samochodzie jest chłodno, ale czuć papierosami, a bawełniane pokrycia foteli są mokre od cudzego potu. Krzywię się, czując wilgoć na plecach. Podczas powolnej jazdy staram się przygotować do rozmowy. Kwestia, którą trzeba podkreślić: doświadczenie w redakcji „Belle” i zainteresowanie dziennikarstwem. Kwestia, której trzeba unikać: okoliczności zwolnienia.

- Ni shi na guo ren? - pyta taksówkarz, przerywając moje rozmyślenia. Skąd jesteś?

Odpowiadam niepewnie po chińsku.

- Wo shi Meiguoren. - Jestem Amerykanką. Przesuwa wzrok z drogi na mnie.

- Nie! Nie jesteś Amerykanką - ciągnie po mandaryńsku.

- Ależ jestem. - Szczerzę zęby w szerokim amerykańskim uśmiechu.

- Amerykanie mają żółte włosy, duże nosy. I są grubi - replikuje.

- Urodziłam się w Ameryce. Tam dorastałam. - Chcę kontynuować, ale chiński mnie zawodzi. Nie wiem, jak powiedzieć „popkultura” ani „drugie pokolenie”. A nawet gdybym wiedziała, nie potrafiłabym mu przekazać, że Chiny wydają mi się teraz tak obce i niezrozumiałe jak Mars.

- Wyglądasz na Chinę.

- Jestem Chiną, ale jestem także Amerykanką.

- Nic dziwnego, że mówisz tak źle po chińsku - rzuca kąśliwie. - Powinnaś bardziej się przykładać do nauki.

Niezadowolony włącza radio. Suniemy po drugiej obwodnicy, jednej z głównych autostrad okalających stolicę. Wiem z przewodnika, że arteria została wytyczona wzdłuż starych miejskich umocnień i wyglądam przez okno w nadziei, że zauważę zabytkowe kamienne mury albo rozpadające się wieże strażnicze, ale zamiast tego dostrzegam tylko eleganckie, nijakie wysokościowce, połyskliwe i puste, oraz obskurne bloki mieszkalne, które już dawno powinny zamienić się w kupę gruzu. Wszędzie widać place budowy, na tle szarego nieba jaśnieją żółte żurawie. Okolica tętni energią, podnieceniem, szansą i po raz pierwszy od wielu miesięcy czuję w sercu nadzieję. Być może w tym nowym wspaniałym Pekinie znajdzie się miejsce i dla mnie. Nieoczekiwanie zatrzymujemy się.

- Dao le - obwieszcza kierowca. Jesteśmy na miejscu.

- Gdzie jest... ten budynek? - pytam łamaną chińszczyzną. Taksówkarz wykonuje nieokreślony ruch ręką.

Na chodniku przeskakuję wzrokiem z budynków na kartkę z adresem: ulica Changan 2. Hmm... najbliższy budynek ma numer 43. Czy jestem w ogóle na ulicy Changan? Wyciągam komórkę. Czy powinnam zadzwonić do biura Dennisa Franka po wskazówki? A może zrobię w ten sposób wrażenie, że w ogóle nie znam miasta? Bo

w sumie nie znam. Przeglądam listę numerów w telefonie, szukając Dennisa. Chwileczkę... dlaczego nie mam jego numeru? Mogłabym przysiąc, że zapisałam go w kontaktach. Menu w telefonie jest wyłącznie po chińsku i musiałam pomylić ideogramy „zapisz” i „skasuj”, uświadamiam sobie ze zgrozą.

Okej, to nie problem. Kilka głębokich oddechów. Prostuję plecy i idę do następnego biurowca, nie zważając na pot ściekający mi po czole. Dzielnica została zaprojektowana chyba dla czołgów, nie dla pieszych. A w ogóle kto by pomyślał, że w Pekinie jest tak gorąco? I tak wilgotno?

Dziesięć minut później... Budynek nie mają numerów. Okej... muszę poprosić kogoś o pomoc. Podchodzę do młodej kobiety mniej więcej w moim wieku z długimi do łokci rękawiczkami i parasolem z logo igrzysk olimpijskich. Czy zanosi się na deszcz?

Patrzę w niebo - jest dziwnie jasne, słońce przedziera się z impetem przez warstwy ozonu.

- Przepraszam?

Cholera. Jak się mówi „przepraszam” po chińsku? Słyszając mnie, dziewczyna wybałusza oczy i szybko machając ręką - międzynarodowy gest oznaczający „spadaj” - oddała się ulicą, a jej parasol podskakuje przy każdym kroku.

Pięć kwartałów później twarz ocieka mi potem, ale jakimś cudem znajduję właściwy adres. W chłodnej półmrocznej windzie ze zgrozą patrzę na swoje odbicie w drzwiach. Jedwabną bluzkę mam przepoconą, lniane spodnie wymięte, twarz zarumienioną i mokrą, jak gdybym właśnie ukończyła maraton albo gorzej - jak gdybym była na odwyku narkotykowym. Próbuję zasłonić wilgotną bluzkę żakietem, ale na klapie odkrywam rdzawą plamę. Keczup. Przypominam sobie, jak Richard upaśćkał mnie, podając mi frytki w Corner Bistro. Wyglądam, jak gdybym miała wypadek z bronią palną. Super. Mogę wyglądać na spoconą i niechlujną albo na pokrwawioną, spoconą i niechlujną. Ściągam żakiet, drzwi windy rozsuwają się. Dennis Frank od razu zaprasza mnie do biura, taktownie ignorując mój opłakany wygląd. Siadamy - zachowuje wyrozumiałość, patrząc tylko na moją twarz.

- Może herbaty? - pyta wreszcie.

Dopiero co przeszłam osiem kilometrów w ponad trzydziestostopniowym upale. Marzę o wielu rzeczach, ale na pewno

nie o gorącym napoju! Kręcę głową.

- A zatem... - Dennis przerywa i patrzy na moje CV. - Isabelle. Proszę mi opowiedzieć o swoim doświadczeniu dziennikarskim.

Pomimo klimatyzacji, która zionie iście arktycznym chłodem wprost na moje wilgotne ubranie, czuję, że ręce mi się pocą.

- No więc... Przez pięć lat pracowałam w miesięczniku „Belle”... jako weryfikatorka - dodaję niby po namyśle.

- A jakieś relacje? Pisałaś do dzienników? Może w koledżu? - Kiwa głową zachęcająco.

Biorę głęboki oddech.

- Tak. Pracowałam dla gazetki szkolnej...

- Tak? - nachyla się z zainteresowaniem.

- Zajmowałam się ogłoszeniami. - Aha.

Znów zapada krępująca cisza. Patrzę za okno, gdzie słońce walczy z zanieczyszczeniem.

- Jak dobrze znasz chiński? - pyta oschle Dennis, patrząc na swoje szczupłe dłonie.

- Jako tako. Dość dobrze. Potrafię się dogadać - kluczę.

- Jesteś obeznana z potrzebnym słownictwem? Na przykład... jak się mówi... „zakaz rozpowszechniania broni jądrowej”? - Unosi brwi.

Czy powinnam skłamać? Czy będzie mnie sprawdzał? Milczenie narasta, a ja marszczę brwi, udając, że się zastanawiam.

- Nie wiem - wyznaję wreszcie.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie strzelić palcami, dając gestem do zrozumienia, że słowo tylko chwilowo mi umknęło, ale kiedy Dennis mruży oczy, zmieniam zdanie.

- W twojego CV wynika, że znasz mandaryński - mówi, a na jego twarzy pojawia się wyraz zniecierpliwienia.

- Trochę już zardzewiał - przyznaję. Wstaje.

- Szukamy kogoś, kto zna chiński.

- Rozumiem - odpowiadam i staram się uniknąć podania mu dłoni, która ciągle jest gorąca i mokra, ale się nie udaje. Niezgrabnie zegnamy się uściskiem rąk.

- Będziemy w kontakcie - mówi, otwierając mi drzwi. Kiwam głową, chociaż wiem, że nigdy do mnie nie zadzwoni. Kiedy opuszczam budynek, z ulgą odkrywam jeden z wielu w mieście lokali Starbucksa. Biorę latte w nadziei, że zapach mielonej kawy i drewniane stoliczki będą jakąś pociechą. Mrożona kawa smakuje

przyjemnie znajomo, ale nie rozwiązuje moich problemów. W Nowym Jorku byłam bezrobotna - teraz jestem bezrobotna w kraju, gdzie nawet nie znam dobrze języka.

Przynajmniej będę miała motywację, żeby się podszkolić. Choćby jedno słowo dziennie. Wyciągam z torebki kieszonkowy słowniczek. Zobaczymy... Litera r... zakaz rozpowszechniania broni jądrowej (albo nierozpowszechnianie broni jądrowej)... bukuosan hewuqi.

A niech to. Co ja w ogóle robię? Nie wiem nawet dokładnie, co to oznacza po angielsku, a co dopiero po mandaryńsku! Dopijam kawę, mówię dumie „żegnaj” i dzwonię do redakcji „Beijing NOW”.

Dwa dni później znów patrzę na siebie w wypolerowanych drzwiach windy. Tym razem jest mi jednak czysto i chłodno w ciemnych dżinsach i odprasowanej białej bluzce. Po katastrofie, jaką była rozmowa w „Washington Post”, zmięłam brudny lniany żakiet w kłęb i wcisnęłam w róg szafy. Dlatego ucieszyłam się, kiedy Ed powiedział, że w redakcji „Beijing NOW” panuje swobodna atmosfera. Winda majestatycznie wynosi mnie na dziesiąte piętro, gdzie natykam się na korpulentnego mężczyznę o kręconych włosach palącego papierosa przy brudnym oknie. Patrzy na mnie ciekawie, a ja ryzykuję:

- Ed Watson?

- Tak, to ja - odpowiada ze słonecznym australijskim akcentem.

- Jestem Isabelle. - Widząc, że nie kojarzy, dodaję szybko - siostra Claire Lee.

- Ach, oczywiście!

- Przepraszam za spóźnienie...

- Nie szkodzi. - Uśmiecha się, jakby zdeprymowany. Wydmuchuje dym w kierunku sufitu i gasi papierosa jednym ruchem.

- Chodź, oprowadzę cię.

Z półmrocznego korytarza przechodzimy do dużej sali oświetlonej jarzeniówkami, w której kręcą się ludzie.

- Redakcja - wyjaśnia Ed. - Myślę, że niedobre meble i porysowane ściany tylko dodają uroku.

Oczy całego pomieszczenia kierują się na mnie.

- Cześć - mówię cicho.

- Panie i panowie, to jest Isabelle. ABC z Nowego Jorku. - Widać, że Ed jest świetnie obeznany z ekspacką terminologią: ABC to American Born Chinese, Amerykanie pochodzenia chińskiego. - To

Lily - wskazuje grubym palcem szczupłą dziewczynę w rogu, która uśmiecha się nieśmiało i poprawia czarne jedwabiste włosy. - Zajmuje się modą. Gab też jest z Nowego Jorku - ciągnie, ruchem głowy pokazując Azjatę przy telefonie; tiszert z oberwanymi rękawkami ukazuje żylaste ramiona pokryte tatuażami. - Pisze o lokalnej scenie muzycznej. Świetnie mówi po chińsku. - Gab krótko kiwa głową i uśmiecha się na powitanie. - A tam jest Tang Laoshi. - Ed wskazuje łysiejącego Chińczyka w okularach z grubymi szklami, za którymi kryją się podejrzliwe oczy. Nauczyciel Tang. - To nasz cenzor - cedzi Ed kącikiem ust.

- A ja jestem Geraldine - mówi ktoś za nami. - Witaj - uśmiecha się do mnie ciepło.

- Geraldine pisze o kuchni i jest naszą specjalistką od mody - wyjaśnia Ed, a ja podaję jej dłoń, podziwiając intrygujący wschodnio - zachodni styl: minispódniczka z japońskimi ideogramami na ciemnych dżinsach plus gęste złote włosy upięte rzeźbionym czerwonym grzebieniem z laki.

- Mam też mózg - śmieje się do Eda, chociaż w jej głosie wyczuwam sarkazm.

- Przechodzi do działu kultury - wyjaśnia Ed, prowadząc mnie do gabinetu.

Drzwi zamykają się za nami cicho. Przysiadam na krześle z jednym podłokietnikiem, a Ed wciska się za biurczko i patrzy na mnie z pytaniem w oczach.

- Nie jestem pewien, co Claire powiedziała ci o nas...

- Niewiele - odpowiadam ostrożnie.

- Prowadzimy anglojęzyczny tygodnik dla ekspatów. Piszemy o lokalnych wydarzeniach artystycznych, koncertach, barach, klubach, restauracjach. Nasi czytelnicy to w większości młodzi mężczyźni, tak samo jak nasza redakcja, chociaż próbujemy trochę złagodzić linię, dodać nieco kobiecości. Ostatnio jeden z naszych redaktorów wrócił do Wielkiej Brytanii i Geraldine, którą właśnie poznałaś... - przerywa na chwilę, a ja przytakuję - przejmuje jego obowiązki. Mówi, że ma dość ciągłego stołowania się na mieście. - Poprawia plik papierów na biurku. Ubranie i włosy ma w nieładzie, ale gabinet aż lśni. - Czyli tak. Ger przechodzi do działu kulturalnego, a my szukamy publicysty kulinarnego, kogoś, kto będzie pisał artykuły o winie i kuchniach regionalnych, recenzował restauracje i tak dalej.

Brzmi doskonale. Pomimo wcześniejszego uprzedzenia do pisma dla ekspatów nachylałam się coraz bardziej i kiwam z zainteresowaniem. Claire miała rację co do „Beijing NOW”, uświadamiam sobie z ukłuciem rozgoryczenia. Pismo kipi od energii i pomysłów, zajmuje się jedzeniem, modą, kulturą - coś w sam raz dla mnie. Czy naprawdę siostra zna mnie lepiej, niż myślałam?

- Ideą byłby ktoś, kto świetnie mówi po chińsku - ciągnie Ed.
- Ale Claire mocno cię lansowała.

- Naprawdę?

- O tak. Piękna dziewczyna ta Claire... A do tego zabawna. - Przez moment patrzy w przestrzeń z cieniem uśmiechu na ustach. - W każdym razie powiedziała mi wszystko o twojej pracy w „Belle”, że jesteś świetną autorką... - „Naprawdę?” - myślę oszołomiona. - I że od dziecka uwielbiasz chińskie żarcie...

- Ale mój chiński nie jest zbyt... płynny.

- Nie wątpię, że znasz go na tyle dobrze, żeby sobie poradzić. No ale sprawdźmy. Jak powiedzieć...

Ojej, znowu się zaczyna.

- Ryż na parze?

- Bai mi fan! - wykrzykuję.

- Duszona wołowina?

- Hongshao niurou.

- Brokuły, marchewka, ziemniaki?

- Xi lan bua, hong luobo, tudou.

- Widzisz? - cieszy się Ed. - Wiedziałem, że dasz sobie radę.

Claire opowiadała, jak rodzice zmuszali was do chodzenia do chińskiej szkoły w soboty, chociaż tego nie znosiłyście. Ale jej chiński jest świetny, co?

Claire nie znosiła chińskiej szkoły? Pamiętam kanciastą ramę jej ramion, kiedy przepisywała ideogramy do zeszytu oraz długi koński ogon uczennicy spływający po karku. Zawsze pierwsza wsiadała do samochodu w sobotnie poranki, śpiewała ludowe pieśni w łazience i recytowała czteroznakowe powiedzenia gościom. „Powinnaś uczyć się jak Claire, jak dobra chińska córka” - mawiała zawsze mama.

- Więc jak będzie? - Ed nachyla się, przerywając moją zadumę. - Interesuje cię ta praca?

- W Nowym Jorku nie byłam tak naprawdę dziennikarką. Tylko weryfikatorką - wyrzucam z siebie.

Na Edzie nie robi to wrażenia.

- Gadanie. Dziennikarz czy weryfikator, jeden pies. - Wzrusza ramionami. - Wszyscy w Chinach wymyślają się na nowo. Oczywiście z jednym wyjątkiem. Poza mną - dodaje szybko. - Byłem redaktorem „Sydney Morning Herald”. Tak czy owak, znam twoją siostrę. - Widząc wyraz zdumienia na mojej twarzy, dodaje: - W Chinach trzeba polegać na guanxi (Guanxi - funkcjonująca w chińskim społeczeństwie sieć powiązań biznesowych i towarzyskich opierających się na wspólnych interesach i wynikających z nich wzajemnych korzyściach; potocznie „znajomości”, „kontakty”).

Guanxi. Koneksje. W Stanach koneksje są jak żyłka wędkarska: dość silne, by złowić grubą rybę, a zarazem prawie niewidoczne. Zapomniałam, że w Chinach guanxi przypominają raczej szpanerską biżuterię: widoczne z daleka, podsuwane pod oczy, czasem wykorzystywane jako łapówka. Guanxi to podstawa każdej znajomości, w pracy i w przyjaźni; to dzięki nim załatwia się tu większość interesów.

Biorę głęboki oddech, ale Ed uprzedza mnie i zaczyna nawijać o pensji - pada kwota tak symboliczna, że przy niej moje nędzne zarobki w „Belle” zdają się sowite - o dodatkach, wizach.

- Pomożemy ci załatwić wizę Z. Potrzebna jest, żeby legalnie pracować w Chinach.

- Ale... ale... - jąkam się.

- Co jest?

- Jeszcze się nie zgodziłam!

- Nie bądź taka nieśmiała. Masz jakieś inne propozycje? Słuchaj. Jeśli praca ci się nie spodoba, zawsze możesz odejść. Nikt ci tego nie weźmie za złe. A jeśli się nie sprawdzisz, nie martw się, sam cię zwolnię. - Ed wybucha śmiechem.

Uśmiecham się, żeby pokazać, jaka to ze mnie równa babka, ale serce mi wali ze strachu, a zarazem podniecenia.

Moje biurko stoi pośrodku pomieszczenia w kwadracie z trzema innymi. Gaba i Lily mam naprzeciwko, Geraldine po prawej. Tylko Tang Laoshi dysponuje własnym stanowiskiem, z biurkiem ustawionym w rogu, tak aby wszystko widzieć. Wokół aż huczy: ciągle dzwonią telefony, mieszają się ze sobą rozmowy w dwóch językach, zewsząd padają pomysły i propozycje.

Lily wręcza mi stertę egzemplarzy archiwalnych. Zaczynam się

przez nią przegryzać. Roi się od literówek, format i układ artykułów budzi wątpliwości, ale teksty zawierają odpowiednią dawkę stylu i informacji. Ed sprawia wrażenie niepokładanego, ale ma oko na to, co się u niego pisze.

Zaczynam właśnie czytać jego wstępniaki, kiedy dzwoni komórka.

- Dostałaś tę robotę? - pyta Claire pełnym ekscytacji głosem.

- Wiesz co, poczekaj chwilę.

Czuję się skrępowana, rozmawiając przy wszystkich, więc wymykam się na korytarz.

- I jak, spodobał ci się Ed? Zabawny facet, co? Przyznaj, że „Beijing NOW” to idealne miejsce dla ciebie!

- Faktycznie, ludzie mają tu sporo energii i pomysłów - przyznaję.

- Czyli co, miałam rację?

- Miałaś rację.

Staram się nie wywracać oczami, chociaż przecież mnie nie widzi.

- Widzisz? Powinnaś częściej mnie słuchać. - Śmieje się. - Kiedy zaczynasz?

- Niedługo. Od razu. Właściwie to jutro.

- No no, Ed nie zasypia gruszek w popiele. Super! Naprawdę się cieszę. - Rzeczywiście sprawia takie wrażenie, ale nie jestem pewna, czy to przypadkiem nie dlatego, że wreszcie posłuchałam jej rady. - Kochana, muszę wracać do pracy. Zadzwoiłam tylko, żeby ci pogratulować. Aha, dziś wrócę bardzo późno, więc nie czekaj na mnie, dobrze?

Zanim zdążę odpowiedzieć, rozłącza się.

Wracam do redakcji, gdzie przeglądam nowe wydanie. Śmieję się do rozpuku, czytając błyskotliwy artykuł Geraldine o mrocznej stronie kuchni kantońskiej. Zagląda mi przez ramię.

- Faj. - Wzdryga się. - Musiałam do tego artykułu zjeść psa (Dania kuchni kantońskiej słyną z różnorodności serwowanych mięs, np. z węży, psów, kotów. Potrawy z psiego mięsa są nadal, pomimo nasilających się kontrowersji, popularnym przysmakiem na południu Chin, a także w innych częściach kraju.). Okropność.

Patrzę na nią z respektem.

- Jak smakował?

- Jak kurczak, rzecz jasna. Żyłasty, trącający dziczyzną kurczak. Akurat w tym momencie głośno burczy mi w brzuchu.

- Przepraszam - tłumaczę się speszona - nie przepadam za psim mięsem, po prostu jestem głodna.

- Może skoczmy razem coś przegryźć? W sumie pora na kolację.

- Jest dopiero wpół do siódmej! - mówię zaskoczona.

- To są Chiny. Lancz je się o wpół do dwunastej, kolację o szóstej. Spóźnisz się i masz kłopot. Chodźmy. - Kilkoma profesjonalnymi kliknięciami wyłącza komputer. - Mam ochotę na jiachangcai (Jiachangcai - sieć restauracji w północnych Chinach serwująca popularne potrawy przyrządzane według domowych przepisów.).

Nie wiem, ki diabeł ten jiachangcai, ale jestem zbyt głodna, by się opierać. Geraldine żegna się wesoło ze wszystkimi i wychodzimy. Idziemy wąską alejką pełną straganików z jedzeniem - zatrzymuję się zaciekawiona naleśnikami smażonymi na blasze, które lśnią od oleju, i wdycham upajające wonie unoszące się znad parujących kadzi z ostrą zupą.

Docieramy do jaskrawo oświetlonej restauracyjki pełnej czarnych czupryn. Ściany są brudne, podłoga zaśmiecona pałeczkami i kośćmi kurczaka. Jesteśmy jedynymi cudzoziemcami. Jak na zawołanie cała restauracja, klienci i obsługa, kieruje na nas wzrok.

- Patrz! - Pryszczata dziewczyna wskazuje cienkim palcem jasne włosy Geraldine. - Laowai! - Obcokrajowiec.

Ciemne oczy przeskakują z niej na mnie. Co to za Chinka, która przyjaźni się z cudzoziemką? Stoję przy pustym stoliku, niepewna, co robić. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak trudno będzie tutaj mieszkać, mając wygląd tubylca, ale duszę obcokrajowca. Przez chwilę ta perspektywa mnie przytłacza, ale potem Geraldine zajmuje miejsce, a ja siadam naprzeciwno.

Kelnerka nachyla się nad nami z długopisem.

- Co panie zamawiają? - pyta mnie, rozmyślnie ignorując Geraldine. Przerzucam menu, szukając znajomych ideogramów, ale rozpoznaję tylko „mięso”, „warzywa” i „ryż”.

- Jadasz wszystko? - pyta Geraldine.

- Tak - odpowiadam z ulgą.

- Okej - mówi, nie zaszczycając menu jednym spojrzeniem.

Women lai yi fen'r mayi shangshu, yi fen'r mapo doufu, yi fen'r di san xian... (Poprosimy porcję mayi shangshu (mrówki wspinające się na drzewo), porcję mapo tofu i porcję di san xian (potrawa ze smażonych ziemniaków, zielonej papryki i bakłażanów, do tego serwetki i herbatę.) Chyba wystarczy - zastanawia się. Liang wan mi fan. Gen can jing zhi'r, cha shui (Dwie miseczki ryżu. Do tego serwetki i herbatę.) - uśmiecha się słodko do kelnerki. - Xie xie. - Dziękuję.

Kelnerka zapisuje wszystko beznamiętnie i oddala się.

- Co zamówiłaś? - pytam z podziwem. - Nawet nie spojrzałaś na menu.

- To łatwizna - śmieje się Geraldine. - Jedzenie jest takie samo w każdej restauracji z kuchnią domową.

Aha! Jiachangcai. Domowe jedzenie. Proste, znane potrawy, które ludzie jadają codziennie.

- Kuchnia chińska jest jak poezja. Wszystko pięknie się nazywa - ciągnie Geraldine. - Mrówki na drzewie (Mrówki wspinające się na drzewo (chiń. mayi shangshu) - klasyczne danie kuchni syczuańskiej składające się z mielonego mięsa i makaronu. Nazwa wiąże się z wyglądem potrawy, gdzie odrobiny mięsa przylegające do nitek makaronu przypominają mrówki chodzące po gałązkach drzewa.) to mielona wieprzowina i cieniutkie nudle sojowe. Mapo doufu (Mapo doufu (dosł. „tofu kobiety o ospowatej twarzy”) - mapo tofu, popularne danie kuchni syczuańskiej, mieszanka kawałków sera sojowego (tofu) z wieprzowiną lub wołowiną w gęstym pikantnym sosie. Według legendy autorką tego słynnego dania była stara kobieta z Chengdu, której twarz pokryta była bliznami po ospie.), jak pewnie wiesz, to tofu ospowatej baby, czyli po prostu tofu w pikantnym sosie. Moją ulubioną potrawą jest di san xian (Di san xian (dosł. „trzy świeże {warzywa} z ziemi”) - potrawa charakterystyczna dla regionu Chin Północno - Wschodnich, składająca się z trzech warzyw: ziemniaków, zielonej papryki i bakłażanów.), trzy boginki ziemi: bakłażan, ziemniak i słodka papryka w brązowym sosie. Jak to magicznie smakuje!

Moja mama nigdy nie przekładała nazw potraw. Po prostu gotowała, a my jedliśmy. Nieoczekiwanie podnieciła mnie świadomość, że takie zwyczajne jedzenie może mieć poetycki urok.

- Świetnie mówisz po chińsku - zachwycam się.

- No wiesz, po sześciu latach w Chinach powinnam przynajmniej

umieć zamówić posiłek.

Kelnerka stawia głośno na stole dzbanek herbaty i naczynia wciąż jeszcze mokre po myciu.

- Dokładnie wszystko osusz. - Geraldine podaje mi serwetkę. - Zarazki.

- Jak trafiłaś do Chin? - pytam, zajmując się maleńkimi talerzykami i filiżankami, które są obite i poplamione ze starości.

- Przyjechałam na stypendium Fulbrighta z zamiarem rocznego pobytu. - Śmieje się. - Ale potem zakochałam się, wyszłam za męż... minęło sześć lat, a ja jestem rozwiedziona i wciąż tu siedzę.

- Co się stało?

- Różnice kulturowe. On był za bardzo Chińczykiem, ja za bardzo Amerykanką. - Uśmiecha się cierpko. - A ty?

- Ja? O, chciałam tylko wrócić do korzeni - mówię mimochodem z nadzieją, że nie podchwyci tematu.

- Naprawdę? Nie wyglądasz na kogoś takiego. - Patrzy na mnie bacznie, ale w tej chwili zjawia się kelnerka z jedzeniem i stawia wszystko na środku stołu. Chwila minęła.

- Dong kuaizi - mówi Geraldine, odwijając pałeczki i kładąc sobie na podołku serwetkę. - Rusz pałeczkami! Czyli bierz się do jedzenia.

Jedzenie prosto z woka połyskuje olejem. Cieniutkie nitki makaronu okazują się pikantne, treściwe dzięki mielonej wieprzowinie i upstrzone krążkami czili. Miękkie warzywa są słonawe i soczyste od gęstego brązowego sosu. Na koniec wkładam do miseczki z ryżem kostki tofu, a kiedy palący olej z czili nasącza ryż, pakuję sobie wszystko do ust. Pycha!

Nie pamiętam, czy jadłam kiedyś coś podobnego. To posiłek wieśniaków, prosty i tani, pikantny i słony, sycący i pyszny. Jemy go, nie oczekując, że będzie czymś więcej. Geraldine opowiada mi o swoim domu z dziedzińcem, który zdaje się sennym reliktem dawnego Pekinu, a ja żalę się, że wielki apartament Claire jest zimny jak lód.

- Chyba poznałam twoją siostrę - mówi Geraldine, podnosząc kawałek bakłażana. - Wysoka, szczupła, świetnie ubrana... Trochę jak azjatycka wersja Nicole Kidman.

Nigdy nie przyszło mi to do głowy, ale teraz faktycznie sobie uświadamiam, że Claire i Nicole Kidman to sobowtóry - pominąwszy różnice rasowe.

- Tak, to ona.

Nie odmawiając sobie kolejnej porcji tofu, zastanawiam się, jak zmienić temat. Nie tyle chcę uniknąć rozmowy o siostrze, ile po prostu nie mam wiele do powiedzenia. Od kiedy mieszkamy razem, Claire lawiruje między pracą, przyjęciami, imprezami charytatywnymi, wyjściami do restauracji z klientami i kolegami. Jej telefon nigdy nie milknie, nadając głośne, pełne śmiechu rozmowy, w których co rusz powtarza się słowo „kochanie”, a jej sypialnia jest miejscem przebieranek częstszych niż na pokazach mody.

Claire zawsze zachęca mnie, bym jej towarzyszyła. Raz poszłam z nią na cocktail party u znajomych. W chwili, gdy drzwi windy rozsunęły się i ujrzałam dwupoziomowy luksusowy apartament, poczułam się nieswojo. Kiedy odłożyłam torebkę w pokoju gościnnym, moja podróbka Miu Miu wyglądała bardzo nie na miejscu. Rozmowy w salonie toczyły się wokół bali charytatywnych i wyjazdów do Hongkongu.

- Ale przecież ty nie masz powodu jechać! - zawołała Vanessa, wysoka Chinka o wystających kościach policzkowych, obejmując Marco, swojego włoskiego chłopaka.

- Ale chciałabym zobaczyć Hongkong - odparłam.

- Nie jedziemy zwiedzać - wyjaśniła mi. - Jedziemy po botoks. Zaśmiała się, lecz jej twarz pozostała nieruchoma. Spojrzałam na siostrę, ale zamiast na zaskoczoną wyglądała raczej na rozbawioną, a może sama miała już zbyt wiele zabiegów? Dziesięć minut później powiedziałam Claire, że źle się czuję, i wyszłam. Nie potrafiłam wyjaśnić, że na tym spotkaniu czułam się bardziej samotna niż w domu. Ostatnio unikałam zaproszeń i trzymałam się swojego pokoju.

Geraldine patrzy na mnie ze współczuciem.

- Mieszkanie z Claire musi być... - zawiesza głos i zmienia temat.

- Wiem, że przeprowadzka do Pekinu bywa czasami ciężkim przeżyciem, więc jeśli czegoś potrzebujesz, pamiętaj, że zawsze możesz się zwrócić do mnie.

- Dzięki.

Nagle, siedząc w tej obskurnej restauracji, otoczona chińskim gwarem, z wypełnionym ciepłem żołądkiem, zaczynam się rozluźniać, chociaż wciąż jestem w centrum uwagi.

Uliczne jedzenie

Uliczni sprzedawcy w Pekinie oferują wiele potraw, takich jak bułeczki na parze, między innymi faszerowane mięsem, pieczone ciasteczka sezamowe, tłuste ciasteczka z cebulką, smażone tofu, pieczone słodkie ziemniaki, które największą popularnością cieszą się w zimie [...]. Trzeba wstać naprawdę wcześnie, inaczej zanim dotrze się na miejsce, zostaną wyprzedane.

Yan - Kit So, Classic Food of China

- Pilnuj się - szepcze Lily, kiedy siadam za biurkiem. - Da Wang ma dziś paskudny humor.

Po miesiącu pracy w redakcji dobrze już znam huśtawkę nastrojów Eda, który potrafi przejść od jowialności do złości z powodu banalnej literówki. Nazywamy go Da Wang, czyli wielkim królem - oczywiście tylko za plecami. Faktycznie, praca z nim to jak bycie królewską nałożnicą: albo uwielbia cię i pieści, albo odrąbuje ci głowę.

Sięgam pod biurko, żeby włączyć komputer, i kiedy podnoszę się z powrotem, Ed wisi mi nad głową, stukając wymownie w zegarek.

- Miło, że się dzisiaj zjawiałaś. - Jego sarkazm wywołuje dreszcze.
- Panie i panowie! - woła gromko. - Do konferencyjnej!

Kiedy rozsiadamy się w sali, rzuca krótko:

- Jakies pomysły?

Rozglądam się po pomieszczeniu. Lily jest pochłonięta swoimi nowymi paznokciami w kolorze fuksji z różowymi serduszkami. Gab walczy z kaczem, cerę ma ziemistą, oczy przekrwione - pewnie kolejną noc spędził, torturując uszy, z ulubionym zespołem rockowym, The Subs. „Męcząca noc?” - pytam samymi ustami. „Bardzo” - odpowiada równie bezgłośnie, przeczesując dłonią włosy. Geraldine sączy zieloną herbatę z zamyślnym wyrazem twarzy. Asystent Eda, Winston, który zawsze zjawia się nie wiadomo skąd, kiedy zaczynamy narzekać, zapisuje całe ciągi chińskich krzaczków. Pewnie notatki, chociaż nikt nic nie mówi.

- No ludzie! Za co wam płacę? - Ed marszczy brwi. Odpowiada mu cisza.

- Okeeeeeej. Spróbujmy czegoś nowego. Jak widać, nikt nie pofatygował się przygotować na to spotkanie i znowu muszę pro - wa - dzić was za rę - kę.

Kiedy Ed jest zły, wymawia każdą sylabę osobno.

- Robimy tak. Siedzimy tu dziesięć minut, a potem każde z was rzuca pięć pomysłów. Inaczej wylatujecie.

Kątem oka widzę, jak Geraldine wywraca oczami. Ed patrzy na zegarek, a my całą szóstką siedzimy w milczeniu. Staram się skupić, ale zamiast tego spoglądam sennie w okno. Niebo jest jasne, wolne od zwykłego smogu i pomimo szumu klimatyzacji słyszę brzęczenie cykad. Powieki mi opadają i podnoszę je dopiero, kiedy Ed strzela palcami.

- Czas się skończył - oznajmia, taksując nas wyzywającym wzrokiem.

Usiłujemy stać się niewidzialni.

- Zaczniemy od...

Nie odrywam wzroku od notatnika.

- ...Gaba.

Reszta oddycha z ulgą, rzucając Gabowi pełne współczucia spojrzenia.

- No to pochwal się, punkowcu - mruczy Ed. - Co tam nowego na lokalnej scenie?

- Pracuję nad zapowiedziami tegorocznego Midi Festival...

- Nu - dziar - stwo! - ucina Ed.

Gab błędnie jeszcze bardziej. Nic dziwnego, skoro trzy dni pracy właśnie poszły się paść.

- Może profil Cui Jiana (Cui Jian - ur. w 1961 roku chiński gitarzysta i wokalista, nazywany ojcem chińskiego rock'n'rolla. Tworzy od ponad 25 lat.)? - podsuwa słabym głosem.

- Czy ty żyjesz w 2005 roku? Trzeba coś no - we - go. Cui Jian to już historia. Zostało ci w głowie parę szarych komórek czy wypaliłeś je wszystkie marihuaną? - Cisza tężeje, kiedy Ed patrzy na pochyloną głowę Gaba. - A w ogóle co ci się stało z łbem? Wygląda jak nora wombata.

- Zapuszczam dredy - mruczy Gab.

- Dredy? Dredy?? Chińskie włosy w ogóle się do tego nadają?

- Widziałem dredy u jednego gościa na festiwalu rockowym w Chaoyang (Chaoyang - największa dzielnica Pekinu, skupisko biznesu, większości ambasad, ekskluzywnych sklepów i restauracji.). Nie wolno myć głowy przez parę miesięcy... Pod prysznicem muszę zakładać czepek, taki plastikowy w kwiaty, jak jakaś pieprznęta starucha.

W sali zalega cisza. Twarz Eda purpurowieje. A potem rozlega się tubalny śmiech.

- I oto, panie i panowie, mamy nasz artykuł. - Uśmiechamy się nieśmiało. - Tysiąc słów na temat, jak Chińczycy zapuszczają dredy. Chcę mieć to na biurku w poniedziałek - wyrzuca z siebie jednym tchem. - Geraldine!

Teraz pada jeden pomysł za drugim, a każdy to ciąg słów, o których nawet nie wiedziałam, że można je łączyć.

- Ma być wystawa neobarokowego socrealizmu generacji lat dziewięćdziesiątych...

Moje myśli krążą coraz szybciej. Za oknem kłębi się tłum czerpiący z szerokiej ponad wszelkie wyobrazenie oferty pieczywa i naleśników, które nazywają się wszystkie tak samo - bing (Bing (chiń.) - okrągły, płaski placek; naleśnik.). W Pekinie to podstawa ulicznego jedzenia. Według Geraldine na pierwszym lepszym stoisku na pekińskiej ulicy jest więcej rodzajów bing niż bajgli w nowojorskim barze. Pewnie ma rację. Wybór - obejmujący ogromne laobing, które przypominają tortille, faszerowane mięsem kieszonki zwane xian'r bing, płaskie, smażone, faszerowane jajkiem naleśniki jidan guanbing - dorównuje ofercie bajgli w H&H: z makiem, zwykłych, z sezamem... Dotąd skosztowałam zaledwie ułamka tych przysmaków, chociaż kuszą z każdego rogu ulicy.

- Pomyślałam też, że można by zrobić diagram Venna ukazujący proporcje neoklasycznych kaligrafów pędzelkowych i cynicznych realistów oraz wschodnich mistyków - kończy płynnie Geraldine.

- Świetnie. Brzmi ekstra - mówi lekko oszołomiony Ed. - Kto następny? Isabelle.

Szlag. Zaglądam do notesu, ale oczywiście znajduję tylko pustą kartkę.

- No więc. - Wiercę się na krześle i rozpaczliwie szukam jakiegoś pomysłu.

- Tak? Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia panna Nowojorska - Mądralińska.

Znów zerkam za okno. Młody mężczyzna odchodzi od stoiska, w jednej ręce niosąc siatkę pełną jedzenia, a drugą zbliżając do ust naleśnik.

- Może napiszę o... - Myśl, Iz, myśl - ulicznym żarciu! Napiszę o słynnym pekińskim jedzeniu ulicznym: co to jest, gdzie można je

kupić... mogłabym porozmawiać z lokalnymi celebrytami o ulubionych daniach... - nagle pomysły aż cisną mi się do głowy.

- Hmm... - Ed marszczy brwi. - Nieźle. Oczywiście przydałoby się ciekawsze ujęcie, ale pomysł może być. - Gryzmoli coś w notesie. - Teraz ci się upiekło, ale nie myśl sobie, że w tej redakcji możesz się opieprzać. Lily! - Odwraca się, a ja oddycham z ulgą.

Spotkanie trwa nadal, ale ja uciekam myślami gdzie indziej. Gdyby pół roku temu ktoś powiedział mi, że będę siedziała na dwujęzycznym spotkaniu w Pekinie, myśląc o ulicznym żarciu, wyśmiałabym go. W Nowym Jorku marzyłam o popijanych sancerre kolacjach na południu Francji, a nie o zgłębianiu tajników węglowodanowych produktów z północnych Chin. Mój brak zainteresowania Chinami sięgał... właściwie towarzyszył mi chyba zawsze.

- Jesteś bananem - powiedziała mi kiedyś współlokatorka Karen, Amerykanka koreańskiego pochodzenia. - Żółta na zewnątrz, a biała w środku.

Byłyśmy na pierwszym roku i wyznałam jej właśnie, że nie oglądałam ani jednego filmu z Bruceem Lee. Może miała rację, ale jej słowa mnie zabolowały.

Karen pasowała do niemal każdego stereotypu Azjatki - studiowała inżynierię, nosiła okulary, rumieniła się po alkoholu, była pokorna i przywiązana do rodziców - czego zarazem zazdrościłam jej i za co ją ganiłam. Do pewnego stopnia chciałam równie dobrze czuć się we własnej skórze, być tak samo obojętna wobec lalek Barbie, blondynek i innych wzorców piękności, podług których amerykańskie dziewczynki oceniają siebie. Ale czułam zarazem pragnienie zbuntowania się przeciwko stereotypowi, chciałam sprawnie posługiwać się słowami, nie liczbami, być kreatywna i beztroska, trzymać się z dala od sztabowej biurowej kariery.

Weekendy Karen spędzała z przyjaciółmi z Klubu Kultury Koreańskiej. Pakowali się do samochodu i jechali do koreatown, gdzie kupowali płyty ze szczytów seulskich list przebojów i przesiadywali przy grillu. Raz zaprosiła i mnie. Spędziłam tam cały wieczór, nie nadążając za żadną rozmową, nie rozumiejąc mieszanki koreańskiego i angielskiego, nie pojmując żartów.

Tamtego wieczora Karen zaproponowała mi zapisanie się do Związku Chińskich Studentów.

- Widzę, jak bardzo chcesz nawiązać więź ze swoją kulturą - powiedziała, a w jej szeroko otwartych oczach widniała powaga.

Kiedy korporacja studentek otworzyła swe podwoje dla nowych członkiń, nie wiem, kto był bardziej zaskoczony moją przynależnością do organizacji: Karen, niemogąca zrozumieć, dlaczego nazywałam siedemdziesiąt frywolnych dziewczyn, które łączyło niewiele więcej ponad skłonność do bulimii i mocnych drinków „siostrami”, czy też ja - bo nie wierzyłam, że mnie przyjęły. W następnym roku przeprowadziłam się do akademika korporacji i chociaż szybko odkryłam, że szminka i urodzenie maskują roszczeniowość i zaburzenia żywieniowe, ekscytował mnie fakt, iż udało mi się przeniknąć do ich świata. Czasami spotykałam się jeszcze z Karen na lanczu, ale kiedy przestałyśmy razem mieszkać, nie miałyśmy już sobie wiele do powiedzenia. Odnosiła się do mnie z oficjalną powagą, jak gdybym stała się kimś obcym. W jej spojrzeniu dostrzegałam dezaprobatę, ale nie jestem pewna, czy ona w moich widziała poczucie winy.

5:15. Uliczne jedzenie czeka! Budzik dzwoni, ale już nie śpię; mój mózg pracuje na pełnych obrotach, a ciało usiłuje za nim nadążyć. Wygrzebuję się z łóżka, myję twarz zimną wodą i zakładam soczewki kontaktowe na przekrwione oczy, cały czas starając się zebrać odwagę. Czekam na mnie uliczne żarcie i chociaż jestem podekscytowana tą perspektywą, denerwuję się koniecznością zadawania pytań. Chińczycy potrafią być bardzo nieprzyjaźni wobec obcych. Do znudzenia ćwiczyłam mandaryńskie słownictwo, ale nadal się boję, że słowa uwięzną mi w gardle.

Ubieram się i idę do jasno oświetlonej kuchni. Gumowe podeszwy adidasów cicho dotykają marmurowej podłogi, więc przez chwilę moja siostra nie wie, że patrzę, jak łapczywie przęłyka słodką zieloną herbatę. Na mój widok Claire podskakuje, nieomal upuszczając butelkę.

- Jezu! Iz! Przestraszyłaś mnie! - mówi, szybkim ruchem zakręcając napój.

- Przepraszam - odpowiadam i wskazuję herbatę. - Widzę, że ci smakuje.

- Nie bardzo, chodzi mi o przeciwutleniacze. Są bardzo zdrowe. Zapobiegają rakowi.

Patrzy na mnie, rejestrując wymięte ubranie i nieumyte włosy

zebrane w niedbały kucyk.

Sama wygląda profesjonalnie i elegancko w ciemnym żakiecie, z lśniąca fryzurą i perfekcyjnym makijażem. Ale pod tym wszystkim widzę podpuchnięte oczy, których nawet najlepiej nałożony podkład nie jest w stanie ukryć.

- Wszystko w porządku? - pytam, starając się nie dać poznać po sobie zaskoczenia.

- Oczywiście. To tylko alergia. - Szybko zmienia temat. - Czemu tak wcześnie się zrywasz?

- Piszę artykuł o ulicznym żarciu... Wiesz, kto rano wstaje... temu zjeść coś na ulicy się udaje! - Wychodzi mi to niezgrabnie, ale Claire jest zbyt rozkojarzona, żeby zauważyć.

Przez chwilę stoimy naprzeciw siebie w kłępującej ciszy. Claire wbija wzrok w podłogę; w jej postawie widać bolesne napięcie, jak gdyby powstrzymywała łzy.

- Claire... - Wyciągam rękę, ale ona odsuwa się, patrząc na zegarek.

- Ojej! Spóźnię się do pracy! - Zbiera ze stołu stertę brązowych kopert i przewiesza przez ramię zamszową torebkę.

Rzucam okiem na kuchenny zegar: wskazówki przeskakują na 5:30.

- Mam telekonferencję z Nowym Jorkiem - rzuca.

- Wezmę tylko torbę i pójdę z tobą.

- Nie, nie trzeba. Już i tak jestem spóźniona. - Oschłość w jej głosie trwa tylko chwilę. - Przepraszam, skarbie, po prostu tyle się teraz dzieje... - Otacza mnie ramieniem i przytula, roztaczając woń perfum. - Zadzwoń, dobrze? - Zaszczyca mnie uśmiechem, pokazując garnitur lśniących zębów, i wychodzi.

Opieram się o stół i słucham, jak trzaskają za nią drzwi. Nigdy nie byliśmy z sobą blisko, ale po przeprowadzce do Pekinu Claire przecięła więzi rodzinne zaskakująco szybko. Brakowało mi jej podczas świąt i weekendowych wizyt w domu, tęskniłam za jej błyskiem w oku, kiedy ciocia Marcie wypijała zbyt dużo grzanego wina podczas Bożego Narodzenia, oraz spokojnym wyrachowaniem, z jakim ogrywała nas wszystkich w scrabble.

Stawiam wodę w czajniku i wzdycham. Trochę to trwało, ale tego poranka moje podejrzenia zostały wreszcie potwierdzone: Claire jest nieszczęśliwa. Niezłe to ukrywa, ale pomimo tych wszystkich imprez,

drinków i randek, galerii i karaoke ze wszystkich sił stara się nie stracić uśmiechu. Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, w jej oczach pojawia się nadzieja, a potem przeważnie rozczarowanie, gdy dowiaduje się, kim jest rozmówca.

Sama z siebie nic mi nie mówi, a jej twarz zamyka się niczym zatrzaśnięte drzwi zawsze, kiedy pytam ją o życie uczuciowe. A jednak szeptane rozmowy telefoniczne o świcie, częste wyjazdy na weekend i okropne huśtawki nastrojów wskazują na nieudany związek. Chciałabym jej pomóc, ale wiem, że powinnam powstrzymać się od dawania rad. Bolesnie się o tym przekonałam wiele lat temu.

Kiedy miałam jedenaście lat, przyjaźniłam się z dziewczynką o nazwisku Shannon Lee. Wybrała ją dla mnie mama pewnego popołudnia u schyłku lata, w przeddzień rozpoczęcia szóstej klasy.

- Patrz - powiedziała, pokazując palcem nazwisko na liście klasowej. - Shannon Lee. Chinka, z którą będziesz się mogła zaprzyjaźnić.

Wywróciłam oczami - już wtedy wiedziałam, że nie należy dobierać przyjaciół według klucza rasowego - i zignorowałam ją. Ale z powodu alfabetycznego usadzenia uczniów następnego dnia znalazłyśmy się obok siebie. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy ujrzałam dziewczynę rudą i piegowatą. Shannon nie miała w sobie ani kropli azjatyckiej krwi. Jej nazwisko faktycznie brzmiało Lee, tak samo jak Robert E. Lee, generał konfederatów, który był jej przodkiem.

Szybko stałyśmy się najlepszymi przyjaciółkami. Pożyczała mi książki z serii Słodka dolina - na których lekturę nie pozwalali mi rodzice - i nauczyła mnie słów piosenki Madonny Like a prayer. Ja pokazałam jej dział Hello Kitty w miejscowym japońskim spożywczaku. Udawałyśmy, że jesteśmy siostrami. Jej starszy brat, David, wysoki niebieskooki chłopak, był kapitanem szkolnej drużyny siatkówki. Nosił vansy w kratę i kurtkę literówkę, ale wyróżniał się przede wszystkim faktem, że był miły. Po prostu miły. Zawsze się uśmiechał, witał się, otwierał drzwi, uprzejmy i skory do pomocy - nie tylko wobec dorosłych, ale także dla nas. Oczywiście marzyłam, żeby był moim bratem.

David chodził z moją siostrą do tej samej klasy, oboje mieli tamtego roku kończyć szkołę. Nie sądziłam, że zna Claire, ale kiedy

pewnego razu wspomniałam o niej, wyraził swoje uznanie. Shannon była w łazience, a ja siedziałam sama z Davidem, szukając tematu do rozmowy.

- Claire Lee to twoja siostra? - spytał. - Chodzimy razem na lekcję chemii. - Uniósł brwi. - Jest strasznie inteligentna. Zna na pamięć cały układ okresowy pierwiastków. - Nie zdziwiło mnie to. - Hej! - Rozpromienił się. - Jak myślisz, będzie chciała mi pomóc? - Odwinął minihamburgera i ugryzł. - Na ostatnich egzaminach nie poszło mi za dobrze... Trener mówi, że jeśli nie poprawię ocen, zawieszają mnie w drużynie. - Skrzywił się. - Zapytasz ją?

- Jasne - odparłam cała szczęśliwa, że mogę pomóc.

Tego wieczora, kiedy Claire była sama w pokoju zajęta fiszkami z łaciny, zwróciłam się do niej.

- David Lee chce, żebym ja mu pomogła? Przecież on nawet mnie nie zna - stwierdziła, mrużąc oczy. - Nic z tego. - Głośno przerzuciła kartkę słownika.

Powinłam była dać wtedy spokój, ale nie mogłam zawieść Davida.

- Jasne, że cię zna - przymilałam się. - Do tego jest supermiły i chyba mu się podobasz.

Podniosła wzrok.

- Czyżby. - To było wyzwanie, nie pytanie.

- Powiedział, że jesteś inteligentna... - Claire wzięła nożyczki i zaczęła ciąć papier. - I... zabawna.

- Tak powiedział?

Czułam, że jej opór słabnie. Przytaknęłam ochoczo. Jedno kłamstewko nie zaszkodzi. Odetchnęła głęboko.

- Okeeeeeej... Powiedz Davidowi... że spotkam się z nim po szkole we wtorek. W bibliotece. - Poprawiła okulary i uśmiechnęła się.

I tak zostałam pośredniczką między Claire i Davidem. Dwa razy w tygodniu spotykali się, żeby razem się uczyć, ale jeśli coś im wypadło, na przykład David miał dodatkowy trening albo Claire lekcję wiolonczeli, to ja przekazywałam informację. Przez jakiś czas wszystko szło świetnie. David zamiast dostatecznego dostał z chemii dobry z plusem, a Claire zaczęła śpiewać pod prysznicem i szminkować usta. A potem nastał maj i koniec roku - czas szkolnych bali.

Wiedziałam, że coś się kroi, kiedy Claire upiekła ciasteczka czekoladowe i przyniosła mi do pokoju.

- W tym miesiącu kończę szkołę - oznajmiła, unikając mojego wzroku.

- No. - Nogą dyskretnie wepchnęłam książki od Shannon głębiej pod łóżko. Claire uważała, że w wolnym czasie powinnam czytać klasykę.

- Za kilka miesięcy będę już w Bostonie.

Parę tygodni wcześniej została przyjęta na Harvard.

- Aha. - Ugryzłam ciasteczko i przygotowałam się na znany mi doskonale wykład o tym, jak to powinnam słuchać rodziców i już zacząć przygotowywać się do egzaminów końcowych.

- Wiesz może, co David przygotowuje na zakończenie? - spytała, rumieniąc się.

Tego się nie spodziewałam.

- Nie - odparłam z wahaniem. Dopiero co skończyłam książkę o szpiegowskich przygodach Harriet i miałam ochotę sama sprawdzić się w tym fachu. - Mam go spytać? - dodałam mimochodem.

- Jak chcesz. - Wzruszyła ramionami, ale rumieniec nie zniknął.

Nazajutrz spotkałam Davida w domu Shannon. Z grupą kolegów z drużyny jedli pizzę.

- Moja siostra chce wiedzieć, co robisz na zakończenie - spytałam z przejęciem.

Jego koledzy od razu podchwycili temat.

- Ooo! Czterooka Claire podrywa nam Dave'a?

- Ładnie uczyliście się chemii!

- Na przykład jak zmienić żabę w księżniczkę!

- Dajcie spokój, chłopaki! Przepraszam cię, Lee. - David czasem zwracał się do mnie po nazwisku, co bardzo mi się podobało. - Jeszcze nie wiem. Będziemy robić coś w grupie. Może pójść z nami. - Wzruszył ramionami.

Jego kumple zaczęli mruczeć.

- Dave, ona jest totalnie drętwa. Jak ona jedzie, to ja nie wsiadam z wami do auta. - Brian, brunet z butnym wyrazem twarzy, skrzyżował ramiona na piersi.

- Wiem, że Claire to nudziara, ale jestem jej coś winien. Uratowała mnie z chemii. - Spojrzał na mnie. - Powiedz jej, że może z nami jechać, jeśli chce.

Razem z Shannon pobiegliśmy do jej pokoju i zanotowaliśmy całą rozmowę w szpiegowskim notesie.

- Powiedział, że możesz iść z nim i jego przyjaciółmi - powiedziałam siostrze wieczorem, kiedy zdybała mnie w łazience.

- Naprawdę? W kilka osób? - Nie była pewna. - O co mu chodzi?

Nie wiedziałam, czy prosi mnie o radę, ale postanowiłam i tak jej ją dać.

- Powinnaś iść! Podobasz mu się!

- Naprawdę? - Oczy jej zaśniły.

Claire ukrywała emocje jak sfinks, nic więc dziwnego, że nie wspominała o całej sprawie, dopóki do imprezy nie został tydzień.

- Możesz zapytać Davida, o której przyjedzie po mnie w sobotę?

- Pochyliła głowę, żeby ukryć rumieniec.

Ukryłam się głębiej za biurkiem, gdzie pod baczny spojrzeniem Claire przepisywałam chińskie ideogramy (każdy po trzydzieści razy). Zaczęłam się gubić w całej tej sprawie. Egzaminy z chemii już się skończyły i David zaczął spotykać się z Candy Andrews, długonogą brunetką, kapitaną zespołu tenisowego. Widywałam ich, jak trzymali się za ręce pod stołem i podawali sobie do ust frytki.

- Mmm... dawno go nie widziałam...

- Jeśli go zapytasz, powiem mamie, że skończyłaś chiński na dzisiaj - rzuciła szybko.

Spojrzałam na resztę zadania. Zostało mi dwadzieścia ideogramów, a za dziesięć minut leciało I kto tu rządzi?.

- Okej.

Znalazłam Davida nazajutrz w kuchni.

- Wiesz, moja siostra pyta, kiedy przyjedziesz zabrać ją na imprezę... - dokończyłam cicho. Shannon weszła na krzesło i zdjęła z lodówki pudełko Nilla Wafers.

- O kurczę, Lee, całkiem zapomniałem. - Zmarszczył brwi.

- Wiesz, w sumie to nie... Może przyjąć, jasne, ale...

- Chodzisz teraz z Candy, prawda? - wciąła się Shannon, trąc brata w ramię.

Wzięłam od niej ciastka i zaczęłam jeść.

- Bo nie wiem, jak to w ogóle z nami będzie... - David skrzywił się i poruszył na krześle. - Powiesz jej o tym?

- Nie bardzo... - wybełkotałam z ustami pełnymi wafli. Nie miałam ochoty przekazywać jej takiej wiadomości.

- Lee, no daj spokój, pomóż. - Poklepał mnie w ramię.
- Naprawdę nie chcę... - Podjęłam kolejną desperacką próbę.
- To może do niej zadzwonię. Tak, powinienem zadzwonić... -

Ta...

- Albo wiesz co? Jak ją znam, to nawet nie myśli o tej imprezie.

Claire Lee nie jest z tych, co chodzą na jakieś szkolne potańcówki.

- Zaśmiała się słabo.

- Może, ale...

- Naprawdę? Tak myślisz? - Wpiął się we mnie niebieskimi oczami. - Dzięki, Lee. Będę ci wdzięczny. Postawię wam coś do jedzenia. - Wziął garść ciastek i wyszedł. Patrzyłam za nim, walcząc z rozczarowaniem. Myślałam, że jest ideałem, ale okazało się, że to pełen wad samolub, jak wszyscy.

Robota posłańca ciężką jest. Przekazując wiadomość Claire, wbijałam wzrok w ziemię, nie chcąc spojrzeć jej w oczy, bo czułam brzemień winy.

- Że co? - Zbladła.

- No tak jak mówię. Powiedział, że nie wie, jak to w ogóle z wami będzie. I Shannon twierdzi, że chodzi teraz z Candy.

- Candy Andrews? Czy ty wiesz, dokąd ona idzie? White Plains Junior College. Nawet nie dostała się do czteroletniej szkoły - zaśmiała się gorzko. - Po prostu...

W jej oczach zalśniły łzy, ale zagryzła wargi.

- Claire... proszę... - Chciałam jej dotknąć, ale szarpnęła się.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - syknęła i zamknęła się w łazience, zamykając drzwi z cichym kliknięciem.

Nadszedł dzień balu, a Claire siedziała w domu. W kolejnych latach często z tego żartowała, ale nie była w stanie do końca ukryć utrzymującego się żalu. Chciałabym wierzyć, że już mi wybaczyła moją pomyłkę, przekonywanie, żeby mu pomogła, zwodzenie co do jego uczuć, ale wiem, że to nieprawda. Claire bowiem nigdy więcej nie poprosiła mnie o pomoc.

Czajnik gwizdże, wyłączam kuchenkę, nalewam wrzącej wody do szklanki z torebką herbaty. Jak to ujął Ed, w Chinach ludzie wymyślają się na nowo i nie dziwi mnie, że moja siostra, nieśmiała abnegatka, z kaczątką przeistoczyła się w królową imprez. Ale to nie znaczy, że się nie martwię. Stalowy czajnik, na który patrzę, jest jak Claire: na zewnątrz wypolerowany do połysku, ale w środku wrze i

kipi.

Kiedy wreszcie wychodzę, dochodzi szóstka i w głowie huczy mi głos Eda: „Lepiej uwijaj się jak babcia i wyjdź jak najwcześniej albo z artykułu wyjdzie gówna”. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi z tą babcią, ale wiem, że ma rację. Większość ulicznych sprzedawców obsługuje głodnych robotników budowlanych i zwija interes przed ósmą.

Poranne powietrze jest chłodne i jedwabiste. Idę wąskimi uliczkami. W takich zaułkach ludzie wciąż żyją po staremu. Żyłaści sprzedawcy toczą trójkołowe wózki, ogłaszając światu donośnym głosem swoją ofertę. Zgarbieni starcy z klateczkami w dłoniach wyprowadzają na spacer ptaki. Raz obserwowałam drobiącą po ulicy siwowłosą kobietę i wstrząśnięta zauważyłam, że stopy ma zdeformowane kępowaniem (Kępowanie (bandażowanie) stóp - chiński zwyczaj kultywowany od ok. X do początków XX w., polegający na bandażowaniu stóp dziewcząt, celem ich skrócenia i deformacji prowadzących do uzyskania pożądanego efektu estetycznego. Krótkie stopy były w Chinach symbolem wytworności i gwarantowały dobrego kandydata na męża.).

Nad tym tętniącym życiem brudnym zakątkiem nasz smukły i wysoki apartamentowiec góruje niczym zapowiedź zagłady. Wkrótce takie miejsca zostaną zmienione w gruzy, a potem zabudowane nijakimi biurkami, wszystko w imię nowoczesnych Chin. Ale na razie życie nadal toczy się jak przed wiekami, tchnąc i dźwięcząc zapachami i odgłosami starego Pekinu.

Pyzate dzieci biegają w kółko, z rozciętych w kroku spodenek wystają im gołe pupy. Mały pekińczyk pędzi wesoło wzdłuż rynsztoka, ciesząc się ostatnimi chwilami wolności, zanim wedle miejscowego zwyczaju nie zostanie zamknięty w domu aż do wieczora. W zacienionym rogu sąsiedniego podwórza kilka drobnych pomarszczonych kobiet z wdziękiem wykonuje powolne ruchy taichi (Taichi, tai ji (dosł. „najwyższa ostateczność”) - chińska koncepcja filozoficzna, nazwa stanu wszechświata, w którym doszło do podziału na uzupełniające się pierwiastki yin i yang. Z koncepcją tai ji wiąże się chińska gimnastyka medytacyjna polegająca na powolnym, płynnym wykonywaniu zestawów ruchów dla zdrowia i relaksu.). Przypominają mi moją babcię: elegancką strzelistą kobietę, którą nazywaliśmy lao lao (Lao lao (chiń.) - babcia.), propagującą korzyści

taichi i niepalenia aż do śmierci w wieku dziewięćdziesięciu lat. Ćwiczenia się kończą i kobiety zaczynają głośno rozmawiać. Siwowłose staruszki tryskają energią, machając ramionami i głęboko oddychając. Przyrzekam sobie, że zmienię swój wysokotłuszczowy, siedzący tryb życia, gdy nagle wszystkie wyciągają z kieszeni papierosy.

Idę dalej, aż docieram do ciągu wychodzących na ulicę obskurnych sklepików. Każdy krok przynosi inny zapach: najpierw ostrą woń dymu tytoniowego, potem smród śmieci, a następnie przyjazną woń smażonego ciasta. Wszystko to uświadamia, jak ścieśnione jest tu życie, gdzie różne pokolenia śpią w tych samych sypialniach, sąsiedzi korzystają z tych samych toalet, a stopy kapusty pekińskiej wznoszą się obok kup śmieci.

Zatrzymuję się przed młodą kobietą, która w wielkiej przenośnej kadzi wrzącego oleju smaży youtiao (Youtiao - podłużne bułeczki z puszystego ciasta smażone w głębokim oleju, popularna przekąska śniadaniowa.), długie paski ciasta. W dzieciństwie jadałam ten tłusty, ciężki przysmak w soboty po zajęciach z chińskiego, popijając słonym mlekiem sojowym i słuchając surowego wykładu matki na temat niedyscyplinowania.

Wilgotne ciasto puchnie i skwierczy w zetknięciu z gorącym olejem. Kobieta o poważnej twarzy, którą małe dziecko trzyma za nogi, piętrzy stos gotowych wyrobów i robi niecierpliwy gest szczypcami.

- Ni yao bu yao? - pyta. Chcesz? Potrząsam głową i idę dalej. Staję w długiej kolejce do sprzedawcy naleśników, z podziwem patrząc na jego małą obwoźną kuchenkę. Piec opalany węglem, upačkane wiadra z ciastem, miseczki z posiekaną kolendrą i pikantnym sosem - wszystko to znajduje się na trzykołowym wózku gotowym w każdej chwili do odpedałowania. Patrząc, jak rozprowadza ciasto na blasze i rozsmarowuje po nim surowe jajko. Sprawnie obróciwszy naleśnik, oprósza drugą stronę sezamem, kolendrą i szalotką, ciapie nieco ciemnego sosu i nakłada cienki kawałek smażonego ciasta, a potem zwija całość w kwadrat i wtyka do plastikowej torebki.

Kolejka niecierpliwi się, ale gesty sprzedawcy pozostają spokojne. Podziwiam wprawny ruch nadgarstka, kiedy zmienia grudę ciasta w duży cieniutki naleśnik, błysk łopatki podczas obracania,

refleksyjne opróśnienie dania sezamem. Kiedy przychodzi moja kolej, chętnych jest już znacznie mniej. Gdy kolejny raz rzuca ciasto na blachę, pokazuję je palcem.

- Zhongwen zenme shuo? - Jak to się nazywa po chińsku?

- Jianbing (Jianbing - rodzaj chińskiego naleśnika.)! - odpowiada, rzucając mi spojrzenie, które jest zarazem wrogie i zaciekawione. Przygotowuję się na nieuchronne pytanie. - Ni shi naguoren? - Skąd jesteś?

- Jestem Chinką, ale mam amerykański paszport - wyrzucam z siebie po mandaryńsku. Geraldine nauczyła mnie tego zwrotu w zeszłym tygodniu i od tamtej pory zdążył udowodnić swoją przydatność. Krótki i jasny, choć nie do końca prawdziwy.

- Mmm. - Koncentruje się z powrotem na naleśniku.

- Czy jianbing pochodzi z Pekinu?

Parska pogardliwie i przez sekundę walczę z ochotą, żeby porwać naleśnik z blachy i uciec byle dalej. Zaraz jednak uszami wyobraźni słyszę Eda: „Że co?! Spietrałaś przed ulicznym sprzedawcą? Co ty jesteś, mimoza?”.

Zmieniam taktykę, uśmiecham się i powtarzam pytanie.

- Są z Tianjinu. Chcesz ostrego sosu?

Kiwam głową. Kiedy smaruje naleśnik sosem czili, atmosfera się rozluźnia.

- Jadłaś już kiedyś jianbing! - pyta, kładąc pośrodku cienki kruchy płat smażonego ciasta i składając naleśnik w gruby gorący kwadrat.

- Nie, nigdy.

Wkłada ciężkie jadło do woreczka i podaje mi. Czuję na palcach przyjemny wahadłowy ciężar.

- Spróbuj - zachęca, ale bez serwetki naleśnik parzy mnie w palce.

- Czy to matka nauczyła cię smażyć jianbing? - pytam. Rozpromienia się.

- Tak! To jest jej przepis! Tajemnica polega na tym, żeby wymieszać... - Pokazuje ciasto, robi dłonią gest mieszania i ciągnie wesoło, choć większości nie rozumiem. Kiwam jednak głową, uśmiecham się i naśladowuję jego gesty. O ile się orientuję, najlepsze naleśniki powstają, kiedy ciasto wyrabia się dzień przed smażeniem, ale zapisuję w pamięci, żeby poprosić Lily o sprawdzenie tej

informacji.

- Od jak dawna się tym zajmujesz? - Podaję mu dwa kuai (Kuai (dosł. „kawalek”) - potoczne określenie yuana, waluty chińskiej nazywanej oficjalnie renminbi.), czyli jakieś ćwierć dolara.

- Mam ten interes od dziesięciu lat. Byłem jednym z pierwszych obwoźnych sprzedawców jedzenia w czasach, kiedy na ulicach była tylko kapusta. - Bierze plastikową miseczkę palcami żółtymi od tytoniu.

- Pochodzisz z Pekinu?

- Nie, spod Tianjinu. Moi rodzice są rolnikami. Nie rozumieją, czemu przeprowadziłem się do miasta. Nie widuję ich często, ale czasami przesyłam im pieniądze. - Wzdycha, a ja zauważam zmarszczki wokół jego oczu oraz postrzępione nogawki.

Sprawdzam palcem temperaturę naleśnika; ostygł już, więc wgrzynam się w jajeczne i słone ciepło, rozkoszując się pikantnością sosu, kontrastem miękkiego i chrupkiego ciasta.

- Smakuje ci?

Przypominają mi się naleśniki, jakie jadłam we francuskiej kawiarni w Nowym Jorku prosto z blachy, wilgotne od stopionego sera gruyere albo słodkie od Nutelli. Jednak ten naleśnik, którego nigdy nie uznałabym za chiński, łączy smak słony i pikantny, ostrość szalotki i posmak kolendry, nadające mu kuszącą egzotyczną nutę.

- Pyszne - mówię z pełnymi ustami. Uśmiecha się.

- Chińczycy uwielbiają jianbing, ale nasza rodzinna receptura jest wyjątkowa.

Puchnie z dumy, a ja czuję współczucie dla niego i dla jego starych rodziców. Oczyma wyobraźni widzę, jak się męczą, by obiad trafił na stół, jak zgarbieni uprawiają nieurodzajną ziemię sękatymi dłońmi.

Nagle komórka sprzedawcy trajkocze znajomą ponurą melodyjkę, której nie potrafię nazwać. Co to jest? Szukam w pamięci tytułu, a dźwięki przywołują obrazy sosen, czerwieni i zieleni, indyka (indyka?...), wreszcie przychodzi olśnienie - to stara angielska kolęda GodR est Ye Merry, Gentelmen.

Sprzedawca odbiera.

- Wei...? Ni hao. Mm. Mm, mm, mm (Halo...? Dzień dobry. Mm. Mm, mm, mm.).

Rozpoznaję w tym „mm” uniwersalny pekiński odgłos

potakiwania i nachylam się, żeby podsłuchać resztę rozmowy.

- Waaa? Zenme hui shi...? Shi huaile ma? Shi bu shi che zhuang huaile? (Co się stało? Zepsuł się? Wózek się zepsuł?)

Oo. Chyba coś się zepsuło. Patrzę na poobijany wózek, który pewnie z najwyższym trudem pokonuje dziurawe pekińskie ulice.

- Mm, mm, mm. - Znowu ten uniwersalny odgłos. Może powinnam sama częściej go używać. Sprzedawca mówi szybko: - Ni zai na'r (Gdzie jesteś?)? - Gdzie jesteś? - Mm, mm... Hao, wo mashang jiu lai (Mm, mm... Dobrze, zaraz przyjadę.). Hao hao hao (Dobrze, dobrze, dobrze.). - Poprawiam torbę na ramieniu i zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam się oddalić. - Eh... Zaijian. - O, chyba kończy. - Eh, eh, zaijian. - Trochę trwa to pożegnanie. - Eh, eh, eh, zaijian (Do widzenia.)!

Wreszcie rozłącza się i wzdycha ciężko.

- Kto to był?

- Mój młodszy brat... Miał wypadek... Jajka i ciasto leżą na ulicy! Muszę mu pomóc.

- Twój brat też sprzedaje jianbing?

- Tak... Wynajmuje ode mnie wózek i paru innych ludzi z mojej okolicy też.

- Ile masz wózków?

- O, teraz tylko ze trzydzieści. Jak oszczędzę trochę pieniędzy, kupię następny i wynajmę komuś z mojej wioski. Chciałbym mieć wózek na każdej ulicy w Pekinie!

- Prawie jak MacDonaldis.

- Otóż to - odpowiada poważnie. - Jianbing to chińska kultura i kuchnia. A teraz nadszedł właściwy czas na rozwój. W Pekinie wszystko jest dziś możliwe.

Przykrywa wiadro ciasta, gumowymi taśmami zabezpiecza tacki z jajkami i siada na siodelku połączonym z wózkiem roweru.

- Zaijian - mówi. Do widzenia. - Jestem tu co rano, mam nadzieję, że przyprowadzisz swoich zagranicznych znajomych na jianbing.

Kiedy odjeżdża, znów wgryzam się w naleśnik. W brzuchu przestaje mi burczeć i odchodzę powoli w kierunku biura wąskimi ulicami, od czasu do czasu przystając, żeby przyjrzeć się kolejnym oferowanym bingom.

Niedziela rano. Niebo pociemniało od deszczu i smogu, który

zaczyna kojarzyć mi się z Pekinem. Ale w mieszkaniu jest jasno i sucho - wydaje się przytulnym gniazdkiem z dala od potopu zalewającego ulice. Claire wyjechała na weekend.

- Jedziemy harleyami do domu Weiwei w Huairou (Huairou - dzielnica w północnej części regionu metropolitalnego Pekinu, ok. 50 km od centrum. Ze względu na górzysty i zalesiony krajobraz stanowi naturalną barierę ekologiczną dla miasta.). Poradzisz sobie, skarbie? - spytała, pakując do małej torby od Louisa Vuittona džinsy i jedwabną piżamę. Nie chciałam jej przypominać, że obiecywała mi wspólny weekend, i pożegnałam ją pewnym siebie uśmiechem.

Teraz, kiedy deszcz spływa po szybach, postanawiam odtworzyć namiastkę mojego nowojorskiego życia i poczytać gazetę przy omlecie serowym.

Claire niech sobie używa przez weekend w zimnym betonowoszklanym domu Weiwei - właściwie nie domu, a pomniku postmodernizmu, o czym przekonałam się dzięki zdjęciu w „Elle Decor China” - a ja sobie poleniuchuję cały ranek. Po stresującym tygodniu mam do tego prawo.

Edowi spodobał się mój artykuł o pekińskich bingach, ale był zaskoczony, że Lily musiała weryfikować mój chiński.

- Isabelle! Chiński to twój obowiązek! - wołał, ocierając pot z czoła. - Mam w dupie twój kryzys tożsamości! Podciągnij się!

- Wiem, że powinnam bardziej się postarać. - Spojrzałam pełnym winy wzrokiem na Geraldine. - W końcu jestem Chinką.

Wzruszyła ramionami.

- Ja się nie uczę polskiego. Ale nie przejmuj się. Twój chiński się poprawi. Daj sobie trochę czasu. Pomogę ci znaleźć nauczyciela.

- Lepiej chińskiego chłopaka - burknął Ed.

Ale teraz, gdy stoję przy stoisku z gazetami w lobby, znowu trafi mnie problem językowy.

- Czy jest „International Herald Tribune”? - pytam. Twarz dziewczyny pozostaje nieruchoma, co oznacza, że mnie nie rozumie. Nieśmiało próbuję powtórzyć po chińsku.

- Guoji... shenme shenme baozhi. - International coś tam coś tam gazeta.

Nic.

Marzenie o wesołym poranku przy kuchennym stole z długopisem nad krzyżówką zaczyna się rozwiewać. Ale nie poddaję

się i podejmuję ostatnią próbę.

- Guoji... shenme shenme baozhi. - Kulę się ze wstydu.

- Guoji Xianqu Daobao - mówi ktoś. - Tego szukasz?

Na ladzie pojawia się gazeta upojnie pachnąca farbą drukarską.

- Tak! - wykrzykuję.

Za mną stoi uprzejmy młody mężczyzna. Ma zmierzwione jasnobrązowe włosy i okulary w grubych oprawkach.

- Bardzo dziękuję - wyrzucam z siebie, by zamaskować ciekawość. - Ale obawiam się, że to ostatni egzemplarz...

- Nic nie szkodzi. Jeszcze trochę i całkiem uzależnię się od tych krzyżówek. Jestem Charlie.

Mówi spokojnie i uprzejmie, z lekkim amerykańskim akcentem.

- Isabelle z dwudziestego piętra.

- Bardzo mi miło, Isabelle z dwudziestego piętra. Przyjemnie spotkać kogoś młodego w tym mauzoleum.

- Rozumiem, że jesteś tu nowy?

- Nie, mieszkam w Pekinie od blisko dwóch lat. Ale muszę przyznać, że nie znam zbyt wielu sąsiadów. Mam za dużo pracy. - Śmieje się niewesoło.

- Czym się zajmujesz? - Boże, mówię jak moja matka...

- Pracuję w ambasadzie amerykańskiej. - RzUCA mi przenikliwe spojrzenie. - A ty? Od jak dawna jesteś w Pekinie?

- Ja? Niedługo będzie miesiąc. Mieszkam z siostrą, Claire.

- Jesteś młodszą siostrą Claire? Unosi brwi. - Wspominała o tobie, ale nie wiedziałem, że... hm. Jak ci się pracuje w „Beijing NOW”?

- Skąd znasz Claire? - Nie wiem, dlaczego pytam. Claire to królowa matka pekińskiego światka ekspatów: jej owalna twarz zawsze widnieje na stronach „Beijing NOW” poświęconych życiu towarzyskiemu stolicy, a nazwisko pojawia się na każdej liście zaproszonych gości.

- Claire? Przecież ona zna wszystkich - mówi Charlie i wyczuwam w jego głosie nutkę ironii. - Jest dziewczyną Wang Weia, czyli automatycznie należy do pekińskiej śmietanki.

Udaje mi się przywołać na twarz znaczący uśmiech. Kiwam głową, chociaż nie wiem, kto to Wang Wei. Czy to przez niego Claire płacze?

- Mmm... - Próbuję ukryć zakłopotanie. - Jak ci się pracuje w

ambasadzie?

- Och, dużo się dzieje - wzdycha i zauważam, że jego młodzieńczej twarzy zadają kłam przysrebrzone skronie. - Morale jest dość niskie, ale poza tym wszystko gra.

- Słyszałam o tym.

- Naprawdę?

- Tak. Jeden ze znajomych Claire pracuje w wydziale konsularnym. Skarżył się, że ambasador to nadęty i arogancki tyran. - Słowa same płyną mi z ust.

- Hmm. A już miałem winić za kiepską atmosferę wizerunek Ameryki w świecie. - Przez sekundę Charlie wydaje się przygarbiony, ale potem zerka na zegarek i mówi z uśmiechem: - Skoro już mówimy o pracy, to czas na mnie. - Podaje mi dłoń. - Miło było poznać. Jeśli będziesz potrzebować cukru albo pomocy przy krzyżówce, daj mi znać. Mieszkam pod 3002.

- Dzięki.

- I pozdrów siostrę, jeśli się z nią zobaczysz.

Rzuca mi ostatnie spojrzenie, macha dłonią i wychodzi obrotowymi drzwiami.

Wróciwszy do kuchni, wykładam na granitowy blat jajka, mleko, ser i masło i zabieram się do pracy. Otwieram piecyk, który nasza gosposia, Wang Ayi, wczoraj wyczyściła. Dzięki jej wizytom dwa razy w tygodniu nie kłócimy się z Claire o pranie i sprzątanie, po połowie płacąc jej równowartość pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Claire spotkała Wang Ayi dotąd tylko raz, ale ja zastaję ją często przy prasowaniu szykownych żakietów Claire i moich wystrzępionych dzinsów. Czasami pomaga mi z chińskim, podając nazwy ziół i owoców, a także doradza, gdzie najlepiej kupić zagraniczne artykuły spożywcze. Nazywamy ją ayi, czyli ciocią, chociaż przypomina nie tyle uszczypliwą siostrę mojej matki, co raczej miłą, kochaną babcię.

Stawiam na mały ogień nieprzywierającą patelnię i roztapiam kawałek masła, napawając się jego mlecznym zapachem i pilnując, by się nie przypaliło; potem rozbijam jajka, ciągle mieszając. Mój pierwszy w życiu omlet był gumasty i ciekący z powodu zbyt dużego płomienia. Przyrządziłam go dla Richa po naszej pierwszej wspólnej nocy. Spojrzał tylko raz i jedną ręką rzucił go do kosza, a drugą sięgnął po mleko i jajka.

- Moja mała Isabelle - powiedział z uśmiechem absolutnie

pozbawionym protekcjonalności. - Pokażę ci, jak to się robi.

Doglądając omletu, wzdycham sobie cicho. Jest mi zdecydowanie lepiej bez Richa, jego arogancji i afektacji, ale gotowanie przypomina mi o naszych wspólnych weekendach. Zsuwam omlet na talerz i podziwiam efekt końcowy: jest jasnożółty, miękki i pełny stopionego sera. Ideał.

Idę z talerzem i gazetą do kuchennego stołu i na chwilę zamykam oczy. Za oknem pomrukuje letnia burza, ciemne niebo oddaje mój ponury nastrój. Rich jest gdzieś tam, dwanaście stref czasowych stąd, prawdopodobnie na randce, popija wódkę z martini i raczy nową dziewczynę opowieściami o swojej byłej, która została zwolniona i wyjechała do Chin. A ja jestem sama w obcym mieście. Otwieram gazetę na krzyżówce. Człowiek prowadzący ascetyczne życie, na siedem liter.

E - R - E - M - I - T - A.

Hot pot

(Hot pot (chin. huoguo, „ognisty kociołek”) - potrawa przyrządzana bezpośrednio na stole w specjalnym mosiężnym kociołku umieszczonym na ruszcie. Wywodzi się z Mongolii, od XVII w. upowszechniona w Chinach, zwłaszcza na północy.)

Mongolski ognisty kociołek [...] to okrągłe naczynie stawiane na palenisku z żarzącym się węglem drzewnym. Węgiel podgrzewa wodę w naczyniu. Biesiadnicy gotują cienko pokrojone przysmaki, a następnie zanurzają je w sosach i jedzą [...]. Taki posiłek w stylu »zrób to sam« uważany jest przez wielu za szczytowe osiągnięcie chińskiej kuchni.

E.N. Anderson, The Food of China

Po pracy znajduję widokówkę - spod wycieraczki wystaje tylko rąbek. Z jednej strony widnieje obrazek Tintina na łódce z rozwianymi przez morską bryzę włosami. Odwracam kartkę i ze zdziwieniem odkrywam, że nie pochodzi od admiratorów Claire, lecz jest adresowana do mnie:

Droga Isabelle!

Miło było Cię poznać. Rozwiązałaś krzyżówkę? Zastanawiam się, czy miałabyś czas na kolację w czwartek. Niedaleko Guomao (Guomao - skrócony zapis World Trade Center w Pekinie (Zhongguo Guoji Maoyi Zhongxin).) jest taka japońsko - włoska restauracja (mój znajomy twierdzi, że eklektyczna), która zapowiada się ciekawie. Przepraszam, że nie dzwonię, ale nie mam Twojego numeru.

Mam nadzieję, że do zobaczenia.

Charlie

U dołu jest numer telefonu komórkowego. Patrzą na widokówkę, wspominając ciepły uśmiech i inteligentne niebieskie oczy, i czuję mrowienie w brzuchu.

- Nie bądź głupia - mruczę do siebie. - Wcale się tobą nie interesuje, po prostu jest miły.

- Kto jest miły? - pyta Claire, wchodząc do pokoju.

Staram się ukryć zdziwienie na jej widok, tak samo jak bałagan, który zostawiłam w przedpokoju. Schludność Claire zmusza mnie do utrzymywania porządku, ale to nie jest stan naturalny. Co wieczór urządzam sprzątanie, porządkując buty, ubrania, książki i kubki, które walają się za moimi plecami.

- Cześć! Wcześniej wróciłaś!

- Wzięłam wolne popołudnie. - Pociąga łyk zielonej herbaty z butelki trzymanej w wypielegnowanej dłoni. - Powiedz, kto jest miły.

- Co? O, ktoś tam w pracy - mówię, czując wzbierający rumieniec.

- Ed cię podrywa? - Chichocze Claire. - A to łobuz. Ignoruj go, skarbie. Jest nieszkodliwy.

- Tak... - Chowam kartkę do kieszeni i próbuję zmienić temat; z jakiegoś powodu wolę nie rozmawiać o Charliem z Claire. - Wzięłaś wolne popołudnie? Nie wiedziałam.

- Miałam odebrać znajomego z lotniska, ale postanowił zostać w Szanghaju jeden dzień dłużej.

Podnosi aktualne wydanie „Beijing NOW” i przerzuca strony. Zaglądam jej przez ramię. W rubryce towarzyskiej jest zdjęcie Claire na balu. Widać ją z profilu, jej piękną twarz okala kosmyk jedwabistych włosów. Z uśmiechem zwraca się do kogoś, kogo nie ma w kadrze.

- Przycięliście zdjęcie? Wang Weiowi się to nie spodoba - mruczy.

Znów ten Wang Wei... Po rozmowie z Charliem przeprowadziłam małe śledztwo. Okazało się, że Wang Wei wyrobił sobie niezłą reputację. Kiedy zapytałam o niego Geraldine, wzdrygnęła się.

- Nie znasz Wang Weia? - Wytrzeszczyła na mnie oczy. - Jest szefem Capital Property. No wiesz, największej firmy deweloperskiej w Pekinie - ściszyła głos. - Chodzą plotki, że opróżnił dwie trzecie hutongów (Hutongi - tradycyjne chińskie zespoły wąskich uliczek wraz z przylegającymi do nich parterowymi domostwami, tzw. siheyuan. W Pekinie i innych miastach stare hutongi są obecnie wyburzane i zastępowane nowoczesną architekturą). Zmusza mieszkańców do opuszczenia domów, prześladowając ich albo płacąc grosze, obiecuje, że zatroszczy się o zabytkowe dzielnice, a potem zmienia śpiewkę, burzy wszystko i buduje apartamentowce za ciężkie miliardy.

- Potwór - szepnęłam. Wzruszyła ramionami.

- Albo geniusz. Zależy, z kim rozmawiasz.

Teraz patrzę na siostrę, na jej gładką bladą skórę i nerwową zmarszczkę na czole.

- Kto to jest Wang Wei? - pytam mimochodem.

Ku memu zdziwieniu momentalnie się rumieni aż po same uszy.

- To mój znajomy. - Nerwowo przerzuca pismo, a potem zamyka je głośno. - Widujemy się. Na imprezach i tak dalej. Zajmuje się nieruchomościami. To on zbudował Midtown East. Wiesz, ten wielki kompleks mieszkaniowy niedaleko wschodniej trzeciej obwodnicy.

Wyrzuca z siebie słowa, jak gdyby chciała się powstrzymać, a nie mogła. Kiedyś pewnie próbowałabym wypełnić niezręczną ciszę, rzucając pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy, ale Ed próbował nauczyć mnie sztuki nieodpowiadania przy przeprowadzaniu wywiadów. „Wykorzystaj milczenie do swoich celów”, tak to ujął.

- Mm - mruczę zachęcająco. O dziwo, znów zaczyna mówić.

- Prawdę powiedziawszy, to on jest tym znajomym. Tym, którego miałam odebrać. Z lotniska. Dzisiaj. Ale musiał zostać dłużej w Szanghaju. - Krzyżuje ramiona na piersi i wzdycha.

Znów zapada cisza, podczas której tylko siłą woli powstrzymuje aparat artykulacyjny.

- To ciągle świeży związek - dodaje wreszcie. - Nic poważnego. No wiesz. Dlatego jeszcze was sobie nie przedstawiłam... - Bawi się guzikiem koszuli. - Chyba nie powiesz mamie? - pyta nagle i na jej twarzy pojawia się grymas paniki, a może winy?

Ani myślę o mówieniu czegokolwiek matce, ale dziwi mnie, że Claire nie chce, abym wspominała jej o Wang Weiu. Obie regularnie otrzymujemy mejle, w których mama wyraża troskę, że jako trzydziestolatki wciąż jesteśmy singielkami. W zeszłym tygodniu napisała: „Nie zawsze będziecie młode. Mnie i ojcu byłoby lżej na sercu, gdybyście się ustatkowały”. Wydawało mi się wcześniej, że Claire z radością poinformowałaby mamę o bliskim przyjacielu, aby tylko uciąć niekończące się plany wydania nas za syna siostry koleżanki od madżonga albo zapisania do jakiegoś żalostnego biura matrymonialnego na Tajwanie o nazwie Okręt Miłości.

- Oczywiście nie powiem jej nic, jeśli nie chcesz - przyrzekam. - Ale chciałabym go poznać - dodaje.

- Tak... - Claire wygląda na nieprzekonaną. - Może. Kiedyś. Skoordynowanie naszych grafików to mordega. Wang Wei ma milion rzeczy na głowie, no i wiesz, jak jest u mnie w biurze! - Wykonuje gest podkreślający poziom zapracowania. - Ledwo mam czas zobaczyć się z tobą, a przecież mieszkamy razem. - Śmieje się, a jej policzki odzyskują zwykły kolor. - Masz jakieś plany na wieczór? Miałam iść z Wang Weiem na imprezę u Samantha Hong w Centro,

ale skoro on został w Szanghaju... Chcesz być moją osobą towarzyszącą?

- O! Bardzo chciałabym, ale...

- Masz już plany - rzuca krótko, a mnie boli serce.

- Przepraszam. Wiesz co, zadzwonię do Geraldine i odwołam. Pójdziemy na kolację, pogadamy...

- Nie przejmuj się, skarbie. - Dotyka mojego ramienia. - Zrobimy to kiedy indziej. Tak czy owak powinnam pojawić się u Sammy.

Zanim mam szansę coś powiedzieć, zamyka za sobą drzwi pokoju.

- Czuję się taka winna - jęczę i podnoszę ciężki kielich zbyt słodkiej sangrii.

- Nie bądź śmieszna. - Geraldine krzyżuje ramiona. - To, że Claire się nie układa, nie znaczy, że masz rzucać dla niej wszystko. Ona nigdy nie ma dla ciebie czasu.

- To niesprawiedliwe. Ona zawsze mnie zaprasza na to czy tamto. Ja po prostu... nie przepadam za jej znajomymi. - Powinnam raczej powiedzieć, że ich nie znoszę. Zwłaszcza ekspatów, zamożnych obcokrajowców robiących wszystko, by zapomnieć, że mieszkają w Chinach. Kiedy ostatnio spotkałam jej najlepszą przyjaciółkę, Mimi, chudziutką blondynkę z Brukseli, usłyszałam od niej, że największą zaletą mieszkania w Pekinie jest tania pomoc domowa.

Siedzę z Geraldine przed Kasbah, restauracją bliskowschodnią otwartą przez Joeya Hana, przedsiębiorcę budowlanego z Shaanxi, który nigdy nie postawił stopy na prawdziwym bazarze. Plecy opieramy o kilimowe poduszki, a z ostatnimi komarami tego lata walczy bukiet żarzących się kadzidełek. Mrużę oczy przed oświetlającymi stół świecami i patrzę, jak tancerka trzęsie brzuchem wokół stolika obłożonego przez obcokrajowców - sądząc po ich krzykach i gwizdach, Amerykanów.

- A do tego właśnie wtedy otworzyła się przede mną i opowiedziała mi o Wang Weiu - wzdycham.

- Co? Co ci powiedziała o Wang Weiu? - zapala się Geraldine.

- Spotykają się. Mówi, że to nic poważnego, ale widzę, że jej na nim zależy. Tylko dlaczego?

Usta Geraldine wykrzywia grymas.

- Wang Wei wyrobił sobie niezłą reputację.

- Co masz na myśli? Reputację typu „dziewczyna w każdym

porcie"?

Waha się przez chwilę.

- Raczej dziewczyna w każdej dzielnicy. - Bierze dzbanek sangrii i dopełnia nasze kieliszki. - Ech, ale się porobiło. Biedna Claire. Żal mi jej.

- Niepotrzebnie. - Myślę o bladej kamiennej twarzy mojej siostry. - Gdyby się dowiedziała, że jej żałujemy, byłaby zażenowana. - Uśmiecham się smutno.

- Czyli nie powinnam zapraszać jej w czwartek na karaoke i hot pot? - ironizuje Geraldine.

- Nie, chyba że w hot pot będzie wołowina z Kobe (Wołowina z Kobe - wykwintna japońska wołowina pochodząca od krów hodowanych w okolicach miasta Kobe.), a mikrofony będą ze złota. - Zgryzam kostkę lodu.

- Ale ty przyjdiesz, prawda? - Geraldine wyławia z kielicha kawałek jabłka i rzuca mi pytające spojrzenie.

- Och, chyba nie chciałybyś usłyszeć, jak śpiewam - śmieję się. - A w ogóle to mam plany związane z moim sąsiadem.

- Proszę, proszę! - Geraldine unosi brwi. - Tajemniczy miłośnik krzyżówek i dyplomacji zaprosił cię na randkę? Dowiedziałaś się o nim coś więcej?

- Wiem tylko, że nazywa się Charlie i mieszka w naszym budynku - wzruszam ramionami. - Zresztą to nie randka, on jest po prostu miły. Napisał mi kartkę, bo nie miał mojego numeru.

- Bardzo sprytnie. - Kiwa głową. - Dokąd idziecie?

- Nie jestem pewna... - Sięgam do torby i wyciągam widokówkę. - Jakaś japońsko - włoska restauracja blisko Guamao.

- Le Cafe Igosso. No, no, no...

- Słyszałaś o niej?

- Czy słyszałam o niej? To najbardziej romantyczna restauracja w Pekinie. Przytulna, intymna, ciekawe jedzenie, świetne wina. Jako czołowa recenzentka stołecznych lokali powinnaś o tym wiedzieć - żartuje.

- Nie sądzisz chyba, że to randka...

Kelnerka stawia na stole wielką misę kebabu, ale nagle czuję się zbyt poddenerwowana, żeby jeść.

- Randka? Nie - mówi Geraldine, odrywając pałeczkami kawałek mięsa i wtykając w bułkę.

Czuję ukłucie rozczarowania.

- To tylko rendez - vous. - Szczerzy zęby, a potem wgrzyza się w kanapkę.

W czwartek kipię z niecierpliwości. Jestem umówiona z Charliem w holu apartamentowca o ósmej, więc wychodzę z redakcji wcześniej w nadziei, że uspokoję się pod gorącym prysznicem i nad schłodzoną lampką wina.

- Wychodzisz już? - burczy Ed, przyłapawszy mnie przy tylnym wyjściu.

- Yyy... tak. Yyy... mam wywiad do tego artykułu, o którym ci mówiłam - odpowiadam, czując, że poca mi się ręce. Rzucam okiem na zegarek. - Oj, muszę pędzić. Do jutra. - Ruszam do wind, nie oglądając się za siebie.

W pograżonym w ciszy mieszkaniu zrzucam buty i biegnę do łazienki, gdzie odkręcam prysznic i chwilę odczekuję na ciepłą wodę. W sypialni otwieram szafę i przeglądam ubrania, żałując, że nie mogę zadzwonić do Julii. Każda kobieta potrzebuje doradcy do spraw mody. Moim zawsze była Julia. Dzięki wspólnej pracy знаła moje ciuchy lepiej ode mnie i jej mądra rada pozwoliła mi osiągnąć pierwszy sukces publicystyczny (plisowana spódnica, baleriny, sznur pereł).

Zerkam na zegarek, ale jest wciąż zbyt wcześnie, żeby zadzwonić do Nowego Jorku. Wciskam się w ulubione dżinsy, krzywiąc się, gdy pas wrzyna mi się w brzuch - muszę skończyć z tłustymi jiachangcai - grzebię w szafie i wyciągam pożegnalny prezent od Julii: elegancką bluzkę z szyfonu z marszczonymi rękawami, które łopoczą, kiedy się poruszam.

Włożenie jej jest równoznaczne z osobistą aprobatą przyjaciółki. Z uśmiechem suszę włosy, aż nabierają połysku, nakładam błyszczący, wzuwam złote sandały i zamykam drzwi.

Cała ta mitręga sprawiła, że jestem spóźniona. Charlie czeka przy skrzynkach na listy i kiedy do niego podchodzę, czuję, że wszyscy w holu na nas patrzą. Macham im - ponuremu odźwiernemu, chudej pryszczatej dziewczynie w recepcji, matronie w pralni chemicznej - ale ciekawość wszystkich pozostaje niezmienna. Czuję, że ich wzrok wbija mi się w plecy, kiedy Charlie nachyla się i kurtuazyjnie całuje mnie w oba policzki.

- Cieszę się, że znów cię widzę - mówi, a jego spojrzenie jest tak ciepłe, że prawie zapominam o zdenerwowaniu.

- Dziękuję. - Odwzajemniam uśmiech i z pewnym zakłopotaniem zauważam, że ma na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. - Przepraszam, ale chyba ubrałam się nie dość elegancko - tłumaczę się, czując, że wyglądam niepoważnie.

- To ja powinienem przeprosić. Chciałem się przebrać, ale nie miałem czasu.

- Chcesz skoczyć na górę? Poczekam na ciebie.

- Nie trzeba. Wytrzymam jeszcze parę godzin w tym smokingu. Owiewa nas suche powietrze letniego wieczoru i Charlie przywołuje taksówkę.

- Większość życia spędzasz w garniturze? - pytam, kiedy już wsiedliśmy, a Charlie podał kierowcy adres.

- Tak. Czasami czuję, że powinienem także w nim spać. Ktoś mógłby zaprojektować serię garniturów dwudziestoczerogodzinnych.

- Trzeba by je było uszyć z niegniotących się materiałów - zauważam z nerwowym śmiechem.

Mruży lekko oczy. Przez chwilę jest cicho i już się martwię, że spotkanie będzie sztywne, ale potem Charlie zaczyna pytać mnie o pismo, a ja opowiadam mu o humorach Eda, naszych redakcyjnych „rodzinnych” lanczach i o dźwiękach, jakie wydaje z siebie nasz cenzor, Tang Laoshi, gdy przeczyta coś niewłaściwego.

- Robi się czerwony jak burak, zaczyna kiwać palcem i powtarza „dżu dżu dżu dżu!”. To okropne, bo z jednej strony wkurza nas, że robi nam problemy, a z drugiej boimy się, że dostanie zawału.

- Muszę to wypróbować, kiedy ministerstwo spraw zagranicznych powie mi coś, czego nie będę chciał słyszeć. Czu czy czu!

- Bardziej tak z głębi, z gardła. Dżu dżu dżu. Taksówkarz rzuca nam pełne dezaprobaty spojrzenie, które trwa tyle co czerwone światło.

- Laowai - mruży, a potem włącza radio. Cudzoziemcy.

Charlie rzuca mi spojrzenie i oboje tłumimy śmiech. Uśmiecha się, a ja myślę sobie, że pomimo całej ogłady chyba też był zdenerwowany. Proste drewniane drzwi restauracji nie zapowiadają romantycznego wnętrza, ale kiedy się uchylają, widzimy bogate pomieszczenie, tajemnicze i półmroczne. Pokonujemy kilka stopni, przesuwam palcami po wyłożonych aksamitem ścianach. Na górze w rogu cicho gra trio jazzowe, dwuosobowe stoliczki rozstawione są

dość luźno, a całe wnętrze emanuje pełną nadziei atmosferą, którą może wytworzyć tylko światło świec.

Patrzę na Charliego akurat w chwili, gdy na jego czole pojawia się zmarszczka zatroskania.

- Łał! - mówi. - Nie wiedziałem, że tu jest tak...

- Romantycznie? - Poruszam brwiami w nadziei, że dostrzeże w tym ironiczny żart.

- Ciemno - kończy zdecydowanie. Podchodzi do nas hostessa w czarnej sukni.

- Dobry wieczór - wita Charliego z uprzejmym uśmiechem. - Ni hao (Dzień dobry.) - mówi do mnie, wzrokiem drąc mój strój na strzępy.

- Mamy rezerwację dla dwóch osób na nazwisko Ai Xiansheng.

- Posłużyłeś się chińskim nazwiskiem? - pytam, gdy hostessa sprawdza coś w komputerze. Prawie wszyscy uczący się chińskiego mają imię w tym języku. Chińczycy otrzymują je przy narodzinach, aby przypominało im o języku rodziców. Później najczęściej upychają gdzieś między imieniem a nazwiskiem jako krótki dźwięk zbyt trudny do wymówienia dla Amerykanów. Reszta otrzymuje je od nauczyciela chińskiego jako śpiewny odpowiednik imienia angielskiego. Niewielu jednak znam ludzi, którzy używają chińskiego nazwiska w anglojęzycznej sferze swojego życia.

Charlie wzrusza ramionami.

- Czasami łatwiej zrobić rezerwację po chińsku.

Kiwam głową, ale nie jestem taka pewna. Zbyt często czuję, że moje chińskie nazwisko jest jakby niechcianym alter ego. Jako Isabelle jestem wygadana, pewna siebie, czasem nawet dowcipna; jako Li Jia nie potrafię się wysławić, rozumiem tylko naskórek rozmów. Pomimo kasztanowych włosów i niebieskich oczu - a może właśnie dzięki nim - Charlie wyraźnie czuje się w Chinach swobodniej niż ja. Jego cudzoziemskość, odmiennosc od razu rzuca się w oczy. Ze mną jest inaczej. Potrafię rozplątać się w tłumie, ale w kraju, gdzie wysoko ceni się cudzoziemców - zwłaszcza białych mężczyzn - często bywam lekceważona jako młoda Chinka.

Wchodzimy na salę. Dyskretnie rozglądam się po gościach. Mężczyźni i kobiety nachylają się do siebie, pociągają wino z pękających kieliszków albo podają sobie wzajemnie jedzenie do ust.

Ale jest tu jakiś wspólny mianownik, który rozpoznaję dopiero,

kiedy siadamy i mogę spokojnie się rozejrzeć: ponad połowę stolików zajmują pary złożone z białych mężczyzn i Chinek.

Rumienię się na wspomnienie oburzenia, z jakim Lily odrzuciła pomysł związku z obcokrajowcem.

- Pochodzę z dobrej rodziny - powiedziała wtedy. - Mam wyższe wykształcenie, dobrą pracę. Nie zamierzam umawiać się z jakimś białym bufonem, który u siebie w kraju na wejściu dostaje kosza.

Jej stanowisko było jasne. Mając dość szczęścia, żeby móc podejmować samodzielne decyzje, Lily nie potrzebuje waiguo (Waiguo (chiń.) - zagraniczny.) chłopaka, żeby mieć lepsze życie. Tocząc wzrokiem po sali, dostrzegam kierowane ku nam spojrzenia. Niektóre są znaczące, inne zaciekawione, a żadne przyjazne.

- Zamówimy butelkę wina? - Głos Charliego przerywa moją zadumę. Uśmiecham się i kiwam głową.

- Świetny pomysł.

Ale zanim decydujemy się na czerwone lub białe wino, przy naszym stoliku ktoś się pojawia. Otwieram usta, żeby poprosić o szklankę wody, ale uświadamiam sobie, że to nie kelnerka, lecz wysoka blondynka o niebieskich oczach rozszerzonych zdziwieniem.

- No proszę! Witam! - Nachyla się i całuje Charliego w oba policzki. - Nie widziałam cię ostatnio w ambasadzie. - Kiwa z udaną przestrogą palcem i uśmiecha się, odsłaniając duże równe zęby.

- Cześć, Kristin. - Charlie poprawia się na krześle.

- Oczywiście pamiętasz Scotta? - Wskazuje swojego towarzysza, przysadzistego mężczyznę o krótkich włosach i muskularnych ramionach. - Pracuje w ataszacie.

- Miło cię widzieć, Scott.

- Witam. - Podają sobie dłonie.

- Wpadłam na Scotta pod ambasadą i namówiłam go na kolację. Nie znoszę jeść sama. - Ma łagodny głos z przyjemnym południowym akcentem.

- Kristin Morgan, Scott Cooper, to jest Isabelle Lee. - Charlie wstaje, żeby mnie przedstawić, ja też podnoszę się niezgrabnie. Obok tych trzech arcyamerykańskich twarzy czuję się niska, biedna i okropnie wręcz tubylcza.

- Scott, White Socks zegrali wczoraj świetny mecz - mówi Charlie. - Widziałem dziś rano wyniki.

- Proszę, jak ładnie rozmawiają sobie o sporcie. - Kristin

krzyżuje ramiona i patrzy na mnie. - Świetna bluzka. W tym mieście nie mogę znaleźć nic w swoim rozmiarze. Same eski jak ty!

- Dziękuję...

- Co robisz tu w Pekinie?

- Jestem redaktorką w „Beijing NOW”. - Widzę, że marszczy brwi, więc dodaję: - To anglojęzyczne pismo dla ekspatów.

- Ooo, tyle jest tych szmatławców, że się w nich nie wyznaję... Ale jestem pewna, że „Beijing NOW” trzyma poziom - poprawia się szybko, rzucając spojrzenie Charliemu. - Recenzujesz restauracje?

- Tak. Piszę też o kuchni, modzie, sztuce...

- Świetna robota! Zżera mnie zazdrość. Chyba rzucę w diabły korpus dyplomatyczny i zabiorę się do pisania.

Zapada niezręczna cisza. Kristin z uśmiechem kiwa głową, ale czuję, że jej błękitne oczy przenikają mnie na wskroś.

- Czym się zajmujesz w ambasadzie? - pytam. Charlie i Scott rzucają nam spojrzenie z drugiej strony stolika.

- Pracuję w sekcji gospodarczej - mówi wymijająco. - Ale nieważne, przeszkadzamy wam w kolacji, musimy iść. Charlie, będzie spotkanie przed jutrzejszą wizytą senatora Allana. Mam nadzieję, że dołączysz. Isabelle, miło było cię poznać. Wiesz co - nachyla się poufale, ale nie ścisza głosu - możesz być z siebie dumna. Naprawdę świetnie mówisz po angielsku. Wbijam wzrok w podłogę.

- Dziękuję... - próbuję opanować głos. - Ale...

- Kristin - włącza się Charlie. - Isabelle jest Amerykanką. Wychowała się w Nowym Jorku.

- O! - Zaskoczona Kristin zakrywa usta. - Bo ja myślałam... Bo masz na sobie... - Urywa i wzrusza ramionami. - Przepraszam, pomyliłam się.

- Nie ma sprawy - mówię z trudem.

- No cóż. Skoro tak się popisałam, to chyba rzeczywiście musimy już iść - uśmiecha się słodko, znów błyskając zębami. - Do zobaczenia.

Na odchodnym Kristin rzuca mi wyzywające spojrzenie.

Siadamy z powrotem i rozkładamy na kolanach serwetki. Udaję, że studiuję menu, rozważając, czy wziąć okonia w sosie z trawą cytrynową czy filet mignon z truflami, ale tak naprawdę zastanawiam się, czy tych kilka miesięcy w Chinach wystarczyło, by moja amerykańskość zniknęła bez śladu. A może jest jeszcze gorzej: może

nikt nigdy nie uważał mnie za prawdziwą Amerykankę...

- Czego się napijemy? - pyta delikatnie Charlie. Daje znak kelnerowi i zamawia bordeaux, a ja próbuję się pozbierać i skoncentrować, śledząc rytualne otwieranie butelki, degustację i aprobatę.

- Na zdrowie. - Uśmiecha się. - Wypijmy za nasze sąsiedztwo. Stukamy się kieliszkami. Na języku czuję smak jagód, słonecznego nieba i spokojnego życia francuskiej prowincji.

- Wspaniale - mówię, biorąc kolejny duży łyk. - Znasz się na winach?

- Trochę. Po dyplomie spędziłem rok w winnicy w Burgundii.

- Łał! Brzmi rewelacyjnie.

- Tak. Było cudownie... Kocham ten region. Wciąż czasem o nim marzę.

- Dlaczego więc wyjechałeś? Uśmiecha się.

- Sam zadaję sobie to pytanie. Po wyjeździe z Burgundii mieszkałem kilka lat w Paryżu, pracując w piśmie dla ekspatów, coś jak „Beijing NOW”. Ale nie miałem odpowiednich papierów i w końcu dosięgło mnie długie ramię sprawiedliwości.

- A potem?

- Wróciłem do domu rodziców w Connecticut. Znajomy powiedział mi o egzaminach do korpusu dyplomatycznego i dalej już poszło.

- Wróciłeś kiedyś do Francji?

- Tak, ale nie na dłużej. Kiedy mieszkałem w Europie Wschodniej w czasie aksamitnej rewolucji... to było trudne, ale bardzo satysfakcjonujące doświadczenie - dodaje szybko, widząc na mojej twarzy rozczarowanie. - Częściej wracałem wtedy do rodziny, bo odkąd mieszkam w Pekinie, jest z tym dużo trudniej.

- Myślisz, że kiedyś jeszcze zamieszkasz we Francji?

- Mam nadzieję. Ale nie mogę narzekać. Pekin to teraz jedno z najbardziej ekscytujących miast na świecie. Przynajmniej według pierwszej strony „New York Timesa”. - Uśmiecha się ironicznie. - Rzecz w tym, że poza tym całym szumem o nowym supermocarstwie po prostu zawsze interesowałem się Chinami. W koledżu studiowałem przez jedno lato w Szanghaju i zawsze chciałem wrócić... Ale może teraz pogadamy o tobie?

Nachyla się lekko, a ja przygotowuję się na to samo pytanie co

zwykle, które zadaje mi każdy: jakie to uczucie wrócić do ojczyzny? Pociągam łyk wina, żeby zdusić irytację, ale Charlie mnie zaskakuje.

- Byłaś kiedyś we Francji?

- Oo! We Francji! Nie... ale chciałabym tam kiedyś pojechać. Czuję, że mam gdzieś w sobie Francuzkę... - Przerywa mi natarczywy dźwięk, który jeszcze się wzmacnia, gdy Charlie wyciąga z zanadru komórke.

- Przepraszam - mówi, zerkając na ekran. - To ambasada. Nie masz nic przeciwko? - Uśmiecha się przepraszająco i odchodzi.

Popijam wino, rozkoszując się rozlewającym się w środku ciepłem. Kieliszek Charliego stoi zbyt blisko krawędzi stolika, więc przesuwam go, wyobrażając sobie, że jego długie palce obejmują nóżkę albo muskają moją dłoń, kark. Usta rozciąga mi uśmiech i rozluźniam się.

Kiedy wraca do stolika, wystarcza mi jedno spojrzenie na jego twarz. Już wiem, że coś jest nie tak.

- Isabelle, bardzo mi przykro, ale musimy skończyć wcześniej.

- Och! - Badawczo patrzę w jego oczy, ale nic nie daje po sobie poznać, jak gdyby bał się coś zdradzić. - Wszystko w porządku?

- Coś wypadło i za pół godziny muszę być na spotkaniu. - Kiwa na kelnerkę i znów patrzy na mnie. - Naprawdę czuję się okropnie. Ambasada przysłała po mnie samochód, ale potem może odwieźć ciebie do domu.

- Nie trzeba. Wezmę taksówkę.

- Nalegam. - Nie czekając na rachunek, kładzie na stoliku kilka setek kuai. Patrzę na ich krzykliwy róż kontrastujący z białym obrusem. - Musimy iść.

- Samochód już tu jest? - Staję roztrzęsiona z głową lekką od wina.

- Wysłali go, zanim zadzwonili. - Uśmiecha się z żalem. - Takie są skutki proszenia sekretarki o zarezerwowanie stolika w restauracji.

Wychodzimy w ciepłą noc; przy chodniku stoi ciemny sedan na czarnych tablicach rejestracyjnych z czerwonym ideogramem sbi (Shi - jedna z sylab składających się na słowo „ambasada” - da shiguan.) oznaczającym ambasadę. Szofer prędko otwiera drzwi. Siadam po prawej stronie i chcę zamknąć je za sobą, ale ku memu zdziwieniu szofer przytrzymuje je i gestem nakazuje mi przesunąć się w lewo.

- Tu nie wolno siedzieć - mówi.

- Meiyou wenti - rzuca Charlie. - To nic takiego. Usiądę z drugiej strony. - Obchodzi samochód dookoła.

- To dziwne - mówię, kiedy siada obok mnie. - Dlaczego szofer nie chciał, żebym siedziała z tej strony?

- Och, taka tam zasada protokolarna - wyjaśnia wymijająco. Komórka znów dzwoni. - Tak - rzuca krótko. - Jestem w samochodzie. Będę za kwadrans... Tak, przejrzałem tematy... To będzie długi wieczór. Okej, do zobaczenia wkrótce.

Kończy rozmowę. Samochód sunie przez ulice pełne rozgadanych, roześmianych ludzi, ale wokół nas panuje cisza. Charlie krzyżuje ramiona i zaciska wargi; jest w pełni skupiony, jak gdyby samą siłą woli chciał mknąć tłoczonymi ulicami.

Ale gdy wjeżdżamy w Guanghua Lu, światła hamowania błyskają jak neony. Szofer na przemian przyspiesza i zwalnia, aż kręci mi się w głowie od tej huśtawki, spotęgowanej wpływem wina. Wreszcie samochód przejeżdża przez bramę i zatrzymuje się pod ciemnym budynkiem ambasady. Charlie bierze teczkę i otwiera drzwi.

- Isabelle. - Uśmiecha się jakby po namyśle. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- W porządku, rozumiem.

Przez chwilę się waha, a potem mówi:

- Na kilka tygodni wyjeżdżam do Waszyngtonu, ale po powrocie zadzwonię i może wtedy nam się uda.

- Świetnie - odpowiadam wesoło, czując, że serce mi się ściska. Może zbyt szybko wyciągam wnioski, ale każdy wie, że wyjazd na kilka tygodni tak naprawdę oznacza brak zainteresowania.

Macha mi na pożegnanie i zamyka za sobą drzwi. Z teczką w dłoni znika w ambasadzie.

- Xiaojie. Ni xiang qu na'r? - Szofer odwraca się. Dokąd chcesz jechać?

Patrzę na zegarek. Dziewiąta. Mogłabym wracać do domu, ale na myśl o zimnym, pustym mieszkaniu przejmuję mnie dreszcz.

- Proszę chwilkę poczekać - mówię.

Geraldine odbiera po pierwszym sygnale, ale prawie jej nie słyszę z powodu muzyki w tle.

- Poczekaj, wyjdę na zewnątrz! - woła. - Jak tam karaoke? - pytam.

- Super. - Śmieje się. - Ale co tam ja, jak tam randka? Dzwonisz

do mnie z łazienki, żeby mi powiedzieć, że wpadłaś po uszy?

- Niestety już po randce. Charlie miał telefon z pracy i...

- Gdzie jesteś?

- Nie uwierzysz, ale siedzę w samochodzie pod ambasadą amerykańską, a szofer patrzy na mnie jakbym miała dwie głowy.

- Jedź do nas - rzuca od razu. - Wybieramy się właśnie na Gui Jie na hot pot.

- Hot pot? Przecież jest chyba prawie trzydzieści stopni.

- Po to właśnie wymyślono klimatyzację, kochana. Podaj telefon kierowcy, powiem mu, jak dojechać.

Geraldine instruuje szofera i wkrótce jedziemy na Gui Jie, ulicę duchów, jaskrawą i migoczącą alejkę pełną czynnych całą dobę lokali, popularną wśród amatorów wieczornych balang. Naganiacze otaczają mnie, kiedy wysiadam, klaszcząc i wołając Xiaojie! Xiaojie! (Xiaojie - zwrot określający młodą kobietę; także odnoszący się do sprzedawczyni lub kelnerki. W niektórych regionach Chin tym zwrotem określa się prostytutkę.) Ignoruję ich i kieruję się do Xiao Shan Cheng, którego oświetlenie przywodzi na myśl kasyno w Las Vegas.

- Huanying guanglin! (Huanying guanglin - popularna w Chinach fraza wyrażająca powitanie, kierowana zwłaszcza do klientów przez obsługę sklepów i restauracji.) - woła personel na mój widok. Witaj szanowny gościu! Ich głosy giną w gwarze biesiadników siedzących ciasno ramię w ramię przy okrągłych dziesięcioosobowych stołach. Pośrodku każdego bulgocze pełny kociołek, a klienci przepychają się, żeby wrzucić do tłustego wywaru cienkie plastry mięsa, pękate grzyby i trójkącki tofu. Duchota sprawia, że pomimo desperacko tchnących letnim powiewem klimatyzatorów oblewam się potem. Lokal ucieleśnia termin renao (Renaο (dosł. „gorąco i głośno”) - termin oznaczający gwarne, zatłoczone miejsce zapewniające dobrą zabawę.): jest tu gorąco, panują hałas i chaos, co razem tworzy atmosferę biesiady ukochaną przez większość Chińczyków.

Przeciskam się przez tłum, zastanawiając się, jak znajdę Geraldine i jej znajomych, gdy nagle słyszę okrzyk.

- Isabelle! Tutaj! - Siedzi przy jednym ze stolików jako jedyna blondynka w okolicy. Jak mogłam ją przeoczyć? - Zająłam ci miejsce - wskazuje krzesło obok i woła: - Dajia! Zhe shi wo de tongshi, Li Jia. (Słuchajcie wszyscy! To jest moja koleżanka, Li Jia.)

- Czemu użyłaś mojego chińskiego imienia? - pytam, machając wszystkim i uśmiechając się.

- Tak jest łatwiej. - Wzrusza ramionami. - Mów, jak było. Opowieść sama wychodzi mi z ust dzięki wydatnej pomocy piwa Yanjing.

- Nie poszło chyba tak źle - mówi Geraldine. - Wygląda na to, że rzeczywiście był zajęty.

- Wydawało mi się, że wszystko idzie świetnie, ale kiedy okazało się, że musi iść, zupełnie się zmienił. Stał się taki poważny i surowy.

- Brzmi całkiem seksownie. - Geraldine unosi brwi.

- Co brzmi seksownie? - Facet po mojej lewej stronie nachyla się i rozciąga usta w uśmiechu, który znaczy jego krągłą twarz dołeczkami. Pomimo rozstroju nerwowego zauważam, że ma gładkie umięśnione ramiona i włosy w artystycznym nieładzie. Jego ciemne oczy lśnią.

- To Jeff Zhu - przedstawia go Geraldine. - Przyjaciół wszystkich singielek - mówi głośno, żeby usłyszał. - I niektórych mężatek. Bądź miły dla Li Jia. Jest tu nowa i nie potrzebuje twoich błazenad.

- Co to błazenady? - pyta z wahaniem. Ma silny chiński akcent.

- Wiesz, o czym mówię. - Geraldine wywraca oczami, a kelnerka stawia czarki z sosem. - Majiang (Majiang (chiń.) - pikantny sos przyrządzany z czarnego sezamu, czili i octu.). Najlepszy sos sezamowy na świecie. Jestem od niego uzależniona.

Mieszając gęstą sezamową pastę, robimy kleisty płyn. Nie mogę się powstrzymać, dotykam językiem końców pałeczek i rozkoszuję się intensywnie słonym orzechowym aromatem. Jeff widzi mój wyraz twarzy i śmieje się.

- Jadłaś kiedyś hot pot? - Nie.

- Są pewne reguły.

- Jakie?

- Na początek wkłada się ziemniaki, bo najdłużej się gotują. Mięso dochodzi szybko, ale ludzie najbardziej je lubią. Baicai i bocai daje się na końcu. Wiesz, kapustę i szpinak - dodaje.

- Znam chiński.

Jego śmiech na chwilę zagłusza gwar.

Na stole lądują talerze z krwistoczerwonymi cienkimi płatkami mięsa.

- Włóżmy wszystko naraz, żeby się razem dusiło - mówi ktoś.

Krażki ziemniaka, czarne grzyby, cieniutkie nudle z fasoli mung, blade liście kapusty i zwinięte listki szpinaku oraz płaty mięsa kolejno łądają w kipieli, aż naczynie niemal się przepelnia, bulgocząc wulkanicznie, podczas gdy kilkoro śmiazków już wyławia kęsy pałeczkami. Jeff pochłania nudle i energicznie macza mięso w sosie. Twarze czerwienieją nam od gorąca i palącego czili.

- Hao chi (Smaczne.) - mówi ktoś i wszyscy się zgadzają.

- Hao chi! Hao chi! - Dobrze jedzenie.

Wszystko jest treściwe i pożywne, doskonale do odtajania zmarzniętych kończyn - albo żeby już i tak spocone w letni wieczór ciało wprost służyło potem. Zanurzam cienkie jak papier plastry mięsa w sycącym orzechowym sosie sezamowym, czując, jak rozczerowanie rozpląwa się w gwarze, upale i piwie. Wywar już nie wrze, tylko od czasu do czasu bulgocze, za to atmosfera robi się coraz bardziej swawolna. Jeff rzuca kawałek pieczywa shaobing (Shaobing („pieczone ciasto”) - niewielkie płaskie pieczywo posypane na wierzchu ziarnem sezamowym i wypełnione nadzieniem pikantnym lub słodkim. Popularne w Chinach północnych, często serwowane z mlekiem sojowym lub jako dodatek do „gorącego kociołka”.) przez stół i wszyscy wybuchają śmiechem. Nie łapię dowcipu, ale śmieję się głośno.

- Z czego się śmiejesz? - Jeff odwraca się, rzucając brązowookie spojrzenie na mój dekolt.

- Z niczego. - Chichoczę, ciesząc się jego zainteresowaniem. Gdy pojawia się rachunek, dzielimy go po równo. Każdy z nas wyciąga dwadzieścia kuai, czyli około dwóch dolarów. Jeff dopada mnie, gdy wychodzę.

- Hej, Li Jia, daj mi swój numer komórki. Możemy poćwiczyć razem chiński.

Wyciągam z torebki wizytówkę.

- Dlaczego myślisz, że chcę poćwiczyć chiński? - pytam i naprawdę to nie ma być flirt.

Bierze wizytówkę.

- Isabelle Lee. Chińskie imię bardziej do ciebie pasuje.

- Isabelle! - woła z krawężnika Geraldine. - Jedziemy razem taksówką?

- Muszę lecieć - mówię do Jeffa. - Miło było poznać.

- Będziemy w kontakcie - woła za mną.

Pakuje się do taksówki i otwieram okno, żeby wypuścić produkowany przez kierowcę dym papierosowy.

- Spodobałaś się Jeffowi - mówi Geraldine. - Powinnaś z nim spróbować.

- No nie wiem. Chińczycy nie są w moim typie. Poza tym jest za przystojny.

- Nie doceniasz się, Iz. Mogłoby być fajnie... Romans w Pekinie.

..

- Naprawdę potrzebny mi romans? - pytam, krzyżując ramiona.

- Tak. - Patrzy mi prosto w oczy. - Bardzo.

Lao Beijing

(Lao Beijing - dosł. dawny/stary Pekin.)

Najsłynniejsze domowe danie kuchni północnej to jiaozi, czyli pierożki przygotowywane z pszennego ciasta, faszerowane zwykle warzywami i mieloną wieprzowiną, a potem gotowane we wrzątku lub na parze [...]. Cała rodzina zbiera się, żeby je przyrządzać, a następnie jeść, co wzmacnia więzi rodzinne.

Yan - Kit So, Classic Food of China

Powinam kończyć artykuł o najlepszych pierogarniach Pekinu, ale jak się skupić w tak piękny poranek? Niebo jest prawie wolne od mgły, taksówkarz, który wiozł mnie rano do pracy, był cudownie niedociekliwy i nie wpadłam na nic okropnego, mijając plac budowy naprzeciwko biura. (W zeszłym tygodniu Ed widział tam w błocie ludzką czaszkę. Oczywiście zrobił zdjęcia swoim iPhonem).

No i pojawił się Jeff. Myślałam, że nie jestem nim zainteresowana, i naprawdę nie jestem, ale po spotkaniu z nim w weekend na kawie muszę przyznać, że miło być obiektem zalotów. Należy do tych mężczyzn, których zawsze się obawiałam - trochę za przystojny, trochę za bardzo pewny siebie - ale będąc z nim, czuję dreszczyk zagrożenia i seksualne napięcie. No i jest Chińczykiem. Moja matka byłaby wniebowzięta.

Zadzwoił w sobotę rano zapytać, czy chcę poćwiczyć chiński. Zgodziłam się głównie dlatego, że obiecałam Geraldine dać mu szansę. Przyszedł do kawiarni spóźniony o kwadrans.

- Wybacz - powiedział, pochylając przepraszająco głowę. Podałam mu rękę, a on objął mnie. Zdziwiłam się. Chińczycy rzadko się obejmują. Staliśmy razem przy ladzie i kiedy nasze biodra się zetknęły, poczułam jak między nami przeskoczył ładunek elektryczny.

- Ni yao shenme? - spytała kasjerka. Czego sobie życzysz? Trzymała papierowe kubki, patrząc na mnie wyczekująco.

- Wo lai yi ge chuan zhen (Dosłownie „poproszę faks"). - Nie chciałam kawy, wolałam sok pomarańczowy.

- Shenme (Co?)? - Kasjerka wytarła dłonie w zielony fartuszek i zmarszczyła brwi.

- Yi ge chuan zhen - powtórzyłam i odwróciłam się do Jeffa. - Mam chyba jeden z tych dni, kiedy nikt mnie nie rozumie. - Wywróciłam oczami.

- Poprosiłaś ją o faks - wykrztusił, próbując opanować śmiech. -

Co chcesz zamówić?

- Sok pomarańczowy.

- Cheng zhi - powiedział, klepiąc mnie w ramię. - Sok pomarańczowy to cheng zhi.

Wzięliśmy napoje do stolika, Jeff przysunął swoje krzesło do mojego.

- Od dawna chcę cię o coś zapytać - zaczął, opierając łokcie o blat.

- Słucham.

- Czy w Nowym Jorku prowadziłaś takie życie jak Carrie z Seksu w wielkim mieście?

Zaśmiałam się i uświadomiłam sobie, że zarzucam zalotnie włosami.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- No wiesz, Geraldine powiedziała mi, że pracowałaś w czasopiśmie, tak jak Carrie. No i jesteś piękna i elegancka jak ona...

- Nie ma to jak odrobina pochlebstwa.

- No więc jak było? - Uśmiechnął się, znów pokazując dołeczki.

- No wiesz, chodziłam na imprezy, nosiłam szpilki, mieszkałam na Manhattanie, ale nie wydawałam na ubrania tyle co Carrie. Ani nie miałam tylu chłopaków. Na pewno byłam w wielkim mieście, ale nie miałam tyle... seksu.

O Boże! Czy naprawdę to powiedziałam? Uniósł brwi, a ja poczułam, że się rumienię.

- Nie mierzę ci - stwierdził głębokim głosem. Dopiero po chwili załapałam, że miał na myśli „nie wierzę”.

Całą godzinę rozmawialiśmy o Nowym Jorku. Na początku bałam się, że go zanudzę, ale domagał się szczegółów i wkrótce opisywałam mu to, za czym najbardziej tęskniłam: przytulny mroczny bar na East Village, samotne spacerowanie w niedzielne poranki po Moście Brooklińskim, robienie orłów na śniegu z Julią w parku Waszyngtona. Po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Pekinu trzy miesiące temu, rozmawiałam o rodzinnych stronach i z zaskoczeniem odkryłam, że myśl o Nowym Jorku nie wywoływała już bolesnego ukłucia. Kiedy Jeff pogładził moje ramię i powiedział, że musi już iść, nie mogłam uwierzyć, jak szybko przeleciał ten czas.

Później uświadomiłam sobie, że nawet słowa nie zamieniliśmy po chińsku.

Odwracam się z powrotem do komputera i znowu wzdycham. Od tamtej rozmowy w Starbucksie nie dostałam od niego nawet esemesa. Patrzę na ekran telefonu z nadzieją, że rozbłyśnie, ale nie dzieje się nic. Nic.

Dlaczego nie daje znaku życia? Chwileczkę. Przecież nawet mi się nie podoba. Ale dlaczego nie dzwoni? Kątem oka widzę wchodzącego Eda i z trudem przenoszę wzrok z powrotem na komputer.

- Praca nie zajac, nie ucieknie, prawda? - rzuca sarkastycznie Ed, patrząc znacząco na pusty dokument jaśniejący na ekranie.

Podskakuję. Jak tu się tak nagle zakradł?

- Nie, tylko... Próbuję wymyślić coś chwytliwego. - Jasne. Nie chciałbym, żebyś czuła się niewykorzystana...

O! Czy to ciastka księżycowe(Ciastka księżycowe (chiń. yuebing) - tradycyjne chińskie ciastka wypiekane na Święto Środka Jesieni, obchodzone piętnastego dnia ósmego miesiąca. Zwykle okrągłe lub sześciennie, wypełnione są różnorodnym nadzieniem i zdobione tradycyjnymi symbolami.)? - Oczy mu błyszczą na widok złoczonego pudełka niezniszczalnych przysmaków pełnych konserwantów, podarowanego przez menedżera działu reklamy hotelu Shangri - la. Nastroje Eda zmieniają się jak w kalejdoskopie, ale nauczyłam się już, że najlepiej na nie wpływa darmowa wyzerka.

- Poczęstuj się - wesoło podaję mu pudełko.

- Mmmmmmm! Solone kacze jajo... Uwielbiam to. - Zajada z apetytem. A potem zaczyna mamrotać, obsypując mnie okruszkami. - Geraldine wzięła wolne. Musisz ją dziś zastąpić. - Przez chwilę ogląda białawe wnętrze ciastka. - Ciekawe, jak oni to robią, że żółtko się nie psuje(Pomarańczowe żółtka solonych kaczyczych jaj, symbolizując księżyc, używane są do przyrządzania ciasteczek księżycowych.)...

- Co...

- Tina Chang - mówi. - O jedenastej. Kawiarnia w Pacific Century Place. Po chińsku to Ying Ke Zhongxin.

- Ale...

- Prześlę ci numer Tiny, żebyś mogła potwierdzić. Zadzwoń do Geraldine po więcej informacji - mamrocze i nie przestając zajadać wraca wielkimi krokami do gabinetu.

Dzwonię do Geraldine z taksówki i pośród jej kaszlu wyławiam użyteczne informacje. Tina Chang urodziła się w Pekinie, w

dzieciństwie wyemigrowała do Stanów, a po ukończeniu Uniwersytetu Stanforda wróciła do Chin.

- Zaczęła od tłumaczenia napisów do hollywoodzkich hitów. Potem pięła się w górę. Minęło pięć lat i została chińskim przedstawicielem Topanga Films. Jest twarda, to prawdziwa haigui (Haigui - wyrażenie jest rodzajem kalambura, słowo hai oznacza morze, a gui (żółw) jest homofonem słowa gui (wracać). Stąd wyrażenie może oznaczać zarówno żółwia morskiego, jak i osobę powracającą zza morza.). Bardzo agresywna, wiele osób jej nie znosi.

- Co to jest haigui?.

- To Chińczyk, który wyemigrował, a teraz wraca. Dosłownie znaczy „żółw morski”.

- Aha. - Zapisuję słówko w notesie.

Taksówka zatrzymuje się na czerwonym świetle, patrzę za okno. Z rozczarowaniem poznaję, że jesteśmy dopiero w Chaoyangmen. A potem w oczy rzuca mi się billboard. Wysoko na tle nieba widnieje gigantyczna fotografia długonogiej kobiety bawiącej się z dziećmi na trawie; złote włosy błyszczą w słońcu. ZOSTAŃ

GOSPODARZEM CUDZOZIEMCÓW W APARTAMENTOWCU MILANO

CHAMPAGNE - brzmi slogan. Coś w sylwetce modelki wydaje mi się znajome...

- O Boże! - piszczę, przerywając Geraldine etymologiczny wywód na temat żółwia morskiego. - Czy to ty? Na billboardzie?

- Jesteś teraz na Chaoyangmen Nei? Tak... - potwierdza niechętnie. - Mój znajomy, Xiao Pan, potrzebował cudzoziemki do kampanii - wzdycha. - Wygląda jak reklama rasy aryjskiej. Zawsze, kiedy jadę tędy na rowerze, aż się skręcam.

- Jesteś supermodelką - żartuję.

- Tylko w Chinach. - Ni to śmieje się, ni to wzdycha.

- A ta Tina Chang? To kolejna opowieść o sukcesie made in China?

- Ona na pewno tak uważa. Próbujemy dostać się na plan następnego filmu Maksa Zhanga, a ona jest prawdziwym cerberem.

- Czyjego filmu?

- To sławny reżyser - wyjaśnia cierpliwie. - Z Tajwanu. Nakręcił Wschód jest czerwony z Zhang Ziyi (Zhang Ziyi - ur. w 1979 r. chińska aktorka, wystąpiła m.in. w filmach Przyczajony tygrys, ukryty smok. Dom latających sztyletów, Wyznania gejszy.).

- Mmm... - Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.
- A ten film o ekscentrycznej rodzinie Brytyjczyków? Nancy Mitford?

- W pogoni za miłością? Uwielbiam go!
- Ale z ciebie anglofilka. - Głośno smarka. - Przepraszam.
Wracając do tematu, Max po raz pierwszy kręci tu, w Chinach, więc będzie trochę kontrowersji.

- Świetny temat na artykuł.
- Zgadza się - urywa na chwilę. - Powinnaś o czymś wiedzieć. Tina i Jeff Zhu byli kiedyś zaręczeni. Rozstał się z nią w zeszłym roku i z tego, co wiem, wciąż ją to gryzie. Dlatego nie wspominaj o nim. Lepiej nie zadzierać z zazdrosną chińską eks.

Kiedy pada imię Jeffa, czuję dreszcz.

- Rozmawiałaś z nim? - pytam niby mimochodem.
- Nie... A co? Myślałam, że nie jesteś zainteresowana? - Pyta z nutką ironii.

- Bo nie jestem zainteresowana. Tylko wiesz... ciekawa.
- W każdym razie nie wspominaj o nim przy Tinie za żadne skarby. Dostałaby szału.

- Denerwuję się.
- Zadzwoń, jak skończysz.

Po mozolnym pokonaniu pięciu kolejnych zakorkowanych przecznic taksówka wreszcie zatrzymuje się przed olbrzymim betonowo - szklanym centrum handlowym. Odnajduję znajomy zielony daszek i po przejściu przez obrotowe drzwi zanurzam się w zapachu kawy oraz... papierosów? Chwileczkę, myślałam, że w Starbucksie nie wolno palić. Rozglądam się po stolikach i krzesłach z jasnego drewna, patrzę na długi kontuar z ciastkami za szkłem i lśniącem ekspresem do kawy i krzątających się baristów w zielonych fartuszkach. Potem mój wzrok trafia na logo na tablicy z menu: SPR COFFEE. Wygląda na to, że Starbucks dorobił się w Chinach naśladowcy.

Geraldine dość ogólnikowo opisała mi Tinę: średniego wzrostu, szczupła, ale nie chuda, długie czarne włosy. Charakterystyka pasuje do połowy klientek. Przez sekundę wyobrażam sobie, że podchodzę do każdej młodej kobiety, pytając: „Tina Chang?”.

Patrzę na wysuszone ciasta za szybą i zastanawiam się, co robić. Spośród zgromadzonych tutaj szczupłych młodych kobiet o długich

czarnych włosach tylko pięć nie ma towarzystwa. Dziewczyna numer jeden pod oknem niecierpliwie przerzuca strony chińskiego wydania „Vogue'a”. Dziewczyna numer dwa przy kontuarze bawi się komórką, popijając pienne cappuccino. Dziewczyna numer trzy patrzy w podręcznik do angielskiego, co jakiś czas rzucając zalotne spojrzenie białemu mężczyźnie siedzącemu obok. Dziewczyna numer cztery... z ulgą dostrzegam, że wita się z przyjaciółką. Dziewczyna numer pięć krzyczy do telefonu, marszcząc groźnie brwi. Bingo! Nie słyszę, co mówi, ale wygląda na agresywną.

Podchodzę i zatrzymuję się przy jej stoliku, nie mając śmiałości przerwać jej rozmowy.

- Przepraszam - piszczę. Odchrząkuję i próbuję znowu. - Przepraszam, Tina Chang?

Podnosi wzrok, mrużąc podejrzliwie oczy, przyciąga do siebie torebkę i kontynuuje rozmowę. Próbuję się roześmiać, ale nie zbyt mi wychodzi. Dziewczyna numer jeden podnosi wzrok znad „Vogue'a” i przygląda mi się, jak próbuję złapać oddech przy dystrybutorze mleka. Macha do mnie.

- O! To ty jesteś Tina! - wołam, czując, że się rumienię. Kolanem zaczepiam o krzesło i prawie na nią padam.

- Isabelle? - pyta z zaskoczeniem. Ma uroczy akcent, subtelną urodę lalki, delikatny nos, różane usta i wielkie oczy, o których już wiem, że są dziełem chirurgicznego skalpela. Patrzy na mnie, nie mrugając. Mam na sobie typowy redakcyjny strój: džinsy i koszulkę z głębokim dekoltem. Taki zestaw wyglądałby dobrze z właściwym obuwiem, na przykład z lekkimi sandałami albo balerinkami. Nie chcąc jednak narażać bosych stóp na pekiński brud, założyłam to, co zwykle, czyli solidne adidas, które z daleka wołają „mama z przedmieść”.

- Witam! - mówię głośno, próbując ukryć niepewność pod zbyt szerokim uśmiechem. - Miło cię poznać.

- Zhende shi qiguai! Women da dian hua de shi hou wo yiwei ni shi lao wai!

Nie od razu rozszyfrowuję, o czym ona mówi. A, tak: „to dziwne, przez telefon myślałam, że jesteś cudzoziemką”. Waham się.

- Mmm... Wo shi meiji hua ren. Yyy... wo de fuqin zai meiguo sheng de, suo yi... Yyy... shi yin wei... (Mmm... Jestem Amerykanką pochodzenia chińskiego. Yy... mój ojciec urodził się w USA, więc...

Yyy... dlatego...)

O matko, no to się wpakowałam. Czy w ogóle mówię z sensem? Czy Ed nie powiedział jej, że jestem Amerykanką? Tina patrzy, jak się męczę, a potem się uśmiecha.

- W porządku - stwierdza wreszcie. - Porozmawiajmy po angielsku.

Zakłada nogę na nogę i porusza stopą w taki sposób, że zauważam logo na podeszwie jej klapka na obcasie: Prada. Uśmiecham się uprzejmie.

- Isabelle... - Tina unosi wypiełgnowane brwi. - Opowiedz mi o sobie. Jak długo jesteś w Pekinie?

- Ja? Kilka miesięcy.

- Gdzie mieszkasz?

- O, w Rzymskich Willach - mówię, krzywiąc się wewnętrznie nad absurdalną nazwą.

- Na Dworze Kaliguli czy w Wieżach Pompejów?

- Na Dworze Kaliguli - przyznaję.

- Nieźle. A już miałam cię za dziewczynę gdzieś z Haidian (Haidian - dzielnica w północno - zachodniej części Pekinu, gdzie mieści się większość wyższych uczelni, zamieszкана w dużej części przez studentów.), a w każdym razie z jakiejś taniej dzielnicy. - Patrzy na moją dłoń.

- Nie masz obrączki. Jak to się stało, że dziewczynę taką jak ty stać na Rzymskie Wille?

Jej bezpośredniość mnie zatyka. Ale Tina jest niewzruszona.

- Nie przejmuj się, skarbie - mówi słodko. - Moje chińskie ja jest bardzo szczere. Nic na to nie poradzę. - Jej ton przypomina mi Claire i jej znajomych.

- Mieszkam z siostrą. - Patrzy na mnie wyczekująco, więc dodaję: - Claire Lee.

- Ha! Czyli jesteś meimei (Meimei (chiń.) - młodsza siostra.) Claire Lee? Czemu mi nie powiedziałaś?! - Jej twarz, jeden wielki uśmiech, jest teraz jeszcze groźniejsza. - To jedna z moich najlepszych przyjaciółek!

- Chyba wszyscy znają Claire... - wyjaśniam cicho i zastanawiam się, dlaczego, skoro są tak blisko, Claire nigdy mi o niej nie wspomniała.

- Powiedz mi... - Nachyla się, a jej perfumy zapierają mi dech.

- Co tam u Claire i Wang Weia?

- Mmmm... W porządku.

- Mówiłam Claire: co z tego, że jest jednym z najbogatszych ludzi w Chinach. Jeśli ten niewierny łajdak nie zaangażuje się na serio, rzuć go w diabły! Nie jest tego wart! A potem Sam widział go w Q Bar z Sophie Wang, wiesz, tą gwiazdeczką filmową z Hongkongu?

- Przerywa i patrzy na mnie wyczekująco; kiwam głową. - Powiedziałam Claire, że powinna wyciągnąć rzeźnicki tasak, ale ona na to, że on z Sophie rozmawiał tylko o interesach. Akurat!

Nadal się uśmiecham, ale serce mi się ściska. Miałam dotąd nadzieję, że Wang Wei to w gruncie rzeczy dobry, choć pogubiony facet, który po prostu musi się wyszaleć. Niestety rzeczywistość przedstawia się dużo gorzej.

- Istotnie bywa jakby zgaszona - mówię, wspominając tamten poranek w kuchni, kiedy wyglądało na to, że Claire zaraz wybuchnie płaczem.

- Wiedziałam! - Tina przysuwa się bliżej do mnie, a ja żałuję, że w ogóle otworzyłam usta. - Myślisz, że się rozstaną?

- Znasz Claire - kluczę wymijająco, pragnąc odgryźć sobie język. - Jest bardzo dumna.

- Fakt. - Tina kiwa głową. - Wszystko chowa gdzieś w środku. Wciąż jej powtarzam, żeby wyluzowała, otworzyła się, może skorzystała z psychoterapii, ale ona zawsze chce mieć kontrolę.

- Może właśnie dlatego jest tak dobrym prawnikiem - stwierdzam oschle, czując przyływ adrenaliny. Tylko ja mam prawo do krytykowania siostry.

- Ooo! Ona zna się na wielu sprawach, tylko nie na mężczyznach. - Tina wyjmuję z torebki Marlboro Lights. - Masz coś przeciwko?

Wyciąga papierosa i zapala, zanim mam szansę odpowiedzieć, i wydmuchuje dym w kierunku mojego ramienia.

- A ty? Masz kogoś?

- Ja? A, tak. Wiesz, jak to jest... Dopiero się wprowadziłam... - Wścibska krowa.

- Taka ładna dziewczyna? Jestem pewna, że szybko sobie kogoś znajdziesz. - Zaciąga się i patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem.

Jak to się stało, że nasze spotkanie skoncentrowało się na moim życiu osobistym? Próbuję zmienić temat.

- Co do artykułu...

- A tak. Koniec plotek. - Tina prostuje się na krześle i strąca popiół na podłogę. - Powiem szczerze, że ciągle nie wiemy, czy dać wam dostęp. Zdjęcia zaczynają się za kilka tygodni i musimy z wyprzedzeniem otrzymać pytania do wywiadu. Będziemy też musieli autoryzować artykuł. Ponadto - ciągnie rzeczowym tonem - postanowiliśmy przenieść plan do prowincji Shanxi (Shanxi - prowincja w środkowych Chinach, główny region wydobywania węgla kamiennego.), więc będziecie musieli dostać się tam we własnym zakresie.

- Shanxi?

- Mamy oczywiście zakwaterowanie dla ekipy, ale filmujemy podczas Międzynarodowego Festiwalu Sztuki w Pingyao, więc większość hoteli jest już zajęta. Lepiej od razu załatwiać rezerwacje.

Zapisuję wszystko, kiedy nagle rozdzwonia się moja komórka. Patrę na ekran. Jeff. Moje serce przepelnia radość, ale zaraz potem panika. Że też musiał zadzwonić akurat teraz!

- Nie odbierzesz? - Tina patrzy na telefon, który buczy i pika. Co robić? Co robić? Tak pragnę porozmawiać z Jeffem. Ale jeśli odbiorę, ona może wszystko odwołać. Geraldine i Ed ucieliby mi za to głowę.

Z oporem naciskam „Odrzuć”, wtrącając Jeffa w komórkową nicość.

- To nikt ważny - zapewniam Tinę z uśmiechem.

- Myślisz, że wiedziała, kto dzwoni? - Głos Geraldine trzeszczy w słuchawce. - Mówię ci, ona ma sokoli wzrok.

- Spokojnie. Nie miała pojęcia. Za bardzo pochłaniała ją życie prywatne Claire. Tak czy owak - zmieniam temat - jak się czujesz? Byłaś u lekarza?

- Poszłam wczoraj do mojego ziołarza - mówi Geraldine, kaszląc.

- Zaordynował mi chiński lek. Buteleczkę z takim ciemnym i słodkim płynem.

- Hm, nie sądzisz, że powinnaś pójść do lekarza z prawdziwego... do lekarza medycyny zachodniej?

- Po co? To kompletna strata czasu i pieniędzy. Zresztą dziś po południu mam mokkę (Leczenie mokką to popularna w Azji terapia, pokrewna akupunkturze i akupresurze; ma właściwości przeciwskurczowe i przeciwbólowe.) i wszystko powinno być w

porządku.

- Mokse? To te igły, które wbijają ci w plecy?

- Nie - wyjaśnia cierpliwie. - Moksą polega na usunięciu toksyn z ciała za pomocą szklanych baniek. Na całych plecach będę miała malinki. Przy odrobinie szczęścia do niedzieli będę jak nowa.

Od kilku tygodni Geraldine przygotowywała się na Święto Środka Jesieni (Święto Środka Jesieni (chiń. Zhongqiujie) - jedno z najważniejszych świąt w tradycyjnym kalendarzu chińskim, obchodzone piętnastego dnia ósmego miesiąca. Wywodzi się z tradycyjnych kultów lunarnych i obrzędów rolniczych. Podczas Święta Środka Jesieni tradycyjnie piecze się ciasteczka księżycowe (yuebing).), które zamierzała uczcić imprezą u siebie, w odnowionym domu z dziedzińcem, który według słów Gaba był nietkniętym zakątkiem dawnego Pekinu. Budynek kryje się w labiryncie wąskich hutongów w dzielnicy Back Lakes i w przeciwieństwie do innych starych domów, które w czasie rewolucji kulturalnej zostały podzielone, stanowi całościowy kompleks czterech budynków z przestronnym dziedzińcem.

- Mówiłam ci, że zaprosiłam Jeffa? - rzuca.

- Tak - mówię, przekładając telefon do drugiego ucha.

- Dostałam dziś od niego mejla. Pytał o ciebie.

- Naprawdę? - Usta rozciągają mi się w uśmiechu.

- Pisze, że lubi, kiedy kobiety udają trudne do zdobycia.

- Nie jestem pewna, czy to właśnie robię.

- Pisze, że jesteś intrygująca.

Hm. Intrygująca. Oczywiście nie interesuje mnie jego zdanie.

W niedzielę rzeński wiatr rozwiewa zanieczyszczenia, odsłaniając czyste błękitne niebo. Przesiaduję w kuchni nad kubkiem herbaty earl grey, ciesząc się ciepłem słońca na plecach i rozwiązując krzyżówkę. Wpisuję w siedemnaście poziomo „rzeka w Paryżu” S - E - K - W - A - N - A i myślami wracam do Charliego. Nie dostałam od niego wiadomości od naszej przerwanej randki i nie mam pojęcia, czy wciąż jest w rozjazdach, czy też po prostu mnie unika. Rozglądam się za nim często przy kiosku w holu, ale stoi tam tylko stojak pełen egzemplarzy „International Herald Tribune”.

Claire wchodzi do kuchni w niebieskim welurowym dresie; spod bluzy miga pasek płaskiego brzucha.

- Cześć, skarbie - mówi, otwiera lodówkę i zagląda do środka. -

Szlag. Nie mamy mleka.

- Wybieram się do Jenny Lous, to kupię.

- Pojadę z tobą. Poczekaj chwilę, zaraz będę gotowa, okej?

Godzinę później siedzimy na tylnym siedzeniu srebrnego audi

Claire, a jej kierowca, Wang, męczy się z ruchem ulicznym. Claire wyciąga puderniczkę i nakłada kolejną warstwę szminki.

- Chcesz? - pyta, nie odrywając wzroku od lusterka.

- Nie, dziękuję.

Przed wyjściem wytuszowałam rzęsy i zamieniłam bluzę z kapturem na różowy kaszmirowy sweter i ciemne dżinsy. Specjalne przebieranie się na zakupy spożywcze może wydawać się przesadą, ale patrząc teraz na seksowny podmiejski ubiór Claire - markowy dres, sandały na płaskim obcasie, zmierzwione kunsztownie włosy i makijaż ze wszystkimi szykanami - wiem, że postąpiłam właściwie. Claire z trzaskiem zamyka puderniczkę i odgarnia włosy za uszy; w świetle poranka lśnią diamentowe kolczyki. Dostała je od rodziców za zdanie egzaminu na Yale. Kamienie były tak duże, błyszczące i wspaniale oszlifowane, że nazywałam je Elizabethami Taylor. Wciąż pamiętam, kiedy je dostała. Leżały na paterze w czerwonej, oprawionej w skórę szkatułce przewiązanej białą atłasową wstążką. Claire spojrzała na szkatułkę, a my na Claire.

- Otworzysz? - spytała wreszcie matka.

Z poważnym wyrazem twarzy Claire podniosła powoli pudełeczko i rozwiązała wstążkę. Uniósłszy wieczko, delikatnie dotknęła końcem palca jednego z brylantów.

- Podobają ci się? - Mama wyciągnęła jeden kolczyk i poruszyła nim w świetle. - Prawda, że piękne?

Patrzyliśmy, jak błyski światła skaczą po ścianach.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie i włożyła je.

- Świetnie wyglądasz, skarbie - powiedział tata.

- Pamiętasz, jak obiecałam ci je, jeśli dostaniesz się na prawo? - rozpromieniła się matka. - Jesteśmy z ciebie tacy dumni.

- Dziękuję - powtórzyła Claire i nabrała łyżką gorzkiego melona w sosie z czarnej fasoli.

- Czy nie jesteś dumna ze swojej siostry? - zwróciła się do mnie matka. - Może pójdziesz w jej ślady. Claire na pewno pomogłaby ci przygotować się do egzaminów na studia prawnicze.

Udałam, że jestem zajęta pałeczkami. Miałam szesnaście lat i nie

myślałam jeszcze o swoich egzaminach, a co dopiero o studiach prawniczych.

- Zastanawiałaś się już nad tym, co będziesz robić po szkole? - naciskała mama.

Wzięłam pałeczkami kawałek wieprzowiny, przeżułam i połknęłam.

- Nie wiem... Może będę zajmowała się publicystyką prasową? - Nie byłam pewna, na czym to polega, ale z pewnością lubiłam czytać.

- Publicystyka prasowa! - Mama wybałuszyła oczy. - Nigdy z tego nie wyżyjesz! Powiedz jej, Claire.

- Nigdy z tego nie wyżyjesz - powtórzyła moja siostra obojętnym tonem.

Teraz dotykam swoich uszu, z których nic nie zwisa. W przeciwieństwie do Claire nie starałam się nawet dostać do żadnej z uczelni Ivy League. Zamiast biżuterii otrzymałam od matki rozczarowanie, które dotyczyło całych moich studiów, pracy i znajomych. Teraz w samochodzie patrzę na brylanty siostry. Gdyby pracowitość mogła lśnić, lśniłaby jak te kolczyki.

Po wejściu do Jenny Lou's każda z nas bierze koszyk i rozchodzimy się między regały. Jenny Lou's, J - Lou's, J - Ho's, bez względu na nazwę ten sklep jest szalupą ratunkową dla mieszkających w Pekinie obcokrajowców. Geraldine przyprowadziła mnie tu kilka dni po naszym poznaniu się, a ja z ulgą dostrzegłam na półkach pozbawione kości i skóry piersi kurczaka, płatki śniadaniowe i herbatę w torebkach Twinings. W tym sklepie banknoty łatwo wydaje się na to, za czym tęsknimy najbardziej: na smak i dotyk domu. Teraz snuję się po alejce z makaronami, zaglądam na stoisko z serami, przyglądając się kawałom gorgonzoli i trójkątom brie. Patrzę na szeregi butelek win ze starego i nowego świata, słoiki Nutelli, stoisko owocowo - warzywne z awokado i świeżą bazylią.

Plotki głoszą, że Jenny, przedsiębiorcza młoda kobieta z prowincji Anhui, zarabiała kiedyś na życie, sprzedając koper, bazylię i miętę na lokalnym targowisku. Minęło dziesięć lat i szefuje prawdziwemu imperium złożonemu z pięciu sklepów noszących jej imię.

Kończę zapamiętać koszyk i odnajduję Claire przy kasie. Musiała sporo czasu spędzić w dziale z napojami. W koszyku ma:

słodzoną zieloną herbatę - 12 butelek

odtłuszczone mleko - jeden kartonik
płatki śniadaniowe ekologiczne - jedno pudełko

Widzę, że zagłąda do mojego koszyka i marszczy brwi, jak gdyby próbowała podliczyć kalorie. Mój koszyk zawiera:

parmigiano - reggiano - kawałek godny głodnego jaskiniowca

spaghetti - dwie paczki

pełnotłustą ricottę - dwa opakowania

mrożony szpinak - jedna torba

jajka - tuzinsolone masło - kilogram

oliwę z oliwek extra virgin - duża butelka

- Ojej! Sporo nabiału! - woła, znacząco patrząc na moją talię. - Jesteś pewna, że chcesz...

Urywa. Widzę, że waży słowa, jak przystało na przemądrzałą starszą siostrę, i czuję przyływ znajomego gniewu. Dlaczego jest taka zadowolona z siebie? Dlaczego zawsze czuję się tak, jak gdyby to ona postępowała właściwie, a ja trułam się nasyconymi kwasami tłuszczowymi?

- Jesteś strasznie krytyczna - rzucam. - Dlaczego zawsze to robisz?

Wzrusza ramionami i rozchodzimy się do różnych kas. Potem z zakupami jedziemy do domu w milczeniu.

14:00. Stoję nad zlewem w kuchni, wyciskając rozmrożony szpinak. Geraldine poprosiła, żebym na jej imprezę świąteczną przyniosła pierożki i oczywiście się zgodziłam. Jest tylko jeden problem: nie wiem, jak się robi chińskie pierożki, a nie mam azjatyckiej książki kucharskiej. Rozwiązanie? Szpinakowo - serowe ravioli. W końcu każdy wie, że Marco Polo ukradł ravioli z Chin. Kiedy ludzie słyszą, że lubię gotować, zawsze pytają, czy przyrządzam chińskie potrawy, i bardzo są zaskoczeni, gdy mówię, że nie. „Dlaczego nie?” pytają, unosząc brwi, jak gdyby chińskie przepisy kulinarne przekazywane były genetycznie wraz z czarnymi włosami i skośnymi oczami. Nauczyłam się ignorować to pytanie uśmiechem i wzruszeniem ramion, odkąd miałam osiem lat i mieszkaliśmy obok Melanie Stansfield.

Nie byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Ona lubiła bawić się lalkami Barbie, podczas gdy ja chciałam przerabiać ich suknie balowe na minispódniczki przy pomocy nożyczek. Mieszkałyśmy jednak blisko, więc oczywiście bawiłyśmy się razem. Bardzo często u niej

jadałam. Jej matka serwowała wołowinę duszoną z warzywami i ziemniaki puree albo klopsy. Melanie skubała potrawy, ale ja zawsze opróżniałam talerz do czysta, rozkoszując się zwyczajnością tego jedzenia - było takie, jakie widziałam w telewizji. Pewnego dnia, aby się odwdzińczyć, moja matka zaprosiła Melanie na obiad. Ciągle pamiętam tamto uczucie paniki i marzenie, żeby czym prędzej wróciła do domu.

Ale Melanie nie wróciła do domu. Usiadła przy okrągłym kuchennym stole, zbyt szybko zakreśliła obrotową tacą i patrzyła, jak posługujemy się pałeczkami, podczas gdy ona walczyła z jedzeniem za pomocą widelca i noża. Wybałuszyła oczy na widok grubołodowego smażonego jielan - to chińskie brokuły, wyjaśniła moja matka - i myślałam, że zacznie krzyczeć, kiedy na stół wjechała ryba na parze z otwartym pyszczkiem i nieruchomym okiem. Sięgnęła łyżką po mapo tofu i nie zdołała powstrzymać łez, gdy czili dotknęło jej nieprzyzwyczajonego języka. Zaś żeberka w sosie z czarnej fasoli ukryła w serwetce. Patrzyłam, jak męczy się z jedzeniem, i czułam zawstydzenie tym posiłkiem, który w oczach Melanie nie był wcale egzotyczny, tylko dziwaczny.

Kilka dni później, kiedy byłam u Melanie po szkole na przekąsce złożonej z razowych krakersów i mleka, jej matka zwróciła się do mnie.

- Co zwykle jesz w domu na obiad, Isabelle? - Spojrzała na mnie ciekawie, jak gdyby dopiero teraz zorientowała się, że jestem Chinką.

- Ach, chińskie jedzenie. - Próbowałam uniknąć szczegółów.

- Czy to, co ostatnio jadła u was Melanie, to było tofu?

- Tak. Chyba tak.

- Aha. - Zabrała się za opróżnianie zmywarki i rozmowa się zakończyła.

Po tamtym posiłku Melanie oddaliła się ode mnie, tak jak to potrafią tylko małe dziewczynki. Zaczęła spotykać się z inną naszą sąsiadką, Anną Carpenter, i czasem widziałam, jak patrzą na mnie z oddali, szepcząc coś i chichocząc. W domu nadal jadłam chińszczyznę - nie miałam wyboru - i smakowało mi, ale każda miseczka ryżu, każda różowa krewetka o cienkich czułkach i chrupkiej skorupce, każdy miękki kawałek tofu stał się symbolem mojej chińskości, tego czegoś, co sprawiło, że byłam dziwnie, lecz niezaprzeczalnie inna od rówieśników.

Kiedy gotowałam już sobie sama, etniczne jedzenie było w modzie. Jako studentka na Uniwersytecie Nowojorskim jeździłam z przyjaciółmi do Jackson Heights, zajadaliśmy masale dosy (Masala dosa - południowoindyjskie danie, rodzaj nadziewanego naleśnika z soczewicy i mąki ryżowej.), oszczędzaliśmy na słoiki z confit z kaczki i kupowaliśmy w Chinatown trawę cytrynową. Próbowałam wszystkiego, od kuchni francuskiej po filipińską, a każdy kęs był przygodą. Oczywiście zdarzała się też chińszczyzna, ale ciągły kontakt z nią od czasów dzieciństwa sprawił, że mi spowszedniała. Nigdy nie miałam na nią apetytu. I nigdy jej nie przyrządzałam.

Teraz otwieram poplamione strony mojej ulubionej książki kucharskiej, Kuchnia wioska Donatelli, którą przywiozłam z Nowego Jorku. Wypróbowałam chyba wszystkie przepisy poza świeżym spaghetti, na które zawsze, miałam ochotę.

Świeże ciasto typu pasta - to brzmi skomplikowanie, czytam, ale wcale takie nie jest. Super! Kiedy już człowiek nabierze wyczucia właściwej konsystencji ciasta, można robić tak pyszne spaghetti, że nawet Marco Polo byłby pod wrażeniem. No proszę, znów Marco Polo! To musi być omen.

Okej, przepis... trzy filiżanki mąki. Szukam kubka do odmierzania. Hmm. Nie ma go przy blachach do pieczenia, nie ma go przy kubkach. Przeszukuję wszystkie kredensy, odkrywając płyn do soczewek kontaktowych, paski do wybielania zębów oraz kłęb przedzy, która albo jest zarzuconą robótką, albo awangardową rzeźbą - trudno wyczuć. Ale kubka do odmierzania nie ma.

No nic, będę musiała to zrobić na oko. Zresztą i tak chodzi głównie o proporcje, prawda? Biorę pierwszy lepszy kubek i sypię mąkę na blat, krzywiąc się na widok białej smugi na podłodze. Claire dostałaby zawału na widok bałaganu, ale na szczęście nie ma jej w domu - jak tylko wróciliśmy ze sklepu, poleciała na kawę ze swoją przyjaciółką Samantha. Rozprowadzam mąkę po blacie, znów rozsypując trochę, tym razem na skarpetki. Ubić jajka, oliwę, sól i powoli dodać do mąki. Na razie nieźle. Zaczynam wszystko razem mieszać, próbując opanować mąkę, która kieruje się własną wolą. Wyrabiać, aż ciasto odlepi się od widelca. Widelca? Miałam użyć widelca? I dlaczego wszędzie wała się mąka? Pokrywa szafki białawym nalotem, opada na podłogę, wypełnia powietrze pyłem dziwnie przypominającym pekiński smog. Gdybym nie znała prawdy,

powiedziałabym, że ktoś tu ostro daje czadu z kokainą.

Patrzę z rozpaczą na ciasto, które wyrobiłam. Ma gabaryty pomidora. Koktajlowego.

Co robić? Obiecałam Geraldine, że przywiozę pierożki. Ciągające się nadzienie z ricotty i szpinaku (psychota, zwłaszcza po tym, jak dodałam odrobinę gałki muszkatolowej) patrzy na mnie tęsknie z miski i woła o ciasto. Nagle doznaję olśnienia. Porywam torebkę i zbiegam na dół do naszego małego spożywczaka, mając nadzieję, że Claire nie wróci, zanim posprzątam kuchnię.

Pieprzony Hipolit Świerszcz. Wracam ze sklepu i w kuchni wpadam na Claire stojącą z wyrazem kompletnego zdumienia na twarzy.

- Isabelle... - Opiera się ciężko o blat. - Co tu się dzieje?

- Przepraszam przepraszam przepraszam przepraszam przepraszam - bełkoczę. - Chciałam zrobić ravioli i mąka się wszędzie rozsypała, cholerstwo mnoży się jak króliki... - Patrzę badawczo na jej twarz. Czy jest zła?

- Co zamierzasz zrobić? - szepcze.

- Posprzątam. Obiecuję. Naprawdę cię przepraszam, Claire. To był wypadek...

- Co z ravioli? - pyta słabym głosem.

- Wszystko w porządku. Wszystko pod kontrolą. - Wyciągam z torby paczkę gotowego ciasta pierożkowego. - Przynajmniej to mają w tym naszym kiepskim sklepiku.

Claire wbija wzrok w paczkę.

- Zamierzasz wykorzystać ciasto do jiaozi (Jiaozi - tradycyjne chińskie pierożki, nadziewane zazwyczaj mięsem z dodatkiem warzyw; w poszczególnych regionach Chin różnią się między sobą składem ciasta, nadzieniem i kształtem. Są podstawowym daniem podczas chińskiego Nowego Roku.)?

- Czemu nie? Będą takie marcopolowo - czyngischanowo - serowo - chińsko - włoskie jiaozi (Marco Polo (1254 - 1324) - kupiec wenecki, podróżnik; jeden z pierwszych Europejczyków, który dotarł do Chin, przemierzając Jedwabny Szlak. W tym czasie Chiny były w większej części opanowane przez Mongołów, w wyniku podbojów Czyngis - Chana i jego wnuka Kubilaja. Według niektórych źródeł za sprawą najazdów mongolskich pierogi dotarły z Chin do Europy Środkowej i Wschodniej.) Czyste fusion.

Cisza. A potem ku mojemu zdumieniu Claire wybucha śmiechem.

- Wiesz, co mi to przypomina? - pyta.

Wiem doskonale i śmieję się na samo wspomnienie.

- Kiedy prosiłyśmy mamę, żeby zrobiła klopsa?

- A ona uznała, że przepis jest za nudny i ciągle dodawała coś od siebie...

- Imbir i czosnek, grzyby shitake, wodne kasztany, curry...

- I pastę czili Lee Kum Kee (Lee Kum Kee - chińska marka producentów sosów i przypraw.)!

- A potem jeszcze dodała bekonu i sosu hoisin! (Hoisin (chiń. haixian, „owoce morza”) - ciemnobrązowy sos o słodko - pikantnym smaku. Podawany do dań z grilla oraz jako dip do maczania kawałków mięsa i warzyw. Popularny zwłaszcza w kuchni kantońskiej.) To była... azjatycka wersja klopsa.

- Taak. Wyprzedzała epokę. - Claire śmieje się i ściera spod oczu rozmazany tusz. - Wiesz, myślałam wtedy, że tak właśnie ma smakować klops, i gdy potem spróbowałam go w szkolnej stołówce, okazał się nijaki i byłam rozczarowana.

- Hej! - Podekscytowana strącam kolejną porcję mąki na podłogę. - Powinnyśmy zaprosić ludzi na klopsową imprezę! Orientalny klops mamy kontra ten według przepisu z pudełka zupy cebulowej Lipton. Geraldine i Gab by szaleli. Mogłybyśmy wziąć przepis od mamy.

- Przepis? O, chyba nie było przepisu. - Claire bawi się telefonem.

- Tak czy owak powinnyśmy ją zapytać. Następnym razem jak będziemy dzwonić do domu.

- Tak. Racja.

Ale rozbawienie zniknęło już z twarzy Claire zastąpione zniecierpliwieniem. Czy powiedziałam coś nie tak? Czy to dlatego, że wspomniałam o telefonie do mamy?

- Claire... - Milion pytań ciśnie mi się na usta. Co się dzieje między nią a matką? Dlaczego Claire przeprowadziła się do Chin i zniknęła z życia naszej rodziny? Ale nie potrafię wykrztusić ani słowa.

- Mmm? - mruczy, ale pochłania ją telefon. - Halo? Wei? - Jej twarz się rozpromienia. „Wang Wei”, informuje mnie bezgłośnie i wychodzi.

Obiecałam Geraldine, że przyjadę wcześniej, by pomóc jej wszystko przygotować, ale oczywiście taksówkarz traci orientację w labiryncie hutongów za Gulou Dajie. Co rusz zatrzymuje samochód i pyta wesoło o drogę. Suniemy wąskimi uliczkami, aż wreszcie zatrzymujemy się na obskurnym skrzyżowaniu. Mieści się tu drukarnia - sterty papieru gazetowego sięgają dachów, a powietrze drży od nieustannego szumu maszyn.

- Na'r! - pokazuje kierowca. Tam!

- Na pewno? - pytam z powątpiewaniem.

- Tak pisze! - Potrząsa kartką z zapiskami, która pełna jest pajęczych ideogramów. Rzucam okiem na angielski: na Heping Fandian skrócić w lewo, przy pierogami w prawo, a potem pieszo przez drukarnię Beijing Daily do tylnej bramy.

- Okej... - Płaczę, biorę rzeczy i wysiadam.

- Man zou - rzuca za mną. Spokojnie.

Za budynkiem drukarni wznosi się wysoki ceglany mur z rdzewiejącą bramą. Po obu stronach wiszą czerwone latarnie, których blask odbija się w popękanej czarnej farbie. Przekładam torby, żeby mieć jedną rękę wolną, i dzwonię. Po dłuższej chwili zawiasy zgrzytają i moim oczom ukazuje się Geraldine w błękitnej lnianej sukience na ramiączkach.

- Witaj! - woła, jednocześnie obejmując mnie i biorąc jedną torbę. - Co tam masz? - pyta i wyjmuje butelkę. - Australijski Shiraz! O, nie trzeba było.

Kiedy wchodzę, omal nie puszczam toreb ze zdumienia. Za ceglanym murem i odpychającą furtką rozciąga się tajemniczy ogród, cichy dziedziniec porośły trawą i ocieniony szumiącymi liśćmi starego miłorzębu. Po każdej z czterech stron stoi budynek, tworząc tradycyjny siheyuan (Siheyuan - tradycyjna zabudowa w Chinach, składająca się z dziedzińca otoczonego z czterech stron zabudowaniami, w tym bramą wejściową przylegającą do wąskiej uliczki. Charakterystyczne zabudowania pekińskich hutongów.), czyli czterostronny dom - każde skrzydło zdobią grube szkarłatne filary, po których oko samo się wspina ku dostojnym malowanym okapom. Z drzew zwieszają się kolorowe lampiony, a z boku dziedzińca stoi mongolska jurta, w której wnętrzu widać kolorowe dywany i kilimowe poduszki. Po drugiej stronie stoi długi stół zastawiony jedzeniem: są tu patery z papajami i mangostanami (Mangostan

(garcynia, smaczelina) - tropikalny owoc drzewa *Garcinia mangostana* o bardzo smacznym słodkim smaku; posiada także właściwości lecznicze. Plantacje znajdują się w Azji Południowo - Wschodniej.), duże misy czipsów, mniejsze z wasabi oraz wysokie szklane dzbany pełne pastelowych soków.

- Geraldine! - szepczę zdumiona. - To jest... - szukam właściwego słowa - to jest chińska bajka!

- Fakt, jest tu uroczo, ale instalacja wodna woła o pomstę do nieba. Zostaw torby, pokażę ci resztę.

Prowadzi mnie do najbliższego budynku i otwiera drzwi o szybkach w kształcie rombu.

- To salon - mówi. Obie ściągamy buty. Parawany z papieru ryżowego rozpraszają światło wpadające przez okna, przez całe pomieszczenie ciągnie się biała kanapa. Sufit podpierają szkarłatne filary, a podłogi ze szlifowanego betonu pokrywają grube sinkiańskie dywany (Xinjiang - region autonomiczny w północno - zachodnich Chinach, gdzie krzyżowały się drogi handlowe Jedwabnego Szlaku z licznymi ośrodkami produkcji dywanów. Słynne dywany sinkiańskie są bardzo cenione; znajdują się w kolekcjach wielu muzeów na świecie.) o zgaszonych kolorach i skomplikowanych wzorach. Wszędzie widać skarby, które Geraldine wygrzebała na pchlim targu Panjiayuan: na zestawie rzeźbionych stolików wsuwanych jeden pod drugi stoi poobijany gramofon z trąbką, na biblioteczkę człapie stadko nefrytowych słoni, w srebrnych ramach widnieją rodzinne fotografie. Dalej długi stół z drewna klonowego ugina się pod ciężarem listów, gazet, pism oraz wazy pełnej wonnych białych lilii.

Zewsząd spoglądają na mnie dzieła sztuki. Wielkie abstrakcyjne malowidła przedstawiające śmiałe plamy koloru kontrastują z białymi ścianami. Szereg bezgłowych popiersi Mao beznamiętnie strzeże biblioteczki, a wielka i jaskrawa fotografia pekińskiej aglomeracji opiera się o stół. Nawet swoim dyletanckim okiem rozpoznaję dzieła największych gwiazd pekińskiej sztuki: tu Ai Weiwei (Ai Weiwei - ur. 1957 r. chiński artysta, architekt, kurator sztuki i krytyk.), tam Wang Guanyi (Wang Guanyi - ur. 1956 r. chiński artysta, lider New Art Movement (tzw. pop polityczny), dominującego kierunku w sztuce plastycznej współczesnych Chin.), wszystko wybrane bezbłędnym okiem Geraldine.

- Jak pięknie - szepczę.

- Pomieszczenia nie są połączone, więc musimy wyjść na zewnątrz, żeby przejść dalej.

- Jak tu jest w zimie? - pytam, wychodząc na dziedziniec.

- Przerażliwie zimno - odpowiada, otwierając drzwi sypialni. Rzeźbione drewniane wezgłowie lśni czarnym lakierem, po bokach stoją ozdobne, lakowane na czerwono szafki. Na łóżku leżą jedwabne poduszki o subtelnym niebieskozielonym odcieniu, a z góry zwiesza się skłębiona masa moskitiery.

Czuję się, jakbym zaglądała w przeszłość - albo do katalogu Shanghai Tang (Shanghai Tang - międzynarodowa sieć ekskluzywnych sklepów z odzieżą, utworzona w 1994 r. w Hongkongu, lansująca chiński styl mody.). Jakim cudem z kiepskiej redakcyjnej pensji stać ją na takie bogactwo?

- Wszystko dzięki mojemu byłemu mężowi - mówi, odpowiadając na moje niezadane pytania. - Takie są przywileje związane z byciem synem członka politbiura. Nie martw się, to nie jest ich rodzinny dom - zapewnia mnie, widząc moje zdumione spojrzenie. - Sama wyszukałam ten budynek i Andy podarował mi go w prezencie ślubnym. Kiedy się rozstaliśmy, bez zwłoki kupił sobie mieszkanie na ostatnim piętrze w tych nowych apartamentowcach niedaleko parku Chaoyang. Tę norę zostawił mnie.

- Nie było mu żal? Śmieje się krótko.

- Gdzie tam. Nie znosił tutaj mieszkać. W lecie upał, w zimie mróz, żadnego portiera, żadnego internetu bezprzewodowego, telewizji satelitarnej... - Odlicza powody na palcach. - Mówię ci, nie posiadał się z radości, mogąc wyrwać się ze szponów tej pieprzniętej amerykańskiej żony... i ukryć w ramionach swojej drobnutkiej kochanki. - Przeciera ręką twarz. - Nieważne, ten dom, moje alimenty to nic w porównaniu z fortuną rodziny Zhao. Oni po prostu nie chcą żadnych mafan(Mafan (chiń.) - kłopot.), żadnych kłopotów z mojej strony.

Wychodzi na dziedziniec.

- Tam jest kuchnia i jadalnia! - woła. - Jeszcze nie zdążyłam ich urządzić.

Wciskamy się do kuchni, manewrując między ayi Geraldine i armią kateringowców. Pomieszczenie jest przestronne, ale zużyte, podłogę pokrywa poplamione linoleum, a olbrzymi ceramiczny zlew przyćmiewa rozmiarami gazową kuchenkę. Między zlewem a

drzwiami stoi pralka, ale nie ma suszarki ani piekarnika. Resztę pomieszczenia wypełnia okrągły stół, którego gładki drewniany blat lśni w świetle jarzeniówek.

Przekazuję moje jiaozi - ravioli w ręce ayi.

- Shi ni zuo de ma? - pyta, podnosząc do oczu jeden pierożek. Sama zrobiłaś?

- Dangrang le! - woła Geraldine.

Oczywiście! Wygania mnie z kuchni, zanim mam szansę wytłumaczyć, że chcę zrobić do nich specjalny sos maślano - szałwiowy.

- Planuję wymienić w kuchni podłogę - myśli na głos Geraldine, gdy huśtamy się na drewnianej huśtawce zwieszającej się z miłorzębu.

- Wstawić kuchenkę, blat...

- Co jest w czwartym budynku?

- Magazyn - krzywi się. - Mój były miał aspiracje mecenasa sztuki. Zgromadziliśmy tyle rzeczy, że nie mam dość miejsca na ich wystawienie.

- Co to za rzeczy?

- Malowidła, fotografie, rzeźby... Większość z początków działalności Galerii 798 (Strefa Artystyczna 798 albo Fabryka 798 - utworzony w budynkach dawnych fabryk w Dashanzi w Pekinie ośrodek sztuki nowoczesnej, skupiający cieszących się uznaniem i popularnością chińskich awangardowych artystów młodego pokolenia.). Powinnam wszystko skatalogować, ale to było tylko hobby. Teraz, pracując w piśmie, nie mam na to za bardzo czasu.

Wybałuszam oczy: 798 straciła już blichtr, ale kiedy ta fabryka zamieniona w galerię sztuki została otwarta, była centrum chińskiej awangardy.

- Teraz to wszystko może być warte fortunę!

- Akurat. - Schodzi, wprawiając huśtawkę w drżenie. - Muszę sprawdzić, co tam w kuchni. Napij się czegoś. Wrócę za chwilę.

Przytrzymuję huśtawkę i patrzę, jak słońce chowa się za koroną miłorzębu. Kiedy niebo przybiera kolor indygo, pomagam zapalać świece w papierowych lampionach. Jaśniejają niczym klejnoty pośród ciemniejszego ogrodu i przez chwilę je podziwiam. Łomotanie w furtkę wybija mnie z rytmu.

- Geraldine! Jesteś tam? Geraldiiiiiiiiine!

Śmieję się, otwierając drzwi, i nagle dziedziniec wypełnia się

ludźmi całującymi się w policzki i krzyczącymi, że się zgubili. Kto by się spodziewał, myślę. Strzelają korki, rozlega się rozkoszny bulgot rozlewanej do kieliszków wina i impreza się rozpoczyna. Na chwilę się oddalam, żeby sprawdzić migoczący lampion, ale inny jaśniejący obiekt przyciąga mój wzrok: księżyc w pełni. Patrząc na jego blade oblicze, próbuję przywołać legendę będącą powodem święta: coś o kobiecie, która zostawiła ziemskie rozkosze, by tańczyć na księżycu (Święto Środka Jesieni traktowane jest w Chinach także jako święto kobiet, ponieważ księżyc symbolizuje siłę żeńską yin. Czcą się w jego trakcie boginię księżycy Change. Według legend Change zjadła ziele nieśmiertelności i wzniosła się na księżyc, gdzie mieszka w pałacu.). Próbuję przypomnieć sobie szczegóły, kiedy ktoś dotyka moich bioder.

Odwracam się.

- Jeff!

- Witaj, bejbi - mówi, całując mnie w policzki. Pachnie świeżo, jakby zżętą trawą, z domieszką papierosów. - Super impreza. Niezła huta, co?

Dopiero po chwili łapię, o co mu chodzi.

- Chata. Niezła chata.

Przez jego twarz przemyka grymas niezadowolenia.

- Wszystko jedno. - Wzrusza ramionami.

- Napijesz się? - Prowadzę go w róg dziedzińca, gdzie Geraldine zorganizowała barek. - Co żłop... Co pijesz? Jest wino czerwone, białe, wódka, gin...

Ogląda butelki, stukając nimi niefrasobliwie. Wreszcie wyjmuję ciężką flaszkę chivas. Nalewa sobie od serca, dodaje lodu i słodzonej zielonej herbaty.

- O! Widzę, że należysz do tych, co łączą chivas z zieloną herbatą. - Mrugam żartobliwie.

To popularny drink wśród pekińskich lansiarzy, którzy mieszają drogą whisky z butelkowaną herbatą i poją się tym, śpiewając karaoke albo tańcząc w nocnych klubach.

- Czemu nie. - Łyka i się krzywi.

Nalewam sobie czerwonego wina i wytwornie sączę. Trunek spływa mi do żołądka jedwabistą strużką, której nie pozwalam wyschnąć. Jeff patrzy na mnie z delikatnym uśmiechem na ustach.

- Chyba cię nie peszę, co? - mruży.

Rzucam mu spojrzenie znad kieliszka, ale nie ma szans rzucić jakiejś kokieteryjnej riposty, bo oto przerywa nam znajomy pisk.

- Isabelle? Witam! - Tina Chang wyłania się zza jurty i idzie ku nam, z każdym krokiem dziurawiąc szpilkami darń. Co ona tu robi? - Jeff! Co za niespodzianka. Zenmeyang (Zenmeyang (chiń.) - co słycać, jak tam?)? To wy się znacie? - pyta. Jej nienaturalnie okrągłe oczy przeskakują to na mnie, to na niego i zastanawiam się, czy obserwowwała nas już wcześniej.

- Nie bardzo - odpowiada Jeff.

- Isabelle to młodsza siostra Claire Lee - mówi Tina.

- Tak słycałem.

Tina rzuca mi spojrzenie, a potem mówi coś szybko po chińsku. Jeff odpowiada śmiechem. Marszczę brwi, ale rozmowa szybko mi się wymyka. Padają imiona: Wang Wei, Lee Xiaoping (chińskie imię Claire), słowa: wczoraj, kolacja, żona, ale poza tym nie mam pojęcia, o czym mówią. Czuję się, jakbym tonęła w oceanie mandaryńszczyzny, czepiając się znajomych słów jak brzytwy. Tina przeczesuje palcami jedwabiste włosy, a wzrok Jeffa ucieka ku jej biustowi uwydatnionemu obcisłym topem.

- Zjrę do Geraldine - przerywam im. Odwracają się do mnie.

- O, nie idź - prosi Tina. - Będziemy mówić po angielsku.

- Nie trzeba. Bawcie się dobrze.

Znajduję Geraldine w zaparowanej kuchni. Wrzuca pierożki do gara wrzątku tak szybko, jak tylko ayi nadaża je lepić.

- Dzięki Bogu to ty - mówi. - Nałożysz sałatki do salaterek? I zajmiesz się nudlami? - Macha dłonią w kierunku naczyń pełnych jedzenia, które zajmują cały kuchenny blat.

- Skąd tu się wzięła Tina Chang? - syczę.

- Co? Jezu Chryste! - Ociera dłonią pot z czoła. - Powiedziała mi, że nie może przyjść.

- Ale dlaczego ją w ogóle zaprosiłaś?

- Żartujesz? Wiesz, co by się stało, gdybym nie zaprosiła Tiny Chang? Trafiałabym na czarną listę! Stracilibyśmy dostęp do Topanga Films albo jeszcze gorzej. - Patrzy na mnie spanikowanymi oczami. - Widziała ciebie i Jeffa razem?

- No... Tak, ale tylko rozmawialiśmy.

- O Boże. - Geraldine odkłada sitko i sięga po kieliszek wina, który osusza jednym haustem. - Nie mogę teraz o tym myśleć -

stwierdza dobitnie i podaje mi opróżniony kieliszek. - Dolejesz mi?

Kiedy wracam z pełną butelką (Geraldine wygląda na bardzo zestresowaną), pod kuchnią zbiera się już kolejka. Przez szacunek do swojego uroczego tradycyjnego domu Geraldine serwuje staropekińskie smakołyki. Pakujemy się do kuchni - jadalni i otaczamy stół, napełniając miseczki zhajiangmian (Zhajiangmian - makaron smażony z mięsem, warzywami i pastą sojową. Danie popularne w północnych Chinach.): treściwymi, ręcznie wyrabianymi nudlami z pastą ze sfermentowanych ziaren soi, z dodatkiem poszatkowanej wieprzowiny oraz różnymi warzywami, od gotowanej soi po paseczki ogórka. Talerze laohu cai, czyli tygrysiej sałatki, orzeźwiającej mieszanki skrawków ogórka, papryki i kolendry, nadają posiłkowi chrupkość, podczas gdy delikatne gotowane pierożki sprawiają, że jest sycący. Zaglądam do kuchni, szukając mojego ravioli - jiaozi. Planuję zrobić szybki sosik, stopić troszkę masła, przysmażyć szalwię i podać wszystko w ładnym półmisku.

- Widziałaś moje jiaozi?. - pytam ayi.

- Ni de jiaozi? - mówi zdumiona. - Podałyśmy wszystko razem. - Pokazuje pierożki przelewające się we wrzątku na kuchence.

Ojej. W całym tym pośpiechu Geraldine połączyła wszystko razem i moje dzieło w kupnym cieście pomieszało się dokumentnie z innymi odmianami. Teraz to faktycznie będzie klasyczne fusion: włoskie ravioli z chińskimi kuzynami, aromatyczną wieprzowiną ze szczypiorkiem, łagodną wieprzowiną z kapustą i kolorowym jajkiem z marchewką. No cóż, meibanfa. Nic się nie da zrobić. Wzruszam ramionami, opuszczam zaparowane pomieszczenie, biorę talerz i nakładam sobie pierożków, nudli i sałatki, skrapiam wszystko octem i wychodzę. Ed i Gab machają na mnie z jurty. Siadam na twardych poduszkach obok nich i podziwiam tajemnicze migotanie świec.

- Pomyśleliśmy, że trzeba cię ratować przed Jeffem Zhu i jego boysbandowym urokiem - mówi Gab, krzywiąc wargi.

- Dzięki... - odpowiadam, choć nie mam pojęcia, o czym on mówi. - Wiesz co, masz dziś świetną fryzurę. Taką bardziej skołtunioną.

- Ostatni raz myłem włosy czterdzieści dwa dni temu - oznajmia z dumą.

- Gdyby tylko ludzie wiedzieli, jak cierpisz dla swojego rockmeńskiego imidżu. - Wgryzam się w pierożka, bardzo soczystego

i pikantnego; czy mi się zdaje, czy czuć go anyżem? - Mmm! Czy to... koper?

- Na zdrowie! - mówi Ed, podnosząc papierowy kubek. Jego workowate krótkie spodnie obnażają zdumiewająco muskularne i długie nogi. Nigdy wcześniej ich nie widziałam, bo zawsze siedzi za biurkiem.

- Te pierożki jajeczno - koprowe są naprawdę dobre - stwierdza Gab, wskazując pałeczkami mój talerzyk. - Ale są tu też jakieś zupełnie popieprzone. Pomyślisz, że zwariowałem, ale ewidentnie w jednym był ser.

- No proszę! - odpowiadam, jak gdyby nigdy nic.

- Z sosem sojowym i octem masakra.

- Co tam u twojej wspaniałej siostry? - pyta Ed, ignorując tematykę gastronomiczną. - Jest tu dziś z nami?

- Nie. Pojechała do Szanghaju z Wang Weiem.

- Ooo... - Twarz mu ciemnieje.

- Idę po żarcie - ogłasza Gab i bierze talerz, na którym zostało tylko pięć pierożków ze znajomym biało - zielonym nadzieniem.

- Pójdę z tobą - mówię szybko, żeby uniknąć wywodów Eda na temat piękna, inteligencji i niedostępności Claire, co mu się zdarza, gdy trochę wypije.

- Przynieście mi wódkę z lodem, okej? - woła za nami. Wychodzimy z jurty, chichocząc jak dzieci. Gab kieruje się do stołu z drinkami, a ja wchodzę do budynków, szukając łazienki. Mijam klimatyzowany pusty salon i podążam długim korytarzem zastawionym pudłami i rowerem Flying Pigeon. Łazienka jest oświetlona tylko świecami. Czuć tu mocną woń lilii wymieszaną z innym, ostrzejszym zapachem. Ręcznie wypisana kartka nad toaletą głosi: „Mamy bardzo stare rury. Proszę umieszczać papier toaletowy w koszu. NIE SPŁUKIWAĆ! Dziękujemy”. W rogu stoi kosz pełen papieru toaletowego. Zapaszek jest niemym świadectwem posłuszeństwa gości. Moja wrodzona amerykańska wrażliwość sprawia, że błyskawicznie myję ręce drogim mydłem o zapachu imbiru i lilii i uciekam. W salonie panuje spokój i chłód - przez chwilę odpoczywam na eleganckiej kanapie obitej białą skórą. Z zewnątrz dochodzą mnie krzyki, ale tutaj zmieniają się w kojący gwar. Nagle drzwi się otwierają.

- Ukrywasz się? - pyta Jeff.

- Potrzebuję chwili. - Jego obecność przytłacza atmosferę pomieszczenia i nagle uświadamiam sobie, że nigdy dotąd nie byliśmy całkiem sami. Krzyżuję ramiona na piersiach i przetykam ślinę. Coś w leniwym uśmiechu i przeciągłym spojrzeniu Jeffa sprawia, że zaczynam się denerwować.

Siada tuż obok mnie i kładzie rękę na oparciu kanapy, prawie dotykając moich ramion.

- Li Jia - mówi, używając mojego chińskiego imienia. - To były naprawdę cholernie dziwaczne jiaozi.

Wrywa mi się krótki śmiech.

- To były moje ravioli - prostuję. - Fuzja Marco Polo i Czyngis - chana. Nie spodziewałam się, że będą jedzone z sosem sojowym i oliwą czili.

- Co one tam miały w środku?

- Ser - wyznaję. - I szpinak.

- Chińczycy nie bardzo lubią ser. Wiesz o tym.

- Chcesz mi powiedzieć, że ci nie smakowały?

- No wiesz... - próbuje się wycofać, a ja chichoczę. - Ale - nachyla się i znów czuję jego trawiastą woń - bardzo mi się podobasz. Wo juede ni hen xing gan. Jesteś naprawdę seksowna.

- Serio? - pytam zaskoczona. - Prawie się nie znamy. Nawet nie wiem, czym się zajmujesz.

- Zajmujesz?

- Jaką masz pracę? Jak zarabiasz na życie? Jeff wygląda na zaskoczonego.

- Myślałem, że Geraldine ci powiedziała. Jestem... zenme shuo? Liuxingge. Gwiazdą popu.

Znów się śmieję.

- Żartujesz, prawda?

- Niiieeee... Nie żartuję. Piszę i śpiewam piosenki. Po chińsku.

- Jesteś sławny?

- Pośród części trzynastolatek...

- To stąd te włosy - mówię, starając się ukryć zaskoczenie.

- Nie podobają ci się? - Przeczesuje palcami tlenioną grzywę, powodując, że kosmyki stają mu dęba. - Mnie twoje włosy bardzo się podobają - szepcze, zagarniając mi palcami kosmyk za ucho.

- Naprawdę? Chyba...

Uciska mnie pocałunkiem. Jego pełne usta są miękkie i

natarczywe. Czuję w brzuchu nerwowe migotanie, ale Jeff smakuje słodko i świeżo, jak mięta z wanilią. Po chwili cofa się i głaszcze mnie po plecach.

- Myślałam, że jesteś tu z Tiną.

- Jesteśmy tylko znajomymi. - Głaszcze mnie dłonią po policzku.

- Ale...

- Ciii...

Nachyla się i znów mnie całuje. Moje ciało rozluźnia się i opieram się na jego muskularnym torsie. Nie wiem, jak długo tak siedzimy, gdy nagle drzwi salonu się otwierają.

Odskakujemy od siebie z pełnym poczuciem winy pośpiechem, ale jest za późno.

Przed nami stoi Tina Chang i ma na twarzy wyraz głębokiego szoku.

- Myślałam, że się nie znacie! - wrzeszczy.

- Myślałem, że się rozstaliśmy - mówi chłodno Jeff.

Tina oblewa się rumieńcem i wybiega z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Na czym skończyliśmy? - pyta Jeff, gładząc mnie po udzie. Ale pojawienie się Tiny zgasiło romantyczną atmosferę jak soda sypana na płonący olej. Serce mi wali tak mocno, że boję się, iż wyrwie mi się z piersi i wyskoczy na środek pokoju. Jeśli coś nie wyjdzie z artykułem o Maksie Zhangu, Ed mnie zwolni. A potem zamorduje bez litości. W tej kolejności. Odsuwam dłoń Jeffa i wstaję.

- Jest późno. Muszę wracać do domu.

- Och, nie idź, bejbi. - Wystawia usta do całusa. - Jesteś morowa babka.

Pomimo targającej mną paniki śmieję się.

- Muszę jutro iść do pracy. A ty powinieneś pójść poszukać Tiny. Wyglądała na bardzo poruszoną.

Chwyta mnie za rękę i bawi się moimi palcami.

- Pomogę ci znaleźć taksówkę.

- Nie trzeba. - Wino i ciepły letni wieczór połączyły siły, wywołując u mnie pulsujący ból głowy, i nie mogę się doczekać, kiedy schowam się w chłodnej i ciemnej ciszy sypialni. - Ale dziękuję za... hmm... pamiętny wieczór.

- Musimy się spotkać jeszcze w tym tygodniu. Zadzwoń. - Pociąga mnie, żeby pocałować w policzek, ale nie wstaje z kanapy,

kiedy wychodzę.

Shanxi

Prowincje Shanxi i Shaanxi na środkowym zachodzie można by nazwać chińską Anglią, ponieważ charakteryzuje je gospodarność, pracowitość, rozwinięty przemysł oraz treściwe, lecz nijakie jedzenie, które nie zasługuje na szerszy komentarz.

E.N. Anderson, *The Food of China*

Jest po północy, gdy docieram do domu, ale pomimo bólu głowy jestem zbyt roztrzęsiona, żeby zasnąć. Chwile spędzone z Jeffem pozostawiły mnie z uczuciem niepewności, jak gdyby najbardziej lubiany chłopak w szkole wreszcie zaprosił mnie do tańca, a potem porzucił w połowie piosenki. No i jeszcze Tina. Wspominając intensywny rumieniec na jej twarzy, martwię się coraz bardziej. Co będzie, jeśli zamknie sprawę artykułu o Maksie Zhangu? Geraldine będzie rozczarowana, a Ed... ech, Ed dostanie apopleksji. Siadam przy biurku, włączam laptopa i kąpię się w jego elektronicznej poświacie. Moje dłonie chwilę wahają się nad klawiaturą, a potem loguję się i piszę mejla na drugi koniec świata.

Adresat: julia.steele@brownliterary.com Nadawca:
chinagirl_isabelle@gmail.com Temat: Pekіńskie smutki

Droga Jules,

pozdrowienia od twojej zbłąkanej pekińskiej korespondencyjnej przyjaciółki... przepraszam, że tak długo nie pisałam. Praca mnie zżera - ciągle kuchnia ekstremalna. Nie miałam dotąd przyjemności z kebabami z byczego penisa, ale w zeszłym tygodniu, kiedy zajadałam zupę z baraniego mózgu, myślałam o tobie, zwłaszcza gdy próbowałam ukryć kawałek kory mózgowej pod ryżem w miseczce. (Nie pomogło - mój mongolski gospodarz zauważył to i wygłosił wykład na temat konieczności „wyedukowania” zachodnich podniebień). Claire ciągle wciela się w Lady Dianę: skarbie to, kochanie tamto, buziak w powietrze. Nie mogę dojść, czy to gra, czy też jakiś kosmita z angielskim akcentem przejął kontrolę nad jej ciałem. Jeśli chodzi o moje życie uczuciowe... Nie otrzymałam pół telefonu od Dyplomaty od czasu, gdy uciekł z naszej randki kilka tygodni temu. Zamiast tego spotykam się z jednym ze znajomych Geraldine (nie śmieję się), chińskim gwiazdorem popu klasy B cieszącym się umiarkowaną popularnością wśród małolat. Myślę, że mu się podobam, ale z drugiej strony może on mieć po prostu fetysz Ameryki, bo ciągle pyta mnie o Seks w wielkim mieście. Nie wiem...

Takie romanse bywają fajne, ale to nie mój typ... kontakty z płcią przeciwną w Pekinie są równie trudne jak w Nowym Jorku, a do tego dochodzi dodatkowa przeszkoda w postaci bariery językowej. Mam nadzieję, że nie popełniłam błędu, przeprowadzając się tutaj...? Całuję, Iz

Waham się przez chwilę, a potem klikam „Wyślij”. Julia oddalona jest tylko o jedno kliknięcie, ale dwanaście godzin różnicy czasu sprawia, że rozmowy przez telefon są niepraktyczne, a tęsknię za jej głosem. Zamiast tego piszemy do siebie wiadomości, kiedy jedna z nas śpi. Ona wysłała mi zdjęcia dziecka i plotki ze świata wydawniczego, ale nie może się to równać z mieszkaniem zaledwie osiem przecznic od niej.

Wstaję i idę do kuchni, gdzie nalewam sobie szklanek wody i patrzę przez okno. Trzecia obwodnica lśni nieopodal kolorowymi światłami i nawet o tak późnej porze pędzącymi reflektorami, niczym autostrada w przyszłość. Z wysokości dwudziestego piętra patrzę, jak rzeka samochodów mija gigantyczny billboard z ogromnymi ideogramami. Widzę go od tygodni, ale wciąż nie wiem, czego dotyczy. Teraz staram się znów rozgryźć przekaz, ale każdy niezrozumiały ideogram przypomina mi, że reklama przeznaczona jest dla kogoś innego. Że jestem outsiderem.

Myślałam, że przeprowadzka do Pekinu sprawi, że moje kłopoty znikną, ale w ostrych neonowych światłach stolicy ta nadzieja wydaje się teraz naiwna. Wygląda na to, że zamieniłam jedne problemy na inne. Moja kariera nadal zmierza donikąd. Mojej matce wciąż nie podoba się moja praca, włosy, brak chłopaka. Wciąż jestem samotna - gorzej, teraz mężczyźni uciekają z randek ze mną. Zamiast poznawać nowych przyjaciół, stworzyłam sobie wroga. A do tego pomimo fizycznej bliskości moja siostra nadal jest niczym obcy człowiek.

Opieram czoło o szybę, pozwalając chłodowi gładkiej powierzchni ostudzić pulsujący ból. Podo mną sunie nieskończona rzeka pojazdów; każdy błysk światła wydaje mi się drwiącym mrugnięciem.

Kiedy sprawdzam rano pocztę, odpowiedź od Julii jest na samej górze.

Adresat: chinagirl_isabelle@gmail.com Nadawca: julia.steele@brownliterary.com
Temat: Nie wygłupiaj się Izzie, Iz!

Zgadnij, na kogo wpadłam wczoraj u Micheala? Wyobraź sobie,

że na twojego oślizgłego eksa, Richarda White'a. Był ze swoją nową, jakąś dwudziestodwulatką z mysimi włosami „zakochaną w książkach”. Znasz ten typ. Okazuje się, że poznali się, gdy starała się o pracę jako jego asystentka! Nie przejmuj się tym. Nie wolno ci kochać kogoś, kto traktuje dział kadr jako serwis randkowy. Pekin brzmi super! To na pewno NIE był błąd i dobrze o tym wiesz. Posłuchaj siostry i PRZESTAŃ wszystko chorobliwie analizować jak zwykle, ZACZNIJ się za to dobrze bawić. Weź się w garść, weź się za siebie, załóż szpilki i pamiętaj, żeby o wszystkim pikantnym mnie informować. Twoja, Jules

Zagryzam wargi. Richard ma już nową dziewczynę? Nie oczekiwałam, że długo pozostanie samotny, ale gdzieś w głębi miałam nadzieję, że będzie za mną tęsknił. Że będzie tęsknił tak, że przyjedzie za mną do Pekinu. Totalny absurd, bo z Chin Richarda interesowała tylko cotygodniowa wieprzowina w sosie słodko - kwaśnym, którą pałaszował za pomocą noża i widelca. Rozmyślam, jak siedzi sobie przy kuchennym stole, z gracją krojąc mięso i nabierając ryżu ze słodkim sosem, i śmieję się. Przez ostatnie tygodnie miałam tyle na głowie, że wcale o nim nie myślałam. Kiedy to sobie uświadamiam, oddycham głęboko, oczyszczając płuca, a także myśli z niepotrzebnych wątpliwości.

Julia ma całkowitą rację. Nie mogę siedzieć na tyłku i czekać na księcia z bajki. Muszę działać, wziąć się w garść, na miłość boską, włożyć szpilki i zacząć się malować. Patrzą na swoją twarz w lustrze. Życie w Pekinie rozleniwiło mnie - niechlujne dzinsy i zmechacony sweter wyglądają tu wprawdzie jak ostatni krzyk mody, skoro sąsiedzi chodzą po dzielnicy w piżamach. Dziś jednak zdobędę się na coś więcej, przyrzekam sobie, i wyciągam czarną spódnicę oraz parę wysokich zamszowych kozaków. Dzisiaj nałożę tusz i szminkę, wcisnę się w rajstopy i będę sprawiać wrażenie, że zależy mi na wyglądzie. Jak w Nowym Jorku. Zanim Richard mnie rzucił.

A za tym planem samodoskonalenia kryje się niewyrażona nadzieja, że może Jeff zadzwoni. Tak, wiem, nie jestem zainteresowana, ale muszę przyznać, że zainteresowanie jednej z topowych gwiazd chińskiego popu poprawiło mi samoocenę. (Przyznaję bez bicia - wyguglałam go). Siadam na brzegu łóżka i wciągam ostatnią parę bezoczkowych, wciąż czarnych rajstop. Pekin jest pół świata do Nowego Jorku. Być może tutejsze randki powinny

być także o sto osiemdziesiąt stopni odmienne od nowojorskich. Bardziej otwarte, mniej zagadkowe. Bardziej luzackie, mniej intryganckie. Bardziej w stylu „swobodny romans”, mniej „mężczyzna moich marzeń”. Może to ja powinnam zadzwonić. Tylko co powiedzieć?

Stoję przed lustrem i ćwiczę z komórką w ręce.

- Cześć, Jeff. - Właściwy ton. Przyjazny, swobodny, nie desperacki. - Cześć, Jeff - powtarzam. Co dalej?

- Iz? - Claire zagląda do pokoju. - Podwieźć cię do pracy? - Widzi, że mam telefon przy uchu i zmienia zdanie. - Przepraszam, nie wiedziałam, że rozmawiasz - szepcze i wycofuje się.

- Czekaj! - wołam, czując rumieniec na policzkach. Nie wierzę, że przyłapała mnie na ćwiczeniu konwersacji przed lustrem. Żenada. Chciałabym udać, że jestem pochłonięta rozmową, ale z drugiej strony nie mogę się oprzeć perspektywie jazdy do pracy w czystym samochodzie Claire zamiast obijania się w zadymionej zdezelowanej taksówce. Niechętnie odrywam telefon od ucha. - Nie rozmawiam - przyznaję.

- Skarbie, co ty robisz?

- Ćwiczę - mamroczę.

- Ćwiczysz? Co ćwiczysz?

Próbuję na gwałt wymyślić jakąś wymówkę, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

- Ćwiczę dzwonienie do kogoś.

- Do kogo? - Jej twarz rozciąga się w żartobliwym uśmiechu. - Do chłopaka?

- Tak...

- No to się zbieraj. Pomogę ci wymyślić coś w samochodzie. Chwileczkę. Claire chce mi pomóc? Claire? Dziewczyna, która na pierwszą randkę poszła dopiero po studiach, a i to dzięki staraniom matki?

- Ale... ale ty nie wiesz... - Gryzę się w język. Claire nieruchomieje z jedną ręką w rękawie żakietu.

- Co? - Wbija we mnie przenikliwy wzrok.

- Nie wiesz, jak bardzo będę ci wdzięczna - kończę szybko. W samochodzie Claire daje mi rady, jednocześnie sprawdzając swoją BlackBerry, przeglądając gazetę i nakładając szminkę.

- Bądź swobodna - mówi rzeczowym głosem. - Mężczyźni nie

lubią, kiedy kobiety są zbyt agresywne. Zwłaszcza Chińczycy.

- Powinam zaprosić go na drinka?

- To zależy. To Chińczyk czy obcokrajowiec? Chińczycy uważają, że porządne dziewczyny nie piją. Lubią, kiedy są wytworne.

- Ale ja lubię pić. Nie chcę udawać kogoś, kim nie jestem. - Tak jak ty, dodaję w myślach.

- Po prostu staram ci się doradzić. - Wzrusza ramionami. - Randki osób z dwóch różnych kultur nie należą do najłatwiejszych. Kiedy Wang Wei po raz pierwszy mnie zaprosił, powiedziałam „nie” tylko dlatego, że był żonaty. Ale ciągle dzwonił, esemesował, aż wreszcie umówiłam się na kawę. I wiesz, co ci powiem? Straciłam dla niego głowę! - Śmieje się nerwowo.

Wybałuszam oczy.

- Wang Wei jest żonaty? - powtarzam. Ale gdy tylko wypowiadam te słowa, nabierają sensu. To dlatego Claire jest taka tajemnicza, to dlatego jeszcze mi go nie przedstawiła.

- Oj, nie bądź taką nadętą Amerykanką. - Wywraca oczami. - Od lat jest ofiarą małżeństwa bez miłości. Jego żona mieszka w Szanghaju z jakimś Włochem i wszyscy o tym wiedzą. - Krzyżuje ramiona na piersi i unosi podbródek, jak gdyby rzucając mi wyzwanie.

Waham się. Mam ochotę złapać ją za szczupłe ramiona i zasypać pytaniami, ale wiem, że odbierze je jako krytykę. Zamiast tego pytam:

- Claire, jesteś pewna, że wszystko w porządku...? - Słowa zawisają w powietrzu.

Przez sekundę zaciska wargi, ale potem na jej twarz znów opada maska i rzeczowo strzepuje z żakietu niewidzialny pyłek.

- Wszystko idzie świetnie - odpowiada nieco zbyt wesoło. - Zresztą nieważne. Kim jest ten szczęściarz? Znam go? Czy to Charlie?

Czy ona właśnie zmienia temat? A w ogóle to skąd wie o Charliem?

- Yyyy...

- Co? - Śmieje się z mojego zakłopotania. - Myślałaś, że nie wiem o twojej randce z Charliem? Wpadłam na niego w holu parę dni temu, powiedział, że żałuje, że musiał wtedy uciekać. - Szturcha mnie łokciem. - Myślę, że bardzo mu się podobasz. Ciągle o ciebie wypytywał.

- Naprawdę? - Nie mogę powstrzymać kącików ust, które same wędrują w górę. - A co powiedział?

Claire ignoruje moje pytanie.

- Zadzwoił, żeby się znowu z tobą umówić?

- Yyy... Nie.

- No to w żadnym razie nie powinnaś do niego dzwonić. - Wygląda na zszokowaną. - Nigdy, przenigdy nie goń za mężczyzną. To podstawowa zasada.

- Czy Charlie spotyka się teraz z kimś? - pytam z maksymalną swobodą, na jaką mnie stać.

- Nie wydaje mi się. Oczywiście nie z braku szans. Problem w tym, że praca jest jego żoną. - Wykrzywia wargi. - Pomyślmy... jak by was tu ze sobą spiknąć... Wiem! Kristin organizuje w sobotę imprezę. Charlie zapewne tam będzie.

Kristin to ta wyniosła blondyna, znajoma Charliego. Wiem, że na pewno nie mam ochoty nigdy już się z nią spotkać.

- W przyszły weekend jestem zajęta - odpowiadam.

- Iz, powiem ci szczerze. Nie wiem, jak chcesz kogoś poznać, jeśli cały czas chowasz się w pokoju - mówi z rozdrażnieniem. - Musisz wreszcie...

- Mówiłam o Jeffie. Jeffie Zhu - przerywam, zanim wyrzuci z siebie kolejne ze 101 randkowych porad Claire Lee.

- Jeff? - Wygląda na zaskoczoną. - Oo. Przystojniaczek. Ale pilnuj się. On ma problem z taką jedną...

- Wiem wszystko o Tinie - przerywam. - Nie przejmuj się.

- O, Tina ma świra na punkcie Jeffa - przyznaje Claire, gdy kierowca zatrzymuje się przed jej biurowcem. - Ale chodziło mi o to, że on ma problem z taką jedną cechą charakteru. Nie potrafi się zaangażować. - Z gracją wysiada z auta. - Muszę lecieć. Buziak, skarbie. Mua. I powodzenia. Paaaaa! - I z tym typowym dla siebie pożegnalnym świergotem znika. Patrzę, jak jej szczupła sylwetka ginie we wnętrzu budynku, i znów zaczynam się martwić.

Korytarze redakcji przemierzam ukradkiem, sprawdzając, czy są puste. Otwarta przestrzeń biurowa sprawia, że prywatność rozmów telefonicznych jest nieosiągalna, co oznacza, że zwykle ktoś stoi w korytarzu, szepcząc gorączkowo do komórki. Ale teraz nie ma nikogo. Nie ma co zwlekać. Biorę głęboki oddech, wyciągam telefon i wystukuję numer do Jeffa, przestępując z nogi na nogę. Po dłuższej chwili odbiera.

- Wei?

- Cześć, Jeff. Tu Isabelle. Yyy, to znaczy Li Jia. Wiesz, nie miałam od ciebie wiadomości... Yyy, to znaczy, zastanawiam się, czy będziesz miał czas w tygodniu na drinka. - Przypominam sobie radę Claire i dodaję. - Albo na kawę. Albo na lody. Wiesz, żeby się spotkać. Jakoś w ciągu paru dni - kończę niezgrabnie. Swobodny, przyjazny, pewny siebie ton poszedł się paść.

- Iz... Li Jia! Poczekaj chwilę. - Słysząc jakiś szum, jak gdyby zasłaniał mikrofon dłonią i słyszę w tle przytłumione głosy. - Przepraszam - mówi po chwili rzeczowo. - Więc chcesz się spotkać w tym tygodniu? Mam dużo zajęć, ale znajdę okienko w... czwartek o czwartek.

- Okej... - Speszona szuram nogami po podłodze. - No, średnio mi to pasuje, bo muszę, no wiesz, pracować.

- Oddzwonię - mówi, a potem woła do kogoś. - Okej, okej, powiedziałem, że okej! - I znów do mnie. - Moja asystentka do ciebie oddzwoni.

- Asystentka? - Czy my się umawiamy na spotkanie w interesach? Czuję narastające zakłopotanie. Może źle wszystko zinterpretowałam...

Nagle rozlega się głośny trzask i jakaś szamotanina, jak gdyby ktoś wydzierał mu telefon.

- Halo? - mówię.

- Halo? - powtarza przenikliwy kobiecy głos. - Kto mówi?

- Isabelle Lee - odpowiadam cicho. Nie wiem, dlaczego się ujawniam, ale coś mi mówi, że kobieta po drugiej stronie słuchawki nie spocznie, póki tego ze mnie nie wydrze.

- Wiedziała! Ty draniu!

- Tina - słyszę łagodny głos Jeffa. - Mei shi. - To nic wielkiego.

Ona jednak dalej pluje do telefonu:

- Już ja ci dam nauczkę, Isabelle! Myślisz, że możesz sobie tutaj przyjechać, zamieszkać i podkradać nam mężczyzn? Mam cię w dupie! Teraz się przekonasz, co to znaczy zadrzeć z moją mroczną stroną!

Oddałam telefon od ucha i patrzę na niego z niedowierzaniem, podczas gdy z głośnika dolatują dalsze krzyki. Kto mówi w taki sposób? Tina ewidentnie ogląda za dużo seriali. Nie mogę się powstrzymać i z ust wyrywa mi się chichot.

- Śmiejesz się ze mnie?! - wrzeszczy Tina.

- Tina. Tina... - Głos Jeffa brzmi pojednawczo. - Wystarczy. Proszę, bejbi, przestań.

Rozłącza się.

Patrzę w przestrzeń niewidzącym wzrokiem i marszczę czoło. Jestem zdumiona. Rozmowa nie poszła zgodnie z planem. Nie jestem pewna, o co biega, ale wiem jedno: wreszcie zetknęłam się z prawdziwą Złą Czarownicą ze Wschodu.

Nie mówię Geraldine o mojej rozmowie z Tiną - po co ją martwić - chociaż widzę, że jej źrenice rozszerza strach, gdy informuję ją, że w czwartek mam randkę z Jeffem.

A, tak. Zadzwoił godzinę później z jakiegoś cichego miejsca, kajał się, przeproszał i zaproponował, żebyśmy poszli coś przegryźć w czwartek wieczorem. Właściwie to powiedział „przekasnąć”, ale nie miałam serca go poprawiać. Moje dawne nudne nowojorskie ja powiedziałyby „nie”, ale moje nowe niefrasobliwe pekińskie wcielenie zgodziło się. Wciąż nie otrzymałam prawdziwych odpowiedzi na temat Tiny („przysięgam, nie jesteśmy już razem”, zarzekał się), ale jakie to ma znaczenie? Przecież umawiamy się na kolację, a nie potajemny ślub.

Siedząc przy biurku, patrzę rozmarzonym wzrokiem w komputer, wspominając ciemne oczy i miękkie usta Jeffa, intensywność naszego pocałunku. Mmm... Wyobrażam sobie, że pijemy koktajle cosmopolitan w Susie Wong's... Może przedstawi mnie swoim słynnym znajomym: Faye Wong, Jetowi Li i... nie bardzo znam innych chińskich gwiazdorów... W każdym razie każdemu, kto jest sławny.

- Isabelle, Geraldine, w tej chwili do mojego biura. Rumiana twarz Eda pojawia się nagle nad moim biurkiem, przepędzając precz marzenia. Dźga w moim kierunku palcem i odchodzi ciężkim krokiem. O - o. Czy coś jest nie tak? Szukam jakichś ostatnich przewin, ale nic nie mogę znaleźć. Rzucam Geraldine zdumione spojrzenie i razem wchodzimy do biura. Ed nogą zatrzaskuje drzwi.

- Nie wiem, kto wkurzył Tinę Chang, ale mamy problem.

- Co? Dlaczego? - pyta nerwowym głosem Geraldine. Poprawiam się niepewnie na krześle.

- Właśnie zadzwoniła z informacją, że Topanga Films nie wpuści Geraldine na plan filmu Żelazo w złoto - oznajmia głuchym głosem. - Podobno Maksowi Zhangowi nie podobały się twoje drwiny z filmu

Wschód jest czerwony. - Patrzy na nią. - Kiedy o nim pisałaś?

- Nie mam pojęcia - odpowiada powoli Geraldine. - Może to był jakiś krótki opis w repertuarze. Ten film wyszedł pięć lat temu. I kogo obchodzi, co ja o nim myślę? Zdobył Oscara!

- Tina powiedziała też, że z przyjemnością przyjmą na plan kogoś innego. Wszyscy wiemy, że nie znosi Gaba, więc zostaje nam... Isabelle. - Patrzą oboje na mnie. - Co się tu, kurwa, dzieje?

Otwieram usta, ale nie jestem w stanie nic wykrztusić.

- Czy to ma coś wspólnego z Jeffem? - pyta Geraldine, mrużąc oczy. - Czy aż tak jej odbiło?

- Kto to jest Jeff? Pracuje w Topanga Films?

- Jeff to... ten facet... - Czuję, że się rumienię.

- To były Tiny, który upodobał sobie Isabelle. - Geraldine krzyżuje ramiona. - Mówiłam ci, żebyś uważała.

- Mało mnie obchodzi życie uczuciowe Isabelle - warczy Ed. - Nieważne, czy jesteś u niej na cenzurowanym. Czemu nagle chce dać ci szansę na napisanie naszego tematu z okładki?

- Kto to wie? - Geraldine kręci głową. - Ale znając Tinę... jestem pewna, że to jakiś makiaweliczny plan.

- Nie ma sensu spekulować - wzdycha Ed. - Isabelle, idź się pakować. Jedziesz do Pingyao.

- Ale to artykuł Geraldine - protestuję.

- Ty chyba nie rozumiesz. - Ed nachyla się i widzę żyłę pulsującą mu na czole. - Musimy mieć ten artykuł. Bierz się do roboty. I niczego nie spieprz, bo wylecisz na zbity pysk. Nie żartuję. - Odwraca się do komputera.

- Prześlę ci informacje o zakwaterowaniu i jak dotrzeć na plan

- mówi Geraldine, kiedy wychodzimy. - Autokar wyjeżdża jutro o ósmej rano.

- Bardzo mi przykro.

- To nie twoja wina. - Kładzie mi dłoń na ramieniu. - Powiem szczerze, że nie zazdroścę ci spotkania z Tiną.

Mój śmiech nawet dla mnie samej brzmi sztucznie.

Wędrowałam z plecakiem po górach Adirondack, zjeździłam całe Stany, przeleciałam Pacyfik, ale nigdy nie podróżowałam w ten sposób - z kurą u nóg. Jadę do Pingyao w autobusie wypełnionym po sufit i chociaż miałam szczęście i znalazłam wolny fotel, pośród głośnego gwaru i papierosowego dymu trudno się odprężyć.

Obok mnie siedzi właścicielka kury, korpulentna kobieta o okrągłych policzkach i szerokim szczerbatym uśmiechu. Wymieniłyśmy kilka uprzejmych uwag na temat kury - której los dopełni się po przyjeździe - ale jej silny akcent Shanxi sprawia, że rozumiem ją tylko z najwyższym trudem. Jednak staje się cud i ona bierze mnie za jakąś nowoczesną pekinkę i nie dopytuje o mój dziwny akcent oraz błędną gramatykę, bo nie wiem, jak bym jej wytłumaczyła, że jestem Amerykanką.

Wzdycham i myślę o poranku. Całą noc czuwałam, czekając na budzik, w efekcie zasnęłam prawie godzinę i obudziłam się z bijącym sercem, bez czasu na prysznic. Chwyciłam ubranie - porzucone na podłodze wczorajsze dżinsy i czysty t-shirt - zapięłam bluzę z kapturem i wybiegłam z mieszkania. Kiedy winda wreszcie się otwarła, okazała się pełna. Wcisnęłam się do środka, pękatym plecakiem uderzając kogoś w pierś.

- Przepraszam. - Spojrzałam za siebie i natrafiłam na spokojne niebieskie oczy Charliego.

- Isabelle! Jak się masz? - Uśmiech wygładził zmarszczkę zmartwienia znaczącą jego czoło.

- Cześć! - próbowałam zawołać z entuzjazmem. Dlaczego musiałam wpaść na niego akurat teraz? Dlaczego? Tyle razy nakładałam szminkę tylko po to, by wyrzucić śmieci, a wpadłam na niego właśnie w tej chwili? - Kiedy wróciłeś ze Stanów? - spytałam, chociaż na usta cisnęło mi się inne pytanie: dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Parę dni temu. Mam milion rzeczy na głowie, ale... - urwał, patrząc na wypolerowane drzwi windy, w których odbijały się twarze pozostałych pasażerów słuchających uważnie naszej rozmowy. Pozostałe osiemnaście pięter przebyliśmy w milczeniu.

W holu wszyscy się rozeszli, a Charlie zatrzymał się przy obrotowych drzwiach.

- Przepraszam, że nie dzwoniłem - powiedział powoli. - Mieliśmy strasznie dużo spraw w ambasadzie... Sytuacja z Koreą Północną jest ciężka i... - ciągnął, ale wszystko to brzmiało jak kiepskie wymówki. Jak można być tak zajęтым, żeby nie znaleźć pięciu minut na telefon? - Kryzys atomowy... rozmowy sześciostronne... wzbogacanie uranu... - ciągnął ze zmartwionym wzrokiem. - Nie chcę cię zanudzać szczegółami.

- W porządku - stwierdziłam, zanim zdążył wymyślić więcej

wymówek. Ewidentnie ciężko mu było kłamać: całe czoło miał w zmarszczkach. - Rozumiem, że jesteś zajęty. - Wzruszyłam ramionami. - Jeśli musiałeś wybrać między telefonem do mnie a ratowaniem całego świata przed atomową katastrofą, to wybrałeś właściwie! - Roześmiałam się i poklepałam go po ramieniu z nadzieją, że ten gest odbierze jako przyjazny, a nie intymny.

- Iz, to nie tak... - urwał, kiedy spojrzałam na zegarek. - Musisz gdzieś być? - spytał.

- O Boże! Autobus! Taiyuan! - Serce mi stanęło. Na chwilę zapomniałam o swoim spóźnieniu, ale jeśli autobus mi ucieknie, jestem skończona. Ed zwolni mnie bez zastanowienia. Wyjrzałam na zewnątrz, szukając taksówki i próbując zapomnieć o gniewnej twarzy Eda. - O Boże, nie ma taksówek! Jeśli się spóźnię, Ed mnie zabije...

Charlie spokojnie położył mi dłoń na ramieniu.

- Mój samochód czeka. Mogę cię zawieźć na dworzec.

- Nie jesteś zajęty? - spytałam zdumiona. - Nie musisz jechać do pracy?

- Raz mogę się spóźnić.

Wyszliśmy i wsiedliśmy do jego czarnego sedana. Moją irytację zastąpiła ulga.

- Ale czy szef nie będzie na ciebie zły? - spytałam. - Ambasador jest podobno bardzo wymagający.

- Tak mówią - odpowiedział zmęczonym głosem.

Szofer wybrał specjalną, szybką (czyli przerażającą) trasę na dworzec, ale Charlie i ja byliśmy tak zajęci rozmową o Maksie Zhangu, że prawie nie zauważałam mijających nas o włos samochodów.

- To legenda chińskiego filmu. Nie mogę uwierzyć, że go poznasz - powtarzał. - Masz świetną pracę. Znam tylko jeszcze jedną osobę, która ma okazję spotykać gwiazdorów. Moja młodsza siostra jest charakterizatorką.

- Twoja siostra?

- Mieszka w Los Angeles. Pracuje w branży filmowej. Przypominasz mi ją trochę. Jest bardzo zabawna i uwielbia krzyżówki.

Hm. Siostra. Samochód pędził ulicą i wszystko stawało się jasne. W oczywisty sposób źle zinterpretowałam sytuację. Charlie nie był zainteresowany mną jako kobietą. Nic dziwnego, że nie zadzwonił, skoro widział we mnie substytut młodszej siostry. Próbowałam ukryć

rozczarowanie, grzebiąc w plecaku. Na szczęście dojechaliśmy do dworca.

- No i jesteśmy na miejscu. - Zapięłam plecak. - Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Pomógł mi podnieść bagaż. - Kiedy wracasz z Pingyao? W przyszłym tygodniu jadę do Phenianu, ale może spotkalibyśmy się potem? O ile się nie mylę, na Houhai (Houhai (dosł. „tylne morze”) - popularne miejsce w centrum Pekinu wokół sztucznego jeziora, znane z licznych barów i restauracji rozmieszczonych w labiryncie tradycyjnych hutongów.) przed mrozami wciąż są łodzie do wynajęcia.

Czy przejażdżka łodzią będzie obejmować sprezentowanie lizaka i poklepanie po głowie? Z trudem powstrzymuję się od sarkazmu.

- Nie przejmuj się - powiedziałam tylko. - Po powrocie będę pewnie bardzo zajęta zamykaniem numeru.

- O, w porządku... - Znowu zmarszczył brwi.

- Ale dzięki za podwiezienie! Jestem wdzięczna! - Nadałam głosowi radosne brzmienie, wzięłam bagaże i wyskoczyłam z samochodu, biegnąc do wejścia. Po dotarciu do kasy zapomniałam już o Charliem.

Znalazłam autobus do Taiyuan (Taiyuan - stolica prowincji Shanxi.), duży niemiecki pojazd z klimatyzacją i koronkowymi narzutkami na zagłówkach, który wypuścił kłęb dymu i ruszył, gdy tylko usiadłam. W Taiyuan przesiadłam się na autobus do Pingyao pozbawiony takich luksusów, jak amortyzatory i wspomaganie kierownicy. Bujamy się po wyboistej drodze, klakson ryczy nieustannie, przechylamy się w lewo, mijając powolne ciężarówki pełne brudnych świń lub stosów węgla, przechylamy się w prawo, unikając ciężarówek grożących zderzeniem czołowym. Patrzę na drobną dziewczynę o ziemistej cerze siedzącą przede mną: otwiera okno i cicho wymiotuje na ulicę. Zaczesuję tłuste włosy w koński ogon, patrzę na kurę smagającą wiklinowy koszyk długimi piórami i obiecuję sobie wziąć po przyjeździe gorący prysznic.

Na dworcu czeka na mnie Tina i moje tętno przyspiesza w oczekiwaniu na konfrontację, ale jest radosna i gadatliwa. Jej spiczaste buty stukają głośno o chodnik, gdy zmierzamy do samochodu; pomaga mi zapakować plecak do bagażnika. Siadamy obie na tylnym siedzeniu i czekamy, aż kierowca skończy palić.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałaś - mówię.

- Mei shi. Nie ma sprawy. - Nie patrzy mi w oczy, ale głos ma troskliwy i zaczynam się rozluźniać. Może wcale nie jest zła. Może to tylko nieporozumienie. Zachęcona biorę głęboki oddech i próbuję oczyścić atmosferę.

- Słuchaj Tina... Muszę ci powiedzieć, że jest mi przykro... - urywam, bo patrzy na mnie i mruga.

- Jesteś zmęczona? - pyta.

- Yyy, trochę tak - przyznaję, próbując zebrać myśli. Ewidentnie nie chce rozmawiać o Jeffie, więc się dostosowuję. - Jedziemy prosto do hotelu? Marzę o gorącym prysznicu.

Rzuca mi kose spojrzenie spod długich rzęs.

- Nastąpiła mała zmiana planów. W ostatniej chwili coś wypadło z zakwaterowaniem i musieliśmy cię przenieść. Ale nie przejmuj się. - Klepie mnie w ramię. - Znaleźliśmy ci coś innego.

- Gdzie? - Krzyżuję ramiona zaniepokojona, bo jej głos brzmi dziwnie.

- Pomyślałam, że na pewno chciałabyś poznać prawdziwe Pingyao. Jeden z dźwiękowców zna tutaj pewną rodzinę i oni chętnie cię przenocują. Czy to nie świetny pomysł? - Jej śmiech jest zimny, przypomina brzęk szkła rozbijanego o granit.

Patrzę na nią przestraszona. Wizja mieszkania z obcymi w skromnym domu kompletnie mnie przerasta.

- Jeśli to możliwe - mówię, starając się zachować spokój - wolałabym jakiś inny hotel.

- Niestety... - Wzrusza ramionami i czuję, że sprawia jej to przyjemność. - Nie mówiłam ci, że trwa właśnie Międzynarodowy Festiwal Fotograficzny? Wszystkie mają komplet gości.

Pingyao jest staroświeckie i obskurne jak wioska, o której wszyscy zapomnieli sto lat temu. Centrum otaczają zabytkowe mury, a wzdłuż wąskich ulic wznoszą się niskie budynki o filigranowych okapach i krytych dachówkami dachach w stylu dynastii Qing. Rodzina Shi mieszka przy zakurzonej uliczce nieopodal głównej drogi. Wewnątrz murów miejskich nie wolno jeździć samochodami, więc ostatni odcinek pokonujemy pieszo. Moje buty i dzinsy szybko pokrywa żółty pył.

Maszerujemy Xi Dajie, częściowo gruntową drogą przebiegającą przez centrum Pingyao. Przeczytałam w przewodniku, że z powodu

stuleci biedy miejscowość zachowała cechy osady z epoki Ming. Rzeczywiście czas się tu zatrzymał. Z okapów zwieszają się czerwone latarnie, budynki są niskie, krawędzie dachów wywinięte, uliczki wąskie. Przepychamy się między turystami, mijamy sklepiki z papierosami, pocztówkami i całym tym turystycznym kiczem, aż wreszcie skręcamy w jeszcze węższy zaułek.

Tina zatrzymuje się przy na wpół zrujnowanej bramie tradycyjnego domu z dziedzińcem, takiego samego jak inne w okolicy. Rodzina Shi wysypuje się nas powitać. Jest ich czwórka: babcia, matka, ojciec i dziecko, którego rozcięte spodniki ujawniają płeć żeńską. Patrząc na Tinę, ale przywołuje na twarz niewinny wyraz.

- Ni hao! - woła wysokim głosem, tak jak według Chińczyków powinny to robić młode damy. Przedstawia mnie jako Li Jia, nimen de waiguo pengyou - wasza zagraniczna przyjaciółka. Pan Shi wyciąga do mnie rękę, powtarzając ciągle Ni hao, ni hao, ni hao z uśmiechem na ogorzalej twarzy. Jego żona, Wangmei, staje tuż obok mnie, rytmicznie klepiąc mnie silną ręką w ramię. Witam się z babcią, staruszką o krótkich siwych włosach i dumnie wyprostowanej sylwetce, która trzyma w ramionach pyzată dziewczynkę. Przenikliwym wzrokiem bacznie bada moją twarz, wyciągając pomarszczoną rękę, żeby dotknąć mego policzka. Czterdzieści lat temu ci ludzie z dumą nazwaliby się rolnikami. Teraz uważani są za prymitywnych chłopów, chociaż w przeciwieństwie do większości mieszkańców wsi - podejrzliwie nastawionych do obcych - ich twarze mają otwarty i przyjazny wyraz. Do młodej kobiety zwracam się ayi, czyli ciociu, do babci nainai, a do mężczyzny shushu, czyli wujku, jak gdyby byli moimi krewnymi. To zwyczajowe określenia w Chinach i po kilku miesiącach pobytu posługuję się nimi swobodnie. Trudno określić ich wiek - poorane zmarszczkami twarze zadają kłam ich młodości, ale nie trudom życia. Dziecko przedstawiają mi jako Baobei - później dowiaduję się, że to nie imię, tylko pieszczotliwy przydomek oznaczający „cenny skarb”. Baobei otwiera usteczka i głośno domaga się jeść, więc babcia zabiera ją do środka, a my podążamy za nią.

My, ale nie Tina, która wykorzystuje ten moment, by się oddalić.

- Pa - mówi, ściskając mnie za ramię; plecak zsuwa mi się z barku i obciąża łokieć. - Kierowca będzie na ciebie czekał jutro o ósmej rano na dworcu. Zawiezie cię na plan. - Macha mi na odchodnym i znika za rogiem, zostawiając mnie samą.

21:30. Omójboże, omójboże, omójboże. Nie mogę spać, oczy mam szeroko otwarte. W drugim pomieszczeniu śpi rodzina Shi. Słyszę ich miarowe oddechy przez cienkie ściany. Już teraz chce mi się siku. Jak przetrwam całą noc?

Wizyta w toalecie jest wykluczona. Wymagałaby założenia butów, odnalezienia latarki, wyjścia z domu i ruszenia ciemną ulicą do toalety publicznej, gdzie musiałabym kucnąć nad gnijącą deską, starając się nie oddychać smrodliwym powietrzem, żeby nie zwymiotować. Nie, nie dam rady. W dzień jakoś jeszcze wytrzymam, ale nocą to zbyt straszne. Pierwszy raz w życiu żałuję, że nie mam nocnika.

Coś jeszcze nie pozwala mi spać. Coś, co objawia się krótkością oddechu i ściśniętym gardłem - to strach. Nigdy wcześniej nie przeprowadzałam wywiadu z hollywoodzkim reżyserem. Co tam. Pół roku temu nigdy w życiu nie przeprowadziłam żadnego wywiadu. W żołądku mi się przewraca i nie wmawiam sobie, że to od picia brudnej wody. Chociaż widziałam wszystkie filmy Maksa Zhanga i przeczytałam wszystko, co kiedykolwiek o nim napisano (po angielsku), czuję zimny dreszcz niepewności. Nie wiem, czy mój chiński jest dość dobry. Nie wiem, czy ja jestem dość dobra.

Przewracam się na bok i próbuję myśleć o czymś innym. Wracam pamięcią do mojego wieczoru w domu rodziny Shi. Z ayi odbyłam pojedynek na uprzejmość: ciągle coś mi podsuwała - jedzenie, owoce, herbatę, swoje łóżko - a ja wciąż próbowałam odmówić. Ona wygrała. Nalegała, żebym spała w jej łóżku tak gorąco, że bałam się, że żyłka jej pęknie. Teraz razem z shushu śpią na betonowej podłodze salonu, narażając swoje sterane kręgosłupy na niewygody, a ja wyleguję się jak księżniczka w ich posłaniu. Do kłębiących się we mnie uczuć dołącza poczucie winy.

Przy kolacji ayi siedziała obok mnie, pilnując, żeby na moim talerzu nie zabrakło jedzenia. Jako szacowny gość otrzymałam najtłustsze kęsy kielbasy, podczas gdy potrawy warzywne - niedrogie, a więc zbyt zwyczajne - trzymano z dala od moich stęsknionych pałeczek. W miseczkach czekały nudle mao er duo przypominające kształtem kocie uszy, wymieszane z rozbełtanym jajkiem i pomidorem, doprawione cukrem (bo pomidory to przecież owoce) i polane słynnym w regionie czarnym octem. Prosty posiłek dopełniały plastry ogórka i smażona kapusta.

Grzecznie pochłaniałam tłuste mięso i zjadłam całą miskę nudli, aż mój żołądek prawie pękał w szwach. Kiedy tylko wyczyściłam miseczkę, ayi nałożyła mi kolejną porcję, ignorując moje rozpaczliwe chi baole (najałłam się). Bojąc się ją obrazić, wmusiłam ją w siebie. Gdy napełniła miskę po raz trzeci, pomyślałam, że rozpeknię się od tej uprzejmości.

Po kolacji razem z ayi patrzyłyśmy, jak Xiao Baobei bawi się pośród zepsutych sprzętów i zardzewiałych rowerów zagracających mały dziedziniec. Dziewczynka była jej wnuczką, dzieckiem jedyne go syna. Ayi podała mi poplamionymi tytoniem palcami jego fotografię. Wyjechał do Pekinu do pracy na budowie. Mieszka z żoną, która opiekuje się dziećmi cudzoziemców. Co miesiąc wysyłają pieniądze do domu. Na zdjęciu młody mężczyzna o rozczochranych włosach patrzył bez uśmiechu w obiektyw, buntowniczo wysuwając szczękę.

Sąsiedzi zatrzymywali się, żeby się przywitać i patrzyli na mnie z nieskrywaną ciekawością. Chociaż dom wzniesiono dla jednej rodziny, Shi dzielą go z trzema innymi. Każda zajmuje jeden z czterech budynków otaczających kwadratowy dziedziniec. Z zardzewiałego kranu leci bieżąca woda, ale prysznic można wziąć tylko w łaźni publicznej na tej samej ulicy. Dla mnie brak prywatności to udręka - nawet toalety nie mają drzwi, ale tu wszyscy to akceptują. W Pekinie rosnące jak grzyby po deszczu wieżowce i flotylle lśniących audi pozwalają zapomnieć o chińskiej biedzie. Ale w tej prowincjonalnej miejscinie ayi, shushu, nainai oraz ich sąsiedzi wciąż nie mają łatwego dostępu do jedzenia i czystej wody. Uświadamiam sobie, że i tak należą do szczęśliwców, bo dzięki wpływom z turystyki Pingyao nie jest już tak biedne jak podobne miejsca.

Zamykam oczy i próbuję wyobrazić sobie moich dziadków ze strony ojca, kantońskich rolników, którzy wyemigrowali do Kalifornii w 1925 roku. Umarli, zanim się urodziłam, zabierając do grobu ślady dawnego życia. Już nigdy się nie dowiem, czy ich wioska w prowincji Guangdong wyglądała tak jak ta.

Sen nadchodzi wczesnym rankiem i jest krótki. Budzi mnie pianie koguta. Widziałam go wczoraj na dziedzińcu - potrząsał piórami, dziobiąc ziemię wokół pulchnych stópek Baobei. Na zewnątrz niebo jest mlecznoszare, zachmurzone. Gramolę się z łóżka i wciskam w dzinsy, które szybko stają się nieprzyjemnie miękkie od ciągłego noszenia. Teraz, kiedy zrobiło się widno, mam dość odwagi (albo

desperacji), by odwiedzić toaletę.

Pomimo wczesnej pory rodzina jest już na nogach. Wychodząc na zewnątrz, widzę ayi: krząta się przy stole. Jej szybko poruszające się dłonie zmieniają ciasto w nudle „kocie uszka”.

- Dzień dobry! - woła do mnie, machając umączoną ręką. W chłodzie poranka toaleta wydaje się bardziej znośna i ośmielona w ten sposób postanawiam odwiedzić publiczną łaźnię. Muszę skorzystać z prysznic, bo włosy przylegają mi do głowy niczym tłusty hełm. Wracam szybko do pokoju wziąć rzeczy, wdychając po drodze ciężki dymny zapach węgla. Głębokie, spokojne oddechy wypełniają moje płuca. A potem delikatna vibracja wprawia moją nogę w drżenie. Kto dzwoni o szóstej trzydzieści? Patrzę na ekran: Jeff.

- Witam. Wczesnie wstałeś - mówię, uśmiechając się.

- Wczesnie wstałem? Jeszcze się nawet nie położyłem, bejbi. Gdzie jesteś? Nie odpowiadałaś na mejla. - Jego głos jest chropawy od papierosów, a może jeszcze czegoś. Pożądania?

- Mówiłam ci... Jestem w Pingyao. Z Tiną. - Z powodu podróży musiałam odwołać naszą randkę. Nie mam wątpliwości, że Tina to zaplanowała.

- Ooo, taaak. - Czy wyczuwam w jego głosie niepokój? - I jak tam?

Biorę głęboki oddech, chcąc ponarzekać na prymitywny dom, śmierdzącą toaletę i podejrzanie troskliwe zachowanie Tiny, ale zamiast tego mówię:

- Wszystko w porządku.

- Chciałem się z tobą spotkać wczoraj wieczorem - mówi ponuro.

- Bardzo mi przykro. Ale przecież wrócę w piątek - tłumaczę mu, jakbym pocieszała dziecko.

- To tak daleko! Muszę się z tobą zobaczyć.

- W piątek.

Po drugiej stronie słyszę narastające głosy, a potem ciszę, jak gdyby Jeff zasłonił mikrofon dłonią.

- Halo? Halo? - powtarzam.

- Brzmi świetnie - mówi rozkojarzony. - Wiesz co, muszę się położyć. Zadzwonię później, okej?

- Pewnie. Pogadamy później... - W słuchawce rozlega się sygnał.

- Pa - dodaję, choć nikt mnie już nie słyszy.

Niestety śniadanie odsuwa w czasie mój prysznic. Siadamy przy

chwiejnym stole nad nudlami z jajkiem i pomidorami. Posiłek jest niemal identyczny jak wczoraj - ten sam ciemny ocet, ta sama obficie sypana kolendra, ta sama szybkość, z jaką jedzenie trafia z miski do ust. Pałaszujemy bez zwłoki, siorbiąc i stukając plastikowymi pałeczkami; poza tym zalega cisza. To jedzenie wyłącznie dla zaspokojenia głodu, każdy kęs jest gryziony, żuty i przełykany bez rozwodzenia się nad jego smakiem. Biorąc się za drugą porcję (ayi nalega), uświadamiam sobie, że prawdopodobnie od miesięcy jedzą to samo. Pytam o lokalne produkty i nie dziwię się, słysząc odpowiedź ayi.

- Sezon na pomidory już się kończy. Wkrótce będzie tylko kapusta.

No cóż, starałam się. Bardzo się starałam. Postanowiłam ostatecznie zwalczyć syndrom chińsko - amerykańskiej księżniczki, zebrałam się na odwagę, wzięłam ręcznik i pomaszerowałam do publicznej łaźni. Tam zapłaciłam dwa kuai i ignorując zapach pleśni, zaczęłam się rozbierać pod osłoną ręcznika. Odwiesiłam t - shirt na haczyk. Pysznic okazał się dużą salą z jednym sitkiem, w której kłębami bucha para, a na podłodze rozciąga się dywan z zielonych glonów. Stapałam na palcach, martwiąc się brakiem odpowiednich do tych okoliczności kłapek. Stanąwszy w koronkowym biustonoszu, już chciałam rozebrać się do naga i wskoczyć pod strumień wody, gdy zaczęłam czuć na sobie spojrzenia.

W Pekinie mój wygląd sprawia, że wyglądam swojsko, o ile tylko nie otworzę ust. Tutaj, w tej wiosce, gdzie wszyscy się znają, jestem obca, jestem dziwolągiem, miłą odmianą od monotonii. Grupa kobiet myła się szybkimi ruchami, patrząc na mnie i nie wstydząc się swojej ciekawości, tak samo jak swoich pomarszczonych ciał.

- To ta cudzoziemka, która mieszka u Shi - powiedziała jedna, nie próbując nawet ściszyć głosu. - Podobno nie mówi ani słowa po chińsku.

- To Japonka? - szepnęła inna.

- Nie. Chyba Koreanka.

- Za gruba na Koreankę.

Ich trajkotanie odbijało się od wilgotnych ścian, a ja szybko włożyłam z powrotem t - shirt i wybiegłam z łaźni.

A teraz żołądek mi się skręca, gdy kierowca pędzi po wyboistych drogach, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą komórkę, przez

którą rozmawia. Zaczesałam włosy w gładki koński ogon, ale wciąż czuję, że lada chwila gumka sama spełźnie mi z głowy. Wygładzam spodnie od szarego kostiumu i poprawiam miękkie mankiety kaszmirowego swetra. Wkrótce będę mogła udzielić Gabowi porad względem zapuszczania dredów, ale przynajmniej ubranie mam czyste i eleganckie. Kierowca brawurowo pokonuje zakręty, za nic mając nadjeżdżające samochody, a ja wbijam sobie paznokcie w nadgarstek, by zapomnieć o mdłościach. Wyciągam komórkę, żeby zadzwonić do Geraldine, ale na takiej prowincji zasięg zdążył już zniknąć.

Tina wita mnie miną pełną troski.

- Jak ci tam u rodziny Shi? Spałaś dobrze? Jesteś głodna? - grucha.

Ignoruję ją i wysiadam z samochodu. Moje szpilki od razu zatapiają się w lepkim błocie. Tina patrzy z rozbawieniem.

- Czy moja asystentka do ciebie nie zadzwoniła? - pyta. - Mieliśmy okropną pogodę i błoto jest wszędzie. - Unosi stopę i pokazuje upstrzone błotem eleganckie markowe gumowce.

- Poradzę sobie - cedzę z trudem przez zaciśnięte zęby. Idę za Tiną w kierunku planu, a nogi trzęsą mi się jak nowo narodzonej gazeli. Moje wyszywane aksamitne sandaalki - trofeum zakupów u Barneya - z każdym krokiem nasiakają brunatną mazią.

Kiedy docieramy do przyczepy pełniacej funkcję biura, cała drzę.

- Zabawne, jak zimno jest tutaj w porównaniu z miastem - komentuje wesoło Tina. - Będziesz potrzebować dodatkowych ubrań. Ale nie martw się. Wynajdę ci coś ciepłego.

- Nie wątpię - mruczę pod nosem.

Tina wyciąga z tylnej kieszeni džinsów walkie - talkie i rzuca kilka poleceń. Wkrótce jestem opatulona wатовanym płaszczem w kolorze khaki, repliką uniformów noszonych przez chińskich ochroniarzy. Talię mam przewiazaną brązowym skórzanym pasem, rękawy sięgają mi poniżej końców palców, a brzeg niemal zakrywa mi stopy, które telepią się wewnątrz obszernych, zniszczonych wojskowych butów. Patrę w lustro i włosy stają mi dęba. Wyglądam jak zmokła, a do tego brudna kura, jakbym spędziła noc na ziemi, wykorzystując ubranie jako koc. Czy słynny hollywoodzki reżyser potraktuje mnie w takiej sytuacji poważnie?

- Tina, nie mogę spotkać się w takim stroju z Maksym Zhangiem.

- Zaciskam zęby, żeby powstrzymać łzy.

- Dlaczego? - pyta z głupia frant.

- Wyglądam jak kloszard! Nie masz czegoś innego?

- To nie jest Bloomingdale's. - Zapina srebrzystą kurtkę. - Poza tym nie mamy czasu. Max kończy dzisiaj zdjęcia. Będiesz miała szczęście, jeśli w ogóle znajdzie dla ciebie parę minut.

Brniemy przez błoto na skraj trawiastej równiny, która rozciąga się aż do oddalonych o kilka kilometrów łagodnych wzgórz. Prowincja Shanxi słynie z kopalni węgla i ponurych wiosek. Patrząc w dal, zaczynam rozumieć, dlaczego Max Zhang wybrał właśnie to miejsce: wystarczy patrzeć dość długo w horyzont, by monotonia zmieniła się w piękno, obrazując kontrast zawarty w tytule filmu: Żelazo w złoto.

Tina umieszcza mnie pośród tłumu statystów ubranych podobnie jak ja w płaszcze koloru khaki, tyle że dopasowane rozmiarem.

- Poczekaj tu. Przyjdę po ciebie, kiedy skończą kręcić scenę. Po kilku godzinach obejrzałam już tyle ujęć, że mogłabym odegrać ją samodzielnie. Problemem nie są aktorzy, wspaniałe istoty, między ujęciami palący cienkie europejskie papierosy, tylko statystka, dziewczyna o ostrych rysach twarzy, która nie potrafi właściwie wymówić swojej jednozdaniowej kwestii. Max Zhang z każdym ujęciem jest coraz bliższy wybuchu i zaciska usta w sposób typowy u ludzi, którzy potrafią dusić w sobie frustrację.

- Akcja! - woła po angielsku. Terminologia filmowa jest uniwersalna, wyjaśnia mi jeden ze statystów. Chińscy reżyserzy używają słów action i cut (wymawiane jako „ka”), nawet jeśli nie potrafią powiedzieć nic innego po angielsku.

Scena znów się zaczyna, a ja nieświadomie powtarzam każdy gest i kwestię. Statyści zaczynają kręcić się po polu, kochankowie z pasją się obejmują, służąca wbiega, wszyscy czekają w napięciu, ale nie, znów się myli.

- Bu dui, bu dui, bu dui! Ka (Niedobrze! Niedobrze! Niedobrze! Cięcie!)- wrzeszczy Max Zhang, machając wściekle rękami. Patrząc na zegarek i wzdycham. W tym tempie wybije północ, zanim siądę z nim do wywiadu. A jeśli wrócę do Pekinu z pustymi rękami... przed oczami staje mi wściekła twarz Eda i czuję dreszcz.

- Isabelle. - Tina pojawia się obok mnie, jej czoło znaczy zmarszczka zmartwienia. - Bardzo mi przykro, ale wygląda na to, że wywiad będzie odwołany.

- Co?! - wydaję stłumiony okrzyk. - Żartujesz?

- Już i tak jesteśmy do tyłu z czasem i musimy usunąć parę rzeczy z grafiku. Max chce dzisiaj skończyć i po prostu nie da się zmieścić twojego wywiadu.

- A jutro? - pytam ostro, bo zaczyna we mnie wzbierać gniew.

- Max wyjeżdża jutro rano do Hongkongu. Myślałam, że wiesz - mówi z uśmiechem.

- Czyżby.

- Nie inaczej.

Patrzemy na siebie przez chwilę. Zastanawiam się, jakby to było ją teraz spoliczkować. Niemal czuję mrowienie w dłoni.

- Tina. - Biorę głęboki oddech i wbijam ręce w kieszenie. - Wiem, że czujesz do mnie urazę i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Ale nie możesz ciągnąć mnie do Shanxi, zmieniać w ostatniej chwili mojego zakwaterowania, wynajdywać mi pokoju, w którym nawet nie ma łazienki, a potem odmawiać mi wywiadu - mówię coraz głośniej, ale w ostatniej chwili przypominam sobie, że w Chinach okazać gniew, to stracić twarz. - Chyba wolałabyś uniknąć negatywnej reklamy w „Beijing NOW” - kończę cicho.

Wzrusza ramionami.

- Żaden z was „New York Times”.

- Tina. Jestem zmęczona. Jestem brudna. Nie wracam do Pekinu bez tego wywiadu.

- Ależ wracasz.

- Przepraszam - włącza się ktoś, kogo głosu nie poznaję; spółgłoski znaczą lekki angielski akcent - ale kiedy panie skończą się kłócić, chcielibyśmy zrobić jeszcze jedno ujęcie.

Oglądam się i widzę Maksa Zhanga ze skrzyżowanymi ramionami i uniesionymi brwiami.

- Panie Zhang, przepraszam... - jąkam się.

- Kim pani jest? - pyta, ale odpowiedzi szuka u Tiny. - Kim ona jest? - powtarza to pytanie po chińsku.

- Jestem dziennikarką - mówię.

- O! Ty jesteś dziennikarką? - Patrzy na mnie ze zdumieniem. - Myślałem, że pomagalaś pastuchowi czyścić chlew - mówi, a ja patrzę na Tinę wilkiem.

- Nie przejmuj się - rzuca szybko Tina. - Ona jest nikim.

Max bacznie przygląda się mojej twarzy.

- Hm. Zależy mi właśnie na nikim. Potrafisz mówić po chińsku?

- Trochę - mówię.

- Nie - wcina się Tina.

- Podoba mi się ten bezradny wyraz twarzy - myśli na głos. - Idealny dla służącej... Brudne włosy... Można by nałożyć na twarz trochę smug z węgla... Tak. Tak! - Odwraca się do swojej ekipy. - Garderoba! - krzyczy. - Fuzhuang zu!

Ani się obejrzałam, a już jestem odziana w workowatą bawełnianą szatę służącej z lat trzydziestych dwudziestego wieku, włosy mam zaplecione w warkocze, na twarzy czarne smugi. Nadal mam na sobie za duży płaszcz - Max (poprosił mnie, żebym tak się do niego zwracała) uważa, że przydaje dickensowskiej atmosfery - tylko wojskowe buty zamieniono mi na cienkie bawełniane pantofle.

- Kuai! Zhuren zai majuan li deng ni. Ta yao zhao ni! - Chodź szybko! Pan jest w stajniach. Szuka cię! - powtarzam kwestię w kółko, jakby to była piosenka. Serce wali mi tak mocno, jakby miało eksplodować, ale znikąd pomocy. Cała ekipa to obcy ludzie, a Tina oddaliła się oburzona. Widzę ją teraz koło bufetu, krzyczy coś do komórki.

- Akcja!

Kochankowie przytulają się i całują, jak gdyby po raz pierwszy. Aktorka przesuwa smukłymi palcami po policzku aktora i wzdycha. O, to znak dla mnie! Biegnę na trzęsących się nogach.

- Kuai! Zhuren zai majuan li deng ni. Ta yao zhao ni! - wołam piskliwie.

- Cięcie! - Max podchodzi i kładzie mi rękę na ramieniu. - Jesteś zdenerwowana - mówi życzliwie.

Przełykam ślinę.

- Po prostu... nigdy czegoś takiego nie robiłam.

- Doradzić ci coś? Po prostu daj się ponieść chwili. Nie przejmuj się tonacją. Grasz służącą. Pewnie i tak masz kiepski akcent.

Śmieję się nerwowo.

- Jesteśmy gotowi, jeśli ty jesteś gotowa.

- Okej. - Biorę głęboki wdech. - Jestem gotowa.

- Akcja!

Tym razem nie walczę z dreszczami zimna, a jeśli moje kolana drżą, to pewnie dlatego, że grana przeze mnie postać panicznie boi się przybycia pana. Wyrzucam z siebie kwestię z histerycznym

pośpiechem, zwijając się wewnętrznie i czekając na nieuniknione

Ale po raz pierwszy dzisiaj scena trwa dalej. Kochankowie jeszcze raz czule się przytulają, aktorka ociera łzy, podaje mi dłoń i razem biegniemy przez pole.

- Cięcie! - woła rozpromieniony Max. - Świetna robota! Kończymy!

Kiedy ekipa zaczyna wracać do przyczep, Max podchodzi do mnie.

- Isabelle, jak mam ci dziękować? Chciałem już udusić tę dziewczynę. Ale dzięki tobie nie mamy opóźnienia.

- To dla mnie zaszczyt - zapewniam go.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, mów śmiało. Patrzę na niego przeciągle.

- Właściwie to jest coś...

Przed zmrokiem trzeba nakręcić jeszcze jedną scenę. Max zaprasza mnie do swojego samochodu i jedziemy do Pingyao. Podczas wywiadu jest zaskakująco szczery, mówi o swoim ubogim dzieciństwie w Tajpej, studiach w Anglii, trudnych początkach w Hollywood, wrażeniach z filmowania w Chinach, z których jego rodzice uciekli przed drugą wojną światową, a do tego wszystkiego obiecuje mi, że wywiad będzie na wyłączność.

Kuchnia cesarska

...jest skomplikowana, złożona i bardzo czasochłonna. Ważny element stanowią artystycznie formowane potrawy, na przykład uchowiec (Uchowce znane jako abalony - wykwintna potrawa z morskich ślimaków.) faszerowany mielonym mięsem kurczaka i ozdobiony czarnymi algami oraz groszkiem, aby przypominał głowę ropuchy. Kolejna istotna cecha to drogie albo rzadkie składniki, na przykład łapy niedźwiedzia, kopyta wielbłąda (Zupa z wielbłądziego kopyta była podobno ulubionym daniem cesarza Xuan - zoga (685 - 762) i jego konkubiny Yang Guifei; uznawana za przysmak, przyrządzana była na specjalne okazje.) lub soplówka jeżowata (Soplówka jeżowata (*Hericium erinaceum*) - grzyb spożywczy uprawiany w Chinach i Japonii. Jego jadalny kosmaty owocnik przypomina głowę małpy, dlatego nazywany jest „małpią głową”; stosowany także w chińskiej medycynie.), nie mówiąc o płetwach rekina

(Zupa z płetw rekina (chiń. yu chi) - wykwintne danie kuchni chińskiej.) i ptasich gniazdach (Zupa z ptasich gniazd (chiń. yan wo, „jaskółcze gniazdo”) - przysmak kuchni chińskiej; zawiera składniki pozyskane z gniazda jednego z gatunków jerzyka.). Trzecim wyznacznikiem jest skłonność do potraw mających właściwości afrodyzjaków, takich jak duszony jeleni penis lub bardziej wykwintne mięso bobra smażone w głębokim tłuszczu.

Yan - Kit So, *Classic Food of China*

Za panowania dynastii Ming bankiety zaczynały się często o jedenastej przed południem i trwały sześć albo więcej godzin.

A. Zee, *Swallowing Clouds: A Playful Journey Through Chinese Culture, Language and Cuisine*

Siedzę przy biurku i przeglądam listę nazwisk w telefonie, zastanawiając się nad każdym z nich. Claire poszła ze mną w zeszłym miesiącu. Lily? Wybrednia. Ed... Za mało wybredny. Geraldine odtruwa się surowizną. Jeff pojechał do Szanghaju niedługo po moim powrocie z Pingyao, ale nawet gdyby tu był, jasno dałby do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z „Beijing NOW”, które uważa za amatorszczyznę („cienie” - takiego wyrażenia użył, ale chciał chyba powiedzieć „cieniasy”).

Słowo daję, nie spodziewałam się, że tak trudno będzie znaleźć kompanów do stołu. Gdybym nie miała tej pracy, byłabym szczęśliwa,

mogąc odwiedzić restaurację w towarzystwie krytyka kulinarnego.

- Nie chodzi o to, że cię nie lubię - zaprotestował Gab w zeszłym tygodniu podczas lanczu w sali konferencyjnej. - Lubię cię. Lubię jeść z tobą na mieście. Ale nie podczas posiłków do recenzji.

Zdarł wieczko z kubka nudli, wypuszczając kłęb pary.

- Ale dlaczego? - spytałam. - Przecież to darmowa wyzerka.

- Tylko jeśli nie przekroczysz trzech stówek - poprawił mnie. I miał rację. Chudy budżet „Beijing NOW” sprawia, że zwykle płacimy większość rachunków z własnej kieszeni. - Poza tym z tobą to po prostu wycieczka po słowniku synonimów.

- Miałam ten sam problem, kiedy sama recenzowałam restauracje - wcięła się Geraldine, odsuwając plastikową miseczkę pełną ogrzanego na słońcu jęczmienia z poszatkowanymi wodorostami.

- I co zrobiłaś? - pytam ochoczo.

- Zmieniłam pracę.

Niemniej jednak kogoś znaleźć muszę. Gdy jeszcze raz przeglądałam nazwiska, słyszę delikatny dźwięk komputera. Mejl! Klikam na małą kopertkę w rogu ekranu.

Do: Isabelle Lee Od: Dwayne Keeg Temat: Nowi znajomi

Droga Isabelle!

Jestem Dwayne. Moja matka jest przyjaciółką twojej matki. W ten weekend będę w Pekinie. Chcę Cię zaprosić na kolację. Proszę, daj znać, kiedy masz czas. Pozdrawiam Dwayne

Czytam wiadomość kilka razy, próbując wycisnąć z niej więcej szczegółów. Dziwne mejle od młodych mężczyzn powołujących się na moją matkę oznaczają tylko jedno - swaty. Po ostatniej takiej intrydze - ze sztywnym prawnikiem korporacyjnym, który tłumaczył słowa z włoskiego menu („To jest al dente. Al dente oznacza »na ząb«. A to jest linguine. Linguine oznacza »języczki«".) - przyrzekłam sobie nigdy już na to nie pójść. Ale... Może to tylko przyjazny gest? Spotkanie rodzinne? Poza tym mogłabym go zaprosić do Empress Impressions i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu...

- Isabelle, kiedy napiszesz recenzję na ten miesiąc?! - woła Ed z oddali.

- Będzie na poniedziałek - odpowiadam szybko, jednocześnie odpowiadając Dwayne'owi, że z przyjemnością spotkam się z nim na kolacji. Muszę tylko namówić kogoś, żeby poszedł z nami.

- Szlag! - Z rosnącym przerażeniem patrzę na mejle. Spotkanie z

Dwaynem coraz bliżej, a ja wciąż nie mam „przyzwoitki”.

Myślałam, że Geraldine się zgodzi, ale właśnie przysłała mi mejla, że wybiera się na jogę.

- Coś nie tak? - Claire zagląda do salonu i siada na oparciu kanapy.

Krzywię się.

- Mama znowu chce mnie spiknąć z synem swojej przyjaciółki. Jutro idziemy na kolację, ale nie mogę znaleźć nikogo trzeciego.

- Po co ci ktoś trzeci?

- Żeby Dwayne nie myślał, że to randka.

- A tak. Im więcej, tym bezpieczniej. - Kiwa głową. - A kto to? Typowy wybranek mamy?

Klikam na mejl od Dwayne'a i pokazuję go Claire. Przebiega wzrokiem i wybucha śmiechem.

- Odpowiedziałas mu? Ja załatwiłam go jednym kliknięciem: do kosza!

- To znaczy, że do ciebie też napisał?

- Tak. Dostałam dokładnie takiego samego mejla. Pewnie miał gdzieś, która z nas się z nim umówi. - Patrzy znów na ekran - „Jestem Dwayne” - powtarza monotonicznie. - Brzmi jak jakiś jaskiniowiec. Ty Isabelle. Ja Dwayne. Jeść. Kolacja. - Unosi brwi i czyta dalej na głos. - Moja matka jest przyjaciółką twojej matki... Przynajmniej wiemy, że mama nie wybrała go ze względu na zdolności literackie.

- Jest wolny, a mama zna jego rodzinę. To według niej wystarczy, żeby tacy młodzi ludzie jak my się zakochali. Wiesz, jaka ona jest. - Prostuję plecy i podnoszę podbródek, imitując postawę mamy. - Wy, dziewczęta - potrząsam ostrzegawczo palcem - musicie zacząć myśleć o ustatkowaniu się i dzieciach, zanim ja i tata całkiem się zestarzejemy. Aiya! - wzdycham ciężko.

Claire chichocze, a potem tak samo się prostuje.

- Znam pewnego miłego młodzieńca - mówi, doskonale naśladując głos matki. - Może się z nim umówisz? Jedna randka cię nie zabije! To bardzo miły Chińczyk.

Obie wybuchamy śmiechem.

- Ależ ona jest irytująca - mruczę wreszcie. - Wydałaby nas za pierwszych dwóch Chińczyków, którzy by się zjawili.

- Chińczyków? Za kogokolwiek, kto ma dobrą pracę. Wiesz, jaką ma obsesję na punkcie Żydów...

- Jacy oni inteligentni - wykrzykujemy chórem.

- Może ja z tobą pójdę - mówi nagle Claire. Otwieram oczy ze zdziwienia.

- Naprawdę? Zrobiłabyś to dla mnie? - pytam z wdzięcznością.

Wzrusza ramionami.

- Pewnie. Wiesz, że moją życiową misją jest krzyżowanie planów matrymonialnych matki. - Śmieje się, ale wcale nie mam pewności, czy żartuje.

Otaczam ręką jej szczupłe ramiona i lekko przytulam.

- Bardzo ci dziękuję - mówię z ulgą.

Studia, kariera, małżeństwo, wnuki. Jak większość chińskich rodziców moja matka tego właśnie oczekiwała od swoich córek i jak większość chińskich rodziców wywindowała swoje nadzieje bardzo wysoko - studia bardzo prestiżowe, praca świetnie płatna, chiński mąż, dzieci płynnie mówiące po chińsku. No i dom tuż obok domu rodziców, żeby mogli codziennie widywać się z wnukami. Oczywiście życie ułożyło się trochę inaczej.

W ramach ostrej rywalizacji moja matka i jej przyjaciółki grają w nieustającą grę „kto kogo”, a rolę pionków odgrywają dzieci. Przez wiele lat mama była królową tej szachownicy, usuwając w cień cudze osiągnięcia sukcesami Claire na Harvardzie i Yale. Ale potem ciocia May (wszystkie przyjaciółki mamy nazywamy ciociami) ogłosiła zaręczyny swojej córki z jednym z założycieli Google i już trzy miesiące po ślubie zaczęła wyszywać buciki. Następnie ciocia Teresa, która żyła w hańbie, odkąd jej córka, Connie, przeprowadziła się do San Francisco i ujawniła, że jest lesbijką, odzyskała pozycję, ogłaszając, że partnerka Connie zaszła w ciążę metodą in vitro oraz że kupiły dom tuż obok niej. Niecały rok później ciocia Daisy przeprowadziła się do New Jersey, żeby zamieszkać z synem - przemiłym chłopakiem, chociaż skończył tylko szkołę średnią - ponieważ razem z żoną chcieli, aby dzieci mówiły po chińsku.

Obecnie moja mama jako jedyna pośród przyjaciółek ma: a) dwie niezamężne córki, b) zero wnuków. Słucha z boku, jak koleżanki opowiadają sobie o rozmiarach pierścionków zaręczynowych i przyjęciach na cześć nowo narodzonych. Milczy, kiedy wymieniają się opiniami o chińskich salach bankietowych albo wzdycha z udaną irytacją nad ich wnukami. Cały ten czas spiskuje, jak by tu jakimś sposobem wynaleźć nam mężów. Wypytała wszystkich znajomych,

odwiedziła wróżbitę i założyła nam profile na match.com. Claire twierdzi, że mama posunęła się nawet do zasięgnięcia rady pewnej słynnej swatki z Tajpej. Znając ją, nie mogę tego wykluczyć.

Oczywiście po części sama jestem temu wszystkiemu winna. Od wieków nie przedstawiłam rodzicom nikogo i muszą być przekonani, że z nikim się nie spotykam, nie interesuję się mężczyznami albo oni nie interesują się mną. Gdybym wynalazła kogoś odpowiedniego (na przykład Chińczyka), być może mama przestałaby bawić się w te randki w ciemno i nieproszone porady w kwestiach mody. Szczerze powiem, że kiedy ostatnio skrytykowała moją wzburzoną fryzurę („mężczyźni nie lubią bałaganu!”, powtarzała, „zaufaj mi, znam się na tym!”); miałam ochotę zadzwonić od razu do Richarda i poprosić, żeby wskoczył do pierwszego pociągu do Westchester - do diabła z jego niechęcią do przedmieść. Ale potem przypomniałam sobie ostatni i jedyny raz, kiedy przedstawiłam chłopaka rodzicom.

Miałam dziewiętnaście lat, co wyjaśnia, dlaczego chodziłam z chłopakiem z bractwa. Poznałam Blaine'a na „Geologii trzęsień ziemi”, wykładzie przeznaczonym dla zapaleńców (takich jak on) i pierwszorocznych studentów kierunków humanistycznych (takich jak ja). Na mojej bluzie z korporacji zobaczył greckie litery, zaprosił mnie na imprezę, postawił drinka i powiedział, że jestem tajemnicza i piękna. Potem już poszło z górki i po raz pierwszy w życiu byłam po uszy zakochana.

Blaine miał typowo amerykańską urodę i typowo amerykańską historię. Jako pierwsza osoba w rodzinie poszedł do koledżu - jego ojciec był górnikiem w Pensylwanii - śmiał się hałaśliwie i miał kompleks na punkcie uprzywilejowanych dziewcząt z korporacji z wyższej klasy średniej. Fascynowała mnie jego pewność siebie i trudy dzieciństwa - tak odmiennego od mojego - a kiedy moi rodzice jak zwykle raz w miesiącu pojechali na Manhattan na dim sum (Dim sum (chin. dian xin) - kantońska nazwa różnorodnych drobnych przekąsek serwowanych przede wszystkim w specjalizujących się w nich restauracjach i spożywanych zwykle w godzinach południowych; popularne zwłaszcza w południowych Chinach.), zabrałam go ze sobą.

Po raz pierwszy był w Chinatown i gdy szliśmy za rękę po Mott Street, uważnie patrzyłam na jego twarz. Wyglądał na zafascynowanego wąskimi uliczkami, długoszyimi pieczonymi kaczkami wywieszonymi na wystawach, chodnikami pełnymi

podróbek torebek Gucciego. Kiedy weszliśmy do tłocznej restauracji, ścisnęłam go za rękę i spleliśmy palce. Rodziców odnaleźliśmy przy obleganym okrągłym stole.

- Mamo, tato, ciociu, wujku, wszyscy... To jest Blaine - powiedziałam nieśmiało. - Blaine, to moi rodzice, Grace i Tom Lee, ciocia Marcie, wujek Gray... - Obeszłam stół, ignorując zdumienie zebranych. Wspominałam im wcześniej o chłopcu, ale nie o chłopaku, i nie mówiłam, że jest biały.

- Jak się miewacie! - zawołał Blaine, siadając i otaczając ramieniem oparcie mojego krzesła. - Grace, Tom, dużo o was słyszałem. Miło was poznać!

Skuliłam się w sobie. Nikt z moich znajomych nie zwracał się do moich rodziców po imieniu. Na szczęście przyjęli to spokojnie.

- Napijesz się herbaty? - spytała mama, nalewając wszystkim do kubeczków z porcelanowego czajnika.

- Nieee... Wezmę piwo - powiedział, machając na kelnera. - Mogę dostać piwo? - Na migi pokazał, że pije z butelki. - Piwo, piwo...

- On chyba mówi po angielsku - mruknęłam. - Nie wolałbyś jednak herbaty? - spróbowałam go przekonać, bo nikt inny nie pił tu piwa.

- Żartujesz, złotko? Piwo świetnie pasuje do chińszczyzny. Trzeba mu przyznać, że jadł. Jadł, jadł, jadł i jadł. Pochłaniał

pierozki, wysypując je z koszyczków do podgrzewania na parze prosto na talerz. Nakładał sobie kłęby nudli, pożarł połowę porcji zeberek i górę smażonego ryżu. Moja mama i ciocia wciąż zamawiały kolejne dania, a wszystko za pośrednictwem widelca Blaine'a znikало w jego gardzieli. Wreszcie po czterech piwach, trzech parach upuszczonych pałeczek i dwunastu koszyczkach krewetkowych xiumai (Xiumai (chiń. shao mai, „gotować i sprzedawać”) - pierozki; klasyczne danie dim sum, gotowane na parze i podawane w koszyczkach z wikliny.) Blaine odsunął krzesło i głęboko odetchnął.

- Coś wspa - nia - ła - go! - zawołał, wyciągając ramiona i kładąc dłoń na mojej nodze. - Złotko, będziemy musieli jakoś to wszystko spalić! - wyszczerzył zęby.

Cztery pary oczu pomknęły ku nam i zobaczyłam w nich szok. Czy moja rodzina kiedykolwiek poruszała temat seksu? Może raz, kiedy przechodziłam dojrzewanie, a mama kupiła mi paczkę podpasek

i wyjaśniła, czym jest menstruacja. Tyle. Ciagle czułam się nieswojo, oglądając z nimi co odważniejsze sceny w filmach.

- Mmm... - zarumieniłam się i wybełkotałam coś o spotkaniu z koleżanką w bibliotece. Wyszłam z Blainem niedługo potem. Byłam pewna, że nasłucham się od mamy, ale nie wspominała o nim, dopóki nie wróciłam do domu na weekend kilka tygodni później. Szłam właśnie spać, kiedy wzięła mnie do pokoiku, którego używała jako gabinetu.

- Isabelle, chodź tutaj, chcę z tobą porozmawiać. Skrzywiłam się, sądząc, że wiem, co mnie czeka. Usiadła przy komputerze z ciężkim słownikiem na kolanach.

- Jest tutaj takie jedno słowo, które chcę poznać - powiedziała poważnie, pokazując otwartą książkę i mrużąc oczy. - Nie mogę odczytać bez okularów. Pomożesz mi?

Spojrzałam tam, gdzie wskazywał jej palec.

- Callow - odczytałam na głos - niedojrzały albo niedoświadczony. Nieopierzony, nieprzygotowany, naiwny, infantylny... - ucichłam.

- Callow - powtórzyła poważnie.

Czy chciała mi powiedzieć coś o Blainie? Czy chciała mnie zapytać o moje życie intymne? Skuliłam się pod jej spojrzeniem i serce zabiło mi szybciej. Obliziałam wargi, zastanawiając się jak czym prędzej uciec do siebie.

- Chce mi się spać... - Ziewnęłam sztucznie.

Ale mama powiedziała chyba wszystko, co zamierzała, resztę przekazu pozostawiając kontekstowi.

- Pocałuj mnie - powiedziała, nadstawiając policzek. - Śpij dobrze. Kocham cię.

Poszłam do siebie zarumieniona ze wstydu i złości. Uczucia te zdusiłam w sobie.

Rozstałam się z Blainem kilka miesięcy później - zdradził mnie z hiszpańską studentką na wymianie w Barcelonie - ale nasz związek zmienił się już tamtego dnia, kiedy spotkał się z moimi rodzicami. Dezaprobata mamy wszystko zepsuła, przekształcając naszą szkolną miłość w coś tandetnego i szczeniackiego. Chciałam to zignorować, ale zdanie rodziców zbyt wiele dla mnie znaczyło. Ze strachu i urazy nie przedstawiłam im swojego kolejnego chłopaka, długowłosego nałogowego palacza z wydziału antropologii. Ani następnego,

młodszeo analityka z Wall Street, z którym praktycznie mieszkałam, ani kolejnego, sarkastycznego dziennikarza biznesowego, ale ten związek i tak trwał tylko trzy miesiące. W miarę upływu czasu przyzwyczaiałam się do niedzielenia się z rodzicami szczegółami swojego życia miłosnego. W rezultacie matka wierzy, że od dziesięciu lat jestem samotna. Teraz, kiedy przekroczyłam trzydziestkę, jej niepokój wzrasta z każdym upływającym miesiącem i zmarnowanym jajeczkiem. Dwoma zmarnowanymi jajeczkami, bo przecież Claire także jest samotna.

Zaczeła podsuwać nam kawalerów do wzięcia kilka lat temu - jednego za drugim przyjemnego młodego mężczyznę z dobrą pracą, ładnymi zębami i brakiem choćby śladowego seksapilu. Na początku byli to wyłącznie Chińczycy amerykańskiego pochodzenia, ale w miarę upływu lat - oraz wzrostu desperacji mamy, żebyśmy ustatkowały się i urodziły jej wnuki - pojawili się Koreańczycy, Japończycy, Żydzi. Na początku było to nawet zabawne, ale kiedy ilość rzuczanych niby dyskretnie sugestii przekroczyła wszelkie normy, zaczęłam uginać się pod ciężarem jej rozczarowania i troski. Rozmowa o czymś tak prozaicznym jak sznurówki mogła w jednej chwili zmienić się w zalew sugestii i porad.

- Pękła ci sznurówka - powiedziała pewnego dnia przez telefon. - Mogłabyś sprawić sobie nową parę w sklepie z obuwiem męskim. Mają tam czarne. I kto wie, kogo mogłabyś przy okazji spotkać!

Jeszcze w Nowym Jorku młodsza, bardziej pokorna Claire chadzała na randki z tymi amantami, kurtuazyjnie konsumując pierś kurczaka w nijakich restauracjach na mieście, a potem całowała ich na dobranoc w policzek. Ale później coś się zmieniło. Kilka miesięcy przed wyjazdem do Pekinu zaczęła krzyżować matce plany. Nigdy nie mówiła wprost „nie”, za to zapraszała na te randki innych znajomych.

- Zbieram ludzi, żeby obejrzeć ptaki - mówiła na przykład, w rezultacie zmieniając potencjalny romans w spotkanie ornitologów o brzasku.

Wobec tej samej oferty miłych młodych mężczyzn ja po prostu odmawiałam. Na przykład:

- Nie, nie wybieram się na tę imprezę.
- Nie, nie zagram w madżonga z synem wujka Clifforda.
- Nie, nie pójdę na kurs tanga z informatykiem z biura taty.
- Można przyprowadzić konia do wodopoju - mruzczała moja

matka, by zaraz potem dodać - ale nie można go zmusić, by pił. Aiya! Starzeję się! - Słyszac to, wywracałam oczami. Mama, skłonna do dramatyzowania, rzecz jasna przesadzała, że hej. Przecież kiedyś kogoś spotkam, kogoś inteligentnego, dowcipnego i czarującego, a co najważniejsze, kogoś, kto nie zostanie mi przedstawiony przez matkę.

Problem tylko w tym, że dotąd nikogo takiego nie poznałam. W ostatnich latach pod wpływem narastającej obawy przed zostaniem starą panną z inklinacją do tradycyjnej medycyny chińskiej, zamiast „nie” mówiłam czasem „tak”.

Po pół godzinie czekania, bawienia się komórkami, wyglądania przez drzwi i przyglądania się każdemu klientowi Empress Impressions wreszcie udaje nam się zlokalizować „Jestem Dwayne'a” (jak uparła się go nazywać Claire) przy stoliku w kącie. Należy dodać, że siedzą tam dwie osoby.

Cienki wąsik Dwayne'a prawie kryje zaskoczenie, kiedy przedstawiam mu Claire, ale żadna z nas nie jest w stanie ukryć zdziwienia na widok towarzyski Dwayne'a.

- Nie powiedziałaś mi, że przyprowadzi swoją matkę - syczy do mnie Claire, kiedy przenosimy się do większego stołu.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- Pozwólcie że przedstawię wszystkich jak należy - mówi słabym głosem Dwayne. - Mamo, to Isabelle i Claire Lee. Isabelle, Claire, to jest moja mama, Dorothy Keeg.

- Mówcie do mnie pani Keeg - mówi kobieta, poprawiając stalowosiwe włosy.

- Miło, że zechciała się pani z nami spotkać - witam się, siadając na krzesłach według projektów mingowskich z nieubłaganie prostym oparciem.

- Jaka to niezwykła sala - mówi pani Keeg. - Taka chińska.

- W końcu jesteśmy w Chinach. - Rzucam jej krótkie spojrzenie, ale ma całkowicie obojętny wyraz twarzy.

Empress Impressions, jedna z najszykowniejszych restauracji w Pekinie, reklamuje się jako prawdziwie cesarskie przeżycie kulinarne: serwuje ulubione potrawy cesarzowej Cixi (Cixi (1835 - 1908) - cesarzowa dynastii Qing (1644 - 1912), potężna i zdecydowana w działaniach. Sprzeciwiała się reformom i prowadziła nieskuteczną politykę wobec zachodnich mocarstw.) (kto ma ochotę na wielbłądzie kopyto?) po równie cesarskich cenach. Wchodząc do sali jadalnej,

przenosimy się do współczesnej wersji cesarskiego pałacu. W górze ciągną się rzeźbione krokwie, a pod pleksiglasową podłogą rozlewa się staw, przez który mkną ławice kolorowych rybek koi (Koi (Cyprinus carpio) - udomowiona, ozdobna forma karpia hodowana w oczkach wodnych.). Kelnerki ubrane są tak, by przypominać eunuchów z dworu dynastii Qing - wydają się bezpłciowe, mają krótkie włosy. Jest ósma w sobotni wieczór, ale w restauracji panuje cisza wynikająca jednak nie z szacunku, a z pustki. Zajęte są tylko trzy stoliki łącznie z naszym. Zły znak...

- Nie będziemy chyba jeść tych rybek, prawda? - pyta pani Keeg, patrząc, jak tęczy koi przepływa jej pod stopą.

- Nie obrażaj ich, mamó! To prawdopodobnie jakiś starożytny chiński przysmak! Obciąć facetowi jaja i niech zje złote rybki!

Śmiech Dwayne'a przypomina ryk osła. Iiiiiiiiiihihihihihih! Uśmiecham się kurtuazyjnie i patrzę w menu.

- Jest coś, czego nie jecie? - pytam.

- O, jemy wszystko - mówi szybko pani Keeg. - Poza małżami. Dwayne ma alergię. I orzeszkami ziemnymi. Ja mam alergię. To dotyczy też oleju z orzeszków ziemnych. Wzdymam się jak balon! No i żadnego glutaminianu sodu.

- Alergia? - pyta Claire, a ja unikam jej wzroku, żebyśmy obie nie wybuchnęły śmiechem.

- Syndrom chińskiego jedzenia - wyjaśnia pani Keeg. - Dostaję bólu głowy, jak tylko pomyślę o glutaminianie sodu.

- I żadnych węglowodanów - rzuca Dwayne. - Dieta South Beach. Staram się zrzucić parę kilo - tłumaczy, klepiąc się po brzuchu.

Przerzucam menu, opasły tom strona po stronie wypełniony oślizgłym triumwiratem wykwintnej chińskiej gastronomii: płetwą rekina, uchowcem i ogórkiem morskim (Trepang - zwierzę morskie zaliczane do strzykw. Jest luksusowym przysmakiem kuchni chińskiej, wykorzystywany także w medycynie. Ze względu na kształt ciała nazywany jest ogórkiem morskim.). Kuchnia cesarska miała imponować rozmachem potraw stworzonych z rzadkich i drogich ingrediencji, ale szczerze mówiąc, jest to najmniej lubiana przeze mnie odmiana chińskiej gastronomii. W głębi serca pozostałam chyba wieśniaczką, bo mając do wyboru płetwę rekina i mapo tofu, zawsze wybiorę to drugie.

Kelnerka podpływa do naszego stolika z długopisem.

- Zaczniemy od tego - mówię, pokazując ideogramy oznaczające kapustę w sosie musztardowym. - A potem to - wskazuję tofu nadziewane orzeszkami piniowymi i szpinakiem.

- Dui bu qi, jintian meiyou - oznajmia kelnerka. Przepraszam, dziś tego nie mamy.

- W porządku - odpowiadam niezrażona. - W takim razie kurczak na zimno w sosie sezamowym.

- Meiyou (Nie ma.).

- Nudle z fasoli mung (Fasola mung - ważny składnik kuchni azjatyckiej; w krajach Dalekiego wschodu sporządza się z niej także makaron; spożywana zarówno w postaci gotowanej, jak i surowej (kielki sojowe).), kolendrą i siekaną wieprzowiną? - pytam z nadzieją.

- Meiyou.

- Smażone filety z dorsza z mandaryńskim sosem czili?

- Meiyou.

- Wystarczy tego meiyou - mruczy Claire.

Szybciej przewracam kartki menu, próbując znaleźć inne potrawy, ale mieszanka angielszczyzny i chińszczyzny męczy moje oczy. Obok mnie kelnerka przestępuje z nogi na nogę, a wreszcie wzdycha z niecierpliwością.

- Co pani poleca? - pytam.

- Uchowiec jest znakomity - odpowiada, wskazując najdroższą potrawę w karcie.

Udaje mi się zamówić kilka ulubionych dań Cixi, które nie zawierają orzeszków ziemnych ani małży, a co najważniejsze, są dostępne. Kelnerka oddala się, a ja odwracam się do stolika.

- Zamówiłaś jakieś pierożki? - pyta Dwayne, oblizując cienkie wargi.

- Nie, myślałam, że unikasz węglowodanów...

- Jesteśmy w Chinach. Pierożki muszą być!

- O tak - przytakuje jego matka. - Uwielbiamy pierożki.

Kelnerka wraca z zimnymi potrawami; uzupełniam zamówienie o jiaozi z wieprzowiną i szczypiorkiem. Potem kosztuję marynowanej kapusty w sosie musztardowym; jest słodka i kwaśna, obryzgana słabą musztardą, która smakuje jak French's, czyli jest zupełnie pozbawiona szczypiącego mrowienia.

„Bez smaku” - zapisuję w notesie.

- Ojej. Pikantne! - woła pani Keeg, wachlując twarz dłonią. -

Uważaj, skarbie - mówi, odsuwając talerz z dala od Dwayne'a. - Nie może jeść pikantnych potraw. - Nachyla się i dodaje szeptem - wrzody żołądka.

- Mamo! - Jabłko Adama Dwayne'a podskakuje jak spławik wędkarski.

- Zawsze lepiej od razu mówić o takich rzeczach. - Odchyła się na krześle i patrzy na nas badawczo. - To bardzo ekscytujące, że postanowiłyście wrócić do Chin!

- Wrócić do Chin? - powtarzam słabym głosem, ale ignoruje mnie.

- Wspaniały jest taki powrót do korzeni - wyrzuca z siebie. - Nie posiadam się z ciekawości, powiedzcie, jakie to uczucie ponownie zamieszkać w ojczyźnie?

Unoszę brwi.

- Nie powiedziałałabym, że Chiny to nasza ojczyzna. Urodziłyśmy się w Stanach tak jak nasz ojciec - przypominam jej. - Chińczycy często nie rozumieją, że jesteśmy Amerykankami, bo myli ich nasz wygląd. Ale prawdę mówiąc, życie w Pekinie sprawiło, że czuję się jeszcze bardziej Amerykanką pod względem kulturowym. Nie różnię się wyglądem od miejscowych, ale czuję się inna i moje reakcje są inne. Chociaż oczywiście ludzie ciągle pytają o naszą tożsamość etniczną i zastanawiają się, czy czujemy się bardziej Amerykankami czy Chinkami. - Tłumaczyłam to już tyle razy, że wyrzucam z siebie słowa, nie myśląc o nich.

- Więc czujecie się bardziej Amerykankami czy Chinkami? - pyta.

- Mmm... - Przecież dopiero co jej odpowiedziałam. - Amerykankami - odpowiadam wreszcie. - Kiedy zamykam oczy i myślę o domu, Chiny na pewno nim nie są - śmieję się przepraszająco.

- Bardzo ciekawe - odpowiada tonem, który dobitnie świadczy o tym, że jest rozczarowana naszym brakiem etnicznego oświecenia. - Która z was bardziej przypomina matkę?

- Och, żadna - mówi sucho Claire. - Obie jesteśmy dyletantkami.

- Naprawdę? - zdumiewa się pani Keeg. - Czy jedna z was nie pracuje jako prawniczka?

- Claire jest starszym wspólnikiem w kancelarii White, Shaw i Knorr - mówię, zanim moja siostra znów rzuci jakiś nonszalancki komentarz.

- O! Bardzo bym chciała mieć prawnika w rodzinie. - Pani Keeg klaszcze w ręce i patrzy bystro na Claire. - To ty studiowałaś na Harvardzie?

Milczenie.

- Zgadza się - odpowiadam za siostrę. - Studia prawnicze na Yale.

- Dwayne też studiował w Ivy League. - Pani Keeg kiwa ochoczo głową. - Cornell. Dyplom z wyróżnieniem! - Przeskakuje spojrzeniem z Dwayne'a na Claire i z powrotem, jakby już sobie wyobrażała, że siedzą przy stole w jadalni wśród gromadki bystrych Keegiątek. - Wartości rodzinne są bardzo ważne dla Dwayne'a - oświadcza, wciąż wpatrując się w Claire. - Chcesz mieć dużą rodzinę?

Twarz Claire przybiera dziwny wyraz. Gdybym nie wiedziała, co naprawdę myśli, powiedziałabym, że to żal, ale to przecież bez sensu.

- Nie. Nie dużą - odpowiadam wreszcie za nią. - Tylko dwoje dzieci. - Nie mam pojęcia, czy to prawda.

- O tak! - wykrzykuje pani Keeg. - Nie rozumiem tej dzisiejszej mody na liczne rodziny.

Przysięgłabym, że słyszę, jak z głowy pani Keeg dobiega marsz weselny. Nie mam czasu wyprowadzić jej z błędu, bo gromada kelnerów pojawia się z resztą zamówionych dań, stawiając talerze na stole i wyćwiczonym ruchem unosząc jednocześnie srebrzyste pokrywki.

- Reflektuje pani na kaczkę wędzoną w herbacie? (Kaczka zhangcha (chiń. zhangchaya, „kaczka w herbacie kamforowej”) - gałązki i liście drzewa kamforowego (Cinnamomum camphora) są stosowane do wędzenia i przyrządzania kaczki zhangcha, świątecznego (bankietowego) dania kuchni sycuańskiej.) - Rozstawiam talerze, próbując zagadać niezręczną sytuację. Dwayne wysypuje sobie na talerz połowę pierożków i obficie polewa je sosem sojowym.

Ostrożnie biorę do ust galaretowaty kawałek tofu po cesarsku. Przezroczysty sos jest nijaki, wręcz pozbawiony smaku, a tofu zimne. Po kolei próbuję wszystkiego: żeberko w sosie słodko - kwaśnym, wołowina z anyżem, pierożek, który udaje mi się wykraść spod chciwych pałeczek Dwayne'a. Wszystko jest zimne i beczłowe.

Jemy, burząc ciszę tylko stukotem pałeczek o naczynia. Nagle pani Keeg nachyla się do nas.

- Przypomnijcie mi, proszę, która z was jest po rozwodzie?

Serce uderza mi mocniej. Rozwód Claire to tabu, o którym nie wolno mówić nigdy i nikomu. Przenigdy.

Patrzę z obawą na siostrę, ale przybrała obojętny wyraz twarzy.

- To ja - mówi. - Drań słono za to zapłacił. - Rozciąga zaciśnięte wargi w pełnym napięcia uśmiechu. - Miała pani rację. Warto mieć w rodzinie prawnika.

Pani Keeg zaciska usta.

- Niepotrzebne złośliwości, kochanie. Trochę swatów nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Nie będziesz wiecznie młoda. - Bierze kęs anyżkowej wołowiny i krzywi się.

- Racja. - Claire odkłada pałeczki i odsuwa krzesło. - Mam jednak wystarczająco dużo lat, by wiedzieć, że niepotrzebnie tracę tutaj czas. - Bierze torebkę. - Przepraszam, Isabelle. Do zobaczenia.

- Poczekaj! - wołam za nią. - Zostały jeszcze trzy dania! Nie odwracając się, wychodzi.

- Będzie więcej dla nas! - mamrocze Dwayne, pakując do ust całego pierożka.

Bawię się jedzeniem na talerzu. Straciłam do reszty apetyt, choć nie powinnam - to moja praca. Głos pani Keeg przebija ciężką ciszę.

- Powiedz mi, Isabelle - mówi, patrząc na mnie z nowym zainteresowaniem - gdzie ty studiowałaś?

21:45. Jestem z powrotem w mieszkaniu i nalewam sobie pełny kieliszek wina. Więc do tego doszło, myślę. Sobotni wieczór, a ja piję w samotności. W brzuchu mi burczy, więc oprócz butelki biorę do swojego pokoju paczkę czipsów, włączam komputer i siadam do pisania.

W sumie praca w sobotni wieczór nie jest aż tak zła. W końcu mam terminy do dotrzymania, artykuły do napisania, czasopisma do przejrzenia. Charlie na pewno pracuje w każdą sobotę. No tak, on ratuje świat przed północnokoreańską bombą atomową, a ja piszę recenzje z restauracji, ale przecież jedzenie też jest ważne. Czasami się zastanawiam, czy całego tego konfliktu bliskowschodniego nie można by rozwiązać poprzez rozdawanie darmowych falafeli.

Wgapiam się w pusty ekran, popijając wino. Pyszne wino. Cóż za bukiet, jaki aromat! Jeszcze sobie doleję...

Kropelka czegoś mocniejszego polepszyłaby dzisiejszą kolację o tysiąc procent jak nic. Z pomocą kilku dalszych łyków zaczynam

pisać.

22:50. Pisanie złych recenzji to całkiem niezła zabawa! „Przed wizytą w Empress Impressions ubierzcie się ciepło, ponieważ lodowate jedzenie i wyniosła obsługa niechybnie wywołają u was dreszcze. Skoro taką strawą raczono cesarzową Cixi, nic dziwnego, że była taka nieużyta”.

23:30. Ups, rozlałam wino po całym biurku. Patrząc, jak karmazynowa kałuża rozszerza się na jasnym drewnie i skapuje na białą wykładzinę. Jakie to ładne! Ruch i kontrast mają w sobie coś ze sztuki nowoczesnej. Próbuje posprzątać, ale jestem dziwnie ociężała, jak gdyby ciągnęły mnie w dół niewidoczne odważniki. Ile wina wypiałam? Chlустam jeszcze trochę do kieliszka i siadam, by dokończyć recenzję.

23:50. Przeklęta czkawka! Próbowalam wszystkiego, od picia octu po wstrzymywanie oddechu, ale nic nie pomaga! Może kropelka wina pomoże. Zresztą muszę już dokończyć butelkę, prawie nic już w niej nie zostało, w końcu tyle się wylało, a wino w pekińskim klimacie szybko się psuje.

00:30. Recenzja - mistrzostwo! Dowcipna, kaśliwa - nie znałam siebie od tej strony! Nawet Edowi na bank się spodoba. W życiu nic lepszego nie napisałam! Szybko loguję się na swoje konto mejlowe i wysyłam mu tekst. Ciekawe, co powie!

1:45. Kiedy zamykam oczy, wszystko wiruje. Łóżko zdaje mi się łodzią. O. Podłoga jest solidniejsza. Dużo lepiej. Dużo lepiej! Odsapnę tu chwilę.

O. Mój. Boże. Z każdym rytmicznym uderzeniem bólu mam wrażenie, że czaszka rozpęknie mi się na dwoje i na zewnątrz wypadnie mózg skurczony jak rodzynek.

Co mnie podkusiło, żeby wypić całą butelkę wina? Wlewające się przez szyby słońce oświetla pozostały po ostatniej nocy bałagan: lepka plamę na biurku, prowizoryczne łóżko z poduszki i koca na podłodze, włączony laptop generujący psychodeliczne wzory na ekranie... O nie. Nie, nie, nie! Wraca mi pamięć, przypominam sobie recenzję, mejl do Eda... Szybko otwieram plik i czytam jeszcze raz, przy każdym zdaniu wstrzymując oddech. „Przy tak okropnym jedzeniu komu potrzebne diety? Empress Impressions podziąła lepiej niż obóz odchudzający”. Zakrywam twarz dłońmi. Co ja sobie myślałam? Nie mogę opublikować tej kaśliwej, złośliwej tyrady. Ale spokojnie. Mam cały

dzień, żeby ją poprawić. Głowa mi pęka i język dziwnie szczypie, jakby nasiąkł czystym alkoholem, ale z determinacją zasiadam do biurka.

Aj! Telefon dzwoni, serce przyspiesza mi gwałtownie. Patrzę na ekran i niechętnie odbieram.

- Cześć, Ed - mówię ze sztuczną wesołością.

- Isabelle! - woła głośno, a ja się krzywię. - Właśnie przeczytałem twoją reckę Empress Impressions...

- A tak. Miałam do ciebie dzwonić. Nie przejmuj się, cały dzień dzisiaj będę ją poprawiać.

- Zajebista! Nie myślałem, że stać cię na coś takiego!

- Nie sądzisz, że jest troszkę... - próbuję wycisnąć z odwodnionego mózgu jakiś odpowiedni przymiotnik - wredna? - kończę słabym głosem.

- Żartujesz? Zrywałem boki! Przesłałem już do składu.

- Nie! - wołam. - Nie rób tego! Jeszcze ją przejrzę, może trochę złagodzę.

- Nie jojcz. Recka idzie do druku. W takiej postaci. - Rozłącza się.

W łazience biorę dwie tabletki tylenolu i popijam wodą. Nie ma szans, żebym zdołała przekonać Eda. Swoje decyzje traktuje jak pieskość. Ale to w sumie bez znaczenia. Sądząc po dotychczasowych reakcjach na moje recenzje - których brak - jestem pewna, że i tak nikt nie czyta mojej rubryki. Spokojnie przetrwam niedzielę, lecząc kaca tłustym hamburgerem z jajkiem, prześpię się, może zadzwonię do Jeffa w Szanghaju zapytać, jak mu idzie...

Niestety gdzieś w środku kryje się dziwne uczucie, które nie chce minąć.

Jestem w redakcji, ale sama myśl o pracy, koncentracji na pisaniu jest tak pociągająca jak wielbłądzie kopyto w Empress Impressions. Przed sobą mam całe popołudnie puste niczym pustynia Gobi. Od niechcenia klikam przycisk „Odśwież” w skrzynce mejlowej. Zero nowych wiadomości. Odśwież. Zero nowych wiadomości. Odśwież. Jedna nieprzeczytana wiadomość. Ojej!

Do: Redakcja „Beijing NOW”

Od: smakosz_w_chinach@sina.com

Temat: Kto to jest Isabelle Lee?

Szanowni Państwo!

Jestem głęboko wstrząśnięty okrutną recenzją restauracji Empress Impressions autorstwa Isabelle Lee w aktualnym wydaniu pisma. Kim jest ta pani? Czy zawodowo zajmuje się kulinariami? Co różni ją od zwykłego klienta takiego jak ja albo mój sąsiad, pan Wang? Osobiście sędzę, że potrawy w Empress Impressions to wspaniały przykład chińskiej sztuki kulinarnej, a Isabelle Lee nie ma gustu. Z poważaniem Smakosz w Chinach

Radość - ktoś czyta moją rubrykę - od razu ustępuje panice. Zdemaskują mnie! Wszyscy się dowiedzą, że nigdy nie pracowałam w prawdziwej kuchni, nigdy nie uczyłam się od profesjonalnego krytyka kulinarnego, moja noga nigdy nie postąpiła w Cordon Bleu (Le Cordon Bleu - znana na świecie międzynarodowa sieć instytutów sztuki kulinarnej. Nazwa pochodzi od potrawy - panierowanego filetu, zazwyczaj z cielęciny, z „kieszonką” wypełnioną serem i szynką.). Moja wiarygodność? Zero. Wyciągam szyję i spoglądam w kierunku gabinetu Eda. Pisze coś na klawiaturze, usta ma rozciągnięte w grymasie przypominającym uśmiech. Zaczynam się rozluźniać. Może jeszcze nie czytał. Może jest tak zajęty, że w ogóle nie przeczytał. Nagle woła gromko:

- Kto to jest Isabelle Lee?! O Boże.

- Czytałaś tego pieprzonego mejla? - pyta, w kilku susach pokonując dzielący nas dystans.

Biorę głęboki oddech i ważę słowa.

- Bardzo mi przykro. Nie powinnam była pisać tak surowej recenzji...

- Przykro ci? Przecież to rewela! - Na widok mojego zmieszania parska śmiechem. - Nie cieszysz się? Większość autorów marzy, żeby być obiektem kontrowersji!

- Ale on pyta o moje kwalifikacje! Nie mam żadnych!

- Lubisz jeść? Masz swoje zdanie?

- No... tak.

- Jedzenie to wspólny mianownik, powszechne doświadczenie. Wiesz, kto to powiedział? James Beard (James Andrew Beard (1903 - 1983) - amerykański autor książek kulinarnych i szef kuchni; propagator wykwintnej kuchni francuskiej w USA.).

Patrzę na niego z otwartymi ustami. Prycha.

- Myślisz, że nie wiem, kto to James Beard? Więcej wiary. Wydrukujemy ten list na poczesnym miejscu - mówi stanowczo. - Daj

mi znać, czy będziesz pisać replikę.

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mnie spotkało - jęczę.

- Wyhoduj sobie grubszą skórę - ucina. - Jeśli chcesz drukować, musisz być odporna na takie sytuacje.

- Ale...

- Wiesz, co widziałem dziś w drodze tutaj? - pyta, przysuwając swoją twarz do mojej. - Rodzinę robotników sezonowych śpiących na chodniku. Dzieciaki były tak chude, że wiatr mógłby je porwać. Więc zachowajmy właściwą miarę.

Zamykam się.

- A do tego to dla nas zajebista reklama! - Ed wesoło zaciera ręce i wraca do gabinetu.

Ale na jednym mejlu się nie kończy. Tydzień później internetowe forum „Beijing NOW” aż huczy od dyskusji na ten temat.

Temat: Kto to jest Isabelle Lee? Liczba postów: 103

Od: Pengyou

Jestem ciekaw, kim ona jest. Mieszka w Pekinie? Jest Chinką, cudzoziemką?

Od: Spiltpea

Z nazwiskiem Lee musi być Chinką. Nic dziwnego, że nie ma pojęcia o zachodniej kuchni.

Od: Joy

Czy nie trzeba być zawodowym kucharzem, żeby pisać recenzje z restauracji?

Od: Menedżer Empress Impressions Proponuję pani Lee porównanie naszego wysmakowania. Będziemy razem jeść te same dania i wymieniać się opiniami. Tylko w ten sposób pozna ona różnicę między złym i dobrym jedzeniem.

Od: Blanc de Chine

Ponoć jest wnuczką angielskiej nauczycielki Mao. Musi mieć nieliczne guanxi.

Od: Huang Di

Mój znajomy ją zna i mówi, że ta Lee, odkąd zaczęła tam pracować, przytyła dziesięć kilo.

Wątek ma już pięć stron. Próbuję ignorować te wypowiedzi, ale czytanie postów daje okazję przypomnieć sobie, jak wyglądało obgadywanie w siódmej klasie. Do piątkowego wieczora sprawdzanie forum stało się już moją obsesją do tego stopnia, że spóźniam się na

upragnioną randkę z Jeffem.

- Gdzie idziemy? - pytam go, próbując zapomnieć o ostatnim poście niejakej Cesarskiej Orchidei, która utrzymuje, że w zeszłym roku pracowałam jako drugi szef kuchni w Per se.

- To niespodzianka. - Uśmiecha się. Samochód zanurza się w neonowym blasku Lotus Lane.

- Houhai - mówię, wysiadając z samochodu. Obejmuje mnie.

- Pomyślałem, że spacer wokół jezior będzie romantyczny. W ciemnych dżinsach i białej koszuli Jeff wygląda wytwornie,

ale wołałabym zapiąć mu wszystkie guziki poza dwoma górnymi. Delikatny wiatr owiewa nam twarze, gdy idziemy wąskimi hutongami otaczającymi sztuczne jeziora (pochodzące z trzynastego wieku), dotykając nawzajem swoich palców, aż wreszcie Jeff bierze moją dłoń w swoją.

- Popatrz tylko. Jesteśmy na spacerze wokół jeziora. Gdybyśmy jeszcze prowadzili małego pekińczyka, bylibyśmy prawdziwymi Chińczykami - żartuję.

- Co masz na myśli? - Patrzy na mnie badawczo. - Przecież jesteśmy prawdziwymi Chińczykami.

Skrećamy za róg. Nad prostymi metalowymi drzwiami niewielki szyld głosi: „Łóżko”.

- Chcesz mi dać coś do zrozumienia? - Śmieję się nerwowo.

- Nie wygłupiaj się, bejbi. - Jeff otwiera drzwi i lekko popycha mnie do środka. - To nazwa baru.

Łóżko pełne jest łóżek. Nie seryjnie produkowanych materaców, ale tradycyjnych chińskich kangów, czyli szerokich platform zaspanych satynowymi poduszkami i przybranych delikatnymi zasłonami. Półmrok i woń kadzidła tworzą zmysłową atmosferę niczym w szanghajskim salonie z lat trzydziestych albo opiumowej melinie. Widzę całą serię pokojów i dziedzińców rozchodzących się niczym wachlarz. Jeff prowadzi mnie do mrocznego zakątka, gdzie stoi bogato zdobiony lakowany na czerwono kang.

Siadamy, wspierając plecy o miękkie poduszki; kłębiaste zasłony tworzą intymną atmosferę.

- Szampana? - mruczy Jeff i od razu pojawia się kelnerka z butelką Veuve Clicquot.

- Pewnie. - Kiwam głową, bo kto nie lubi szampana. Randka zaczyna jednak sprawiać wrażenie wystudiowanej, jak gdyby Jeff...

był na niej wcześniej.

Dwa kieliszki później nie ma to już większego znaczenia. Jeff siedzi tuż obok, na tyle blisko, by gładzić moją dłoń i zagarniać mi włosy za ucho, do czego ma wyraźną inklinację. Jest tak skupiony i skoncentrowany, że zastanawiam się, czy naprawdę interesuje go skład hot pota, który jadłam na lancz, czy też tylko udaje.

- Słyszałeś, jaki ostatnio mamy galimatias w pracy? - mówię, żeby wypełnić ciszę. - Galimatias. No wiesz, aferę. Skandal - tłumaczę na widok zakłopotania na jego twarzy.

- Wiem, co to znaczy. - Patrzy na mnie z lekką irytacją. - Co się stało?

Nachyla się i dopełnia kieliszki resztką szampana. Zaczynam opowiadać i czuję prawie ulgę, jak gdybym się spowiadała. Kiedy docieram do forum, zaczyna się głośno śmiać.

- Nie śmieję się. - Szturcham go. - Oni tam dyskutują, gdzie studiowałam, czy mówię po chińsku, czy jestem gruba, w jakich wielogwiazdkowych restauracjach pracowałam, czy potrafię posługiwać się pałeczkami...

- Chcesz mojej rady? Ignoruj to. Znajdą sobie inny temat.

- Wszyscy mi to mówią, ale...

- Ciii... Zaufaj mi. - Kładzie mi palec na ustach. - Jak celebrytka celebrycie.

- Nie jestem celebrytką. - Chichoczę, ale widzę, że on to mówi poważnie.

- Jesteś ze mną, prawda?

Nagle przysuwa się tak blisko, że czuję jego usta na czole. Co ja wyprawiam? Przecież to ewidentny playboy. Po koniuszek profesjonalnie wypolerowanych paznokci. Ale zamykam oczy, czując, że szampan uspił moje odruchy obronne. Wbrew sobie pochylam głowę. Usta ma tak miękkie, jak zapamiętałam i czuję dreszcz, kiedy powoli gładzi moją szyję, zbliżając się niebezpiecznie blisko kołnierzyka.

- Isabelle - mruży ponętnie. - Chodźmy stąd. Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale wtedy on całuje mnie tak namiętnie, że kolana mi miękną. Jeff jest nieodpowiedzialny i niebezpieczny, ale co z tego? Geraldine i Julia mają rację. Potrzeba mi romansu. Nachyla się, całuje moją szyję i poddaję się całkowicie. Ciągnie mnie do drzwi, a ja idę za nim. Na ulicy niepewnym ruchem przywołuje taksówkę, a potem traci

równowagę i potyka się o krawężnik.

- Oj! Moja noga! - woła.

- Wszystko w porządku? Co się stało? - pytam, patrząc na jego twarz, która jest dziwnie zarumieniona.

- W porządku - mówi trochę za głośno.

Czyżby upił się dwoma kieliszkami szampana? Wzruszam ramionami i wsiadam do taksówki. Jeff pakuje się za mną, obniża szybę i wspiera głowę na zagłówku.

- Li Jia. - Patrzy na mnie rozjarzonymi oczami. - Siądź trochę bliżej... bliżej.

Boże święty, on się urznął! Przysuwa się do mnie, czule zarzuca mi rękę na ramiona i przez resztę jazdy jego głowa opiera się na moim barku.

Na szczęście mieszkanie jest puste, bo nie wiem, jak wyjaśniłabym Claire obecność nocnego gościa. Zamykam drzwi sypialni. Jazda przez miasto otrzeźwiła Jeffa, więc lekko tylko się chwiejąc, podchodzi do mnie z krzywym uśmiechem. Znow się całujemy i znow mięknę. Powoli odpina guziki mojej bluzki, przerywając, by pogłodzić skórę.

- Jesteś taka piękna - mruczy, jednocześnie ściągając mi bluzkę i ciągnąc mnie na łóżko. Potem sięga do mojego biustonosza, ale w tym momencie wracają wątpliwości. Czy to ważne, że nie jest materiałem na chłopaka? Czy jeśli się z nim prześpię, Tina Chang mnie zabije?

- Czekaj - szepczę, ale właśnie mnie całuje i zamiast tego mówię coś jak „czcz”. Odpycham go lekko. - Czekaj! - Patrzy na mnie pytająco. - Wiesz co, pójdę tylko do łazienki się odświeżyć.

- Dla mnie już jesteś świeża - mruczy, ale wysuwa dłoń z moich włosów i nie protestuje, kiedy wciągam z powrotem bluzkę.

W łazience zmywam rozmazany tusz i puszczam z kranu zimną wodę. Chłodne światło jarzeniówki nadaje mojej skórze ziemisty odcień i nagle wszystkie wątpliwości wydają mi się neurotyczne. Jestem nowoczesną kobietą. Mam prawo do podnoszącego pewność siebie seksu. Żadnych zobowiązań. A do tego Jeff to prawdziwe ciacho. Z chłopakiem weekendy nie będą takie samotne. No i jakie to uczucie spotykać się z gwiazdą popu... Nie, nie, nie! Po chwili wewnętrznych zmagani daje sobie spokój z nadmiernymi oczekiwaniami. Wystarczy seks.

Obnażam ramiona i wracam do pokoju.

- Przepraszam za... - mówię, ale reszta zdania zamiera mi na ustach. Jeff leży na plecach z rozrzuconymi ramionami i lekko otwartymi ustami, pogrążony we śnie. Delikatnie go szturcham, ale obraca się na bok i chrapie.

Świetnie. Ja walczę z rozterkami w łazience, a on sobie śpi. Patrzę, jak równo oddycha. Co teraz robić?

Zapinam bluzkę i kładę się obok. Przekręcam się z boku na bok, potem na plecy. Próbuję zasnąć, ale przez moją głowę przemykają myśli niczym tiry po autostradzie. Jak mógł po prostu paść? Czy jestem aż tak nudna? Albo nieatrakcyjna? A może to on jest takim cieniem?

Próbuję się jakoś umościć, ale dzinsy mnie piją, a poza tym dziwnie tak spać w ubraniu. Może powinnam się przebrać, ale nie chciałabym, żeby Jeff źle zinterpretował moje nocne odzienie, tiszert z logo Uniwersytetu Nowojorskiego w rozmiarze XXL, który tylko częściowo zakrywa mój tyłek.

Poza tym jest mi naprawdę niewygodnie.

Na miłość boską!

Potrzebuję bawełnianej piżamy, eleganckiej i gustownej, którą mogłaby nosić Doris Day. Tylko że nie mam nic takiego. Ale wiem, kto ma. Wstaję i na palcach przechodzę do pokoju Claire. Włączam światło i klękam przy szufladach komody. Zobaczmy... W pierwszej skarpetki i rajstopy, w drugiej koszulki, w trzeciej same spodnie do jogi. Wreszcie w ostatniej szufladzie znajduję bawełniane piżamy ułożone według koloru. Z samego dna wyciągam błękitną i szybko się przebieram, zapinając się po samą szyję. Wychodząc, nie mogę się powstrzymać, żeby nie rozejrzeć się po chłodnym białym pokoju. W przeciwieństwie do reszty mieszkania wyposażonego standardowo w blade brzoze meble sypialnia Claire urządzona jest zgodnie z jej gustem. Popielate zasłony spadają na podłogę lśniącem jedwabiem. Poza tym dominują odcienie bieli, od grubego dywanu przez puchatą koldrę po jasny szezlong. To pomieszczenie wydaje się kojącym azylem od chaosu Pekinu. Na toaletce z lustrem w stylu art deco stoją fotografie w srebrnych ramkach. Claire w chińskiej wiosce obok kanału wysadzanego wierzbami, gdzie wisi pranie. Nasz ojciec na czarno - białej szkolnej fotografii, w birecie, z oczami zaskakująco podobnymi do moich. Są tu także znajomi Claire pijący szampana, Claire na plaży, Claire w otoczeniu identycznie ubranych druzhen

zgrupowanych wokół rozpromienionej panny młodej, w której rozpoznaję jej koleżankę ze studiów. Z tyłu stoi zdjęcie naszej rodziny w Epcot Center przed pawilonem chińskim. Mama i tata obejmują się, jak gdyby byli rozbitkami, co - biorąc pod uwagę, że znajdują się w parku rozrywki Disneya - nie odbiega zbyt od prawdy. Ośmioletnia ja szczerzę poplamione wiśniowym lodem zęby. Zdjęcie wypełnia ramki, ale kiedy się nachylam, uświadamiam sobie, że Claire przycięła je - a konkretnie wycięła siebie.

Po co ktoś wycina się ze zdjęcia? Wracam myślą do tamtych wakacji. Skoro ja miałam osiem lat, to Claire miała czternaście. Trudny okres dojrzewania, aparat korekcyjny na zębach, okulary... przypadły jej w udziale wszystkie tego rodzaju obciachowe akcesoria. Mama ciągle namawiała ją, by zamiast współpracować ze szkolnym pismem literackim, zapisała się do koła naukowego. Patrząc na zdjęcie w ozdobnej srebrnej ramce. Czy wycięła się z powodu złych wspomnień, czy też dlatego, że bez niej zdjęcie po prostu lepiej mieściło się w ramce?

Słyszę jakiś odgłos, odkładam fotografię, gaszę światło i wychodzę, ale to tylko Jeff zwija się w kłębek. Przykrywam go kocem i badam wzrokiem jego twarz. Nic, nawet rzęsa mu nie drgnie. Próbując nie wzdychać, wchodzę pod kołdrę i zasypiam wsłuchana w jego chrapanie.

Następnego ranka budzę się wcześniej i leżąc w łóżku, patrzę na promyk słońca przebijający się między zasłonami. Jeff śpi obok, oddychając spokojnie. Ja spokojna nie jestem. Moje myśli mają konsystencję ubitych na pianę białek. Nawiedzają mnie wspomnienia poprzedniej nocy. O nie, chyba nie... patrzę po sobie. Nie, wciąż jestem w piżamie. Całowaliśmy się, potem... Tak, potem on zasnął!

Przechodzę do kuchni i sypię do ekspresu kawę. Na szczęście Claire najwyraźniej spędziła noc u Wang Weia. Nigdy nie rozmawialiśmy o zapraszaniu kogoś na noc i wolałabym uniknąć teraz tej rozmowy, zwłaszcza że Jeff wciąż tu jest. Kawa przelewa się głośno do dzbanka. Nalewam dwa kubki i patrzę na nie. Jak Jeff pije kawę? Czy w ogóle pije kawę? Sięgam po cukier, ale wtedy z salonu dochodzi ryk muzyki. To komórka Jeffa z muzyczką Christiny Aguilery. Pewnie wypadła mu wieczorem. Biorę roztrzęsiony, rozdzwoniony telefon i próbując go uciszyć, spoglądam na wyświetlacz - obwieszcza „Tina”, a obrazek przedstawia długonogą

nagą Azjatkę. Jezu! Czy to Tina Chang? Twarz jest zamazana, ale sterczący biust wygląda znajomo.

W sypialni coś słychać, więc szybko upycham telefon w płaszczu Jeffa i pędem wracam do kuchni, a potem do sypialni. Stawiam kubek na stoliku i poklepuję Jeffa w ramię.

- Dzień dobry! - wołam wesoło. Czuję nagłą chęć, żeby się ubrać i wyszedł, zanim wróci Claire.

- Kawa? Nie, dzięki... Spać. Chcę spać. - Odwraca się i naciąga kołdrę na głowę.

Odsłaniam zasłony i siadam obok niego.

- Jesteś głodny? Zrobić ci śniadanie?

- Ooo, za jasno! - stęka. - Która godzina?

- Prawie dziesiąta - mówię, ściągając z niego kołdrę. Otwiera jedno oko.

- Ładna piżama. - Wyciąga rękę i dotyka materiału. - Co masz pod nią?

Zrywam się.

- Może weźmiesz prysznic? Wyciągnęłam czyste ręczniki.

- Jeśli będziesz mi towarzyszyć. - Uśmiecha się.

- Może kiedy indziej. Wiesz, zaraz idę... idę na siłownię. Masz jakieś plany na rano? - Pytam znacząco w nadziei, że zrozumie podtekst.

- Mam spotkanie z menedżerem... Powinienem iść. - Przeciąga się leniwie. - Chyba że chcesz, żebym został.

- Nie! - wołam. - To znaczy nie, dziękuję. Moja siostra zaraz wraca... - Nie kończę zdania.

- Aha. Rozumiem. - Zaczyna się ubierać, zakłada skarpetki, wciąga zapiętą koszulę przez głowę. Nagle wstaje i obejmuje mnie w talii. - Świetnie się wczoraj bawiłem - mruczy głębokim głosem.

Przyciśnięta do jego torsu czuję, że kolana znów mi miękną.

- Niesamowite, jak szybko zasnąłeś! - mówię niby żartobliwie, ale głos nieoczekiwanie mi drży. - Nie wierzę, że tak się upiłeś dwoma kieliszkami szampana.

Rumieni się.

- Nie jadłem cały dzień... To pewnie przez pusty żołądek. - Całuje mnie miękkimi, cudownie miękkimi ustami. - Wiesz, że uważam cię za kogoś wyjątkowego. Większość Chinek to sztywne nudziary. Ale ty jesteś inna, jesteś taka otwarta i swobodna...

- Nie jestem Chinką - zwracam mu uwagę, ale trudno o cięte riposty, gdy upajam się jego kuszącą wonią.

- To właśnie mówię, bejbi. Wy, Amerykanki, jesteście takie liberalne. - Całuje mnie w usta rozchylone ze zdumienia. - Mmm... To jest... - pocałunek - bardzo... - pocałunek - sexy... - pocałunek. Ciągnie mnie w kierunku drzwi. - Dzięki, że poszłaś ze mną do łóżka. - Mruga.

- Biorąc pod uwagę, że zasnąłeś, trudno... O! Masz na myśli ten bar...

Szczerzy zęby.

- Muszę lecieć. Zadzwoń później, okej?

Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem, a ja opieram się o ścianę rozdarta między żądzą a czymś, co należałoby nazwać ulgą.

CZEŚĆ DRUGA
POŁUDNIE

Tajwan

W 1949 roku, kiedy chińskie władze pokonane przez komunistów ewakuowały się na Tajwan, wiele się zmieniło. Spowodowało to napływ tysięcy przybyszów ze wszystkich regionów Chin, a wraz z nimi lokalnych tradycji kulinarnych [...]. Rzeczywistość gastronomiczną zdominowały więc różne kuchnie chińskie.

The Penguin Companion to Food

Reszta weekendu mija we mgle niepewności. Nie mogę przestać myśleć o Jeffie, ale moje myśli są nerwowe, nie rozmarzone.

Wciąż odtwarzam w głowie film z naszej randki. Przytulanie się do twardego ramienia Jeffa na kangu. Cudowne. Musujący szampan. Pyszny. Dreszcz, kiedy jego usta dotknęły mojej szyi. Mniem. Ale potem wszystko zenująco się posypało. Dlaczego zasnął? Dlaczego ma w telefonie fotkę gołej Tiny? Zrobiłam dobrze, nie śpiąc z nim, prawda? To znaczy, czy związek z Jeffem może prowadzić gdzie indziej niż tylko do złamanego serca, depresji i przedawkowania cheddar cracker barrel (którego i tak w Chinach nie mogę znaleźć)? Jest już niedzielny wieczór. Jeff nie zadzwonił. Wiem, że nie powinnam się przejmować, i naprawdę się nie przejmuję, ale... znów zaczynają mnie nawiedzać znajome strachy, że resztę życia spędzę samotnie, przygarniając bezdomne koty i oddając się tradycyjnej medycynie chińskiej. Nie umawiałam się z Jeffem na kolejne spotkanie, ale myślałam, że mu się podobam. Go miał jednak na myśli, kiedy mówił, że Amerykanki są otwarte i liberalne?

- Co on miał na myśli? Że jesteśmy łatwe? - Mój głos wybija się ponad dzwoneczki. Siedzę z Geraldine w Taipan Spa na masażu stóp, ale pomimo przyjemnego półmroku i zapachu lawendy nie jestem bynajmniej rozluźniona.

- Wielu Chińczyków faktycznie sądzi chyba, że Amerykanki się puszczają - mówi z namysłem Geraldine.

- Świetnie. Między nami nic nie zaszło, ale i tak jestem zdziwiona - prychnęłam. - Kto to jest Isabelle Lee?! O, to Amerykanka, więc na pewno się puszcza.

Krzywię się, bo masaż mnie łaskocze.

- To nie chodzi o ciebie. - Geraldine klepie mnie pokrzepiająco w ramię. - To filmy i telewizja. Choćby Seks w wielkim mieście. Ludziom tutaj się teraz wydaje, że seks to nasze narodowe hobby.

- Nic dziwnego, że nie zadzwonił - mruczę. - Nieborak myślał

naiwnie, że tęsknię za Ameryką...

- Powiedziałaś, że do niczego nie doszło. - Geraldine unosi brwi.
- Coś przede mną ukrywasz?

- Powiedziałam wszystko. Nic nie zaszło. Normalnie dziecinada, włącznie z upiciem się trzema łykami...

- Skoro tak twierdzisz. - Uśmiecha się. - Kto by pomyślał, że Jeff to taki cienias.

- Pewnie ma azjatycki syndrom alkoholowy. Wiesz, sporo Azjatów łatwo się upija, bo nie trawi alkoholu.

- To dokładnie jak mój były mąż. Po połowie szklanki piwa robił się czerwony jak pomidor.

Ubrana w kitel pracownica obsługi podchodzi do nas, trzymając w dłoniach wielkie papierowe stożki. Odgarnia mi włosy i wkłada mi stożek do ucha.

- Co to? - wołam, podskakując.

- Zamówiłam świecowanie uszu. - Geraldine spokojnie wiąże włosy w koński ogon. - Zapalają ten stożek i w ten sposób pozbywamy się woskowiny. - Widzi zgrozę na mojej twarzy i uśmiecha się. - To bardzo zdrowe. Równoważy yin i yang.

- Skoro ty się na to decydujesz... - mówię z powątpiewaniem. Kobieta wkłada mi stożek z powrotem do ucha i zapala go. Wkrótce czuję miłe ciepło i ciche trzaskanie.

- Rozmawiałaś z Jeffem od tamtej soboty? Dzwonił? - Jej głos jest teraz stłumiony.

- Nie. - Próbuję skoncentrować się na przyjemnym wrażeniu w głowie. - Nie sądzisz chyba, że to ja powinnam się do niego odezwać?

- Nie. - Rzuca mi ostre spojrzenie. - Pod żadnym pozorem. Pomimo papieru w uchu słyszę ją bardzo wyraźnie.

Jest środa. Jeff ciągle milczy. Palce mnie świerzbią, żeby wystukać jego numer. Ale za każdym razem, kiedy sięgam po komórkę, Geraldine mruczy.

- Nie rób tego, Iz. Nie rób tego.

Patrzę jednym okiem na telefon, gotowa złapać go, kiedy tylko się rozdzwoni.

- Isabelle, gdzie artykuł o Maksie Zhangu? Muszę go zobaczyć. - Na biurko pada cień Eda.

- Właśnie go szlifuję. - Spuszczam wzrok w nadziei, że nie zobaczy paniki w moich oczach. Prawda jest taka, że nawet nie

zaczęłam pisać. Kiedy tylko spojrzę na notatki, czuję przyływ strachu i słyszę złośliwy głosik: „Ty chcesz napisać artykuł o światowej sławy reżyserze, zdobywcy Oscara?”. Gdy zamykam laptopa, głos cichnie.

- Do ciężkiej cholery, Izzie! Jeszcze się za to nie wzięłaś, co? - Ed krzyżuje ramiona i marszczy brwi. - Minęły trzy tygodnie!

- Chcę napisać coś wyjątkowego - tłumaczę się cicho.

- Nie daj się zastraszyć - mówi łagodniej. - Jeśli nie będzie doskonały, ja go udoskonalę. Od tego są redaktorzy.

- Dzięki. - Uśmiecham się do niego z wdzięcznością, a potem szybko próbuję zmienić wyraz twarzy. Ed nie znosi mazgajstwa.

- Ma być na moim biurku jutro rano.

- Jutro? - prawie piszczę.

- Dokładnie. Wiesz, co to terminy? Tu jest redakcja, a nie klub dyskusyjny!

Odchodzi ciężkim krokiem, nie zważając na przerażenie na mojej twarzy. Otwieram nowy dokument w laptopie i patrzę na ekran równie pusty, jak moja głowa. Serce zaczyna mi walić, kiedy przeglądam nabazgrane notatki. Nie poradzę sobie. Jak mogłam pomyśleć, że sobie poradzę? Patrzę w kierunku Geraldine i Gaba, ale oboje siedzą spokojnie przy biurkach, wesoło słuchając iPodów. Widzę, jak Gab pisze zdanie: szybkie stukanie jego klawiatury sprawia, że mam ochotę wyrwać mu palce ze stawów.

Biorę głęboki oddech i patrzę na ekran. A potem powoli, bardzo powoli zaczynam czuć nie tyle pewność siebie, co raczej... niecierpliwość. „Przestań jęczeć i weź się do roboty!”, myślę. Zgrzytam zębami, zaglądam znów do notatek, piszę jedno zdanie i kasuję je. Potem piszę kolejne i znów je kasuję. Męczę się, kasując jedno słowo na trzy, wertując notatki, powoli składając tekst do kupy jak puzzle. Niepostrzeżenie popołudnie przechodzi w wie - czór. Dzwoni telefon.

- Halo? - odbieram machinalnie, wciąż myśląc o rodzicach Maksa Zhanga, bogatych szanghajskich obszarnikach, którzy stracili wszystko, kiedy musieli uciekać po wojnie na Tajwan.

- Cześć, bejbi.

To Jeff. Uśmiecham się, a potem marszczę brwi ze zdenerwowania. Dlaczego to tyle trwało?

- Cześć. - Staram się, aby mój głos brzmiał beztrąsko.

- Przepraszam, że nie dzwoniłem. Nagrywałem nowy materiał w studiu. Mój menedżer uważa, że ten nowy album to może być dla mnie prawdziwy wylom.

- Świetnie! - próbuję nadać głosowi nieco entuzjazmu, ale zastanawiam się, o jakim wylomie mówi. Ciągłe słyszę rzeczowy głos Maksa Zhanga: „Najpierw wojna, potem komuniści. Moją matkę to zniszczyło. Całkowicie. Po wyjeździe na Tajwan nigdy już nie była tą samą osobą”.

- Jesteś zajęta? Chcesz iść do łóżka?

- Słucham? - pytam dość chłodno.

- Spotykam się dziś z kilkoma przyjaciółmi w tym barze. Pomyślałem, że może pójdziesz z nami.

No tak. Mówi o tamtym lokalu. Ile jeszcze razy nabiorę się na ten dowcip?

- Chciałabym, ale naprawdę nie mogę. Muszę pilnie dokończyć artykuł.

- Skończysz jutro. Piszesz szybko.

- Ed wisi mi nad głową. U niego nie ma żartów z terminami.

- Nie wiem, dlaczego tak się poświęcasz dla tej gazety - stwierdza ponuro. - Przecież i tak nikt tego nie czyta.

Ignoruję tę uwagę, bo już o tym rozmawialiśmy i szczerze mówiąc, ma rację. Nikt z jego znajomych nie czyta „Beijing NOW”. Mieszkają tutaj na stałe, więc nie interesuje ich jakieś pismo dla ekspatów. A ponieważ większość ekspatów czyta je tylko w toalecie... Zresztą nie musi wiedzieć wszystkiego.

- Może kiedy indziej - podsuwam delikatnie. - Co robisz w weekend?

- W sobotę mam występ - wzdycha.

- Bardzo chętnie się wybiorę! Nigdy nie słyszałam, jak grasz. - Po prawdzie ciekawi mnie, jak ten boysband wypada na żywo.

- Koncert jest w ambasadzie amerykańskiej. Ochrona, te sprawy, ciężko dostać się na listę gości.

- Oo.

- Ale niedziela byłaby okej. Może przyrządzisz jakąś kolację? Wreszcie mógłbym spróbować twojego słynnego spaghetti. Zadzwoń później, zgoda?

Dobrze, że ten artykuł o Maksie Zhangu jest tak absorbujący. Siedzę w redakcji, dopóki głód nie wygania mnie do domu, a potem

ślęcę przy biurku do drugiej w nocy. Kiedy wreszcie padam na łóżko, jestem zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się, dlaczego to Jeff o wszystkim decyduje.

Artykuł trafia do Eda w czwartek rano i kiedy wracam z lanczu, pokreślony na czerwono leży już na moim biurku. Ed przerobił wstęp i wyostrzył tytuł, zaznaczył wiele zdań i zostawił groźny komentarz: „Strona bierna! Powinnaś wiedzieć lepiej!”. Ale na dole ostatniej strony, nabazgrane tak, że prawie nie do odczytania, widnieją słowa „Dobra robota”. U Eda to najwyższa pochwała i chociaż jest jeszcze bardziej niestabilny niż tutejszy internet, szanuję go jako redaktora, więc lekko rumienię się z dumy. Korci mnie, żeby wziąć się do poprawek, ale mam czas tylko na to, żeby przejrzeć je z grubsza, bo o drugiej umówiłam się na wywiad z hiszpańskim szefem kuchni o jego wyrafinowanym barze z tapas i dim sum.

Nigdy bym nie zgadła, co się stanie podczas mojej nieobecności.

- Po prostu wybuch - mówi Geraldine. Zaprosiłam ją i Gaba do siebie po pracy. Teraz siedzą przy kuchennym stole i na zmianę opowiadają wydarzenia popołudnia, zwilżając gardło schłodzonym piwem Tsingrao.

- Tang Laoshi musiał grzebać ci w biurku - mówi Gab. - Nie widziałem go, a tu nagle stoi i krzyczy „dzu dzu dzu dzu dzu”!

Ed zawsze mówił, że między cenzorem a szpiegiem jest niewielka różnica. Oczyma wyobraźni widzę, jak Tang Laoshi podkrada się do mojego biurka niezauważony przez zapracowanych kolegów i dłońmi pokrytymi wątrobianymi plamami grzebie mi w papierach.

- A potem pobiegł do biura Eda i podetkał mu pod nos te papiery. Wyglądał, jakby był w szoku. Powtarzał tylko „dzu dzu dzu dzu” i „bu xing, bu xing, bu xing!” - nie w porządku.

- Na początku Ed był spokojny. Poprosił go, żeby usiadł, i poczęstował papierosem. Siedzieli tak, paląc przez parę minut.

- Ale potem - mówi Geraldine - Ed zapytał, co się stało... - Patrzy na Gaba i oboje wzdychają. Podchodzę do spiżarki i wyciągam puszkę smażonej fasoli. Jemy meksykańskie jedzenie prosto z zestawu Old El Paso: taco, tarty ser, mielona wołowina plus przyprawy z paczuszki - tłuste i słone gotowe jedzenie, do którego zawsze tęsknimy.

- Aż się boję spytać, co było dalej - przyznaję.

- Tang Laoshi zaczął znów wymachiwać papierami i powtarzać „Zhang Daoyan, Zhang Daoyan”. - Widząc, że nie rozumiem, Gab

dodaje: - reżyser Zhang. Max Zhang.

- O nie... Mój artykuł... - szepczę.

- Nie potrafił powiedzieć jednego całego zdania - dorzuca Geraldine. - Był tak wkurzony, że wykrzykiwał tylko pojedyncze słowa, na przykład „rewolucja kulturalna” (Rewolucja kulturalna w Chinach (1966 - 1976) - ruch społeczno - polityczny zainicjowany przez Mao Zedonga, w celu wyeliminowania politycznych rywali i wprowadzenia w życie własnych koncepcji ideologicznych (maoizmu). Rewolucja kulturalna zdeorganizowała życie kraju i spowodowała ogromne ofiary w ludziach, obejmując represjami przede wszystkim środowiska polityczne i intelektualne. W jej trakcie dokonano olbrzymich zniszczeń zabytków, dzieł sztuki i innych obiektów kultury materialnej.), „Tajpej”, „prawicowcy” i... - bierze głęboki oddech - „cenzura”.

Otwieram szeroko oczy.

- Cenzura? Ale co... Co Ed... Czy on coś zrobił?

- Mruczał coś, że rzyga już tymi komuchami - mówi Gab.

- Naprawdę? - śmieję się.

- Tak, a potem wyzwał Tanga Laoshi na rękę - rzuca sarkastycznie Geraldine. - Nie, żartuję. Co mógł zrobić? Wydawnictwo Trzy Reprezentacje ma nas w kieszeni. To oni płacą nam pensje, finansują druk i jako firma chińska odpowiadają za cenzurę. - Patrzy na mnie życzliwie. - Nie przejmuj się, Iz. Wszyscy tutaj mieliśmy przeboje z cenzurą. Nie jesteś prawdziwym dziennikarzem, jeśli nie ocenowano ci tekstu.

- Ale jak możecie to znosić? To nie jest... - „To nie jest dziennikarstwo” chcę powiedzieć, ale gryzę się w język. Sugestia, że jesteśmy za dobrzy do „Beijing NOW”, przywołałaby tylko niewygodną prawdę o naszej sytuacji. Otwieram słoik salsy i wybieram ją łyżką do miski. - Co będzie z moim artykułem? - pytam.

Geraldine patrzy na mnie współczująco.

- To był świetny kawałek. Spróbuj sprzedać go gdzie indziej.

- Jak? - pytam gorzko. - Nie znam żadnych redaktorów. Nie mam żadnych kontaktów. - Poza „Belle”, myślę posepnie. A moje nazwisko ma tam powab siedmiomiesięcznego tuszu do rzęs.

- Może poszukaj w internecie i pošlij parę mejli - proponuje Gab.

Kręcę ze smutkiem głową.

- Sześć lat pracowałam w tym biznesie. Wiem, gdzie takie mejle

trafiają. - Opieram się o blat. Za mną na kuchence bulgocze fasola. - No cóż - odzywam się wreszcie, próbując nadać głosowi wesołe brzmienie. - Przynajmniej przeżyłam przygodę. To chyba po prostu element życia w Chinach.

- Jak rządzące się ayi i opryskliwe kelnerki! - podchwytuje Geraldine.

- Albo starzy faceci, którzy charkają na chodnikach, i policyjne naloty na koncertach rockowych! - dołącza się Gab.

Podnoszę w górę piwo.

- Wypijmy za toalety kuczne i telefony na podsłuchu!

Śmiejemy się i stukamy się butelkami, ale kiedy nasze spojrzenia się spotykają, kryje się w nich to samo pytanie: kiedy to wszystko zaczęło wydawać nam się normalne?

- Iz? - Słodki jak miód głos Claire niesie się po mieszkaniu i przenika drzwi łazienki. Zamknięte drzwi łazienki. - Iz? Gdzie jesteś, kochanie?

Dosypuję do wanny jeszcze trochę lawendowej soli, zakręcam kurki, owijam się ręcznikiem i wzdycham. Po tamtej kolacji z Keegami miałam nadzieję, że Claire będzie mówiła normalniej, ale wciąż używa tego samego afektowanego tonu, jak gdyby coś ukrywała.

- Tu jestem. - Otwieram drzwi, wypuszczając chmurę pachnącej pary.

- O, tu jesteś! Ojej, ile wilgoci! Uważaj, dopiero co wysuszyłam włosy. - Wachluje rękami wokół głowy. - Jesteś zajęta?

- W sumie nie... - Rzucam w głąb łazienki tęskne spojrzenie; wokół parującej wanny palą się świece.

- O, to dobrze, bo chciałam cię poprosić... - urywa i zagląda do środka.

- Nie przejmuj się, nie przeszkadzasz mi, najwyżej doleję wrzątku.

- Nie, nie. Po prostu... może się przeniesiemy? Boję się, że ta wilgoć zaszkodzi mojej fryzurze.

W sypialni Claire siada na łóżku, a ja staram się ciaśniej owinać ręcznikiem.

- Co tam?

- Jesteś dziś zajęta? - Claire poprawia włosy.

- Czemu pytasz? - mówię powoli. Zaproszenia Claire często

wiążą się z dużymi wydatkami i rozmowami o sprawach prawniczych albo o najnowszych trendach w modzie, zależnie z kim się spotykamy.

- Wiesz, dziś jest Bal Morski i miałam tam iść z Wang Weiem, ale w ostatniej chwili coś mu wyskoczyło i nie da rady, więc pomyślałam...

- Bal? - Krzyżuję ramiona na piersiach i z trudem łapię osuwający się ręcznik. - O nie. To znaczy miło, że pomyślałaś o mnie, ale raczej...

- Jezu, Iz! - wzdycha z niecierpliwością, która mnie zaskakuje. - Wiedziałam, że odmówisz.

- Przykro mi. Wiesz, że nie przepadam za takimi imprezami...

- Będzie miło. - Patrzy na zaproszenie w kremowym kolorze. - Bal wydawany jest na cześć ambasadora Charlesa Eliota. Myślałam, że będziesz chciała zrobić mu przyjemność.

- Skąd ten pomysł? - Wzruszam ramionami. - Naprawdę miło mi, że mnie zaprosiłaś, ale...

- Masz jakieś plany na wieczór? - pyta.

Przeglądam w głowie listę zajęć: długa kąpiel, kanapa, kieliszek wina, kaszmirowy koc i pirackie dvd z całą Brzydulą Betty... - Tak.

- Jakie konkretnie? - Mruży oczy.

- Parę osób z redakcji wybiera się do Alfy na paradę lat osiemdziesiątych. Wiesz, jak uwielbiam Madonnę!

- Czyli wychodzisz z dziewczynami?

- Zgadza się. Będzie Geraldine, Lily i... Gab.

- Parada lat osiemdziesiątych w Alfie jest w piątki. Cholera.

- No wiesz, Iz, nie musisz kłamać. Skoro naprawdę nie chcesz iść na bal, nie ma problemu. Wystarczy powiedzieć.

- Claire, naprawdę nie chcę iść na bal. - Próbuję złagodzić słowa uśmiechem.

Wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi, gdzie opiera się o futrynę.

- Pamiętasz tamten uroczy wieczór z Keegami? - mówi przeciągle. - Obroniłam cię przed tą babą i jej synalkiem...

- Zostawiłaś mnie w połowie kolacji!

- Poprosiłaś mnie, żebym z tobą poszła, i to zrobiłam. A teraz ja proszę cię o przysługę... - Wbija we mnie spojrzenie karmelowych oczu.

- Okej, okej - mruczę. - Nie ma to jak wykorzystać poczucie winy.

- Dziękuję ci, skarbie. Masz tu zaproszenie. - Rzuca mi kopertę. - Stroje wieczorowe. Bądź gotowa na siódmą, okej? - Znika, zostawiając mnie sam na sam z szafą, w której nie wiszą żadne kreacje stosowne na taką okazję.

Za piętnaście siódma stoję w korytarzu wciśnięta w gorset, włosy mam upięte w luźny kok, a nastrój minorowy. Dlaczego zgodziłam się iść na ten cały Bal Morski? Przecież nawet nie lubię pływać w oceanie.

- Gotowa? - Claire, stukając obcasami, przechodzi po marmurowej podłodze. Wygląda oszałamiająco w srebrzystym cheongsam (Cheongsam - kantońska nazwa qipao - tradycyjnego stroju kobiecego szytego z jedwabiu, długiej opinającej figurę sukni, z charakterystyczną stójką pod szyją.). Z trzaskiem zamyka błyszczącą torebkę i taksuje mnie wzrokiem. - Tak zamierzasz iść na bal?

Patrzę na swoją sukienkę, którą nosiłam jako drużna na ślubie mojej przyjaciółki Eriki i którą zabrałam do Pekinu w przyływie sentymentu. Byłam na tym ślubie razem z Richardem i wtedy po raz ostatni dobrze się razem bawiliśmy. Tańczyliśmy Hava Nagila, a kiedy włosy rozwiązały mi się i spadły na ramiona, nie pozwolił mi na powrót ich upiąć.

- Wyglądasz jak Wenus Botticellego - powiedział. - Orientalna Wenus.

Nie wiem, co mu przyszło do głowy, bo suknia była daleka od ideału, nawet pomimo mojej opalenizny, która neutralizowała ostry kolor (i pomimo szampana, który neutralizował moją próżność). Teraz wygląda po prostu żałośnie. Nie miałam jednak wyboru - była to jedyna długa suknia w mojej szafie.

- Coś nie tak? - pytam obrażona.

- Wyglądasz, jakbyś szalała na weselnej potańcówce i zaraz miała szturchać się do rzucanego bukietu. Z czyjego to ślubu? - Chwyta w palce sztuczną satynę i unosi suknię, odsłaniając moje stopy. - Założyłaś farbowane buty? - Otwiera szeroko oczy. - Po co przywoziłaś to do Chin?

- Nie jest chyba aż tak źle? Moja przyjaciółka Erika chciała, by drużny mogły jeszcze w przyszłości włożyć swoje suknie. Poza tym nie mam nic innego - marszczę brwi. - A dzięki tym butom suknia ma właściwą długość.

Bierze mnie za rękę i ciągnie do swojego pokoju.

- Chodź.

- Claire, nie mogę pożyczać twoich ubrań. Jesteś dwa razy wyższa i o połowę chudsza.

- Coś znajdziemy - mówi stanowczo i włącza światło w szafie. - Nie chcę, żeby mnie widziano w towarzystwie kogoś tak ubranego - mruzczy. - Przymierz to. - Podaje mi czarną tiulową spódnicę.

Biorę głęboki oddech i próbuję się uspokoić.

- Claire, nie ma szans, żeby pasowała. Może powinnam zostać w domu...

- O nie. Nie wywiniesz się kłopotami z garderobą. Przymierz. Szybko. Samochód czeka. - Zaczyna gorączkowo przesuwając wieszaki.

Zdejmuję zieloną sukienkę, wciągając brzuch i zapinam spódnicę. Z gracją sięga mi kostek.

- No proszę, pasuje. Kupiłam ją, zanim przeszłam na dietę makrobiotyczną, więc jest na mnie trochę za luźna. Myślałaś kiedyś o odstawieniu węglowodanów?

- Dziękuję bardzo.

- Tylko pytam - mówi, wzruszając ramionami. - Przymierz to - rzuca mi czarną bluzeczkę.

Patrzę na nią.

- To jest t - shirt.

- To jest couture. Wkładaj.

Wciągam bluzkę przez głowę. Dekolt obnaża moje obojczyki, a przemysłnie uszyte rękawy wydłużają i wyszczuplają ramiona. Obracam się do Claire, która patrzy na mnie w lustrze.

- Dużo lepiej! - woła - Ale nadal trochę zbyt skromnie. To powinno pomóc. - Bez ostrzeżenia ściąga brylantowo - platynowe kolczyki i podaje mi je.

- O! Nie mogę wziąć twoich kolczyków. Co ty założysz?

- Nie potrzebuję ich. Ale ty owszem. Nie zapomnij zmienić butów. I przede wszystkim nałóż szminkę. Wyglądasz blade.

Wychodzi z pokoju, zostawiając mnie w pożyczonej kreacji.

Jedną przejażdżkę z szoferem później stoimy w zatłoczonej sali balowej China World Hotel. Sala jaśnieje kandelabrami i kolorowymi światłkami, ale pomimo lodowych rzeźb i baru panuje w niej atmosfera dorosłej wersji balu na zakończenie roku szkolnego: mężczyźni w czarnych krawatach wyglądają sztywno, a kobiety rzucają baczne spojrzenia, chcąc rozeznaczyć się, która ma najlepszą

kreację. Planuję schronić się w toalecie, ale Claire podaje mi kieliszek szampana i ciągnie na środek pomieszczenia.

- Stój prosto - poucza i się oddala. Popijam szampana, słysząc jeszcze, jak wita się z oddali: „Cześć Krissie. Co u ciebie? Mua mua! .

Opieram się o stół, podziwiając ozdobny bukiet białych goździków.

- Nie sądziłem, że cię tu spotkam - słyszę za sobą. Obracam się i prawie wypuszczam z dłoni kieliszek. Elegancki i szykowny, pod czarnym nienagannym krawatem, stoi przede mną Charlie.

- Cześć! - Staram się ukryć zaskoczenie. Nie widziałam go od tamtego ranka, gdy podwiózł mnie na dworzec. Rumienię się na samo wspomnienie mojej dawnej nadziei, że mu się podobam. Dzięki Bogu, zorientowałam się, że jego zainteresowanie jest wyłącznie platoniczne, zanim się wygłupiłam. Modlę się, żeby nie poczuł gorąca na mojej twarzy, gdy całuje mnie w oba policzki w sposób zarazem europejski i braterski.

- Co tam u ciebie? - pyta. - Podobają mi się twoje recenzje restauracji w „Bejing NOW”.

- Och, nie powinieneś tracić na to czasu. - Macham nonszalancko dłonią, czując, że rumienię się jeszcze bardziej.

- Żartujesz? Są świetne. A opisy potraw niesamowicie kuszące, przypominają mi M.F.K. Fisher (M.F.K. Fisher, właśc. Mary Frances Kennedy Fisher (1908 - 1992) - amerykańska publicystka kulinarna, autorka esejów kulinarnych i książek kucharskich.). Czytałaś jej teksty? A w ogóle - uśmiecha się konspiracyjnie - całkowicie zgadzam się z twoją recenzją Empress Impressions. Koszmarna restauracja. Masz zupełną rację. Ich zupa z płetwy rekina naprawdę przypomina klej.

Upijam szampana i się śmieję.

- Właściwie to staram się unikać tej potrawy. Wiedziałaś, że zabijają rekiny dla ich płetw? Pewnie tak, skoro tak bardzo popierasz ochronę morskich zwierząt.

W jego oczach widzę niezrozumienie. W tej samej chwili słyszę głos zbliżającej się Claire.

- O, to moja młodsza siostra.

Obracam głowę: u boku Claire stoi wysoka blondynka w wysmuklającej złotej sukni tubie. Kristin z ambasady.

- Charlie - mówi, żartobliwie klepiąc go w ramię - nie

powiedziałeś mi, że mieszkasz w tym samym budynku co siostry Lee.

- Nie sądziłem, że cię to interesuje - odpowiada łagodnie.

- Isabelle, znasz Kristin? Pracuje z Charliem - wyjaśnia Claire.

- Miło cię poznać - rzuca Kristin. - Nawet nie wiedziałam, że Claire ma młodszą siostrę...

- Już się poznałyśmy. Miło cię znowu widzieć - prostuję się. W oczach Kristin pojawia się zrozumienie, w uśmiechu zaś chłód.

- Właśnie rozmawialiśmy o zupie z płetwy rekina - mówi Charlie, zgrabnie wypełniając ciszę. - Isabelle opowiada się za ochroną tych zwierząt.

- Naprawdę? Fascynujące! - Kristin kładzie dłoń na biodrze i uśmiecha się do niego kokieteryjnie.

- Na pewno wy wszyscy wiecie więcej ode mnie o zagrożonych gatunkach rekinów! - mówię, nerwowo łykając szampana i patrząc na nich wyczekująco. Milczenie.

- Dlaczego mielibyśmy wiedzieć o tym więcej, kochanie? - pyta wreszcie Claire.

- No, biorąc pod uwagę, że ten bal ma na celu ochronę zwierząt morskich...

Urywam, bo Kristin i Claire zaczynają chichotać. Nawet Charlie przez ułamek sekundy się uśmiecha.

- Isabelle - mówi Kristin powoli i wyraźnie, jak do dziecka.

- Bal Morski odbywa się na cześć piechoty morskiej. To część amerykańskiej armii. No wiesz, siły lądowe, siły morskie, siły powietrzne...

- O - próbuję się zaśmiać. - Ale się wygłupiłam...

- Nie szkodzi. Skąd miałaś wiedzieć? - Kristin wzrusza złocistymi ramionami. - Nie masz przecież nic wspólnego z ambasadą.

Patrzę na nią, próbując wymyślić błyskotliwą ripostę. Kiedy nic nie przychodzi mi do głowy, unoszę pusty kieliszek.

- Pójdę po następny. Miło było znowu was wszystkich zobaczyć - szczebioczę i czmycham. Na odchodnym słyszę jeszcze Kristin:

- Nie zapomnij, Charlie! Obiecałeś, że przy kolacji będziesz siedział obok mnie!

Stojąc w kolejce do baru, zerkam na ozdobny zegareczek (oczywiście należący do Claire) i wzdycham. Przedemną kilka godzin w niewygodnych butach i obcisłej spódnicy. Przeszuję z nogi na nogę, usiłując zmniejszyć ucisk, kiedy ktoś dotyka mnie w ramię.

Odwracam się. Charlie stoi z kieliszkami szampana w dłoniach i uśmiechem na ustach.

- Wszedłeś bez kolejki? Bardzo po chińsku. - Z wdzięcznością łykam podanego szampana.

- Słuchaj... - Ciągnie mnie w róg sali. - Nie wiem, ile będę miał później czasu na rozmowę, ale chciałem zapytać, jak ci poszło w Pingyao? Zdążyłaś na autobus?

Oczy ma pełne przyjaznej troski. Uśmiecham się uprzejmie, chociaż czuję nagłą irytację. Facet ewidentnie ma potrzebę, żeby się mną opiekować.

- Świetnie. Poszło świetnie - ucinam krótko, ale uśmiecha się tak zachęcająco, że kontynuuję: - Niemal spóźniłam się na autobus, a potem mieszkałam u pewnej biednej rodziny i prawie musiałam wziąć prysznic w publicznej łaźni, ale wszyscy się na mnie gapili... a kiedy wreszcie poznałam Maksa, był strasznie zalatany, ale wywiad poszedł naprawdę, naprawdę dobrze... - Biorę kolejny łyk, starając się zamilknąć. Dlaczego się tak denerwuję?

Patrzy na mnie ze speszonym uśmiechem.

- Właściwie to miałem do ciebie dzwonić...

Zbliżam się do niego i czuję czystą świeżą woń przywodzącą na myśl pranie wysychające na słońcu. Chciał do mnie zadzwonić? Gdzieś w głębi czuję przyjemny dreszcz.

Ale na tym nie kończy.

- Zaglądałaś do weekendowej krzyżówki? Nie mogę dojść do hasła i doprowadza mnie to do pasji.

- O. - Znów popijam, starając się ignorować szum pędzącej krwi w uszach. - Nie, jeszcze nie...

- Staralem się też znaleźć chwilę czasu na naszą wycieczkę do Houhai - mówi łagodnie, jak gdyby wyczuwając moje rozczarowanie - ale praca. Ech... - Wywraca oczami i się śmieje. - Istny zawrót głowy. Non stop. Ledwo miałem czas coś przegryźć, a co dopiero się z tobą spotkać, chociaż właśnie tego najbardziej pragnąłem.

Nie mogę uwierzyć, że znowu wykręca się praca! A w ogóle skoro tak źle się czuje, kłamiąc, powinien przestać. Patrzy tak natarczywie, że boję się, iż wzrokiem przepali mi skórę.

- Może powinieneś porozmawiać z ambasadorem o swoich obowiązkach? - bełkoczę nerwowo. - Na pewno nie jest takim tyranem, jak go malują.

- Właśnie... miałem ci powiedzieć... - Patrzy na mnie niepewnie. Wokół ludzie zaczynają siadać przy stolikach. - Tak?

- Przepraszam. - Młody żołnierz w nieskazitelnym mundurze kłania się lekko. - Jesteśmy już gotowi. Czekamy tylko na pana.

Charlie wzdycha i rzuca mi smutne spojrzenie.

- Muszę iść - mówi, ściskając mi dłoń. - Postaram się potem cię znaleźć, okej?

- Pewnie - odpowiadam z fałszywą wesołością. Oddala się w kierunku grupy żołnierzy trzymających amerykański sztandar.

- Gdzie byłeś? - szepcze Claire, kiedy siadam obok. - Zaraz się zacznie.

Wzruszam ramionami, światła gasną, wstajemy. „Co Charlie chciał mi powiedzieć” - zastanawiam się. Słychać pierwsze akordy hymnu i grupka żołnierzy wmaszerowuje na salę z amerykańską flagą. Czy chodzi o coś związanego z pracą... Może jest szpiegiem! Stoję jak słup soli, przyciskając dłoń do serca. Czy to właśnie powód tych jego długich godzin pracy i tajemniczych zniknięć?

Z głośników rozlega się nagle głos; podskakuję ze strachu.

- Panie i panowie. Witamy na Balu Morskim w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Pekinie. - Na podium stoi muskularny młody mężczyzna w mundurze o rumianej twarzy nad nieskazitelnym kołnierzykiem. - Jak państwo wiedzą, co roku gromadzimy się, by świętować powstanie amerykańskiej piechoty morskiej. Ale dziś z dumą oddajemy honor komuś wyjątkowemu. Naszemu ambasadorowi.

W brzuchu mi burczy i chwytam się za żołądek, zastanawiając się, co podadzą. Prawdopodobnie suchą pieczeń wołową.

- Nie tylko wypełnia swoje obowiązki z wyjątkowym profesjonalizmem i charyzmą, ale także entuzjazmem i poczuciem humoru, które wszyscy podziwiamy. Nawet kiedy pracujemy do późna, zawsze ma dla nas uśmiech...

Młody sierżant kontynuuje przemówienie, a ja patrzę tęsknie na stojący przede mną kieliszek czerwonego wina.

- Podczas rozmów sześciostronnych i wizyt sekretarzy stanu... - Wyciągam szyję, próbując odszukać wzrokiem Charliego. Dlaczego stoi z tyłu koło drzwi? - Powitajmy najbardziej pożądanego w Pekinie kawalera do wzięcia... - śmiech - ambasadora Stanów Zjednoczonych w Chinach, Charlesa Elliota!

Zaczynam klaskać, ale moje ręce zamierają w powietrzu. Przez podium, ściskając po drodze dłonie, sunie Charlie. Wokół mnie huczy aplauz, ale ja padam zszokowana na krzesło, czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

Charlie jest amerykańskim ambasadorem?

W Chinach?

Wydaje się to niemożliwe, ale kiedy tak patrzę ku podium z otwartymi ustami, wszystko zaczyna się układać.

Telefony z ministerstwa spraw zagranicznych, niezapowiedziane wyjazdy do Waszyngtonu, bezlitosny rozkład zajęć...

O Boże. Twarz mi płonie, gdy przypominam sobie złośliwe uwagi wygłaszane o ambasadorku na podstawie plotek zasłyszanych od Erica, znajomego Claire, które, jak sobie teraz uświadamiam, mogły być po prostu szpilkami wbijanymi przez zazdrosnego współpracownika.

- Niesamowite, że Charlie już teraz jest ambasadorem, prawda? - mruczy Claire. - Tak szybko pnie się po szczeblach kariery. Mówi się, że kiedyś zostanie sekretarzem stanu.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć, a co dopiero skoncentrować się na przemówieniu Charliego, które wywołuje salwy śmiechu i entuzjastyczne brawa. Kolacja trwa. Zaliczam kolejne etapy: zimną wołowinę, szarawe pieczone ziemniaki, uprzejme uśmiechy dla faceta siedzącego u mojego prawego boku, którego bardziej interesuje klawiatura jego BlackBerry niż rozmowa ze mną. Nie mogę opędzić się od chaotycznych myśli. Claire rzuca mi spojrzenie, ale skupia się głównie na sąsiedzie, małym ównym brodaczu, w którym rozpoznaję starszego wspólnika w jej kancelarii.

Kiedy kelnerzy roznoszą talerzyki wilgotnej szarlotki, a personel zaczyna ustawiać sprzęt nagłośnieniowy, nachylam się do siostry.

- Kiepsko się czuję, muszę iść do domu. Patrzy na mnie zdumiona.

- Ale zespół jeszcze nie zagrał! Myślałam, że chcesz zobaczyć Xiao Zhu na żywo.

- Kogo?

- Małego Zhu. Zhu Biana. Jeffa. Jeffa Zhu. Twojego chłopaka! - Dziabie szarlotkę i odsuwa talerzyk.

- Że co? - Szczeka mi opada. - Jeff nie jest moim chłopakiem. Ledwo się pocałowaliśmy! - tłumaczę zbyt gorączkowo.

- Skoro tak mówisz. - Uśmiecha się i wstaje. - Muszę przypomnieć się żonie ambasadora Szwecji. Do zobaczenia później.

Osuszam kieliszek wina i patrzę na talerze na naszym opuszczonym stoliku. Najpierw Charlie, teraz Jeff. Nie za dużo niespodzianek jak na jeden wieczór? I skąd Claire przyszło do głowy, że Jeff to mój chłopak? Zaczynam przeliczać w głowie, ile zabulę za telefon do Julii, gdy moje myśli zagłusza muzyka.

- Dobry wieczór, panie i panowie. - Na scenie staje Jeff w ciemnych dżinsach i podkoszulku obnażającym jego muskularne ramiona. - Nazywamy się DownLoad.

Zapalają się światła sceny i do Jeffa dołącza dwóch członków zespołu. Zaczyna się skoczna piosenka w stylu mandopop (Mandopop - skrót od „mandarin popular music”, czyli chińska muzyka pop śpiewana po mandaryńsku. Większość artystów tego nurtu pochodzi z Tajwanu. Jego kantońskim odpowiednikiem jest cantopop, którego muzycznym ośrodkiem jest Hongkong., w której rozpoznaję ich popularny singiel China Love. Towarzyszą jej wyćwiczone ruchy taneczne. Nie grają źle - ich chłopięce twarze i popowy rytm wprawiłyby w zachwyt tłum nastoletnich dziewcząt - ale na tym sennym ambasadorskim balu parkiet jest kompletnie pusty. Widzę, jak Jeff patrzy na zebranych i twarz mu ciemnieje. Powinnam wstać i zatańczyć, ale... sama? Moje zahamowania przyklejają mnie do krzesła.

Kolejna piosenka: tym razem coś bardziej znajomego. Rozpoznaję remiks Holiday Madonny. Z chińskim tekstem. Biorę głęboki oddech, wstaję i ruszam w kierunku parkietu.

- Hej! - krzyczy Charlie, podchodząc do mnie. - Zatańczysz?

- Może! - odkrzykuję.

- Co?! - Unosi brwi i wchodzi na parkiet. - No chodź! Holiday! Holiday! - śpiewa i rusza się w rytm muzyki. Jest tak rozluźniony i beztroski, że nie mogę się powstrzymać od chichotu. - No chodź, Iz! Nie zostawiaj mnie tutaj samego! - woła.

Wchodzę na parkiet i nagle czuję, jak znajomy zaraźliwy rytm wprawia w ruch moje biodra. Zaczynamy tańczyć na pustym parkiecie. Jeff dalej gra Madonnę i wkrótce dołączają do nas inne pary, aż wreszcie parkiet jest pełen. Kiedy muzyka zwalnia, w ramionach Charliego tańczę powoli i bardzo stosownie, zachowując kilka centymetrów przestrzeni między nami, jak na spokojnej

potkańcówce w szkole średniej.

- Bijesz Beyonce na głowę - mówi Charlie. - Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak tańczyć!

- Wszyscy mamy jakieś tajemnice. - Unoszę jedną brew. - Niektórzy z nas więcej niż inni - dodaję głośniej.

Przełyka ślinę.

- Jeśli chodzi o to, że jestem ambasadorem... naprawdę mi przykro. Nie chciałem stawiać cię w kłopotliwej sytuacji.

- Mam tylko jedno pytanie.

- Słucham?

- Dlaczego mieszkasz w naszym budynku? Myślałam, że rezydencja ambasadorska mieści się przy Guanghua Lu.

Uśmiecha się.

- Umiesz dochować tajemnicy? Kiwam głową.

Nachyla się tak blisko, że widzę na jego podbródku krótki zarost.

- Tam są szczury - szepcze. - Bioniczne! Od miesiący próbujemy się ich pozbyć.

Śmieję się, a w oczach Charliego widać ulgę.

- Słuchaj, Iz. Naprawdę zamierzałem ci powiedzieć. Ale na początku nie chciałem cię przestraszyć... A potem nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Od tygodni męczę się z tym. Byłem przekonany, że pomyślisz, że kłamię. Albo że jestem wariatem. Zresztą spodobało mi się takie incognito. Nie czułaś się przy mnie skrępowana, a to wielka... ulga.

Nie mam czasu odpowiedzieć, bo oto piosenka się kończy, a Jeff szepcze zmysłowo do mikrofonu:

- Ostatni utwór chciałbym zadedykować pięknej kobiecie. Isabelle Lee. Mojej dziewczynie.

Ze co?! Obracam głowę w kierunku sceny, z której Jeff wgapia się we mnie i Charliego. Czy mu odbiło? Dlaczego ogłasza całemu światu, że jestem jego dziewczyną, skoro to nieprawda? A może określenie „dziewczyna” w Chinach znaczy co innego? Może powinnam spytać Geraldine. Kręcę głową i marszczę brwi, patrząc na Jeffa, ale on tylko zadziera podbródek, a gdy roztacza się dźwiękowa chmura szybkiej muzyki dyskotekowej, odsuwa się od mikrofonu. Ze ściśniętym sercem odwracam się do Charliego, który stoi jak słup soli z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Charlie, słuchaj. Wszystko wyjaśnię. Jeff i ja nie jesteśmy... To

znaczy on nie jest... - Kładę mu dłoń na ramieniu, ale on odsuwa się, przybierając obojętny wyraz twarzy.

- Cieszę się, że mogłem znowu się z tobą zobaczyć. - Nagle jego głos staje się tak uprzejmy, jak gdybym była żoną ambasadora Szwecji. - Ale powinienem dotrzymać towarzystwa innym gościom. Miłego wieczoru. - Schodzi z parkietu, a ja wracam do stolika i padam bezwładnie na krzesło.

Nie wiem, ile czasu mija, zanim pojawia się Claire.

- Iz? Wybieramy się grupą do Bellagio coś przekąsić. Chcesz iść z nami? - Badawczo mierzy wzrokiem moją twarz. - Wszystko w porządku?

- Tak. Nie. Nie wiem. - Ukrywam twarz w dłoniach. - Charlie i ja... Jeff zadedykował mi piosenkę i... - milknę. Jakie to ma znaczenie? Taniec z Charliem niczego nie zmienił. Jego zainteresowanie ma czysto platoniczny charakter, inaczej zadałby sobie więcej trudu, żeby się ze mną wcześniej spotkać. Dlaczego się przejmuję tym, co o mnie myśli? Biorę głęboki oddech i staram się uspokoić głos.

- W porządku, kochana. Jeff skończy występ i spotka się z nami w restauracji - mówi wesoło.

Chcę jej powiedzieć, że Jeff jest ostatnią osobą, z jaką chcę się zobaczyć, ale ona dodaje:

- Zresztą musisz iść - ścisza głos. - Będzie tam Wang Wei, a ja powiedziałam mu, że przyjdiesz. Chce cię poznać. Super, prawda? - Uśmiecha się promiennie.

Ciągle jeszcze nie miałam okazji poznać Wang Weia i po tylu miesiącach umieram z ciekawości. Claire wykorzystuje każdą chwilę, żeby z nim być - gdy tylko na ekranie jej BlackBerry wyświetli się jego imię, sięga po laptopa, żeby podczas rozmowy móc jednocześnie odwoływać inne plany. Mówi, że jest zarobiony po uszy - budowanie nowych wieżowców na gruntach biednych, przesiedlonych, pozbawionych odszkodowań mieszkańców zabiera najwidoczniej dużo czasu - ale podejrzewam, że coś innego nie daje mu spokoju: żona. Znając jednak przewrażliwienie Claire, tę myśl zatrzymuję dla siebie.

Zmuszam usta do rozciągnięcia się w uśmiechu i próbuję zdusić przecucie nadciągającej zagłady.

- Super - powtarzam za nią. - Chodźmy po płaszcze.

Później, dużo później wszyscy siedzimy wokół olbrzymiego kwadratowego stołu w Bellagio. Claire zajęła miejsce obok Wang Weia, który jedną szczupłą dłoń trzyma na jej kolanie, a drugą ściska lśniącą skórzaną torebkę męską. Wymieniliśmy tylko kilka uprzejmych słów, ponieważ większość wieczoru spędził na przechylaniu się obok Claire, żeby rozmawiać półgłosem ze swoimi biznesowymi partnerami, okrągłogłowym Yang Biao i płaskogłowym Peng Bo (ten ostatni nalega, by zwracać się do niego angielskim imieniem - Chaos). Obok, co jakiś czas śmiejąc się cicho, siedzą ich towarzyszkę, Chloe i Pearl, dwie tajpejki, które mogłyby rywalizować z Claire urodą i figurą. Ich głosy są nieznośnie dla - wysokie i słodkie.

Wang Wei jest przystojny, ma wyraziste rysy twarzy i nosi okulary bez oprawek, ale nie uchodzi mojej uwadze, że jego cienkie usta rzadko się uśmiechają. Próbuję słuchać ich rozmowy, ale słyszę tylko niski, lecz mocny ton jego głosu, kiedy wydaje współpracownikom polecenia. Gorliwe potakiwania wskazują na szacunek (a może strach?). Kiedy Wang Wei milknie, żeby skosztować kurczaka, otwieram usta, chcąc zadać mu pytanie. Ale o co? Skąd jesteś? Jaki jest twój ulubiony kolor? Chcę do niego dotrzeć, ale nie wiem, jak przebić się przez tę zimną aurę władzy, która przyprawia mnie o dreszcz.

Obok mnie Jeff i jego koledzy z zespołu wypalają jednego za drugim malboro red i rozkładają koncert na czynniki pierwsze, przerzucając się komentarzami po chińsku. Jeff zjawił się jakąś godzinę po nas. Wpadł z uśmiechem i pocałował mnie w usta, choć się wzbraniałam. Nie miałam dotąd szansy zapytać go, co mu strzeliło do głowy, że nazwał mnie swoją dziewczyną. Ale trudno się na niego złościć. Co chwilę przerywa rozmowę, żeby coś dla mnie przetłumaczyć albo nałożyć mi jedzenie na talerz. Poza tym wygląda seksownie w koszulce z obciętymi rękawami odsłaniającej muskularne ramiona. Popijam chryzantemową herbatę i próbuję sobie wyobrazić życie z Jeffem jako chłopakiem. Związek z Chińczykiem? Coś takiego przeżyłabym pierwszy raz w życiu. Cholera, nigdy nie miałam azjatyckiego chłopaka. Nie jestem z tego dumna.

- Dlaczego nie umówisz się z jakimś miłym Chińczykiem? -
- namawiała mnie mama głosem, w którym słychać było frustrację. -
- No dlaczego?

Dlaczego? Z mnóstwa powodów. Po pierwsze w moim liceum

było tylko trzech chłopaków azjatyckiego pochodzenia - w końcu stanowimy zaledwie 3,6% populacji Stanów Zjednoczonych - w tym jeden gej. W koledżu po rozstaniu z Blainem miałam krótki epizod z Koreańczykiem, Rodneyem Chungiem. W przeciwieństwie do synów przyjaciółek mojej mamy, którzy jak jeden mąż przygotowywali się do studiów prawniczych albo medycznych, on mierzył w karierę socjologa i planował pracować w programie Teach in America (Teach in America - amerykańska organizacja non - profit rekrutująca absolwentów i inne osoby do pracy pedagogicznej w uboższych rejonach kraju (przyp. tłum.)). Niestety miał także narzeczoną, co wyszło na jaw, kiedy zadzwoniła pewnego późnego wieczora, akurat gdy my, hmm, uczyliśmy się razem. Po koledżu, pracując w „Belle”, spiknęłam się - czy raczej spiknięto mnie - z dwoma bankowcami: Amerykanami chińskiego pochodzenia, którzy przenieśli się z Zachodniego Wybrzeża. Niestety jeden z nich był przekonany, że Met (Met - popularny skrót od Metropolitan Museum of Art, będącego najstarszym i największym amerykańskim muzeum sztuki, mieszczącym się w Nowym Jorku (przyp. tłum.)) to kod giełdowy jakiejś wziętej spółki, a Tolstoj - rosyjski magnat medialny. Jestem pewna, że ten drugi nałogowo uprawiał hazard - chyba że podejrzaną jaskinię gry na odludziu można uznać za romantyczne miejsce na pierwszą randkę.

No i były jeszcze te wszystkie podświadome powody, informacje, które bezwiednie przyswajałam z mediów, a których nie potrafiłam wyartykułować. Brady Pitty, Matty Damony i Tomy Cruise'y paradyjący po ekranie ze swoją złocistą skórą i błyszczącymi włosami, wydatnymi nosami i okrągłymi niebieskimi/zielonymi, a na pewno nie brązowymi oczami... Skośnookie karykatury Azjatów w telewizji mówiące z osobliwym akcentem, o podejrzanym zachowaniach lub dziwnych obyczajach, ogólnie pozbawione powabu.

Ale Jeff jest inny. Po raz pierwszy spotkałam Chińczyka, który wygląda, jak gdyby mógł dobrze czuć się na motocyklu - i to bynajmniej nie za pośrednictwem playstation. Może nigdy nie czytał Szekspira, ale umięśnione ramiona i uśmiech tworzący w policzkach dołeczki z nawiązką wyrównują braki intelektualne. Czy nie powinnam w końcu związać się z jakimś Chińczykiem? Ostatecznie sama jestem Chinką. Mieszkam w Chinach. No i jeszcze jeden powód, nie najważniejszy, ale jednak - matka byłaby szczęśliwa. Myślę o

chłopięcym uśmiechu Jeffa i czuję ciepło w żołądku. Ale zaraz potem czuję chłód, kiedy przypominam sobie jego aroganckie zachowanie na balu. Dlaczego przy wszystkich nazwał mnie swoją dziewczyną? Przez moment znów widzę boleśnie zaskoczoną twarz Charliego i czuję w brzuchu uczucie, którego nie potrafię nazwać.

Patrzę na drugą stronę okrągłego stołu, na kolegów Jeffa z zespołu. Li Xing, muskularny perkusista o okrągłej twarzy, ma ogoloną głowę i miły uśmiech. Obok siedzi gitarzysta, a zarazem menedżer, Hu Jia o ostrych rysach, wyniośle rozglądający się po innych stolikach. Są tu też trojaczki, jak nazywam je w myślach, czyli trio tancerek: drobne pekińskie dziewczęta o identycznych, mocno kręconych włosach. Łyżkami pakują mangowe lody do ładnych ust i na wszystkie pytania odpowiadają piskliwymi półsłówkami.

Jest dobrze po drugiej w nocy, ale Bellagio pęka w szwach od naładowanego energią tłumu - większość osób przyszła tutaj z Babyface, eleganckiego nocnego klubu nieopodal. Zjedliśmy pikantne tofu z czarną fasolą oraz smażonego kurczaka po syczuańsku w jaskrawoczerwonych papryczkach czili. Claire zamówiła deser: górę „strzyżonych” („Strzyżenie lodu” - polega na obracaniu zmrożonej bryły lodu za pomocą korbki tuż przy ostrzu, które ścina cienkie płatki lodu. „Strzyżonego lodu” używa się w Azji do wyrobu deserów typu sorbet, polewanych słodkimi syropami smakowymi lub skondensowanym mlekiem.) lodów z czerwoną fasolą, zieloną fasolą, perłami tapioki i sago, mieszanką owoców, skondensowanym mlekiem i w ogóle wszystkim, jak zresztą wskazuje nazwa: zonghe baobing (Zonghe baobing - zonghe oznacza: wszechstronny, całościowy, kompleksowy; baobing to „strzyżony lód” - jest to mrożony deser typu sorbet ze „strzyżonego lodu”, uformowany w piramidę i podawany z różnymi dodatkami.). Jest zimny i słodki, o gumiatej konsystencji. Kelnerka podchodzi do nas i stawia na stole kolejną potrawę, duszone mięso w ciemnym sosie.

- Zamawialiśmy to? - Claire patrzy zdumiona.

- Wo dianie. Wo yao ni de meimei shi shi (Ja zamówiłem. Chcę, żeby twoja siostra spróbowała.). - Wang Wei patrzy mi w oczy, a ja powstrzymuję dreszcz. Coś w jego szczupłej twarzy mnie przeraża. A teraz zamówił potrawę specjalnie dla mnie do spróbowania.

- Co to jest? Shi shenme cai? - Przęłykam nerwowo ślinę. Claire twierdzi, że Wang Wei doskonale mówi po angielsku, ale nie miałam

dotąd szansy się przekonać. Uparcie zwraca się do mnie wyłącznie po chińsku, jak gdyby bawiąc się moim złym akcentem i wysiłonymi odpowiedziami.

- Kong rou (Prawdopodobnie zwrot nie odnosi się do żadnej konkretnej potrawy (rou oznacza mięso); jest to żart Wang Weia.). - Podsuwa mi talerz, nachyla się i przenosi kawałek na mój talerzyk. Pasemka mięsa pośród kawałów tłuszczu lśnią oleście.

- Xiexie - mówię, z wahaniem zabierając się do mięsa pałeczkami. - Co to jest kong rou? - pytam, bezowocnie próbując oddzielić mięso od tłuszczu.

- Ni pa fei rou ma? Ni kani Hao chi (Boisz się tłustego mięsa? Zobacz! Smaczne!)- Wang Wei sam bierze kawałek i żuje. - Wy, Amerykanie, za bardzo boicie się tłuszczu - stwierdza; chyba pogarda sprawiła, że wreszcie postanawia przejść na angielski.

Policzki mi płoną, gdy niechętnie biorę mięso do ust. Czuję na języku tłuszcz i szybko przełykam.

- Smaczne! Hao chi! - mówię uprzejmie. - Co to za mięso? Wieprzowina?

- Gou rou. (Mięso psa.) - Na ustach Wang Weia pojawia się zimny uśmiech. Bledną.

- Pies? - Odsuwam talerz. - To było psie mięso?

- Kai wan xiao! - odpowiada Wang Wei. - To tylko żart. To wieprzowina. - Przytula Claire. - Mówiłem ci, że nie będzie tego jeść! - prychna.

Claire nerwowo sięga po herbatę.

- Jak ci smakuje tajwańskie jedzenie? - pyta mnie, ewidentnie próbując zmienić temat. Wzrok ma błagalny.

Patrzę na siostrę, której twarz rozpromienia się w obecności Wang Weia. Uświadamiam sobie, że tu nie chodzi o przelotny romans. Claire jest zakochana. Mam ochotę otoczyć ją ramieniem. Rozumiem, dlaczego pociąga ją uroda Wang Weia, jego niezaprzeczalna inteligencja, jego styl życia. Ale na ten czar składa się pewne lekceważenie, które sprawia, że się o nią boję. Opanowuję irytację, biorę głęboki oddech i próbuję sprawić, by mój głos zabrzmiał ciepło.

- To było tajwańskie jedzenie? Smaczne. Trochę jakjiachangcai. Powiem szczerze, że nie różni się od chińskiego.

- Dlaczego miałyby się różnić? - pyta po chińsku Wang Wei,

nachylając się i krzyżując ramiona. - Tajwan to część Chin. - Błyska oczami.

- Bu shi. Wcale nie. - Chloe niecierpliwie odsuwa miseczkę ryżu.
- Na Tajwanie mamy demokrację. I wolną prasę. Wy tego nie macie.

- Nasz rząd uważa, że Chiny są tylko jedno - oznajmia Wang Wei, cierpko powtarzając oficjalne stanowisko.

Odkąd przeprowadziłam się do Pekinu, jestem coraz bardziej świadoma napięcia między Chinami a wysepką u ich południowo wschodnich wybrzeży - Tajwanem. Dwa rządy nie znoszą się od 1949 roku, kiedy Kuomintang (Kuomintang (chiń. Goumindang) - Chińska Partia Narodowa, założona przez Sun Jat Sena w 1912 roku. Po utworzeniu ChRL w 1949 r. i utracie władzy na rzecz komunistów, zwolennicy partii na czele z Czang Kaj - Szekiem schronili się na Tajwanie, gdzie partia, choć nie nieprzerwanie, utrzymuje władzę do dziś.) przegrał wojnę domową z Komunistyczną Partią Chin i ewakuował się na wyspę, zakładając Republikę Chińską. Od tamtej pory kwestia, czy Tajwan reprezentuje całe Chiny (jak twierdzi Republika Chińska), czy też stanowi nieodłączną część macierzy (jak twierdzi partia komunistyczna) jest najeżona minami i samo myślenie o niej może spowodować wybuch.

Wracam myślą do Maksa Zhanga i jego trudnego dzieciństwa na Tajwanie naznaczonego chaosem politycznej niestabilności i straszliwym ubóstwem, do jego siostry bliźniaczki pozostawionej na kontynencie w 1949 roku, która została pobita na śmierć podczas rewolucji kulturalnej. Jego uczucia względem Chin - niezależnie od tego, czy są tylko jedno, czy też jest ich więcej - wydają się bardziej złożone, niż mogę pojąć.

- Dajcie spokój - mówi łagodnie Jeff. - Nie kłóćmy się o politykę. Mamy szczęście, Chiny się rozwijają, zmieniają tak szybko. Yi ri qian qiu (Dosl. jeden dzień tysiąc jesieni; idiom oznaczający gwałtowne zmiany; jeden dzień równy dziesiątkom lat.). Jeden dzień równy jest tysiącowi jesieni. Kogo obchodzi Tajwan?

Wang Wei wzrusza ramionami.

- Masz rację. Bylebym miał swoją żelazną miseczkę ryżu... Prada w szafie, mercedes w garażu, co innego się liczy?

Jeff odchyła się na krześle i uśmiecha się.

- Porozmawiajmy lepiej, gdzie teraz idziemy? Babyface? Wszyscy mruczą.

- Tylko jeśli dostaniemy stół dla vipów - mówi Pearl.
- Tak - zgadza się Jeff. - Ostatnio musieliśmy siedzieć przy parkiecie i całą noc ludzie nie dawali mi spokoju.
- E tam. Podobało ci się. - Hu Jia rzuca w Jeffa zmiętą serwetką.
- Wszystkie te małolaty, które prosiły cię o autograf...

Patrzę, jak gawędzą, i zmuszam się do uśmiechu. Pójdę do tego klubu nocnego, będę piła chivas z zieloną herbatą i czuła, jak rytm techno wibruje mi pod mostkiem. To lepsze niż siedzenie w domu i rozmyślanie o Tajwanie oraz o tym, czy jestem częścią czegoś większego, czy też może nic mnie z niczym nie łączy.

Syczuan

(Syczuan (chiń. Sichuan) - prowincja w środkowo - zachodnich Chinach, ważny region rolniczy.)

Mieszkańcy Syczuanu, znani innym Chińczykom jako maniacy papryki, rozróżniają między la (La (chiń.) - pikantny, ostry.), smakiem, który pali, oraz ma (Ma (chiń.) - drętwiejący, paraliżujący.), smakiem, który wywołuje uczucie drętwości.

A. Zee, *Swallowing clouds: a Playful Journey Through Chinese Culture, Language and Cuisine*

Odkąd pamiętam, wszyscy gromadzili się w domu moich rodziców na Święto Dziękczynienia. Wielkanoc, Boże Narodzenie i Chiński Nowy Rok spędzaliśmy u ciotki Marcie (poza tamtym okropnym rokiem, kiedy wszyscy pojechaliśmy do Las Vegas i ciotka Marcie przegrała tysiąc dolarów), ale w ostatni czwartek listopada dom moich rodziców wypełniał zapach pieczonego indyka oraz głosy mojej matki i jej siostry. Między nimi są zaledwie trzy lata różnicy, mają podobne smukłe figury, tapirowane włosy, ostre języki oraz nieograniczoną ciekawość, zwłaszcza kiedy są razem. Dla mnie Święto Dziękczynienia to długi weekend pełen jedzenia, telewizji i trudnych rozmów.

Na przykład w zeszłym roku ciotka Marcie, kiedy tylko przyjechała, zaatakowała mnie w kuchni, gdzie męczyłam się z puszką sosu żurawinowego Ocean Spray.

- Nie masz jeszcze chłopaka? - spytała, przyglądając mi się bez mrugnienia okiem, a potem westchnęła. - Aiya... muszę zaprowadzić cię do mojego chirurga plastycznego. To teraz taka prosta operacja... Nie jak za moich czasów! Krótki zabieg i jesteś w domu po kilku godzinach.

Miała na myśli blefaroplastykę, operację plastyczną poszerzającą oczy. Moja matka i jej siostra czciły skalpel, z dumą prezentując światu oczy przypominające kształtem raczej jabłko niż migdał. Przed wyjazdem na Harvard nawet Claire poddała się temu zabiegowi. Tylko ja odmawiałam i mój opór szybko stał się nieustającym powodem sporu między mną a ciotką Marcie, która za każdym razem, gdy się ze mną spotykała, kładła mi palec na powiece i pociągała.

- Tylko patrzę, jak byś wyglądała, kochanie.

Nie byłam z zasady przeciwna tej operacji, wykonywanej powszechnie i szybko w klinikach w ciągu kilku godzin. Zabieg ten

pośród Amerykanów chińskiego pochodzenia cieszył się taką akceptacją, że moja mama i ciocia rozmawiały o tym normalnym tonem, inaczej niż na inne tematy, które nie powinny być wstydlive, ale były, jak na przykład seks, rak piersi czy homoseksualizm. Poddano mu się wiele Azjatek, w tym te, które podziwiałam, jak Connie Chung (Connie Chung (chiń. Zong Yuhua) - ur. w 1946 r. amerykańska dziennikarka telewizyjna chińskiego pochodzenia.), i te, których nie podziwiałam, jak Tina Chang. Po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby akurat moje oczy tak poprawiono. Nie przekonywał mnie pomysł zmiany rysów twarzy, aby dopasować się do amerykańskich standardów urody, a do tego (co dziwne, ponieważ zwykle przejmuję się cudzymi opiniami) uważałam, że moje oczy wyglądają w porządku. Ale im częściej opierałam się zabiegowi, tym bardziej sfrustrowane były mama i ciocia, aż wreszcie ich namowy stały się nie do zniesienia. Zaczęły tłumaczyć mój stan wolny stanem moich powiek. Marcie próbowała nawet przekupić mnie, za wizytę u chirurga plastycznego oferując mi torebkę, która bardzo mi się podobała (Gucci z bambusowymi uchwyty). Wystarczyło tylko, żebym zgodziła się na konsultację.

- Będziesz miała więcej pewności siebie - nakłaniała mnie. - Wiem, że chcesz wyglądać ładnie. Po prostu się z nim spotkaj. Proszę.

Z bólem odmówiłam, wiedząc, że mnie samej nigdy nie będzie mnie na tę torebkę stać (a była taka piękna!), ale zawzięłam się i powiedziałam „nie”. Ciocia nie odzywała się do mnie przez miesiąc.

Po incydencie z torebką Julia zaproponowała, żebym usiadła z matką i ciotką i powiedziała im, że niezależnie od okoliczności nie poddam się nigdy tej operacji i żeby przestały mnie namawiać, ponieważ psuje to stosunki między nami.

- Przedstaw sprawę spokojnie i jasno - powiedziała.

- Żartujesz? - wybąkałam, kiedy już przestałam krztusić się pitym właśnie martini. - To są Chinki. One nie mówią o swoich uczuciach. Tłumią je i opowiadają jakąś niezrozumiałą chińską przypowieść o pawiach i cesarzu. A potem wiele miesięcy później człowiek uświadamia sobie, że to była metafora i że tak naprawdę były wściekłe.

I tak zamiast skonfrontować się z matką i ciotką, przeprowadziłam się do Chin, gdzie odległość i dwanaście godzin różnicy czasu utrudnia im wierzenie mi dziury w brzuchu. Jestem być

może randkową nieudacznicą, skośnooką miłosną katastrofą, ale przynajmniej nikt mi nie przypomina o moich niedociągnięciach w każdy weekend i święto.

A w najbliższe Święto Dziękczynienia nie dotkną mnie już palce ciotki Marcie. Zaproszę przyjaciół, zjemy o siódmej wieczorem zamiast o trzeciej po południu, indyk będzie nafaszerowany chlebem zamiast ryżem i nikogo nie będzie interesowało, czy mam chłopaka.

Zamówiłam już indyka w Jenny Lou, zagniotłam kruche ciasto i zamroziłam je. Geraldine przyniesie potrawkę z zielonej fasoli, a Ed wspominał coś o dzbanie Krwawej Mary. To będzie cudowne Święto Dziękczynienia, tak jak wymarzyli to sobie ojcowie pielgrzymi. Tyle że oczywiście w Chinach, nie w Stanach.

Jestem tak zajęta marzeniami o cieście dyniowym i słodkich ziemniakach, że nie mam czasu myśleć o trapiących mnie wątpliwościach. Na przykład o pustce, którą czuję, kiedy Geraldine wypytuje mnie o „mojego chłopaka Jeffa”. Albo o chłodnym tonie głosu Charliego na balu - nie wspominając o jego wymownym milczeniu (widziałam ostatnio kogoś do niego podobnego na korytarzu, ale kiedy zawołałam, nie odwrócił się). Ani o ślepym zaułku, w jakim utkwiała moja kariera, odkąd ocenzone mi artykuły o Maksie Zhangu (uwielbiam „Beijing NOW”, ale w porównaniu z nim teksty z „People” to materiał na Pulitzera).

Wiem, że powinnam wysłać artykuł o Maksie Zhangu do amerykańskich pism, ale mijają dni, potem tygodnie, a moje ambicje coraz bardziej przypominają czystą fantastykę. Byłam więc mocno zdumiona, kiedy Ed podjął ten temat przy lanczu.

- Isabelle - podniósł głos, żeby przekrzyczeć hałas panujący w barze z nudlami, poprawił się na maleńkim krzeselku i pochylił się nad stołem, nieomal strącając butelkę octu na moje kolana. Kelnerka postawiła przed nami duże parujące misy zupowatych nudli i Ed od razu napelnił sobie usta, a potem zwrócił się do mnie. - So sie kuwa cieje s tym testem o masie szangu?

Siorbnełam słony sos.

- Słucham? Możesz powtórzyć? Przełknął i westchnął.

- Tekst o Maksie Zhangu. Co się z nim dzieje? Myślałem, że go gdzieś pošlesz.

- O tak. To znaczy ciągle się zastanawiam gdzie. - Unikając jego wzroku, nabrałam nudli na porcelanową łyżkę.

- Dlaczego? - Walnął dłonią w stół, aż zupa przelała się przez krawędzie misek. - Na co u licha czekasz?

Zgromił mnie wzrokiem, a potem nawinał nudle na pałeczki i zaczął siorbać.

- Ciągłe rozglądam się po internecie... Zastanawiam się, gdzie najlepiej to wysłać.

- Im dłużej zwlekasz, tym trudniej będzie znaleźć kupca. - Sięgnął po herbatę i upił słuszny łyk. - Wiesz co, dam ci adresy do kilku redaktorów, ale tylko jeśli obiecasz mi, że wykorzystasz je do końca tygodnia.

- Naprawdę? - Poczułam, że się rumienię. - Zrobisz to dla mnie? To było z jego strony takie miłe... Zupełnie do niego niepodobne. Skrzyżowałam ramiona i wbiłam w niego wzrok.

- Dlaczego? - spytałam.

- Daj spokój, Iz. Nie patrz tak na mnie. - Wzruszył ramionami i wybałuszył oczy. - Nie jestem potworem. Niejednemu pomogłem.

- Przecież cię znam. Powiedz dlaczego.

Przez chwilę bawił się nudlami, a potem odłożył pałeczki.

- Szczerze? - zaczął mówić szybko. - Żyje się nam tu całkiem dobrze... Jemy w najelegantszych restauracjach, bawimy się w najmodniejszych klubach, upijamy się w najlepszych barach, mamy co robić w piśmie, otaczają nas piękne kobiety... - Patrzę na niego, marszcząc brwi. - Okej, zapomnij o tym ostatnim. Chodzi mi o to, że bardzo łatwo dać się oszołomić i przestać myśleć o przyszłości... A potem nagle budzisz się, masz czterdzieści trzy lata i wszystko, co osiągnąłeś, jest na łamach „Beijing NOW”. Nie chcę, żeby cię to spotkało. Jesteś zbyt dobrą dziennikarką. - Uśmiechnął się krzywo.

- Och, Ed. Jesteś świetnym dziennikarzem. Na pewno mógłbyś...

Spuścił wzrok, ale zdążyłam dojrzeć w jego oczach żal.

- Zresztą - przerwał mi - Tara Joyce, redaktorka „New York Tribune” to niezła laska. Pracowaliśmy razem w „Sydney Morning Herald”. Nie zapomnij się na mnie powołać, niech wie, że jestem twoim szefem. Mentorowanie żółtodziobom... to pewny sposób, żeby zaciągnąć ją do łóżka.

- Robisz to, żeby się z nią przespać? - spojrzałam na niego z obrzydzeniem połączonym ze zdziwieniem.

- No jasne. - Odrzucił głowę w tył i zarechotał. - Za kogo mnie masz? Za jakiegoś Dalajlamę?

Tydzień później mam już za sobą wysłanie swobodnego, lecz profesjonalnego mejla do Tary Joyce z „New York Tribune” (napisanie go zajęło mi ledwo sześć godzin). Zrobiłam zakupy spożywcze na czwartek i zaczęłam przebierać orzechy pekan. Stojąc sama w kuchni, nucę sobie, mieszając syrop Karo z jajkami, wałkuję kruche ciasto i karbuję brzeżek.

- Cześć, Iz. Jesteś w domu? - Słyszę trzask zamykanych drzwi i kroki Claire.

- Jestem w kuchni! - wołam. Od czasu balu Claire jest jakby bardziej wyluzowana. To chyba dlatego, że myśli, iż zaakceptowałam Wang Weia. Kiedy spytała mnie o zdanie, rozwodziłam się nad jego urodą i inteligencją, chociaż nie mam wątpliwości, że jest równie godny zaufania co dziennikarz brukowca. A może to dlatego, że w zeszłym tygodniu skasowała klientów za 103 godziny. Nadal znika na całe dni (ale przynajmniej wiem teraz, gdzie jest: w mieszkaniu Wang Weia na ostatnim piętrze luksusowego apartamentowca) i nadal żyje wyłącznie na słodzonej zielonej herbacie i papierosach. Ale kilka dni temu zaprosiła mnie do salonu manikiuru i pedikiuru, a nawet zapytała, który lakier Chanel jej doradzać, Splendeur czy Vamp. Kiedy zamiast nich zaproponowałam Shanghai Red, nie zdenerwowała się, tylko zgodziła, że rzeczywiście bardziej pasuje jej do cery.

- Cześć, skarbie. - Claire wchodzi do kuchni, zmierza prosto do lodówki i wyciąga butelkę zielonej herbaty. - Co robisz? - patrzy na orzechy pekan na blacie.

- Robię ciasto z orzechami na czwartek.

- A, rzeczywiście. - Marszczy brwi. - Święto Dziękczynienia. Nie wiem, czy się wyrobię.

- Co? Dlaczego? - pytam zdruzgotana. Wprawdzie coś mi mówiło, że będzie chciała się wykręcić, ale Święto Dziękczynienia powinniśmy przecież spędzić razem. W końcu jesteśmy siostrami.

- Przepraszam, Iz. Wiem, jak ci zależało. Ale w przyszłym tygodniu finalizujemy duży kontrakt i jestem zawałona robotą.

- Może chociaż przyjdiesz na deser? - nalegam. - Robię szarlotkę i pekanowe ciasto.

- Przyniosę dynię - mówi z uśmiechem. - Sprzedają je w Paul's Steak and Egg. Wybiorę jakąś po drodze do domu.

- Przynajmniej nie będziemy musiały patrzeć, jak ciotka Marcie

zdejmuje bitą śmietaną z deseru.

Claire naśladuje nosowy głos zrzędzącej Marcie.

- „Chyba nie daliście na to bitej śmietany?”

- „Chcecie zabić mojego męża?” - dodaje.

- A jednocześnie wujek Gray w kuchni po kryjomu pałaszuje ciasto!

Śmiejemy się obie.

- Tak sobie myślę - mówię rozmarzonym głosem. - Święto Dziękczynienia bez ciotki Marcie... Wyobrażasz to sobie?

- W ogóle. - Wkłada do ust kawałek surowego ciasta. - Kogo jeszcze zaprosiłaś?

- Tych co zwykle: Geraldine, Gaba, Jeffa, Eda...

- Oo, to Ed też będzie? - Claire niby to swobodnie wspiera się o blat, ale widzę, że się rumieni.

- Tak. - Patrzę na nią badawczo. - Dlaczego pytasz? Chyba z Edem nic... To znaczy ty i Ed... A co z Wang Weiem?

- Ach, nie bądź głupia. Oczywiście, że ciągle jestem z Wang Weiem, z Edem po prostu... - urywa, bo telefon dzwoni.

- Co? Co z Edem?

- Lepiej odbiorę - mówi, wychodząc z kuchni. - Cześć, mamo! - Z salonu dobiega jej głos, ale dalej nie słucham, tylko włączam iPod'a i puszczam Aimee Mann. Między mamą a Claire panują napięte relacje, ale po rozmowach telefonicznych nie można tego poznać, bo są tak przyjemne jak kaszmirowy koc. Chociaż nie słyszę wyrazów matczynej dumy, przechwałki Claire na temat liczby klientów wystarczą, żeby wróciło moje poczucie niższości.

Wzdycham i wracam do ciasta. Układam je w formie i niechcący wyrywam dziurę w dnie.

- Cholera - mruczę do siebie, próbując załatać otwór.

- Co się stało? - Claire wraca do kuchni.

- Nic. Muszę tylko załatać dziurę. Co u mamy? Nie chciała ze mną rozmawiać? - Staram się, by w moim głosie nie było urazy.

- To przez drugą rozmowę. - Claire się krzywi. - Ona ciągle nie umie się przełączać.

- No tak. - Zaczynam układać połówki pekanów na dnie w szachownicę.

- Powiedziała jednak... - Claire urywa niepewnie, a ja podnoszę wzrok.

- Co? Co się stało? O Boże, coś złego? Coś z tatą? Jest chory?

- Nie, nie, nie. Z tatą wszystko w porządku - wyjaśnia szybko. - Ale musiał jechać do Genewy na jakąś konferencję biologów molekularnych, więc mama pomyślała, że może przyjedzie do nas na Święto Dziękczynienia. Chce wykorzystać darmowe mile, zanim się przeterminują.

- O! - Unoszę brwi. Pomimo cotygodniowych rozmów przez telefon moja mama i siostra nie widziały się od prawie dwóch lat. Obie twierdzą, że to z powodu odległości, ale dla mnie brzmi to jak wymówka. Wiem, że Claire ma sekrety, a konkretnie żonatego chłopaka, ale co sprawia, że mama trzyma się na dystans? Trudno mi znaleźć powód. - Byłoby... - mówię powoli - miło.

Claire popija zieloną herbatę i patrzy w przestrzeń z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Powiedziała też, że ciocia Marcie i wujek Gray mają ostatnio trudności - dodaje.

- Mmm... - Ten dźwięk może po chińsku oznaczać wszystko, od „Biedactwo!” po „Myślisz, że obchodzi mnie ciotka Marcie? Przez nią sześć lat chodziłam na terapię!”.

- Wygląda na to, że wujek ma romans z sąsiadką. - Co?!

- Ciotka twierdzi, że to kryzys wieku średniego, ale według mamy nie układało im się od lat.

- Nieźle. Ale w sumie zawsze się zastanawiałam, jak znosił jej ciągłe zrządzenie. - Potrząsam głową.

- Odreagowywał u sąsiadki! Obie się śmiejemy.

- Ale jest jeszcze coś. - Claire nagle poważnieje. - Mama uważa, że ciotce przydałaby się zmiana otoczenia...

Coś w jej głosie każe mi unieść wzrok. Mam złe przeczucia.

- O nieeeeeee... Tylko nie ciotka Marcie. Tylko nie tutaj, na Święto Dziękczynienia. Błagam. Tak się cieszyłam...

- Wiem, Iz - wzdycha Claire - ale ona się właśnie rozwodzi. Mąż po trzydziestu latach, po prostu ją rzucił, rozumiesz? Hmm... no nie wiem... Jest mi jej żal.

- A mnie nie - ucinam nadąsana. - Ona i tylko ona odpowiada za moją niską samoocenę.

- Widocznie ma problemy z wyrażaniem uczuć. Ale nie robi tego świadomie - wzdycha Claire. - Na pewno jest tak zdołowana, że nie będzie miała siły cię krytykować.

Biorę z miski kolejną garść orzechów.

- Powiedziałaś im już, że mogą przyjeżdżać, co? Claire spuszcza wzrok.

- Tak. Ale co innego mogłam zrobić? Jest święto, ciocia Marcie przeżywa załamanie, wujek Gray się przeprowadza, tata będzie jadł fondue w Szwajcarii... Przecież wiesz, że też nie mam ochoty spotykać się z ciotką. Będę musiała wziąć dzień wolnego... Szef mnie zabije. A masz w ogóle pojęcie, jak ciotka mnie nazywa? Yaqian. Wykałaczką.

- Okej, okej, okej. - Wrzucam orzechy z powrotem do miski i wycieram dłonie o dzinsy. - W porządku.

- Naprawdę mi przykro. Wiesz co, jak chcesz, mogę zadzwonić jeszcze do mamy...

- No co ty. - Zmuszam się do uśmiechu. - Wszystko jest okej.

- No dobrze... - Zmierza ku drzwiom kuchni. - Muszę przejrzeć dokumenty przed kolacją z Wang Weiem...

- Nie ma sprawy. - Macham jej wesoło. Ale kiedy znów zostaję sama, wzdycham, mieszając nadzieję. Mieszkam z Claire na drugim końcu świata, ale nasze role się nie zmieniły. Ona wciąż jest grzeczną dziewczynką i oddaną córką, a ja złym nasieniem, dzieckiem nieposłusznym i samolubnym. Plus ça change, plus c'est la même chose. A może bardziej na miejscu byłoby chińskie powiedzenie: Bu bian ying wan bian - najlepszą metodą zmierzenia się z dziesięcioma tysiącami zmian jest wcale się nie zmienić.

Oczywiście moja matka i ciotka po tym, jak wyemigrowały w 1949 roku, bywały w Chinach. Ale są mieszkankami południa i od chaosu Pekinu wolą elegancję Szanghaju. Mówią wprawdzie po mandaryńsku, ale z południowym akcentem, i chociaż tęsknią za Chinami, ich wspomnienia dotyczą wytwornych francuskich budynków z epoki, kiedy Szanghaj był portem traktatowym (W wyniku tzw. traktatu nankińskiego wieńczącego I wojnę opiumową (1839 - - 1842) państwa europejskie wymusiły na Chinach liczne ustępstwa, w tym ustanowienie pięciu portów traktatowych otwartych dla handlu z zagranicą; jednym z tych portów był Szanghaj.), a nie bloków, smogu i szerokich alei nowego Pekinu.

- Ci z północy! - parska ciotka Marcie na widok robotnika rozwalającego się na trzykołowym wózku podczas późnopołudniowej sjeisty. - Co za lenie!

- I brudasy - dodaje mama, krzywiąc się na upaprane siedzenia taksówki sunącej powoli po Dong Daqiao Lu.

Jedziemy do restauracji prowadzonej przez rząd prowincji Syczuan, jednego z moich ulubionych lokali (Ed urzekająco opisał kiedyś wizytę w nim jako „lepszą od gównianej wycieczki do Chengdu”). Jedzenie tam jest oszałamiająco ostre i wywołujące dziwne drętwienie - to ostatnie ma coś wspólnego z dodawanym do wszystkiego pieprzem syczuńskim. Nie jestem pewna, czy mamie i ciotce to zasmakuje, ale z tego, co wiem, czili podnosi poziom endorfin we krwi, a wszystkim nam przydałby się lepszy nastrój.

Przyleciały Air China bezpośrednio z JFK. Pomimo czternastu godzin lotu tryskają energią nawet wciśnięte na tylne siedzenia rozklekotanej taksówki.

- Miło was znowu zobaczyć! - Mama pochyla się, żeby poklepać Claire po policzku. Kolejny raz. Po przywitaniu się, wypiciu herbaty i oprowadzeniu po mieszkaniu - mama będzie spać w moim pokoju, ciotka na rozkładanej kanapie w gabinecie Claire, a my w głównej sypialni razem - całą czwórką roztoczyłyśmy wymuszoną przyjemną atmosferę przypominającą ciszę przed burzą. Czuję, jak mama i ciotka kipią od pytań, podczas gdy ja i Claire uciekamy w milczenie.

Jest dopiero szósta, ale kiedy taksówka zatrzymuje się pod restauracją, widzę kolejkę na chodniku.

- Zrobiłaś rezerwację? - pyta cicho Claire. Kiedy kręcę głową, zaciska usta. - Będziemy musiały poczekać parę minut.

- O, mną się nie przejmujcie - mówi słabym głosem ciotka Marcie - i tak nie mogę dużo jeść. Muszę dbać o linię, jeśli jeszcze kiedykolwiek mam znaleźć mężczyznę...

Zamykam oczy, żeby nimi nie wywrócić. Ciotka lubuje się teraz w roli męczennicy, co kłóci się z jej nowym statusem radosnej rozwódki.

Przebijamy się do zatłoczonej poczekalni, gdzie stajemy w ścisku.

- Er shi yi - woła hostessa. Dwadzieścia jeden. Patrzę na numerek w dłoni. Pięćdziesiąt pięć.

- Może powinniśmy iść gdzie indziej - proponuję.

- Nie. Jest w porządku - zaprzecza mama. - Nie jestem taka głodna. - Wzdycha głęboko, wzbudzając w nas poczucie winy. - Na starość człowiek traci apetyt.

- Mamo - protestuję. - Nie jesteś jeszcze stara. Ignoruje mnie.

Kiedy wreszcie siadamy, umieramy z głodu, co potęguje nasze rozdrażnienie do niebezpiecznego poziomu. Kelner jak to zwykle w Chinach przynosi jedno menu; biorę je, żeby spojrzeć jako pierwsza.

- Mogę zamówić? - pytam, chcąc pochwalić się znajomością chińskiej kuchni. Trzy twarze patrzą na mnie z powątpiewaniem - z największym ciotka - ale nikt nie protestuje. Zadowolona przeglądam kartę i zamawiam tyle potraw, ile tylko pomieści stół, a wszystkie pełne endorfinotwórczych papryczek czili. Jeden po drugim wjeżdżają talerze z kostkami mapo tofu w ciemnoczerwonym sosie, cienkimi pasemkami słodkiej wieprzowiny yu xiang rousi, kawałeczkami smażonego kurczaka lazi ji ukrytego pod warstwą jaskrawych suszonych czili oraz pierożkami oblanymi aromatycznym olejem czili.

Pałeczki w dłoń i zaczynamy jeść w milczeniu. Jedzenie prosto z woka chluśnięto na talerze, ale pomimo tej niedbałości każda potrawa stanowi doskonałe połączenie smaku słonego, kwaśnego, słodkiego i ostrego. Ostre pieczenie imbiru atakuje spomiędzy wieprzowiny, a tofu najpierw pali moje wargi czili, by zaraz odrętwić je pieprzem syczańskim. Każdy kolejny kęs jest bardziej wyrazisty niż poprzedni.

- La! - woła mama. Ostre. - Ma! - Drętwiące. Szybko nabiera do ust ryżu.

- Zamówiłaś coś innego? Coś niepiquantnego? - Ciotka Marcie wyławia kawałek kurczaka spomiędzy papryczek i ociera olej serwetką.

Oj. Wiedziałam, że o czymś zapomniałam.

- Nie... - przyznaję.

Ciotka rzuca matce rozdrażnione spojrzenie.

- Twoja córka mieszka w Pekinie już tyle czasu, a nadal nie potrafi porządnie zamówić kolacji! Ta hai buzhidao zenme dian cai!

- Potrafię zamówić - protestuję, ale moje słowa zagłusza ich śmiech.

- Patrz, ile tu oleju. - Ciotka Marcie przechyla talerz z tofu; ciemnoczerwony tłuszcz przelewa się na bok. - Zhenme duo you. - Gestem zamawia kolejną filiżankę herbaty, zanurza w niej kostki tofu, opłukuje sos i kładzie czyste na talerzyku. - Potrzeba ci chłopaka - mówi, wrzucając sobie tofu do ust. - Wtedy nauczysz się, jak zamawiać.

- Właśnie. Jak ci idzie? - pyta od razu mama. - Masz kogoś? Niesamowite. Wytrzymała aż pięć godzin!

- Raczej nie - mruczę. Brzmi lepiej niż zwykle „nie”.

- Wiem, że to trudna sprawa, skarbie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. - Dotyka mojego ramienia, a ja patrzę na nią z wdzięcznością. Wreszcie zrozumiała! Ale na tym mama nie kończy. - Może dasz się namówić na wizytę u doktora Wu? To jeden z najlepszych w Pekinie chirurgów plastycznych. Nie bój się - mówi, gdy ja wciągam głośno powietrze. - Popytałam tu i ówdzie i on jest najlepszy w operacjach oczu. Chcesz ładnie wyglądać, prawda?

- Mamo! - ucinam ostrzegawczo.

Ciotka Marcie wojowniczo wysuwa do przodu podbródek.

- Skubiesz sobie brwi, prawda? Malujesz się? Czym to się różni? Niczym!

Czy zdumiewa mnie ich upór? Zdumiewa mnie mój brak zaskoczenia. Dręczą mnie od tylu lat, że bezpośredniość ich nagabywań już mnie nie dziwi, ich słowa przestały mnie szokować. Tę mantrę mają niemal wytatuowaną na czołach: znaleźć męża, choćby za cenę pójścia pod skalpel.

- Dlaczego tak się upierasz? - Mama ociera usta serwetką i odkłada ją na stół. - Można zaprowadzić konia do wodopoju...

Biorę kostkę tofu ciemną od pieprzu syczuańskiego i wkładam sobie do ust, marząc, by odrętwienie rozniosło się po całym moim ciele.

- Mamo - włącza się Claire - nie zmuszajcie jej, dobrze?

- Ale ona jest samolubna - syczy ciotka. - A ty, młoda damo... Ciągle nie rozumiem, dlaczego rozwiodłaś się z tak miłym mężem.

Claire blednie.

- Nie wracajmy do przeszłości - mówi, skubiąc palcami rękaw, i widzę, że ma ochotę na papierosa, ale mama nie wie, że Claire pali, a my nie chcemy tego zmieniać.

- Miał dobrą pracę, pochodził z porządnej chińskiej rodziny, jego matka to taka miła kobieta, naprawdę miła, wasze dzieci mówiłyby po chińsku... - ciotka Marcie wylicza zalety mojego byłego szwagra.

- Prawie miałam już wnuki - lamentuje mama. - Chciałabym móc przytulić i pokochać dziecko, zanim do reszty zniedołężnieję. - Składa ramiona i kołysze nimi. - Claire, nigdy nie pojmem, dlaczego musiałaś to zrobić... - Przetyka ślinę. - To nie do pomyślenia.

- Wolalabym nie mówić o Tomie - Claire przerywa jej oschle.

Spoglądam na ich zaczerwienione twarze; obie są bliskie płaczu.

Co jest nie do pomyślenia?

- Po prostu nie rozumiem dlaczego. Dlaczego? - załamuje ręce mama.

- Nie... potrafił... mnie... uszczęśliwić - wyjaśnia słabym głosem Claire.

- Uszczęśliwić? - prychna ciotka Marcie. - Myślisz, że mąż jest od uszczęśliwiania żony?

- Szukaliśmy w życiu czegoś innego - mówi Claire nieco zbyt zdecydowanym tonem i prosi o rachunek. Poprawiam się na krześle, żeby ukryć zdumienie. Czego Claire szuka w życiu? Tej ulotnej egzystencji na obczyźnie? Pracy, która zajmuje jej większość dnia? Chłopaka związanego z inną kobietą? Nie mam pojęcia, ale co gorsza jestem pewna, że Claire także nie wie.

Jedzenie stoi na stole, powoli krzepnąc, ostrość jeszcze przed chwilą pyszna zmienia się w odpychającą nijakość.

- Co za marnotrawstwo - cmoka ciotka, pokazując na wieprzowinę. - Może powinniśmy wziąć to z sobą?

- Nie. - Kręcę głową. - Na drugi dzień nie jest już tak smaczne.

Nie pamiętam zbyt dobrze ślubu Claire. Kiedy zamykam oczy i wracam pamięcią do tamtego dnia dziesięć lat temu, widzę czerwień. Czerwień kopert pełnych pieniędzy wkładanych dyskretnie panu młodemu w pulchną dłoń. Czerwień tradycyjnej sukni z wysokim kołnierzem noszonej przez Claire. Czerwień sukna dekorującego salę bankietową Triumphal Palace, miejscowej chińskiej restauracji. Każde krzesło przy każdym okrągłym stole zajmował ktoś o twarzy czerwonej od wina - gdzieś tam biesiadujących było więcej, bo na kolanach rodziców siedziały dzieci - wszędzie pełno było naszych krewnych, krewnych Toma, ich przyjaciół i wspólników, ale zarazem bardzo niewielu gości młodej pary. Inna sprawa, że pośród wystawnego ośmiodaniowego bankietu, którego clou była zupa z pletwy rekina i uchowiec, gwaru gości, głośniejszej muzyki, stukotu pałeczek o miseczki i powszechnego wyczekiwania na pocałunek państwa młodych nikt nie zwracał na to uwagi.

Claire miała dwadzieścia pięć lat, była niewinna, nieśmiała i nieświadoma podtekstu w toaście drużby. Z Tomem poznały ich ze sobą matki - ten związek ugrano przy stole do madżonga - i poprosił ją o rękę po zaledwie pół roku spotykania się. Byłam zdumiona nagłością tego wszystkiego, ale zarazem stanowiłam wyjątek. Zresztą

kto znał Claire najlepiej? Przecież nie jej młodsza siostra.

Claire przebierała się tamtego dnia wielokrotnie (wymyśl ciotki Marcie): koronkowa biała suknia, obcisły czerwony cheongsam, obcisły różowy cheongsam, czarna sukienka koktajlowa. Nie brałam udziału w przygotowaniach - Claire miała tylko jedną drużną, koleżankę ze studiów, Kate Addison, której wystarczyło szybkie spojrzenie na pieczonego prosiaka, żeby resztę dnia spędzić na pociąganiu Johnny Walkera w stanie głębokiego szoku kulturowego - ale pomagałam siostrze się przebierać. W pewnej chwili - chyba próbowała wtedy wcisnąć swoje chude ciało w różową suknię - straciła równowagę i złapała mnie za rękę. Kiedy chwyciłam ją, spojrzaliśmy na siebie i wstrząsnął mną wyraz jej oczu. Nie było w nich radości panny młodej, lecz zrezygnowanie.

Po ślubie Claire przeprowadziła się do mieszkania Toma na Upper West Side. Widywałam ich, przyjeżdżając na weekendy do domu. Chciałam polubić szwagra, ale miałam dziewiętnaście lat i chodziłam do koledżu, a on miał trzydzieści i był bankierem inwestycyjnym. Dzielilo nas wszystko, a moje i tak niezbyt bliskie relacje z Claire nie były w stanie zasypać tej przepaści. Podczas spędów rodzinnych oferował mi rady głosem tak donośnym, żeby wszyscy słyszeli.

- Nie wiem, dlaczego chcesz studiować angielski - oświadczył pewnego wieczora przy stole. - Już znasz angielski. Ekonomia: to powinnaś studiować. Prawda jest taka, że studiując angielski, odbierasz sobie szansę na sukces w życiu.

- Naprawdę, Tom? - pytała mama, marszcząc z zatroskaniem czoło. - Isabelle, powinnaś go posłuchać. On się tym zajmuje. On się zna.

Przez pierwszych kilka miesięcy małżeństwa Claire wyglądała na szczęśliwą. A jeśli nie na szczęśliwą, to na zadowoloną. W pracy szybko zmierzała ku pozycji wspólnika; w domu miała szufladę pełną menu restauracji sprzedających na wynos i męża, który lubił pizzę. Nie widziałam między nimi „tego czegoś”, ale zakładałam, że - jak to bywa w aranżowanych małżeństwach - przyjdzie z czasem.

Tyle że niecały rok po ślubie było po wszystkim.

Święto Dziękczynienia. Po wysłaniu ciotki i mamy rankiem na Pearl Market (Pearl Market (chiń. Hongqiao shichang, „bazar perłowy”) - popularne wśród turystów miejsce zakupów w Pekinie;

także biżuterii.) spędziłam cały dzień obierając, piekąc, siekając i mieszając. Przygotowałam słodkie ziemniaki na puree, obrałam brokuły i pokroiłam w kostkę pieczywo na nadzienie. Nakryłam do stołu, wypolerowałam kieliszki i dumnie wyłożyłam dwa ciasta na widoku. Zużyłam półtora kilo masła i udało mi się ukryć opakowania w śmieciach, zanim mama i ciotka wróciły z zakupów (mają niesamowitą zdolność wykrywania tłuszczów nasyconych).

Teraz siedzę sama w kuchni, zaglądając do piekarnika, gdzie wpakowałam tłustego i bladego indyka - „Piecz się szybciej!”, poganiam go w myślach - i słucham gwaru dochodzącego z salonu. Po wczorajszej kolacji wróciłyśmy w czwórkę do domu i poszłyśmy spać, łagodząc ostre słowa, które padły, w tradycyjny w naszej rodzinie sposób: udając, że wcale nie padły. Claire wcześniej rano wyszła do pracy i wróciła po południu z łagodnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Mama i ciotka przyszły z Pearl Market, spierając się wesoło o to, która lepiej się targuje. Wszystko na pozór wróciło do normy. Tyle tylko, że nie potrafimy spojrzeć sobie w oczy.

W salonie Geraldine rozmawia z moją mamą o pekińskiej sztuce nowoczesnej, a Ed zabawia Claire i ciotkę opowieściami o swojej studenckiej podróży dookoła świata.

- A potem w Nowej Zelandii - mówi - tak się upiłem, że spóźniłem się na autokar do Wellington i musiałem leczyć kaca w bibliotecznym boksie! - Claire się śmieje, a ciotka parska z dezaprobatą.

- Jak ładnie pachnie. - Gab wchodzi do kuchni i dopełnia kieliszek. - Twoja ciotka jest świetna! Ma zarąbistą fryzurę! Chyba zetnę dredy i zrobię sobie taką samą bufiastą koafiurę. - Próbuje przeciągnąć palcami we włosach, ale więzną w kołtunie. - Coś jak zaktualizowany Kim Dzong Il - dodaje z namysłem.

- Naprawdę? - Szukam w jego twarzy sarkazmu, ale jest poważny. Bierze łyżkę i zaczyna mieszać sos.

- Padam z głodu. Na kogo jeszcze czekamy? Na Wang Weia?

- Ciii - uciszam go. - Nie wymawiaj imienia tego, o którym nie wolno wspominać podczas Święta Dziękczynienia!

Wybałusza oczy z udanym strachem.

- Dlaczego? Bo jak usłyszy, że o nim gadamy, wyrzuci cię na bruk?

Trącam go w ramię.

- On jest żonaty, ty wariacie! Moja mama i ciotka nie wiedzą o Wangu... to znaczy o Nim!

Gab powoli kręci głową.

- Macie więcej tajemnic niż CIA. Pewnego dnia powinniście spróbować innej strategii. Na przykład szczerości.

- Żartujesz? Gdybyśmy byli szczerzy, wszyscy by nas osądzali i wkurzali się.

Gab unosi brwi, ale zmienia temat.

- Skoro na nikogo nie czekamy, to może zgodnie ze wspianą amerykańską tradycją zaczniemy się opychać?

- Wszystko prawie gotowe, czekamy tylko na Jeffa. Gab patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Przecież powiedziałaś, że wolałabyś resztę życia brać prysznic w wiejskiej łaźni w Shanxi niż...

- Wiem, wiem, ale zaprosiłam go, zanim się dowiedziałam, że mama i ciotka przyjadą. Nie mogłam go teraz odprosić. Poza tym nigdy nie miał w ustach indyka.

- Czy twoja mama wie?

- Nie, ale nie będzie zdziwiona. W końcu indyk pochodzi ze Stanów i bardzo niewielu Chińczyków...

- Mam na myśli - przerywa z przesadną cierpliwością - czy ona wie, że to twój chłopak?

- Powtarzam po raz enty - grożę mu drewnianą łyżką - Jeff nie jest moim chłopakiem.

Gab porusza ustami, małpując moje słowa, a potem wybucha śmiechem.

- Wiem, że to w kółko powtarzasz, ale w takim razie dlaczego się ciągle spotykacie? Hm?

Wzdycham, ale zanim znów zdążę wytłumaczyć, że nie jesteśmy parą, rozlega się dzwonek u drzwi.

- To pewnie twój facet - mówi Gab ze złośliwym uśmiechem. Jeff wchodzi, roztaczając czar dołeczków w uśmiechniętej przystojnej twarzy.

- Ayi, bardzo miło was poznać - wita się, potrząsając dłonią mojej mamy. - A oto i szef kuchni! - woła na mój widok. - Wesołego Święta Dziękczynienia!

Obejmuje mnie, unosi w powietrze i okręca.

- Cześć - mówię, czując, że się rumienię. Staram się wyplątać z

uścisku, ale trzyma mnie mocno. Mama i ciotka patrzą na nas, badając każdy szczegół jego zmierzwionej czupryny i dobrze skrojonego ubrania. Dlaczego on zawsze musi wprowadzić mnie w zakłopotanie? Biorę głęboki oddech, starając się opanować irytację.

- Skoro wszyscy już tu jesteśmy, to może siądziemy do stołu?

- Nareszcie. Myślałam, że zemdleję z głodu! - oznajmia teatralnym szeptem ciotka.

- Wszyscy już są, Iz? - pyta Jeff, ze zdumieniem siadając przy stole.

- Z tego, co wiem, tak. A co, spodziewałaś się jeszcze kogoś?

- Wydawało mi się, że Claire wspominała o... - ale nie słyszę dalszego ciągu, bo wychodzę do kuchni po indyka. Podajemy sobie jedzenie, ciotka Marcie podejrzliwie dziobie farsz, a mama kosztuje wszystkiego po naparstku: ziemniaków puree, mięsa, nadzienia.

- Pycha! - Geraldine dokłada sobie ziemniaków na talerz. - Wszystko wyszło świetnie.

- Wspaniały indyk - chwali Ed znad udka.

- Ziemniaki są takie gładkie - mówi Gab, dolewając sobie sosu.

- Bejbi, ten dżem jest świetny. - Jeff pokazuje sos żurawinowy.

- Dobry farsz - ocenia ciotka. - Nie użyłaś masła, prawda?

- Ugotowałaś ryż? - pyta cicho mama. Cholera.

- Przepraszam, mamó, zapomniałam. - Bez codziennej miseczki ryżu mama nie czuje się najedzona. Ryż daje jej siłę i spokój tak jak szpinak Popeye'owi albo magdalenka Proustowi. Bawię się widelcem, czując zarazem frustrację - czy nie może odpuścić choć na jeden dzień? - i poczucie winy. Naprawdę nie chciałam o tym zapomnieć.

- W porządku - mówi. - W takim razie... zjem... inne rzeczy... Ale to wszystko jest dość tłuste, prawda?

- W końcu mamy święto - mówię wesoło.

- Tak, ale to nie powód, żeby nabijać kalorie - oświadcza ostentacyjnie. - Te ziemniaki żywcem zatykają arterie.

Powstrzymuję się przed westchnieniem. Upodobanie mojej matki do chińskiego jedzenia jest tak głęboko zakorzenione, że musi jeść je codziennie, tylko z rzadka zdradzając je z kuchnią niektórych innych krajów, na przykład Japonii czy Korei (ale nigdy Francji albo Meksyku). Kiedy byłyśmy dziećmi, potrafiła budować imperium fryzjerskie, a jednocześnie co wieczór o siódmej podawać czterodaniową chińską kolację. Uwielbia chińską kuchnię do tego

stopnia, że z radością poszłaby na dim sum, wysiadłszy w Nowym Jorku z samolotu z Hongkongu. Zachodnie składniki takie jak masło czy śmietana są dla niej zbyt ni - treściwe, ciężkie, tłuste.

Nad stołem zapada nieprzyjemna cisza. Słysząc tylko stukot sztućców. Próbuję wymyślić jakiś niewinny temat, zanim ktoś zacznie mówić o czymś wybuchowym, na przykład o mężu cioci Marcie albo związku Claire z tym, którego imienia nie wolno wymawiać podczas Święta Dziękczynienia. Albo o fryzurze Gaba. Albo... możliwości jest bez liku.

- Jeff, czym się zajmujesz?

No tak, mama mnie uprzedziła.

Jeff patrzy na nią z promiennym uśmiechem.

- Jestem piosenkarzem, autorem i producentem piosenek hiphopowych i R&B w Chinach, Hongkongu i na Tajwanie. Śpiewam po mandaryńsku - mówi jednym tchem.

- Doprawdy? - Mama unosi brwi. - Czy to... stabilne zajęcie? Na jej twarzy pojawia się dezaprobata... a może niepokój?

Przecież jej marzeniem jest to, abyśmy wyszły za lekarzy, prawników, bankowców - na pewno nie gwiazdorów muzyki pop, którzy dla rodziny Lee są warci tyle co psychopatyczni mordercy.

- Mieliśmy w zeszłym miesiącu hit w Pekinie. Może pani słyszała? Wo ai ni, wo ren shi ni (Kocham cię, znam cię...) - odchyła głowę do tyłu i śpiewa kilka wersów, przebierając palcami po niewidzialnej gitarze.

Mama odchyła się na krześle i patrzy na niego z tym samym wyrazem twarzy co pewnego dnia w szkole średniej, kiedy przyniosłam do domu trójkę z plusem.

- A jakie masz cele... długoterminowe? - pyta wreszcie. Jeff wzrusza ramionami.

- Nie wiem... Może zajmę się aktorstwem, przejdę do seriali albo filmów. Coś w tym stylu.

Mama uśmiecha się uprzejmie. Uświadamiam sobie nagle, że wszyscy przestali jeść i patrzą na nas.

- Komuś jeszcze indyka? - pytam szybko. - Śmiało, przecież jest Święto Dziękczynienia. Nie wstydzić się! Ciociu, może farszu? Nie? Na pewno? W porządku. Pójdę po deser.

- Pomogę ci - oferuje się Claire, zbierając puste talerze.

W kuchni opieram się bezwładnie o lodówkę, a Claire składa

naczynia w zlewie.

- Nie ma lekko - mówi, klepiąc mnie po ramieniu.

- Katastrofa - jęczę. - Mama go nie znosi. A on nawet nie jest moim chłopakiem.

- Skoro nie jest twoim chłopakiem, to co tutaj robi?

- Ile razy mam powtarzać. Jesteśmy tylko przyjaciółmi!

- O tak. Przyjaciółmi. Tak to się teraz nazywa? - Chichocze. - Zawsze może ci się przydać jeszcze paru takich „przyjaciół”.

- Co to ma znaczyć? - pytam, ale ona tylko uśmiecha się tajemniczo.

Jeff wsadza głowę do kuchni i się uśmiecha.

- Łał! Bejbi, nie ostrzegłaś mnie, że będzie tu dziś hiszpańska inwestycja!

Claire wyciąga z lodówki karton lodów i zamyka głośno drzwi.

- Inkwizycja - poprawia go. (Czy w jej głosie naprawdę słychać rozdrażnienie?) - Hiszpańska inkwizycja.

Bierze łyżkę i wychodzi.

- Bejbi... - Jeff przekrzywia głowę. - Muszę lecieć.

- Co? - Sięgam do ekspresu do kawy, patrząc na Jeffa ze zdumieniem. - Nie zostaniesz na deser?

- Mam parę spraw... Nie mogę zostać... Ale zadzwonię później, dobrze?

- Ale...

- Nie rób z tego afery, okej? Powiedziałem, że zadzwonię.

Wychodzi i po kilku sekundach słyszę trzask drzwi wejściowych. Z ust wyrywa mi się westchnienie, nie jestem tylko pewna, czy to złość, czy ulga.

Nawet ciasto dyniowe z lodami nie jest w stanie rozproszyć ciężkiej atmosfery w salonie. Kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, mam nadzieję, że to Jeff, że postanowił jednak zostać. Kiedy jednak odrywam wzrok od krojonego właśnie ciasta, z zaskoczeniem zauważam, że Claire do pustego miejsca przy stole prowadzi Charliego. Co tu robi Charlie? Nie widzieliśmy się od balu, kiedy... O Boże. Wciąż nie mogę o tym myśleć bez zażenowania.

Charlie nachyla się, żeby pocałować mnie w oba policzki, i robi mi się gorąco, ale gdy patrzę w jego chłodne błękitne oczy, w jego miłym spojrzeniu nie widzę nic, co wskazywałoby, że coś do mnie czuje. Zadurzyłam się w nim równie beznadziejnie, jak uczennica w

nauczycielu.

- Cześć, Charlie. - Zmuszam się do uśmiechu i zaczynam trajkotać, żeby ukryć zakłopotanie. - Znasz wszystkich? Przedstawię was. To moja mama i ciocia Marcie... Ed, Gab i Geraldine... Claire znasz... - Rozglądam się po zgromadzonych. - A to jest... - waham się, jak go określić... Ambasador Charles Eliot? Brzmi zbyt oficjalnie, ale przecież nie mogę nazwać go po prostu Charliem, ekipa protokolarna ambasady migiem wyważyłaby drzwi, rzuciła mnie na ziemię i skuliła kajdankami.

- Charlie Eliot - oznajmiam po prostu, wypełniając ciszę. Ed prawie krztusi się ciastem.

- To dla nas zaszczyt. - Wita się i mówi do Claire: - Nie mogę uwierzyć, że sam...

- To zaszczyt być tutaj - odpowiada Charlie i szybko dodaje. - Ciasto wygląda świetnie. Sama piekłaś, Iz?

- Sam kto? - wcina się ostro mama, spoglądając nieufnie, jak gdyby Charlie miał się okazać znanym amerykańskim przestępcą czy kimś w tym rodzaju. I trudno się jej dziwić, bo dopiero co przedstawiłam jej mężczyznę odsypiającego kaca w bibliotece, gwiazdę muzyki pop oraz faceta, który nie mył włosów od trzech miesięcy. Widzę, że przygotowuje się na najgorsze.

- To amerykański ambasador - wyjaśnia półgłosem Claire.

- Kto? - Mama nachyla się nad stołem. Zawsze była lekko przygłucha. Twierdzi, że to od czasów wojny, ale ja myślę, że od suszarek fryzjerskich. Mogłaby jednak choć raz w życiu być trochę bardziej dyskretna, ale Charlie podchodzi do niej nieporuszony.

- Jestem Charlie Eliot - mówi, uśmiechając się przyjaźnie. - Ambasador Stanów Zjednoczonych w Chinach. - Miło mi panią poznać, pani Lee. - Podaje jej rękę.

- Proszę mówić do mnie Grace - szepcze mama.

Nagle wszyscy przy stole siedzą bardziej wyprostowani, jedzą trochę bardziej kulturalnie, a rozmowa zaczyna się trochę bardziej spokojnie.

Ciotka Marcie wypija łyk wody i pokazuje małym palcem.

- Ciasto wygląda zachęcająco...

Charlie rzuca znaczące spojrzenie na złociste trójkąci.

- Ojej. - Przypominam sobie o roli gospodyni. - Reflektujesz? Jest szarlotka, ciasto pekanowe i dyniowe. - Nakładam kawałek na

talerz i podaję mu. - Co tutaj robisz? - pytam pośród szumu rozmowy.

- To znaczy, nie spodziewałam się ciebie.

- Wpadłem wczoraj na korytarzu na Claire i zaprosiła mnie. Jak wizyta mamy? - Unosi konspiracyjnie brew.

- Powiem tylko, że przydałoby się nam tutaj trochę dyplomacji - wyrzucam z siebie i zaraz tego żałuję. Może za dużo wina wypiałam.

- Nie przejmuj się, Iz. Jesteście w rękach zawodowca. - Mruga do mnie, a ja czuję ukłucie w brzuchu. Oczywiście niepotrzebnie, bo przecież nie ma szans, żeby Charlie się mną interesował. Żadnych.

Późnym wieczorem, zamykając niedojedzone ziemniaki w plastikowych pojemnikach i wkładając brudne talerze do zmywarki, zastanawiam się, jak Charlie tego dokonał. W jednej chwili sztywno jedliśmy ciasto i rozmawialiśmy drętwo o kryzysie nuklearnym na półwyspie koreańskim, a w następnej siedzieliśmy na kanapach w salonie, otwierając kolejną butelkę wina i śmiejąc się do łez. Ale nie z powodu Charliego. Z powodu mojej mamy.

Czy po prostu zapomniałam, jak ona potrafi gawędzić, czy też nigdy o tym nie wiedziałam? W każdym razie wsłuchiwalismy się w każde jej słowo, gdy opisywała najdziwniejszych klientów swojego salonu fryzjerskiego. Na przykład kobietę, która zażądała, by przefarbować futro jej pekińczyka na ten sam odcień blondu, co jej własne włosy. Albo łysego mężczyznę, który pewnego dnia przyszedł z wszczepionymi włosami.

- Nie wiedziałam, co powiedzieć! - wołała, gdy my zwijaliśmy się ze śmiechu. - Czy powinnam jakoś skomentować jego bujną czuprynę, czy może udać, że nic się nie zmieniło!

Do teraz nie jestem pewna, jak to się stało, że przeszliśmy na bardziej poważne tematy: dzieciństwo mamy i ciotki w Szanghaju pod okupacją japońską. Kiedy dzieliły się wspomnieniami, rozejrzałam się po twarzach przyjaciół: były poważne i skupione.

- Podczas wojny nie było co jeść - mówiła mama. - Nasza matka oddawała nam swoją miseczkę ryżu, żebyśmy miały choć trochę więcej.

- Bywało, że robiła zupę z łyżki tłuszczu, kropli sosu sojowego i wrzątku. Nic więcej - dodała ciotka.

- Czasem udawało nam się ukraść z targowiska warzywa. Kapusta, kapusta, kapusta. - Mama wzdrygnęła się. - Do dzisiaj nie mogę znieść widoku da bai cai (Kapusta chińska.).

- Jak wam się udało wyjechać z Szanghaju? - spytał Charlie. Mama i ciotka wymieniły spojrzenia.

- Nasz ojciec był bankierem. Przed wojną mieszkaliśmy w pięknym domu w stylu art deco we Francuskiej Koncesji (Narzucone Chinom traktaty wieńczące wojny opiumowe (1839 - 1860) zapewniły Wielkiej Brytanii, Francji, USA i Japonii utworzenie w Szanghaju eksterytorialnych koncesji. Pozostałości świetności tych dzielnic, zwłaszcza francuskiej, można podziwiać do dziś.) - wyjaśniła mama. - Często bawiliśmy się w ogrodzie. Ale pod koniec wojny była to prawie ruina. Mieliśmy ukryte pieniądze, ale nie dało się zrobić remontu.

- Potem nastął rok czterdziesty dziewiąty - przejęła pałeczkę ciotka. - Ojciec wiedział, że komunistyczna rewolucja, o której wszyscy mówili, nie wróży mu nic dobrego. Postanowił przeprowadzić się do Hongkongu.

- W latach pięćdziesiątych Hongkong wciąż się rozwijał - ciągnęła mama. - Spodziewałam się pięknego miasta, wonnego portu, a tymczasem było niewiele lepiej niż w Szanghaju. Do tego otaczali nas ludzie mówiący dziwnym i głośnym językiem.

- Nauczyliśmy się tylko podstaw kantońskiego - podjęła ciotka. - Codziennie za to uczyliśmy się angielskiego. To był pomysł waszej matki. - Spojrzała z dumą na siostrę. - Była tak mądra, że dostała stypendium na studiowanie w Stanach, w Karolinie Północnej.

- Wtedy sądziłam, że to nasza jedyna szansa - powiedziała mama.

- Kiedy przyjechała do Ameryki, do Chapel Hill, pisała mi listy o dziwnym jedzeniu i dziwnych ludziach - wspominała ciotka. - Tęskniła tak bardzo, że myślałam, iż podda się i wróci do Hongkongu, ale potem poznała Billa i wyszła za niego... Wtedy kazała nam do siebie przyjechać.

- Zawsze myślałam, że wrócimy do Szanghaju - dodała mama. - Wyjechaliśmy w takim pośpiechu. Nie zdawałam sobie sprawy, że żegnamy się na zawsze.

- Zawsze można wrócić - rzuciła optymistycznie Geraldine. - Choćby w odwiedziny.

- Do domu nie da się wrócić. Nie ma powrotu - odparła mama ze smutkiem na twarzy.

Ha! Kto by pomyślał, że zna Thomasa Wolfe'a. Teraz, kiedy osuszam talerze i uzupełniam detergent w zmywarce, wyobrażam

sobie mamę i ciotkę jako małe dziewczynki czekające na koniec głodu i udreki wojny, następnie pomagające sobie w nauce angielskiego, planujące, pracujące i mające nadzieję na lepsze życie. Zawsze były takie niestrudzone, wzbudzające respekt, pełne energii pomimo drobnej postury. Trudno mi wyobrazić je sobie jako bezbronne istoty.

Układam ostatnie talerze i wyłączam światło w kuchni. Kilka pięter nade mną Charlie pewnie kładzie się spać. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, co dla mnie dziś uczynił i jaka wdzięczna mu jestem za rozładowanie napięcia. Idąc korytarzem, zatrzymuję się pod pokojem mamy. Pod drzwiami widzę światło, więc pukam cicho i wchodzę. Leży w łóżku z książką, na nosie ma okulary do czytania.

- Mamo - mówię. - Chcę ci coś powiedzieć.

Waham się jednak. Jak jej wyjaśnić, że rozumiem, dlaczego mnie krytykuje? Że wiem, iż po prostu chce, abym miała lepsze życie niż ona sama?

Na jej twarzy pojawia się nadzieja.

- Zdecydowałaś się spotkać z chirurgiem plastycznym?

- Nie. - Wywracam oczami. Wzdycha, ale zarazem widzę, że na jej ustach pojawia się ironiczny uśmiech.

- Chcesz rzucić tego nieudacznika Jeffa? Klepię ją w ukrytą pod pościelą nogę.

- Mamo, on nie jest nieudacznikiem. To gwiazda muzyki... Poza tym nie jesteśmy parą. - Nawet dla mnie samej brzmi to nieprzekonująco.

Unosi brwi.

- Prawie się nabrałam - mówi, ale zmienia temat, pozostając jednak przy tym samym lekkim tonie. - A więc... hmm... O, wiem! - Rozpromienia się. - Charlie zaprosił cię na randkę! Widziałam to w jego oczach!

- Co? Nie! Mamo... - Jestem zdumiona. Ona sądzi, że powinnam spotykać się z Charliem? Przecież to nie Chińczyk. I czy w ogóle jest możliwe, żeby aprobowała kogoś, kto mi się podoba?

Szkoda, że padło na Charliego, najbardziej pożądanego w Pekinie kawalera do wzięcia, który traktuje mnie jako substytut młodszej siostry...

- Poddaję się. Więc o co chodzi? - Patrzy na mnie oczami, które pozbawione mocnego makijażu i w świetle lampy otoczone są siecią zmarszczek.

Biorę głęboki oddech.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że cieszę się, że przyjechałyście na Święto Dziękczynienia. I że cię kocham.

- O, córeczko! - Wyciąga do mnie ramiona i przytulamy się. - Też cię kocham, moja xiao baobei (Mały skarbie (zwrot kierowany do dzieci).), mój skarbie bezcenny. Jestem z ciebie taka dumna. - Tuli mnie, a potem szepcze mi do ucha. - Ale pamiętaj, zawsze możesz zmienić zdanie i odwiedzić doktora Wu.

Dim sum

W kantońskich restauracjach, które często zajmują kilka pięter, typowy obrazek z tradycji yumcha (Yumcha (chiń. yincha, „pić herbatę”) - termin wywodzący się z języka kantorskiego i oznaczający rozpowszechniony w południowych Chinach, Hongkongu i Malezji zwyczaj spożywania w godzinach południowych lekkich przekąsek typu dim sum.) to młode dziewczęta pchające wózki pełne przysmaków w bambusowych koszykach spiętrzonych w wysokich stosach albo na talerzykach ułożonych obok siebie. Kręcąc się między stolikami, donośnie obwieszczają nazwy oferowanych potraw i na znak klientów stawiają na ich stolikach koszyki albo talerze.

Yan - Kit So, Classic Food of China

Do: chinagirl_isabelle@gmail.com Od:
julia.steele@brownliterary.com Temat: Zagrajmy w hongkongu!

Kochana Izzy!

Wiem, że zostało mało czasu, ale Andrew dostał zaproszenie na konferencję w... Hongkongu!! Dasz radę spotkać się tam z nami za dwa tygodnie? ZGÓDŹ SIĘ!

Będzie jak za dawnych czasów, zwłaszcza że mała panna Em zostanie u zblizowanych na jej punkcie dziadków. Nie piszę więcej, bo chcę się z Tobą spotkać TWARZĄ W TWARZ! Już nie mogę się doczekać. Całusy, Julia

Uśmiecham się, czytając mejl kilka razy. Po wyjeździe mamy i ciotki sezon świąteczny strasznie się ciągnął. Tęskniłam za Julią i Andrew prawie tak bardzo jak za przyprawionymi na ostro jajkami serwowanymi na ich dorocznej imprezie bożonarodzeniowej.

Grudzień mijał suchymi zimnymi dniami i artykułami o świątecznych koszykach oraz pieczonych gęsiach. Myślałam, że spędzę święta razem z Claire, ale kiedy spytałam ją o to, była dość niechętna.

- Może mogłybyśmy zaprosić kogoś na Boże Narodzenie? - podsunęłam pewnego niedzielnego popołudnia na początku grudnia. Siedziałam z książką na kanapie, a Claire przeglądała się w lustrze, dobierając kreację na kolację z Wang Weiem.

- Byłoby fajnie... - Wygładziła czarną ołówkową spódnicę na nieistniejących biodrach i spojrzała krytycznie w lustro. - Ale tutaj nie przywiązuje się wagi do Bożego Narodzenia. Nikt tak naprawdę ich nie obchodzi. No chyba że chcesz iść potańczyć.

- Po prostu tak sobie myślę, że byłoby miło spędzić święta razem z naszymi przyjaciółmi, nie sądzisz?

- No nie wiem. Przecież dopiero co miałyśmy tu wszystkich na Święto Dziękczynienia. Naprawdę nie sądzę, że wytrzymam kolejny rodzinny zjazd.

- Nie wydaje mi się, żeby mama i ciotka planowały wrócić do Pekinu, jeśli o to się martwisz. Poza tym ta wizyta nie była wcale taka zła - dodałam, wracając myślą do tamtego wieczoru, kiedy w świetle lampy moja mama wyglądała na tak drobną i bezbronną.

- Żartujesz? To był koszmar. Cały tydzień nie widziałam się z Wang Weiem. Obie nie mogły już bardziej zadrećcać nas małżeństwem i dziećmi. Mają obsesję na tym punkcie. - Wywróciła oczami.

- Ale ich opowieść o wojnie była poruszająca, nie uważasz? Nigdy o tym wcześniej nie słyszałam.

- Ja też nie. - Na chwilę jej twarz złagodniała, ale potem znów zacisnęła usta. - Ale mdli mnie od tego ciągłego poczucia winy, że nie mam dzieci. Co z tego, że jestem samotna i bezdzietna? Czy nie wypełniłam innych ich życzeń? - wyrzucała słowa, jak gdyby mówiła do siebie.

- Chcą, żebyśmy były szczęśliwe - powiedziałam słabym głosem.

- To one chcą być szczęśliwe - warknęła. - Mama i ciotka mają tę dziecinną wizję, w której jesteśmy doskonałą amerykańską rodziną. Wymarzyły sobie dwie kochające, odnoszące sukcesy córki, które mieszkają w sąsiedztwie rodziców, wychowując gromadkę wesołych dzieciaków. Wiesz, co ci powiem? Życie nie jest takie proste. Rodziny są popierdolone. Ludzie są popierdoleni. Ja... - urwała. - Jak myślisz, po co wyjechałam do Chin? - spytała nagle.

Patrzyłam na nią bez słowa. Dlaczego wyjechała do Chin? Bo czuła presję, żeby urodzić dziecko? To dość radykalne rozwiązanie problemu. I co miała na myśli, mówiąc o popierdoleniu? Otworzyłam usta, żeby ją o to spytać, ale po tylu miesiącach słowa uwięzły mi w gardle.

- Masz rację - mówię w końcu. - Ich oczekiwania bywają dość nierealistyczne.

Claire przymierza lśniącą białą bluzkę do czarnej spódnicy.

- Jak ci się podoba? Nie wygląda zbyt kelnersko?

- Kogo to obchodzi? I tak jesteś niewolnicą Wang Weia. Śmiało

możesz włożyć odpowiedni kostium - mruknęłam, ale okazało się, że nie dość cicho.

- Wolałabym, żebyś tak o nim nie mówiła. To mój chłopak i bardzo mi na nim zależy. Bardzo.

Westchnęłam. Od balu Wang Wei jest między nami kością niezgody. Uważam, że symbolizuje wszystko, co w życiu Claire nieodpowiednie: puste przyjaźnie, obsesję statusu, odgrywanie szczęścia.

- Martwię się o ciebie - powiedziałam.

- Mówisz jak mama. - W jej głosie nie ma emocji. - Nie sądzisz, że sama potrafię podejmować decyzje? Ja nie byłam królową balu. - To kamyczek do mojego ogródka, choć nie byłam królową, a tylko księżniczką. - Ale miałam wystarczająco dużo facetów, żeby wiedzieć, czego chcę.

- Claire, on ma w sobie tyle uczuć, co góra lodowa. Jest żonaty, zajmuje się szemranymi interesami... To cię naprawdę uszczęśliwia?

- Nie krytykuj moich decyzji.

- Nie robię nic takiego - odparłam, chociaż to właśnie robiłam. - Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Powiedziałam ci już, że jestem szczęśliwa. - Odwróciła się od lustra i spojrzała mi w oczy. - I wiesz co? Ja nie komentuję twojego życia uczuciowego - wyrzuciła z siebie ostatnie dwa słowa, jak gdyby były w cudzysłowie. - I byłoby dobrze, gdybyś ty nie komentowała mojego.

Opuściła pokój i po kilku minutach wyszła na całą noc, nie zegnając się ze mną. Kiedy nazajutrz ją przeprosiłam, była zmęczona i sflaczała, jak gdyby ktoś spuścił z niej powietrze.

W Wigilię Wang Wei sprawił Claire niespodziankę i zabrał ją na dwa tygodnie do Phuket. W rezultacie spędziłam Boże Narodzenie z Geraldine w hotelu Saint Regis, korzystając z nieograniczonego darmowego szampana do późnego śniadania. Wypiłyśmy po butelce musującego trunku.

Bawiłyśmy się dobrze, ale kiedy o piątej po południu dowlokłam się do domu, w brzuchu czułam pustkę i to nie tylko za sprawą alkoholowej uczty. To były moje pierwsze święta z dala od domu, a do tego w kraju, gdzie Bożego Narodzenia się nie obchodzi. Myślałam, że wszystko będzie swobodniejsze i prostsze.

Niestety, prawda była taka, że tęskniłam za rodziną - nawet za

ciotką Marcie.

Dlatego mejl od Julii pojawia się w doskonałym momencie, kiedy mam akurat trochę odłożonych pieniędzy (rodzice bardzo hojnie przelali świąteczny prezent na moje konto), tęsknię za bliskimi i marzę o ucieczce z zadymionego zimnego Pekinu choćby na jeden weekend. Tak się złożyło, że w poprzednim tygodniu Jeff zaproponował, żebym towarzyszyła mu w podróży do Hongkongu, ale nie byłam do tego przekonana.

Od tamtego nieszczęsnego wieczoru, kiedy zasnął w mojej sypialni po ledwo dwóch kieliszkach szampana, nie mam pewności co do moich uczuć względem niego. Z jednej strony, kto by nie lubił być obiektem adoracji? Czasami, kiedy uśmiecha się do mnie, kolana miękną mi jak kostka świeżego tofu. Jest zabawny i hojny, zawsze zarzuca mnie prezentami. (Przyznam, że zaskoczył mnie jego podarunek świąteczny: olbrzymia pluszowa maskotka Hello Kitty, która zajęła cały narożnik mojej sypialni, ale złożyłam to na karb różnic kulturowych. Nie zdziwiłabym się, gdyby myślał, że my, zwariowani Amerykanie, świętujemy narodziny Jezusa Chrystusa, wymieniając się wypchanymi zwierzętami). Zawsze z ochotą towarzyszy mi na imprezach związanych z pracą - na przykład na otwarciu nowej restauracji projektu Phillipe'a Starcka, gdzie paparazzi zrobili mu zdjęcie, kiedy obejmował Zhang Ziyi, które następnie ukazało się w lokalnej prasie. Do tego wspólne chwile z nim są jak indywidualny kurs języka chińskiego. Prawie w ogóle nie rozmawiamy już po angielsku.

A jednak... Coś mnie wstrzymuje. Nie chodzi tylko o jego niesolidność w planach i oddzwanianiu ani o zdjęcie nagiej Tiny (ciągle się pojawia na wyświetlaczu jego telefonu, gdy do niego dzwoni). Nie rażą mnie też szczególnie jego nieprzemyślane komentarze o swobodzie seksualnej Amerykanek czynione na podstawie filmów i seriali. (Jeśli usłyszę jeszcze jeden sprośny dowcip o Rachel z Przyjaciół albo Samancie z Seksu w wielkim mieście, zrzeknę się chyba amerykańskiego paszportu). Nie, chodzi raczej o rozpacz, którą czuję na widok Claire wzdychającej, gdy Wang Wei nie dzwoni. To ta ciężka jak głaz świadomość, że ona przystała na coś przeciętnego, chociaż zasługuje na więcej.

Odchylam się na krześle i wzdycham. Tak. Hongkong ma to, czego teraz potrzebuję: tropikalny klimat, postkolonialny urok,

świetne restauracje, eleganckie hotele, no i oczywiście spotkanie z moimi najlepszymi przyjaciółmi. Sama myśl o tym, że ich zobaczę, wywołuje westchnienie ulgi.

Nie wiem, czy Jeff zauważył, ale przez cały nasz trzygodzinny lot na południe oraz jazdę ekspresowym pociągiem z lotniska do centrum miasta nie mogę usiedzieć spokojnie. Rozpiera mnie ochota, żeby opowiedzieć mu o Julii i Andrew, o tym, jak się poznaliśmy, jak nigdy nie rozstawali się z córeczką przed tym wyjazdem, jak bardzo mi brakuje popijania z nimi wina przy kuchennym stole. Ale nie jestem w stanie wziąć aktywnego udziału w rozmowie.

- Możesz w to uwierzyć? - mówi akurat w chwili, gdy chcę mu opowiedzieć, jak z Julią ratowałyśmy jej kota, który zadławił się osłonką od kiełbasy. - Publikują kolejny profil Cui Jiana i do tego nazywają go praojcem chińskiego rocka!

- Skandal! - odpowiadam, próbując nie ziewnąć. Cały ranek spędził na przeglądaniu trzech ostatnich wydań „Chinese Rolling Stone”.

- Nie wiem, dlaczego nie chcą napisać o moim zespole. - Rzuca pismo z obrzydzeniem. - Myślisz, że „Beijing NOW” mógłby opublikować jakiś artykuł o nas?

- Mmm? - Podnoszę wzrok znad komórki, która chyba nie działa w Hongkongu. - Pewnie. Porozmawiaj z Gabem.

Dziwne. Jeff zawsze gardził „Beijing NOW”. Zanim jednak udaje mi się go o to zapytać, uśmiecha się do mnie.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

- O! Co to? - Staram się wykrzesać z siebie entuzjazm. Ostatnia niespodzianka od Jeffa okazała się zestawem spinek do włosów z Pokemonami; każda obwieszona była puchatym Pikachu.

- Zobacysz... - Uśmiecha się tajemniczo.

Przez okno patrzę na błyskawicznie przesuwany się krajobraz i próbuję się rozluźnić. Dwa tygodnie temu, kiedy wspomniałam Jeffowi, że wybieram się do Hongkongu spotkać się z przyjaciółmi, nie posiadał się z radości. Od razu zarezerwował bilet oraz (osobne) pokoje w hostelu, gdzie mieli się zatrzymać Andrew i Julia, i to po niesamowicie niskiej cenie. Kiedy chciałam mu wytłumaczyć, że to ma być przyjacielski, platoniczny wyjazd na weekend, zapewnił mnie, że będzie zajęty spotkaniami i występami zorganizowanymi przez jego hongkońską firmę płytową.

Taksówka zwalnia i wyglądam przez okno. Moje zdenerwowanie ustępuje ekscytacji perspektywą ujrzenia Julii i Andrew w holu naszego hostelu. Wyskakuję z auta i pędzę do podwójnych drzwi. Wejście wygląda dużo bardziej elegancko niż na zdjęciach w internecie. Podjazd ma kształt ronda i wszędzie widać zielone rolls - royce'y. A do tego... to dziwne... jesteśmy na Koulunie (Hongkong zajmuje większą część półwyspu Koulun oraz liczne przybrzeżne wyspy Morza Południowochińskiego.). Patrzę w górę i otwieram szeroko oczy na widok wspaniałego kremowego gmachu emanującego dostojną elegancją.

- Niepodzianka! - woła Jeff. - Mamy pokój w Peninsuli. Moja firma zarezerwowała nam apartament, bo mam te wszystkie promocyjne spotkania.

- Łał! - Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. A potem uświadamiam sobie sens jego słów. - Apartament?

- Niesamowite, prawda? Apartament w najdroższym hotelu w Hongkongu! - Kręci głową.

- Tak. Zawsze chciałam tu przenocować. - Ale mój uśmiech jest niepewny. Mieliliśmy mieć osobne sypialnie. - Mmm... - waham się.

- Bie danxin! - mówi z niecierpliwością. - Nie martw się. Będę spał na kanapie w salonie.

- Okej. - Zdumiewa mnie ulga, jaką czuję.

Ubrany na biało hotelowy boy wyjmuje nasze bagaże z taksówki, a ja patrzę ponad zatoką. Spod hotelu widać toń, nad którą naprzeciwko, na brzegu wyspy Hongkong górują lśniące wysokościowce. Mam nadzieję, że bez większego trudu będę mogła spotykać się z przyjaciółmi, którzy nocują na tamtym brzegu. Powstrzymuję westchnienie. To chyba nie ma większego znaczenia. Poza tym musiałabym być koszmarną niewdzięcznicą, żeby odrzucić możliwość zamieszkania w apartamencie w Peninsuli.

Mój opór znika, kiedy tylko wchodzę do środka. Przestronny marmurowy hol pachnie uwodzicielsko mieszanką woni lilii i dymu cygar, słychać muzykę kwartetu smyczkowego, a na wypolerowanej podłodze sroją donice z palmami. Boy znika z moim obszarpanym plecakiem i od chwili, gdy się meldujemy, wszyscy zwracają się do nas po nazwisku.

Z naszego apartamentu rozciąga się widok na zatokę i słynna panorama miasta. Wysokościowce lśnią szkłem i stałą na tle ciemnych

wzgórz. Patrzę na krążące łodzie i promy i myślę o Julii i Andrew na drugim brzegu.

- Powinnam odezwać się do przyjaciół. - Siegam po telefon i zaczynam wystukiwać numer na skomplikowanym urządzeniu łączącym funkcje telefonu, faksu, odtwarzacza CD i DVD. - Jak zadzwonić na miasto?

Jeff odbiera mi słuchawkę i kładzie ją z powrotem.

- Nie dzwoń jeszcze. Napijmy się szampana i podziwiamy widok.

- Oni na mnie czekają - protestuję. - Nie chcę, żeby się martwili.

Ale on zmierza już do barku, skąd wyciąga z chłodziarki butelkę Veuve Clicquot. Otwiera ją, nalewa szybko dwa kieliszki i podaje mi jeden.

- Li Jia... - Gestem pokazuje mi, żebym usiadła obok niego na kanapie i bierze mnie za rękę.

- Taak? - pytam niepewnie, próbując odsunąć dłoń, ale ściska mnie, jak gdyby się topił, a ja była liną ratunkową. Przechyla głowę.

- Przez ostatnie miesiące spędziliśmy razem tyle czasu. Czuję, że bardzo zbliżyliśmy się do siebie.

O Boże. Jak się z tego wywinąć? Na przemian zakładam jedną nogę na drugą, próbując uniknąć pewnego siebie wzroku Jeffa.

- Ale mam nadzieję, że możemy zbliżyć się jeszcze bardziej...

- Mmm. - Próbuję zyskać na czasie, zanurzając usta w szampanie. - To naprawdę... mmm. Łał. Ale...

Nie mam szansy dokończyć zdania, bo odstawia kieliszek, przysuwa się i przytula mnie.

- Jesteś taka filuterna - mówi. Chciał chyba powiedzieć, że jestem zabawna.

Próbuję się łagodnie od niego oderwać i wreszcie udaje mi się to, ale w trakcie zarzucam włosami.

- Ojej, przepraszam! - wołam, bo mój kucyk trafia go w oko.

- Jezu. Li Jia! - Mruga kilkakrotnie, ocierając łzawiące oko dłonią. - Wypadła mi soczewka. Musimy ją znaleźć. Nie mogę pokazać się ludziom w okularach!

Włączam lampę; jaskrawe światło rozwiewa romantyczną atmosferę.

- Nie ruszaj się - mówię i kolejne dwadzieścia minut spędzam na czworakach, przeszukując podłogę. Jeff cały ten czas siedzi bez ruchu

na kanapie.

- Co zrobię, jeśli jej nie znajdziesz? Fani nie rozpoznają mnie w okularach!

- Zgroza! - wykrzykuję żartobliwie, ale jego to nie bawi. Mam już odpuścić, gdy nagle widzę błysk na spodniach Jeffa.

- O! Patrz! Chyba... Mam! - Zdejmuję soczewkę z jego spodni, niechcący muskając mu palcami krocze. - Ups. Przepraszam. - Rumienię się.

Ignoruje mnie.

- Daj. - Wyciąga rękę. Kiedy kładę mu soczewkę na dłoni, wymyka się do łazienki. Wygląda na to, że przeszedł mu romantyczny zawrót głowy. Wzdycham z ulgą.

- Która godzina? - przekrzykuje szum wody.

- Szósta.

- Co? - Pojawia się w drzwiach chyba już z soczewką na oku. - Za późno!

- Wiem! Julia i Andrew myślą pewnie, że zostałam porwana. Ale nie martw się, zaraz do nich dzwonię.

- Nie! To ja jestem spóźniony na drinka z wydawcą! - Wraca do łazienki i odkręca prysznic. - Bejbi, wyświadczy mi przysługę. Przynieś mi ciemne dżinsy i koszulę Zegny, okej?

- Jesteś zajęty wieczorem? - Próbuję z czystej uprzejmości sprawić, by w moim głosie zabrzmiało rozczarowanie, ale prawdę powiedziawszy, cieszę się, że będę sama z Julią i Andrew. Wzdycha teatralnie.

- Nie bądź zła. Wiesz, że od tych ludzi zależy moja kariera. Jeśli wyrobię się wcześniej, złapię gdzieś ciebie, Judy i Alana.

Zamyka drzwi łazienki.

- Chciałeś powiedzieć Julię i Andrew! - wołam, ale nie słyszy mnie w szumie sześciu strumieni kabiny prysznicowej.

Uszy mi zatyka, kiedy winda pnie się dwadzieścia osiem pięter, do hotelowej restauracji Felix. Wchodzę w lśniącą białą - różową przestrzeń, mijam eleganckie stoliki i po przezroczystych schodach wkraczam do małego baru. Rozglądam się za Julią i Andrew, ale zamiast tego mam przed sobą widok z okien sięgających od podłogi do sufitu. Światła miasta rozpościerają się przede mną nad pełną statków zatoką - na tle tropikalnego wieczornego nieba metropolia promienieje blaskiem.

Pół wódki z martini później widzę, jak wchodzą po schodach, a ich znajome twarze kierują się ku panoramie za oknem. A potem Julia dostrzega mnie na wysokim barowym stoliku i biegnie, żeby mnie objąć. Przez chwilę stoimy tak we trójkę z błyszczącymi oczami, śmiejąc się jak wariaci.

- Wierzysz w to?! - piszczy Julia. - Jesteśmy w Hongkongu!

- Wiem. - Śmieję się. - Po prostu przeskoczyliśmy z jednej wyspy na drugą.

Zamawiamy kolejne drinki i więcej czipsów - nie zwykłych ziemniaczanych, ale ekstra cienkich, chrupkich, lekko solonych - i popijamy oraz chrupiemy w najlepsze, a Julia opowiada mi o pierwszym zdaniu Emilii. („Chcę camemberta!", moja krew!). Potem obie przytakujemy inteligentnie, kiedy Andrew relacjonuje swoją konferencję na temat programowania.

Czy istnieje większe szczęście niż spotkanie z najlepszymi przyjaciółmi? Być może, ale siedząc tak, rozmawiając i śmiejąc się, zaczynam się rozluźniać - od wielu miesięcy nie czułam się tak swobodnie. Jesteśmy tylko we trójkę, tak jak zawsze. W tej chwili, z widokiem za oknem, z martini na stoliku, w towarzystwie dwojga ludzi, którzy znają mnie najlepiej na świecie, wystarcza mi to w zupełności.

- Więc jak ci się układa z Jeffem? - pyta znów Julia, ścigając wontona (Wonton (chiń. hundun) - kantońska nazwa popularnych w kuchni chińskiej niewielkich pierożków, najczęściej podawanych w zupie.) pałeczkami. - Myślałam, że nie jesteś nim zainteresowana.

- Mówiłam ci, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Wzruszam ramionami. - Skosztuj tych chińskich brokułów.

Nieco wcześniej wyszliśmy na parny wieczór i wąskimi oświetlonymi neonami uliczkami Koulunu dotarliśmy do taniej i wesołej restauracyjki z nudlami. Ale po trzech kolejkach drinków ciekawość moich przyjaciół wzrasta.

- Nie rozumiem. Jesteście tylko przyjaciółmi, ale on obsypuje cię pluszakami i rezerwuje apartament w Peninsuli? - Julia marszczy brew.

- Ściągnąłem kilka jego piosenek z iTunes - wtrąca Andrew. - Są chwytliwe.

- Nie musicie być tacy mili. - Siorbię długą nitkę makaronu. - Nie należymy raczej do jego targetu.

- Co się dzieje? Chcemy go poznać! - Dla podkreślenia wagi słów Julia macha porcelanową łyżką.

- Mówiłam już. Nic się nie dzieje. - Przez chwilę zajmuję się odgławianiem krewetki pałeczkami, ale kiedy podnoszę wzrok, wciąż na mnie patrzą. - Chociaż... w sumie... dziś po południu próbował coś podzielać.

- Co? - wzdycha Julia. - Co się stało?

Więc opowiada im o szampanie, żelaznym uchwycie, moim niesfornym kucyku i soczewce Jeffa.

- Ale Iz, skoro nie jesteś nim zainteresowana - Julia śmieje się tak bardzo, że traci oddech - czemu mu po prostu nie powiesz?

- W Chinach jest inaczej. Nie chcę zranić jego uczuć. Jeśli ktoś straci twarz, to nigdy tego nie wybaczy - wyjaśniam. - Poza tym podobam mu się, a dla mnie to całkiem nowe i przyjemne uczucie.

Wymieniają spojrzenia.

- A co z tym dyplomata? Jakies wieści od tajemniczego Charliego? - Julia nachyla się z ciekawością.

- Wpadłam na niego kilka razy od Dziękczynienia, ale zawsze był zbyt zajęty, by pogadać. Zaczynam się zastanawiać, czy mnie nie unika.

- A może - Julia podnosi pałeczki - boi się gdzieś cię wyciągnąć, bo myśli, że jesteś z Jeffem?

- Ha! - parskam. - Bardzo wątpię.

- Dlaczego? Po tamtym balu mógł nabrać takiego podejrzenia.

- Spójrzmy prawdzie w oczy... - Wzdycham. - W życiu najbardziej udała mi się praca, a i ona nie jest najlepsza.

- Uwielbiam twoje felietony o chińskim jedzeniu - mówi Andrew. - Nie miałem pojęcia, że kurczak generała Tso w ogóle tu nie istnieje!

- Masz przede mną jakieś sekrety? - dziwi się Julia. - Ja tych artykułów nie widziałam.

- Wyguglałem je. Świetne teksty. Bardzo zabawne i osobiste. Powinnaś przeczytać.

- Czyli to tym się zajmujesz cały dzień w pracy - rzucam kąśliwie.

Andrew się śmieje, ale Julia jest myślami gdzie indziej.

- Powinnaś pisać felietony o odkrywaniu Chin za pośrednictwem kuchni regionalnych.

- I o tym, jak w trakcie tego odkrywania przytyłam dziesięć kilo - żartuję.

- Mówię poważnie. Jedna z moich autorek jest redaktorką w „Cuisine”. Poproszę ją, żeby przeczytała.

- Daj spokój, Jules. - Balansuję pałeczkami na krawędzi miseczki. - Obie wiemy, jak trudno znaleźć taką pracę w dzisiejszych czasach. - Zaczynam odliczać powody na palcach. - Nie mam punktu zaczepienia. Jedyne cytaty ze mnie to rzeczy w rodzaju „sto najlepszych kosmetyków w twojej drogerii!”. Wyrzucono mnie z roboty. Jestem... nikim.

- Iz... Jedno potknięcie nic nie znaczy.

- Okej. W takim razie powiedzmy, że jestem kimś. Konkretnie kimś upokorzonym.

Krzyżuje ramiona na piersi.

- Wiesz co, Isabelle? - mówi, a w jej głosie wyraźnie słychać zniecierpliwienie. - Mieć ambicje to nie to samo, co kusić los.

- Wiem, ale...

- Wyślij mi te artykuły. Niech się im przyjrzę, dobrze?

- W porządku - mówię, chociaż wiem, że tego nie zrobię. Nigdy nie słyszałam bardziej absurdalnego i potencjalnie upokarzającego pomysłu.

Później w apartamencie w Peninsuli (uwielbiam to słowo) przebieram się w piżamę i łakomie patrzę na kanapę w salonie, którą obsługa zmieniła w łóżko posłane świeżutką pościelą i wełnianym kocem. Czy powinnam tutaj się położyć? Ale Jeff powiedział, że to on ją weźmie. Poza tym wystawił mnie dziś do wiatru: nawet nie zadzwonił. Waham się tylko sekundę, a potem kładę w miękkim łóżku, przykrywam ciepłą kołdrą i włączam telewizor. Przerzucam dwieście kanałów, po czym decyduję się na CNN. Podparta kilkoma puchowymi poduszkami wsłuchuję się w kojący amerykański akcent.

- Dzisiaj w Pekinie - mówi prezenter - amerykański wysłannik na rozmowy sześciostronne przybył na kolejną sesję... - Na ekranie grupa postaci w ciemnych garniturach idzie przez hotelowy hol. Hej, wygląda jak Saint Regis! Mrużę oczy. Czy to nie jest...? O Boże, tak! To Charlie! Kroczy pośród delegacji z pochyloną głową. Wygląda... wygląda na zapracowanego.

Gapię się w ekran. Jak mogłam pomyśleć, że Charlie mnie unika? Nie, jest po prostu zajęty, on naprawdę ratuje świat przed nuklearną

zagładą. Napięcie na jego twarzy wskazuje na to, że jestem ostatnią osobą, o której teraz myśli.

Gaszę telewizor i patrzę na komórkę. Jest dobrze po drugiej, a Jeff wciąż nie zadzwonił. Czy ja powinnam zadzwonić? Ale pewnie jest już przy drugiej albo i trzeciej butelce chivas. Wyłączam telefon, gaszę światła, zamykam drzwi sypialni na klucz. Patrzę na jaśniejące wysokościowce i staram się nie zasnąć, choć wypite wieczorem trzy martini bardzo mi to utrudniają. Nie zarejestrowałam momentu zaśnięcia, ale kiedy budzę się, żeby zawitać w toalecie, cyfrowy zegar pokazuje trzecią, a ja wciąż jestem sama.

Rano kremowe światło zakrada się do pokoju, wybudzając mnie delikatnie. Przeciagam się i potrząsam głową, czując namiastkę kaca za lewym okiem.

Po szybkim prysznicu, przebraniu się i skorzystaniu z hotelowej suszarki do włosów otwieram drzwi i wchodzę do salonu.

Nieprzepuszczające światła zasłony blokują promienie porannego słońca. Siadam na krawędzi kanapy i ostrożnie klepię Jeffa w ramię. Mruczy i przewraca się na brzuch.

- Która godzina? - pyta stłumionym głosem.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że za pół godziny spotykam się z Julią i Andrew - szepczę.

- Bejbi, czuję się gównianie - bełkocze w poduszkę.

- Biedactwo. Masz kaca? Bawiliście się do późna? Krzywi się.

- O Boże, ci wydawcy są pokręceni... Poszliśmy do klubu, a oni zamawiali jedną butelkę chivas za drugą... - Zamyka oczy, jak gdyby samo wspomnienie go przytłoczyło. Znając jednak jego głowę, podejrzewam, że załatwił go jeden kieliszek. - Nie idź, bejbi, zostań. Zamówimy obsługę! - Z zamkniętymi oczami szuka po omacku mojej dłoni.

Oo, drugi raz nie dam się złapać. Szybko wstaję.

- Byłoby fajnie, ale muszę się z nimi zobaczyć. Przylecieli specjalnie dla mnie. Julia wzięła nawet wolne w firmie, chociaż jest teraz bardzo zapracowana. Ma pięciu autorów na liście bestsellerów „New York Timesa”.

Jeff odmyka jedno oko.

- Czym ona się zajmuje?

- Mówiłam ci. Jest agentką literacką. Reprezentuje autorów i sprzedaje ich książki wydawcom.

- Hmm. - Siada z trudem. - Wiesz... może pójdę z tobą. - Z wysiłkiem prostuje swoje odziane tylko w bokserki ciało.

- A twój kac? - pytam zaskoczona. Działanie w cierpieniu to nie specjalność Jeffa. Bywało, że odwoływał randkę z powodu zbyt męczącej sesji na siłowni.

- Nie chcesz, żebym szedł z tobą?

- Nie! Oczywiście możesz iść. Ale będziemy mówić po angielsku. Oni nie znają chińskiego.

Waha się, ale potem zdecydowanym krokiem rusza do łazienki.

- Będę gotowy za kwadras,

O jedenastej w niedzielę Maxim City Hall rozbrzmiewa gwarem. Rodziny zbierają się, by głośno plotkować, sączyć herbatę i zjadać przekąski, smakołyki, które zapadają w serce - to właśnie znaczy dim sum. Kelnerki popychają ciężkie wózki z kolumnami parujących bambusowych koszyków, wołając na całą salę. Wielkie pomieszczenie tętni hałaśliwą energią, pojoną herbatą i krzepioną pierożkami.

Jeff krzywi się wobec tej kakofonii, gwaru i jaskrawego światła, ale twardo idzie za mną. Rozglądam się za Julią i Andrew. Znajduję ich bez trudu - ich zachodnie rysy twarzy jaśnieją jak latarnie morskie.

Szybko dokonuję prezentacji i siadamy, zaglądając do przejeżdżających wózków.

- Li Jia opowiadała mi o twojej pracy. To fascynujące. - Jeff obdarza Julię swoim firmowym uśmiechem. - Czy to, co robisz, przypomina pracę Carrie Bradshaw z Seksu w wielkim mieście?

- Nie bardzo. - Julia rzuca mi spojrzenie. - Niestety jest dużo nudniejsza. Przez większość czasu czytam kiepskie propozycje wydawnicze.

- Myślałem o napisaniu książki... - Jeff unosi brwi.

- Książki?! - pytam. - Nigdy o tym nie wspominałeś...

- O! Shagao! (Shagao (chiń. xiajiao) - bułeczki wypełnione nadzieniem z krewetek; rodzaj dim sum.) Chasiu bao! (Chasiu baau (chiń. cha shao bao) - rodzaj dim sum; gotowane na parze bułeczki nadziewane wieprzowiną.) - woła Julia, machając na przejeżdżającą kelnerkę i unosząc dwa palce. - Przepraszam - zwraca się do Jeffa - nie chciałam, żeby nas minęła. Padam z głodu!

Rozmowa zamiera, gdy zajadamy fikuśne pierożki - przez delikatne ciasto przeziera blad różowe nadzienie z krewetek. Nurkujemy w talerzach ryżowych nudli pachnących sosem sojowym,

odwijamy bambusowe liście z trójkącików kleistego ryżu, zatapiamy zęby w złocistych tarteletkach jajecznych i patrzymy, jak ciasto łuszczy się nam na kolana.

- Świetne jedzenie, takie świeże! - mówi Julia głosem pełnym pozytywnego zaskoczenia. - Nigdy nie jadłam smaczniejszych dim sum. O! - woła, zatrzymując przejeżdżający wózek. - Kurze łapki!

- Jakie koncerty grałeś w Pekinie? - pyta Andrew Jeffa, który dziwnie zamilkł. - Na pewno masz sporo ciekawych rzeczy do opowiedzenia jako gwiazda popu - dodaje uprzejmie.

- Dokładnie - przytakuje ochoczo Jeff. - Dlatego właśnie chcę napisać tę książkę. Żeby zainspirować innych młodych ludzi do podążania za marzeniami.

- Jak przebiłeś się na rynku? Pewnie trudno było podpisać pierwszy kontrakt? - pyta Andrew.

- Ach, akurat tu nie ma za bardzo o czym mówić. - Jeff dziobie krewetkę. - Mój wujek jest producentem muzycznym na Tajwanie. Ale najważniejsze to nie poddawać się pomimo przedziwności losu.

Andrew kiwa głową.

- Pewnie zanim się wybiłeś, nie było ci łatwo.

- Tak. Pamiętam, jak raz wszyscy moi przyjaciele pojechali do Makao na weekend, a mnie nie było stać. Czuję się naprawdę samotny.

Julia robi pełną zdumienia minę i otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka.

- Więc co myślisz? - Jeff rzuca jej szeroki uśmiech. - Mogłabyś mnie reprezentować? Na jakie pieniądze mogę liczyć?

- Hmm... - Julia podnosi pusty bambusowy koszyk i zagląda do środka jakby w nadziei, że magicznie pojawią się w nim pierożki.

- Nie sądzę, żebyś mógł liczyć na jakąś większą zaliczkę, biorąc pod uwagę, że masz troje amerykańskich fanów i wszyscy oni siedzą teraz przy tym stole - rzucam.

- Ale czy Jeff nie grał na tym balu w ambasadzie? - pyta Julia.

- Na pewno ma tam jakichś fanów.

- Na przykład Charliego? - Andrew daje mi kuksańca i mruga porozumiewawczo.

- Może zaprosić go na następny występ Download? - proponuje entuzjastycznie Julia. - Mielibyście oboje fajną randkę.

Twarz Jeffa tężeje i przez sekundę zastanawiam się, czy

zrozumiał.

- Idę do toalety. - Odsuwa krzesło i wychodzi ciężkim krokiem.

- Powiedziałaś coś nie tak? - Julia patrzy na mnie niepewnie.

- Wkurzył się?

- Nie wiem. - Próbuję pokroić ostatnią tarteletkę pałeczkami.

- Iz... - Patrzy na mnie, a ja zaciskam wargi, żeby przestała, ale to nie pomaga. - Wiem, że uważasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, a Andrew kazał mi obiecać, że więcej tego nie zrobię, ale... - Przetyka ślinę. - Jesteś pewna, że rozumiecie się z Jeffem?

- Mówiłam ci, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale czy Jeff wie? On może być samozwańczym ekspertem od Seksu w wielkim mieście, ale mogę się założyć, że w Chinach te sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Chyba nadeszła pora, żeby porozmawiać z nim i wszystko wyjaśnić.

- Zapewniam cię, że się rozumiemy - mówię z przekonaniem, chociaż sama nie jestem pewna, czy to prawda.

Później, dużo krewetkowych pierożków później, kiedy Jeff już wyszedł na spotkanie z producentami, kiedy całą trójką wjechaliśmy kolejką na Wzgórze Wiktorii i przespacerowaliśmy się, podziwiając morze, góry i bujną tropikalną roślinność, kiedy przytuliłam ich i pocałowałam na pożegnanie w hostelu, płynę promem Star Ferry na Koulun, pozwalając słonej bryzie chłodzić rozpalone policzki.

Po przybyciu do hotelu znajduję Jeffa w salonie. Zasłony są wciąż zaciągnięte, w telewizorze leci MTV.

- Hej - mówię, ignorując bijący od niego chłód. - Jak się udało spotkanie?

Nie odrywa wzroku od ekranu. Siadam obok na kanapie i po sposobie, w jaki złożył ramiona i w jaki milczy, poznaję, że jest nie w sosie. Zmuszam się do uśmiechu i klepię go w ramię.

- Gdzie idziemy na kolację? Porwijmy się na jakąś przygodę. Ta restauracja na łodzi... jak się nazywa... Jumbo Floating Restaurant? A może do któregoś z tych sekretnych klubów kolacyjnych?

- Wszystko jedno. - Podciąga nogi. - Objadłem się na lanczu.

- Taak. Ja też. Ale warto było. Dawno nie jadłam dim sum.

- Dian xin - poprawia mnie machinalnie, stosując mandaryńską wymowę.

- Andrew i Julia bardzo się cieszyli ze spotkania - ciągnę. - Uważają, że jesteś naprawdę... interesującą osobą!

- Ale widocznie nie tak interesującą jak Charlie.

- Umm... - To świetna pora, żeby poruszyć temat oczekiwań, o których mówiła Julia. Otwieram usta, ale nic nie mówię. Czy naprawdę muszę to wyjaśniać? Nagle czuję irracjonalne zdenerwowanie. - Hej - zmieniam temat - nie wiedziałam, że planujesz napisać książkę.

Śmieje się krótko.

- Ja też nie. Sam to właśnie wymyśliłem. Ale nieźle mi wyszło, co? Myślisz, że się zainteresowała? Pomyślałem, że trzeba wykorzystać guanxi, no wiesz?

- Wykorzystać guanxi?. Julia to moja przyjaciółka, a nie partner w interesach. Byliśmy na przyjacielskim spotkaniu w restauracji, a nie na sesji nawiązywania kontaktów.

- Bejbi, każde spotkanie służy nawiązywaniu kontaktów.

- Może dla ciebie, ale ja nie wykorzystuję przyjaciół tylko do koneksji.

- Wcale nie wykorzystałem jej tylko do koneksji. Ale skoro już je ma, czemu miałbym nie skorzystać?

- O każdym tak myślisz?

- Oczywiście - mówi po prostu. - To tak jak z tobą i ze mną, myślę, że jesteś cool, dobrze się razem bawimy i jeśli jest bonus w postaci artykułu w „Beijing NOW”, to tym lepiej. Twoje pismo to żaden „Rolling Stone”, ale gdzieś muszę zacząć, rozumiesz?

- Czyli cały czas spotykałeś się ze mną tylko dlatego, że pracuję w „Beijing NOW”?

- Nie, oczywiście, że nie, ale wiesz, że tak załatwia się interesy.

- Może w Chinach.

- Jesteśmy w Chinach.

- Chodzi o to, że jestem po prostu przyzwyczajona do innego podejścia. W Stanach robi się to trochę bardziej subtelnie.

Klepie mnie w ramię pobłaźliwie.

- Ale w duszy jesteś Chinką, więc wiem, że zrozumiesz.

Coś w jego głosie sprawia, że siadam prosto i badawczo przyglądam się jego twarzy.

- Mogę zadać ci pytanie?

Przytakuje od niechcenia, pochłaniając wzrokiem nowy teledysk Britney Spears.

- Uważasz mnie za Chinkę czy Amerykankę? - pytam niby

swobodnie, choć serce mi wali.

- Chinę oczywiście - odpowiada natychmiast, kiwając głową w rytm bioder Britney.

Przez sekundę myślę, łał, mój chiński niesamowicie się poprawił! Ale chwilę potem jego odpowiedź odbieram jak cios w czułe miejsce. Po tych wszystkich spędzonych razem miesiącach myślałam, że pod moimi czarnymi włosami, migdałowymi oczami i całą tą chińską powłoką dostrzeże bijące amerykańskie serce. Okazuje się jednak, że nie ujrzał niczego.

Później leżę w łóżku i patrzę na światła po drugiej stronie zatoki. Jeff chrapie cicho w salonie, a ja jestem zbyt poruszona, by spać.

Jako dziecko bawiłam się lalkami Barbie i ubóstwiałam Smerfетkę. Dorastałam w świecie klasy średniej, białym świecie dziewcząt o długich blond włosach i długich nazwiskach, przy których moje własne wyglądało jak kikut. Były chwile, kiedy czułam się boleśnie i żenująco inna, na przykład kiedy dzieci na placu zabaw rozciągały sobie oczy i śpiewały piosenkę: „Cing cing cing, aj aj/Nie ma to jak chiński kraj/Moja mama sadi ryż/A mój tata sadi tyż”. Albo kiedy moja nauczycielka w szkole średniej, pani O'Grady, zachęcała mnie, abym zarzuciła moimi równo podciętymi włosami:

- Potrząśnij głową! O, proszę, jak chińska laleczka!

Ale w miarę jak dojrzywałam i wrastałam w swoją skórę, umawiałam się z chłopakami, wciągałam przyjaciół w świat chińskiej kuchni, doskonaliłam potrawkę z tuńczyka, czułam się coraz mniej egzotyczna. Kiedy przeprowadziłam się na Manhattan, etniczność weszła w modę, a rasa przestała stanowić sedno mojej tożsamości. „Amerykanka chińskiego pochodzenia” - to była kolejna etykieta, którą nadałam sobie obok innych (redakrorka, smakoszka, nowojorka) i która stała się częścią mnie, ale nie mną.

A potem przeprowadziłam się do Chin i nagle wszystkie te zapomniane uczucia wyobcowania i przynależności wybiły się na pierwszy plan. Kryją się w głosie taksówkarza, który mówi, że nie jestem Amerykanką, bo amerykańanie mają żółte włosy. W twarzy kelnerki, która nie może się nachwalić prostego ni hao Geraldine, ignorując moje lata nauki i godziny spędzone na uczeniu się ideogramów. W spojrzeniach innych cudzoziemców, prześlizgujących się po mnie, kiedy mijają mnie na chodniku, widząc we mnie tylko twarz w tłumie. A także w zaskoczeniu spotykanych czasem

Amerykanów komplementujących moją angielszczyznę oraz w tłumach zapelniających restaurację, gdzie moja czarna głowa rozpływa się pośród identycznych czarnych głów.

Zanim przeprowadziłam się do Chin, myślałam, że siebie znam. W Nowym Jorku nikt nie wymagał ode mnie znajomości chińskiego ani wiedzy o moim pochodzeniu. Teraz, w Pekinie, uświadomiłam sobie, że wyobrażenia innych ludzi są równie ważne jak moje. Ja mogę uważać się za Amerykankę, ale całe miasto, kraj i przyjaciele nie potrafią tego zaakceptować. Mogę uważać się za Amerykankę, ale jedyną częścią mnie, którą rozumieją ludzie, jest moja rasa, moja chińskość.

Ból wyobcowania zaskakuje mnie. Myślałam, że przeminął wraz z wiekiem dojrzewania, ale okazuje się, że wciąż tkwi głęboko i ma dość mocy, by wycisnąć z moich oczu łzy.

Yunnan

(Yunnan - prowincja w południowo - zachodnich Chinach.)

Yunnan to duża prowincja, gdzie jeszcze do niedawna Chińczycy stanowili mniejszość [...]. Jej kuchnia stosunkowo najbardziej przypomina alpejską, w której dominują konserwowane wędliny. Stąd pochodzą najlepsze szynki w Chinach [...]. Inną osobliwością Yunnanu jest nabiał.

E.N. Anderson, The Food of China

- Nie możesz po prostu nie odbierać telefonów od Jeffa i nie odpowiadać na jego esemesy. Musisz z nim zerwać. - Geraldine odwraca się i patrzy na płyny do prania.

- Zerwać z nim? - Podskakuję, bo wózek prawie wjeżdża mi na stopę. Jest dopiero ósma rano w niedzielny poranek, ale hipermarket francuskiej sieci Carrefour pęka w szwach od klientów. - Ile razy mam powtarzać?! Jak mogę zerwać z kimś, kto nigdy nie był moim chłopakiem?

- Iz - mówi Geraldine ostrzegawczo - może ty nie uważasz go za chłopaka. Ale on wyraźnie ma cię za kogoś więcej niż koleżankę. Jeśli nie jesteś zainteresowana, a po tym wyjeździe do Hongkongu podejrzewam, że nie, musisz to skończyć.

- Ale każdy przeciętnie wyczulony facet do tego czasu już by się zorientował. I nie cytuj mi tu żadnych pierdół z Mężczyźni SA z Marsa, kobiety z Wenus - ucinam, widząc, że już otwiera usta. - Jesteśmy w Chinach i te zasady tu nie obowiązują.

- Musisz z nim porozmawiać. Im wcześniej, tym lepiej.

- Skupmy się na tym, żeby znaleźć środek do mycia naczyń, i znikajmy stąd. - Podchodzę do pracownicy obsługi. - Duibuqi mafan ni. Nimen de hua fen zai na'r (Przepraszam, gdzie mogę znaleźć pyłek kwiatowy?)?

Dziewczyna potrząsa głową i ucieka, jakbym miała na ciele pękające czyraki.

- Poprosiłaś ją właśnie o pyłek kwiatowy - wyjaśnia Geraldine, kiedy przestaje się śmiać. - Proszek do mycia naczyń jest tam.

- Mądrała - mówię, biorąc pudełko. A myślałam, że mój chiński już się poprawił.

Nie widziałam Jeffa, odkąd przytuliliśmy się na pożegnanie na postoju taksówek pod pekińskim lotniskiem.

- Zadzwoń - powiedział, wskakując do pierwszej taksówki, i

osiem dni później rzeczywiście zadzwonił. Pod prysznicem słyszałam dzwonek telefonu, ale po raz pierwszy, odkąd go poznałam, nie chciało mi się odbierać. Mijają trzy tygodnie, a my wciąż z sobą nie rozmawialiśmy i mam nadzieję, że zrozumie, iż moje milczenie oznacza pożegnanie. Niestety wygląda na to, że według niego uprawiam jakiś rytuał godowy, zgrywam trudną do zdobycia, by rozpaść jego zmysły.

Obracam wózek i idę za Geraldine do działu spożywczego, gdzie pochylamy się nad dwunastoma rodzajami świeżego tofu.

- Ulży ci, jak z nim pogadasz. - Wybiera kremowy kwadrat i dotyka gładkiej powierzchni. - To będzie dla ciebie... jak to ująć...

- Żenujący koszmar? - podsuwam, przesuwając się ku piramidzie porów.

- Zamknięcie - mówi, pakując kilka do torebki. - Musisz zamknąć tę sprawę.

- Być może. - Wrzucam do wózka kolendrę. - Wiesz co, zajrzyjmy do działu z serami. Chodzi za mną dojrzały camembert.

- O, ser! - rozpromienia się Geraldine. Wiedziałam, że to odwróci jej uwagę.

Oczywiście powinnam porozmawiać z Jeffem. Nasz związek wprawdzie nigdy nie wyszedł poza etap platoniczny, ale należy mu się szczerść z mojej strony. Tak wypada postąpić, jesteśmy oboje dorośli, powinnam uczciwie przedstawić swoje uczucia... ech, gadam, jakbym była u Oprah. Ale jednego nigdy nie powiedziałam Geraldine ani nikomu: że w życiu nigdy z nikim nie zerwałam. A co dopiero z facetem, którego nie uważam za swojego chłopaka! Mam trzydzieści lat i jestem kompletną zrywaniową dziewczyną.

Pewnie, że dałam kosza paru chłopakom, którzy na pierwszej randce chcieli przeskoczyć od razu kilka poziomów, wyrzucałam numery telefonów podawane mi w tłocznych barach, ignorowałam mejle. Ale przez całe życie, od mojego szkolnego chłopaka Patricka Blacka po biurowy romans z Richardem, to ze mną zrywano. Mogę uznawać to za żalotne i rzeczywiście często w sobotnie wieczory nad talerzykiem z trójkąciem gruyere'a i pudełkiem krakersów Carr tak myślę, ale mogę też uważać się za niepoprawną romantyczkę, za kogoś, kto chce walczyć o miłość.

Co najdziwniejsze, teraz, gdy te role się odwróciły, kiedy to ja mam kończyć znajomość, rozumiem nagle krzywdzące zachowania

moich byłych chłopaków. Teraz pojmuję, dlaczego Patrick poszedł ze mną na zakończenie roku, chociaż dwa dni wcześniej przespał się z Jennifer Santorą. Wiem, dlaczego Bret Corcoran upierał się, że zerwał ze mną z powodu mojej rzekomej niechęci do Kanadyjczyków (ja tylko żartowałam!). I z jakiego powodu Rich udawał, że jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, podczas gdy w rzeczywistości spokojnie mieszkali w bloku w Orlando.

I teraz, kiedy krzątam się po kuchni, wypakowując artykuły spożywcze, staram się wymyślić najwłaściwszy sposób przeprowadzenia z Jeffem tej trudnej rozmowy, nie raniąc jego uczuć. W kawiarni? Za dużo ludzi, nie chcę, żeby stracił twarz. Przez telefon? Jest to jakaś opcja, ale bariera językowa może sprawić, że pomyśli, iż proponuję mu przeprowadzenie się do mnie. W moim mieszkaniu? Nie, nie, nie, co zrobię, jeśli nie będzie chciał wyjść? Wkładam sześciopak jogurtu do lodówki i wzdycham. Linia najmniejszego oporu nigdy jeszcze tak mnie nie kusila.

Komórka pika, wybijając mnie z rytmu. To esemes.

NIE ODWRÓCISZ MOJEJ UWAGI BYLE SEREM. ZROB TO DZISIAJ!!! GER

Rzucam telefon na blat. Oczywiście nie porozmawiam z Jeffem dzisiaj. Jest niedziela, dzień odpoczynku. Muszę zrobić pedikiur, obejrzeć film, przyrządzić sos do spaghetti. Otwieram puszkę dietetycznej coli i postanawiam zignorować Geraldine.

Komórka znowu pika.

NIE IGNORUJ MNIE! G.

Ech! Ależ ona jest upierdliwa. Piję colę i przeglądam odebrane wiadomości tekstowe. Geraldine, Jeff, Jeff, Jeff, Ed, Jeff, Jeff. Ostatnio sporo do mnie dzwonił. Patrząc na spis imion i uginam się pod ciężarem poczucia winy. Geraldine ma rację. Powinnam z nim porozmawiać.

Biorę głęboki oddech i próbuję wymyślić, co powiedzieć.

- Jeff... - mruczę do siebie. - Musimy porozmawiać... Jesteś świetnym facetem, ale...

Szykuję się do wybrania jego numeru, ale nagle zamykam komórkę. To jakaś groteska. Nic nas nie łączy i nigdy nie łączyło. Tylko dlaczego serce mi wali do wtóru młota pneumatycznego dwadzieścia pięter niżej?

Stoję przez chwilę, patrząc na telefon i próbując zebrać się w

sobie. Otwieram telefon, zamykam telefon. Otwieram, zamykam. Otwieram, zamykam. Dzwonię, przerywam połączenie. Dzwonię, przerywam połączenie. O Boże, to na nic. Nie potrafię mu tego powiedzieć. Przez resztę życia będę musiała ignorować jego telefony...

Komórka pika, a ja podskakuję, omal nie upuszczając coli na podłogę. Czego ona chce? O Boże. To Jeff.

HEJ BEJBI, MOZE SUSHI WIECZORKIEM?

To musi być znak. Zaczynam pisać palcami szybszymi od myśli.

PRZEPRASZAM NIE DAM RADY. ALE MUSIMY POROZMAWIAĆ O CZYMŚ CO IDZIE W ZŁYM KIERUNKU.

CHYBA MUSIMY ZROBIĆ SOBIE PRZERWĘ.

Szybko naciskam „Wyślij” i patrzę, jak na ekranie kopertka składa się i odlatuje. Stało się. Może postąpiłam nieklasycznie, ale przynajmniej byłam szczerą.

Odpowiedź przychodzi nadspodziewanie szybko.

ZRYWASZ ZE MNĄ SMSEM?!

Zrywam?! Nigdy nie byliśmy razem! Szybko odpisuję.

NIE SADZIŁAM ZE PATRZYSZ NA TO W TEN SPOSÓB. MYŚLĘ ZE JESTEŚ SUPER ALE ZBYT SIE RÓŻNIMY. JESTEŚ ZŁY?

Odpowiada jednym słowem, które mnie martwi. NIEWAŻNE

Hm. Zerwanie esemsem nie było chyba najlepszym rozwiązaniem problemu. Ale co tam. Już po wszystkim i nikt nie musi nic wiedzieć.

Nieprzyjemna niepewność dręczy mnie przez resztę weekendu, ale łagodzę ją czerwonym winem i pirackim dvd z Chirurgami. Teraz dzięki Bogu jest poniedziałek rano i siedzę w pracy otoczona przez przyjaciół i współpracowników, a nie własne myśli. Wgapiam się w zimowe niebo dziwnego koloru i czekam na kolegium redaktorskie.

- W porządku, towarzysze - oznajmia Ed, padając na krzesło z nietypowym dla siebie dobrym humorem. - Jest luty, chodzą mi po głowie ćwierkające ptaszęta miłości, serduszka, romans w zaułkach starego Pekinu... Isabelle, zacznijmy od ciebie.

Zaglądam do notesu.

- Moglibyśmy poprosić szefa kuchni Saint Regis, żeby zdradził przepis na czekoladowe fondue. Artykuł o kuchni dotyczyłby romantycznego hotpota we dwoje. Do tego zrobimy listę najlepszych lokali na walentynkową kolację.

- W porządku... - Ed kiwa głową. - Ale wystrzegaj się banałów, nie jesteśmy pieprzonymi zombie. Trzeba dodać też coś dla tych wszystkich zgorzkniałych samotników. Może artykuł o najlepszych i najgorszych lokalach do zerwania znajomości... - myśli głośno. - Albo najgorsze zerwania w historii... na przykład listy zaczynające się od „drogi Johnie”, wiadomości na automatycznej sekretarce, dawanie kosza esemesem... - Patrzy na mnie z krzywym uśmiechem i wszyscy zaczynają rechotać.

Rumienię się. To oni wiedzą? Ale skąd?!

- Dobry pomysł. - Kiwam głową z nadzieją, że mój obojętny ton odwróci ich uwagę od moich płonących policzków.

- Super! - woła Ed. - Po południu oczekuję artykułu na biurku. Nie powinnaś mieć kłopotu, jesteś w tym ekspertką.

Znowu śmiech.

- Powiedziałaś ci, żebyś z nim zerwała, a nie żebyś go kastrowała - rzuca ironicznie Geraldine. - Podobno jest wściekły! Chyba nie będzie się już w stanie z nikim umówić.

- Nie miej wyrzutów. - Gab mruga. - Traktuj to jako przysługę dla niego. Będzie miał świetny materiał na następny album.

- Ale my nigdy nie byliśmy razem - protestuję. - Czy wszyscy już wiedzą?

- Nie wszyscy. - Ed klepie mnie w ramię. - Tylko ci, co czytają nasze forum inrernetowe.

Innymi słowy wszyscy.

O Boże. Ludzie ciągle zakradają się do mojego biurka, krzyczą „dostałaś esemesa!”, a potem wybuchają śmiechem. To nowe biurowe hasło. Ed zagroził Lily, że wyśle jej esemesa, jeśli nie załatwi wywiadu z projektantami Shanghai Tang.

Patrzę w kalendarz, czekając, aż komputer się włączy. Puste kratki patrzą na mnie drwiąco. Poniedziałek żadnych planów. Wtorek żadnych planów. Środa spotkanie po pracy, czwartek żadnych planów, piątek, sobota, niedziela... ech. Jestem sama. Okej, mieliśmy z Jeffem pewne problemy, ale czy naprawdę były takie ważne wobec ogromu wszechświara? Było parę dobrych chwil, i to pomimo tego, że on w przeciwieństwie do mnie sądził, że jesteśmy w związku, który miał doprowadzić do artykułu w „Beijing NOW”. Teraz, kiedy esemesem pozbyłam się go z mojego życia, brak mi go.

Mejle zaczynają się ściągać i patrzę na wyskakujące nazwiska z

nadzieją, że będzie tam Jeff. Ale nie, tylko spam, spam, propozycje od niezwiązanych z nami autorów, i... coś, co sprawia, że serce mi zamiera.

Do: isabellelee@yahoo.com Od: tara.joyce@nytribune.com
Temat: Artykuł o Maksie Zhangu

Witaj Isabelle!

Dziękuję za mejl i przepraszam, że musiałaś tyle czekać na odpowiedź. Chcielibyśmy zamieścić Twój artykuł o Maksie Zhangu w specjalnym wydaniu o azjatyckich filmowcach, które ma się ukazać w przyszłym tygodniu. Czy wciąż jesteś zainteresowana? Termin jest krótki, potrzebujemy tekstu do piątku, dwa tysiące słów. Co Ty na to?
Pozdrowienia Tara

PS Pozdrów Eda i powiedz mu, że wisi mi piwo. Drań.

O Boże. O Boże. „New York Tribune”. „New York Tribune”!
Największa gazeta w mieście z działem kulturalnym, który czytają wszyscy zainteresowani kulturą współczesną. Żołądek mi się ściska, wycieram zwilgotniałe ręce o dzinsy. Tyle czasu minęło, odkąd napisałam do Tary Joyce, że porzuciłam wszelką nadzieję. A teraz ona chce do piątku dwa tysiące słów? Okej, tylko spokojnie. Dam radę. Głęboki oddech. Dam radę.

O kurwa. To na nic. Nie dam rady. Muszę odmówić. Patrzę na komputer, na słowa „New York Tribune” i przeklinam dzień, w którym napisałam do Tary Joyce. W końcu klikam „Odpowiedz”, ale zanim zaczynam pisać, nad moim biurkiem pochyla się czerwona twarz Eda.

- To od dzisiaj zamiast koszy i esemesów dajesz mejle? - pyta, uśmiechając się sardonicznie.

Wrrr.

- Właśnie dostałam zlecenie z „New York Tribune” - rzucam ostro, krzyżując ramiona na piersi, ale potem znów opanowuje mnie panika. - Nie wiem, co robić - dodaję łamiącym się głosem. - Nie dam chyba rady...

- Chcesz przesunąć termin artykułu dla mnie? - przerywa. - Chyba mamy mały zapas. Co powiesz na poniedziałek?

- Nie, nie rozumiesz. Myślę, że nie potrafię... Unosi dłonie.

- W porządku. Nie musisz dawać mi esemesa. Co powiesz na środę?

Przetykam ślinę.

- Środa by mi pasowała, ale chcę cię prosić o radę, jak mogę się wykrcić z...

- Jezu. Twarda jesteś. W porządku. Możesz napisać parę tekstów na zewnątrz, ale tylko tym razem, dobrze? - Nachyla się nad biurkiem i patrzy na mnie z namysłem. - Wiesz, kiedy po raz pierwszy wszłaś do redakcji, myślałem, że jesteś popychadłem. Claire powiedziała mi, co się stało w Nowym Jorku i wyglądało na to, że jesteś... zmarnowana. Miałaś talent, ale brakowało ci jaj, żeby z niego skorzystać. - Robi przerwę, żeby napić się kawy. - A tu nagle rzucasz Jeffa Zhu, o randce z którym większość kobiet w tym mieście marzy, a teraz załatwiłaś sobie tekst w „Tribune”. Chyba cię nie doceniłem.

Zagryzam wargi.

- Dziękuję. - Cholera jasna. Teraz się z tego nie wywinę. Odwraca się i idzie do biura, a ja patrzę za nim, z całych sił walcząc z chęcią, żeby pobiec za nim z jękiem „Pomocy!”.

Następnych kilka dni upływa we mgle zbyt dużej ilości kawy, zbyt wielu nerwów, zbyt długich rozmów przez telefon. Zaskakująco łatwo jest znaleźć ludzi, ale przekonanie ich do wywiadu z niezależną dziennikarką kiepsko mówiącą po chińsku sprawia, że niemal żałuję, iż będąc dzieckiem, nie przykładałam się bardziej do nauki. (Niemał). Koniec końców udaje mi się porozmawiać z przyjaciółmi Maksa ze szkoły filmowej, innymi reżyserami, jego pierwszą żoną, seksowną aktorką Chen Mei, która grała we wszystkich jego wczesnych filmach i która podobno rzuciła go na planie. Godzinami jeżdżę taksówkami po całym mieście, przeklinając moją chińszczyznę, która zawodzi mnie zawsze, kiedy rozmowa robi się ciekawa. Dzięki Bogu Lily cierpliwie pomaga mi tłumaczyć fragmenty wywiadu, których nie rozumiem.

Po raz pierwszy od długiego czasu nie obchodzi mnie, że w piątkowy wieczór jestem sama w domu. Siedzę przyklejona do laptopa, pisząc i kasując obolałymi palcami, aż wreszcie w środku nocy artykuł jest gotowy. Jeszcze raz szybko go czytam. Czy wyszedł wystarczająco dobry? Czy powinnam pokazać go jeszcze komuś? Nie ma czasu. Kilka kliknięć i wysłane. Odpowiedź Tary nachodzi prawie natychmiast.

Dziękuję. Skontaktuje się z tobą nasz weryfikator. Tekst ukaże się w czwartek.

Odchylam się na krzesło, zamykając zmęczone oczy i wsłuchując

się w bicie podekscytowanego serca. Jest późno, powinnam pójść spać, czeka na mnie cały weekend wypełniony pisaniem na ostatnią chwilę artykułów do „Beijing NOW”, ale... będę w „New York Tribune”! Ja, Isabelle Lee! Chcę czuć na języku musującego szampana, włączyć iPoda i tańczyć po mieszkaniu, a przynajmniej porozmawiać z najlepszą przyjaciółką. Dzwonię do Julii w Nowym Jorku, ale słyszę tylko automatyczną sekretarkę. Julia pewnie jest na lanczu z jakimś wydawcą, brnąc przez trzy dania przyprawione niezobowiązującą konwersacją.

Patrzę na zegar: druga w nocy. Zbyt późno, by zadzwonić do kogoś innego. Tylko Jeff na pewno jeszcze nie śpi... Och, Jeff. Byłam tak zajęta, że od kilku dni w ogóle o nim nie myślałam ani tym bardziej nie przeprosiłam za nieprzemyślaną formę naszego rozstania. Geraldine mówiła, że jest wściekły i trudno mu się dziwić. Patrzę na moje puste łóżko, czując ciężar winy. Może siedzi sam, przygnębiony, cierpiący po niefrasobliwym zerwaniu esemesem? Podnoszę słuchawkę i zaraz ją odkładam. To nie jest dobry pomysł. Rozpuszczam włosy, wciągam piżamę, przykrywam się czystą kołdrą i zamykam oczy. Wreszcie zasypiam i śnię o Maksie Zhangu na planie nowego filmu. Jeff gra owczarka niemieckiego, uważnego i zaborczego, o wydłużonym pysku. Kiedy próbuję podejść zbyt blisko kamery, ktoś przebrany za bernardyna go odwodzi. To Charlie. Z futrzastej mordy spoglądają jego smutne duże oczy.

Czwartek. Szare poranne światło prześwieca słabo przez zasłony sypialni. Ależ jest wcześnie. Nie wstawałam o tej godzinie, odkąd... chyba odkąd musiałam pozbyć się Jeffa z mieszkania. Claire jednak jest już od paru godzin na nogach, sprawdza BlackBerry, dzwoni do Nowego Jorku i ćwiczy jogę jednocześnie. Nie ma powodu, żebym ja nie wstawała tak wcześnie. Zrywam się i włączam komputer, zaczynając od internetu, jak to zwykle robię. No to spróbujmy: strona „New York Tribune”... dział kulturalny... dział filmowy... gdzie jest? Gdzie jest?...

Nie ma.

W pracy piję dziwnie kwaśną kawę, od której dostaję skurczu żołądka. Dlaczego, ach, dlaczego powiedziałam o artykule Edowi? Właśnie zawołał do mnie na całą redakcję, pytając, czy się ukazał, i musiałam odpowiedzieć, że nie. Nieważne, w Nowym Jorku jest dopiero środy wieczór, dziewiąta wieczorem. Prawdopodobnie nie

zamieścili jeszcze tekstów na czwartek.

Dzięki Bogu jest już pora lanczu. Sprawdzam stronę „Tribune” ostatni raz przed wyjściem z Geraldine na nudle. Czuję przypływ nadziei, kiedy pojawia się specjalny dział o azjatyckich filmowcach. A potem czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch, bo nie mogę znaleźć swojego artykułu.

Po lanczu. Powieki zaczynają mi opadać, w czym nie pomaga miska skrobiowego ramenu (Ramen - japońskie danie, rodzaj rosółu z makaronem i dodatkami. Potrawa pochodzi z Chin, a jej nazwa wywodzi się od chińskiego słowa lamian, oznaczającego makaron z mąki pszennej spożywany jako dodatek do zupy.) w oceanie słonej zupy, którą wsiorbałam dopiero co w Mian Ai Mian. Oddycham głęboko, naśladując techniki jogi, jednocześnie sprawdzając stronę „Tribune”. Artykułu nie ma. I nigdy nie będzie.

Mgliste szare popołudnie zmieniło się już w smolistoczną noc. Moje myśli są tak gorzkie jak zapach węglowego dymu unoszącego się w zimnym powietrzu. Artykuł nigdy się nie ukáže.

Idę do domu, gdzie mogę wypłakać się z dala od Eda. Wiem, że się o mnie martwi, ale jego współczucie jest trudniejsze do zniesienia niż jego zwykła szorstkość. Do tego dostanę szczękoscisku, jeśli będę musiała jeszcze choćby chwilę zachować kamienną twarz. I nie, nie chcę kolejnej pieprzonej filiżanki herbaty! Ani następnej kolejki wódki!

Cholera. W pół drogi do domu popłakuję sobie cicho w taksówce, gdy nagle przypominam sobie, że umówiłam się z Claire na kolację w S' Silk Road. Podobno jest to jej ulubiona restauracja w Pekinie.

- Zobaczysz, spodoba ci się - zapewniała. Poprzednio, kiedy to powiedziała, wyciągnęła mnie na herbatę, która okazała się spotkaniem rekrutacyjnym Amway.

- Myślałam, że przynajmniej w Chinach nie będzie Amwaya - szepnęłam do niej.

- Wiem - odszepnęła równie przerażona.

Później, kiedy już obeszliśmy wkoło salę, przedstawiając się wszystkim, wymknęła się pod pretekstem nagłego problemu w pracy. A ja przez trzy godziny słuchałam amwayowej gadaniny, zbyt przerażona, żeby wyjść.

Teraz przygotowuję się do wieczoru w stylu Claire, czyli do maleńkich porcji potraw bez węglowodanów, dużej ilości cmokania

na odległość i zbyt małej alkoholu, żeby to wszystko znieść. Co jeszcze się dziś wydarzy?

Znajduję Claire przed restauracją.

- Miałam przeokropny dzień - mówi, całując mnie w policzki i zaraz potem wpijając się na powrót wzrokiem w BlackBerry. - Zmienił się termin przejęcia Axona i całe rano męczyłam się z papierami. Potem zadzwoniła moja krawcowa Xiao Fang i powiedziała, że trzeba zdjąć miarę dzisiaj, jeśli ubranie ma być gotowe przed wyjazdem do Gstaad. Więc musiałam zrezygnować z lanczu, co w sumie nie ma znaczenia, bo i tak cały dzień nie miałam apetytu, pewnie zatrulałam się wczoraj wieczorem... Mam nadzieję, że to nie salmonella. Jacqueline Yang zatrula się salmonellą w zeszłym roku i trzeba było ewakuować ją do San Francisco. Musiała na sześć miesięcy wprowadzić się z powrotem do rodziców, wyobrażasz to sobie?

- Mmm... - Dopóki ta okropna gruda w moim gardle nie rozpuści się, będę mówić monosylabami.

Po pajęczych schodach wspinamy się do eleganckiej jadalni: betonowa podłoga, proste meble i odcienie kamieni szlachetnych. Młoda hostessa podchodzi do nas, pobrzękując dzwoneczkami na wyszywanych szatach.

- Niesamowity strój, prawda? - pyta Claire, gdy idziemy za nią do stolika. - To tradycyjny ubiór Miao (Miao - grupa etniczna w Azji Wschodniej; w Chinach zamieszkuje południowe prowincje.). A może Dai (Dai - grupa etniczna w Azji Wschodniej; w Chinach zamieszkuje południową część prowincji Yunnan.)?... Wiesz, jednej z pięćdziesięciu czterech grup etnicznych, które nie należą do Han (Han - naród zamieszkujący Chiny, stanowiący ponad 90 procent ludności.). Mieszkają w Yunnanie...

- W Yunnanie? - wyduszam z siebie. - Myślałam, że to restauracja bliskowschodnia.

- Nie, chińska.

- Przecież ty nie znosisz chińskiego jedzenia.

- Nie każdego - protestuje. - Trudno nie znosić kuchni, która ma pięć tysięcy lat, którą zna 1,3 miliarda ludzi i która króluje na 9,6 miliona kilometrów kwadratowych... O - o.

Claire staje jak wryta obok łóża, gdzie przy stoliku siedzą dwie osoby. Kiedy je rozpoznaję, przechodzi mnie dreszcz: to Tina Chang i

Jeff. Dlaczego tutaj? Dlaczego dzisiaj?... Chwileczkę - dlaczego są razem? Szlag, widzą mnie. Za późno na ucieczkę. Prostuję plecy i mam nadzieję, że moje oczy nie są już podpuchnięte i zaczerwienione. Claire trąca mnie.

- Cześć - mówię, zmuszając się do uśmiechu.

Tina wspiera się na stoliku i patrzy na mnie, mrugając.

- O, witaj Isabelle. Jak miło zobaczyć siostry Lee razem. To widok równie rzadki jak dzika panda.

- A zobaczyć was razem to jak przyłapać dwie dzikie pandy na kopulacji - replikuje Claire z niewinnym uśmiechem.

- Co to ma znaczyć? - Tina chwyta Jeffa za ramię, trącając stół i wywołując stukot naczyń. - Jesteśmy znów razem - oznajmia teatralnym szeptem.

- A satelity jeszcze nie ostygły po przetransmitowaniu esemesa Iz - mruczy Claire.

- Co? - mówi ostro Tina. - Oboje nie posiadamy się ze szczęścia.

Rzucam spojrzenie Jeffowi, który patrzy gdzieś w przestrzeń z posepnym wyrazem twarzy. Jego widoczny ból i złość wpędzają mnie w poczucie winy. Otwieram usta, żeby przeprosić, ale zamykam je pod zaborczym spojrzeniem Tyny. To zły moment na wyjaśnienie Jeffowi sytuacji. Nie teraz, kiedy czuję, że serce pęka mi na kawałeczki przeszyte włócznie niespełnionej ambicji.

- Nie powinniśmy wam przeszkadzać. - Claire odwraca się, a ja idę za nią.

- Iz! - woła za nami Tina. - Kiedy pójdzie ten artykuł o Maksie Zhangu? Jego menedżer ciągle mnie o to pyta.

Zamieram. Czy ona wie? Otwieram usta, ale paraliżuje mnie strach, że zamiast słów wydobędą się z nich szlochy.

- Już niebawem! - woła Claire, ciągnąc mnie do stolika po drugiej stronie sali.

Staram się odzyskać równowagę, gdy ona rozmawia z kelnerką.

- Co się dzieje? Wszystko w porządku? - pyta wreszcie.

- W porządku - mruczę, wycierając nos.

- Naprawdę? Bo wyglądasz nie w porządku. Nawet nie spojrzałaś na menu i pozwoliłaś mi wszystko zamówić. Czy jeszcze nie otrząsnęłaś się po sprawie z Jeffem? On nie jest tego wart. Każdy, kto wiąże się z Tiną Chang, ma jedną pałeczkę nie do pary, jeśli wiesz co mam na myśli. - Macha ręką. - Poza tym, skarbie, pokazałaś mu!

Esemeś! - Jej spojrzenie wyraża podziw. - Jesteś bardzo kreatywna. Żałuję, że ja nie potrafię być taka zdecydowana z Wang Weiem.

Potrząsam głową.

- Nie chodzi o Jeffa.

- To o co? O pracę? Ed cię zwolnił? Nie przejmuj się. On już tak ma, ale to nic nie znaczy.

- Nie chodzi o Eda.

Claire patrzy na mnie wyczekująco.

- Miałam mieć dziś artykuł w „New York Tribune”, ale go nie puścili - mówię szybko.

- W „New York Tribune”?! - Claire klaszcze. - Iz, to wspaniale.

- Nie puścili go - powtarzam. - Wyprułam sobie żyły, żeby napisać go na czas, ale nie był dość dobry. Był niedobry. - Zakrywam twarz rękami.

- Iz... - Bierze mnie za rękę. - Weź się w garść, wszyscy cię widzą! Poza tym nie wiesz, dlaczego nie puścili. Mogło być milion powodów, które nie miały z tobą nic wspólnego.

Zamykam oczy.

- Byłam głupia, że w ogóle próbowałam. Teraz wszyscy będą rozczarowani. Nie tylko ja, ale Max Zhang i...

- Max Zhang? Czeka, czeka... artykuł o Maksie Zhangu napisałaś dla „New York Tribune”?

- Tak, ale nie ma znaczenia dla kogo. Był do niczego.

- Wiesz, moim zdaniem to naprawdę wyważony tekst pełen smaczków. Ta część o śmierci jego młodszego brata była tak realistyczna, tragiczna... naprawdę udało ci się połączyć jego życie osobiste z jego oeuvre - gardłowo wychrypia francuskie słowo.

- Jak to? Czytałaś?

- Zostawiłaś wydruk w kuchni. A ja lubię czytać rano, podgrzewając owsiankę w mikrofalce.

- No nic. Dzięki. - Wzruszam ramionami. - Ale i tak go nie wzięli. - Opieram się ciężko i przez okno patrzę na migoczące czerwone światła samochodów powoli sunących ulicą.

- Powinnaś spróbować w innych pismach. Nie poddawaj się! - Nachyla się ku mnie z entuzjastycznym błyskiem w oku. Nagie coś w jej dziarskiej pewności siebie budzi mój gniew.

- Łatwo ci powiedzieć - mówię ze złością. - Zawsze byłaś doskonała we wszystkim, dostawałaś stypendia, redagowałaś przegląd

prawny, zostałaś najmłodszym w historii firmy starszym wspólnikiem. Ja nie jestem taka jak ty. Nie jestem utalentowana, inteligentna i czarująca. Nie mogę po prostu zgłosić się do jakiegoś pisma i czekać na sukces.

- Żartujesz? - pyta z niedowierzaniem. - Całe życie, odkąd się urodziłaś, mama i tata poświęcali ci uwagę, pozwalali na wszystko. Chciałaś iść na Uniwersytet Nowojorski? Ja chciałam iść na Uniwersytet Nowojorski. Chciałaś zostać dziennikarką? Ja chciałam zostać dziennikarką. Ale nie. Ja musiałam być tą grzeczną. Iść na prawo. Dawać przykład. Rzygam już dawaniem dobrego przykładu! - Jej słowa wbijają się we mnie z takim impetem, że mam ochotę podnieść dłonie jak tarczę.

- Rodzice nie przyłożyli ci pistoletu do głowy i nie zmuszali cię, żebyś została prawniczką - odszczekuję.

- Nie - rzuca gniewnie. - Powiedzieli tylko, że nie dadzą mi ani centa, jeśli nie pójdę na Yale.

- Gdybyś została dziennikarką, na pewno pracowałabyś teraz w „New Yorkerze”. Potrafiłabyś być najlepsza. Jak zawsze.

- Myślisz, że jest mi łatwo? Myślisz, że ot tak zostałam redaktorką w przeglądzie prawnym, wspólnikiem, albo... kimkolwiek? Myślisz, że przyszło mi to bez trudu? - Krzyżuje ramiona na piersi. - Na jakim świecie ty żyjesz, Isabelle? Ja niczego nie dostałam na srebrnej tacy. Pracowałam. Ciężko pracowałam. Dlatego jestem najlepsza.

- Ja też harowałam jak wół nad tym artykułem.

- Tak. Więc rób to dalej. Pisanie to tylko część zadania. Teraz musisz to sprzedać.

- W ogóle nie znasz się na dziennikarstwie.

- Wiem dość, by widzieć, że się poddajesz. Na miłość boską, raz w życiu przestań. Po prostu przestań. Przestań bać się porażki. Nikogo nie obchodzi, która z nas jest tą grzeczną. Tylko ciebie.

Otwieram usta, ale milczę. Całe życie słyszałam szepty rodziców dzielących nas na tę mądrą i tę zabawną. Tę, która poszła na Yale, i tę, która nie poszła na Yale. Czy Claire ma rację? Czy te porównania zrodziły się tylko w mojej głowie? Nie może mieć racji!

Claire rozgląda się po sali i ścisza głos.

- Prawda jest taka, że nie mam nic przeciwko byciu prawnikiem. Jestem dobra w te klocki. Dzięki temu stać mnie na buty od Manola. -

Śmieje się gorzko. - Ale ty nie nadajesz się na prawo...

- Wielkie dzięki.

- Nie mówię tego, żeby cię obrazić. Prawniczką byłabyś okropną, dziennikarką byłabyś świetną. Ba, jesteś świetną dziennikarką.

Kelnerka pojawia się z jedzeniem, ale słowa Claire zbyt mną wstrząsnęły, bym sięgnęła po pałeczki.

- Nie wiedziałam, że mama i tata...

- Proszę cię. Nie wchodźmy w bagno uczuć. - Claire przyjmuje znów zwykłą, elegancką i uprzejmą pozę, strząsając uczucia w niebyt jednym ruchem nakrochmalonej serwetki. - Było, minęło. Jestem już gdzie indziej. Potrzebowałam kilku lat terapii, żeby choćby myśleć o tym spokojnie. Nie muszę wracać do tego przy kolacji.

Chciałabym jeszcze ją przepyttać, ale wiem, że to na nic. Kiedy Claire postanowi, że z czymś skończyła, to skończyła. Nie wróci do sprawy bez względu na to, co się jej będzie mówić. Pewnie dlatego jest tak dobrą prawniczką.

Przenoszę więc uwagę na jedzenie. Cienkie jak papier plastry szynki, słone i przypominające prosciutto. Małe białe kostki, które wyglądają jak tofu, ale są przyjemnie ciągnące jak mozzarella.

- To ser - mówi Claire.

- Ser? Chiński ser?

Śmieje się z mojego zaskoczenia.

- Spróbuj grzybów. Nazywają się yang duzi (Yang duzi - gatunek smardzów występujący w południowo - zachodnich Chinach.), barani żołądek. Ale my znamy je jako smardze.

- Smardze? - wrzucam kawałek do ust, rozkoszując się bogatym, jakby ziemnym aromatem. - W Chinach rosną smardze?

Zabieramy się z pałeczkami do potraw. Jest tu sałatka z wielkich liści mięty opryskanych cierpkim, pikantnym sosem. Czarny kurczak, którego barwa przywodzi na myśl bażanta albo inne dzikie ptactwo, duszony z marynowaną papają. Krótkoziarnisty smażony ryż podany w wydrążonym ananasie. Między kęsami pijamy aromatyczną i łagodną ciemną herbatę.

- Herbata puer (Puer - herbata uprawiana w prowincji Yunnan w południowych Chinach; poddawana jest leżakowaniu i sprasowywaniu, dzięki czemu zyskuje unikalny smak i właściwości zdrowotne.) ma właściwości lecznicze - wyjaśnia Claire. - Uprawia się ją w Yunnanie i przechowuje całymi latami w postaci sprasowanych

brył. Dojrzewa jak wino.

- Jak wino? - Ze zdumieniem kuszę się na kolejny łyk. Kończymy posiłek miseczkami nudli ryżowych we wrzącej zupie.

- Nazywa się je guoqiao mixian (Dosłownie „makaron pokonywania mostu”, wywodząca się z prowincji Yunnan tradycyjna zupa z makaronem.). - Claire zanurza w potrawie pałeczki i miesza. - Nudle pokonywania mostu. Znasz tę opowieść?

Potrząsam głową.

- Według legendy w dawnych czasach pewien uczony tak bardzo pragnął zdać egzaminy cesarskie, że zamieszkał samotnie na wyspie, aby tam w spokoju zgłębiać wiedzę. Co dnia jego żona pokonywała most, aby przynieść mu miskę nudli. Niestety, droga z kuchni na wyspę zajmowała tyle czasu, że jedzenie stygło. Żona była tak oddana mężowi, że w końcu wymyśliła na to sposób. Po przyrządzeniu naląła na wierzch cienką warstwę rozgrzanego oleju i w ten sposób powstały guoqiao mixian. - Claire się śmieje. - Wyobrażasz sobie żonę tak oddaną mężowi, że wymyśla dla niego nową potrawę?

- Raczej nie.

- Ja też nie. - Wspiera podbródek na dłoniach. - Ale myślę, że wszystko zależy od determinacji.

- I punktu widzenia.

- Co powiesz na to jedzenie? Jest takie dzikie i egzotyczne... Zupełnie inne od tego, co jadłyśmy w dzieciństwie.

- Jest pewnie jeszcze kilka rzeczy, których nie wiemy o chińskiej kuchni.

- Kilka rzeczy?! - parska. - Spróbuj wszystkiego.

Później sama w ciemnej sypialni czekam, aż przyjdzie sen, ale zamiast niego zjawiają się łzy. Spływają mi po policzkach, wlewają się do uszu i nasączają poduszkę, gdy przewracam się na bok. Kiedy miałam trzy lata, widziałam, jak Claire czytała komiksy i ja też chciałam. Pragnęłam tego tak bardzo, że uderzyłam ją w głowę skakanką, bo ona umiała czytać, a ja nie. Oczywiście miałam z tego powodu kłopoty. Ale kilka dni później ojciec zaczął mnie uczyć, cierpliwie powtarzając każdą literę, aż udało mi się łączyć je w słowa, a gdy już nauczyłam się czytać, nigdy już nie przestałam. Nie wiedziałam wtedy, że tamto wydarzenie stanie się metaforą naszych relacji. Claire zawsze była pięć kroków przede mną, a ja zawsze dostawałam to, czego ona pragnęła.

Oczywiście nie wszystko. Nie otrzymałam od życia na przykład jedynej rzeczy, o której zawsze marzyłam: nie zostałam autorką. Przez krótką chwilę myślałam, że mam szansę. Pozwoliłam sobie na nadzieję. Pisząc tekst dla „NYT”, zapomniałam o wszystkim, przestałam martwić się siostrzaną zazdrością, esemesem do Jeffa, samotnością w Pekinie, brakiem dostępu do sera. Ależ ja byłam głupia. Powinnam była zawierzyć instynktom i nie przyjąć tego zlecenia. Myślałam, że znalazłam coś, w czym byłam dobra, ale okazuje się, że wciąż stać mnie tylko na porażkę.

Nareszcie nadchodzi poranek. Nie mogłam spać i całą noc spędziłam, przewracając się z boku na bok i martwiąc, co mam robić przez resztę życia. Dziennikarka, prawniczka, redaktorka - wszystkie te zawody w oczywisty sposób są nieosiągalne. Może powinnam zostać cukiernikiem? Oczyma wyobraźni widzę siebie: ręce trzęsą mi się od precyzyjnej pracy, brzuch wypycha fartuch (w końcu mam bardzo słabą wolę). Może księgowość? Tylko że nie radzę sobie z matematyką i pieniędzmi... A to wyklucza tyle innych zajęć: fizykę nuklearną, bycie lekarzem, prowadzenie małej firmy. O Boże. Być może moje przeznaczenie czeka na mnie w salonach piękności mojej matki. Mogłabym wrócić do domu i zamiatać włosy...

Gramolę się z łóżka i idę do łazienki. Włączam prysznic tak gorący, że piecze moją wysuszoną skórę. Tusz do rzęs? Suszenie włosów suszarką? Czyste ubranie? To wszystko jest dla ludzi z planami. Biorę parę wystrzępionych na kolanach džinsów i zmechacony sweter. Przy kuchennym stole Claire zajada owsiankę, przeglądając internet w laptopie.

- Dzień dobry, skarbie - wita mnie z uśmiechem. - Ależ dziś wcześniej wstałaś.

- Nie mogłam spać - mruczę, stawiając czajnik. - Pomyślałam, że pójdę wcześniej do pracy i zajmę się zaległościami.

- Co ty masz na sobie? - Patrzy z ukosa na moje sfatygowane ubranie.

- Coś nie tak? W naszej redakcji panuje swobodna atmosfera. Nikogo nie obchodzi, jak wyglądam.

- To nie jest powód, żeby zaniżać poziom.

- Claire, nie mam żadnego poziomu.

- Kto się ubiera dla „New York Tribune”, ten publikuje w „New York Tribune” - oznajmia z werwą, wbijając we mnie pełen

oczekiwania wzrok.

Jestem zbyt zmęczona, żeby się spierać. Wracam do sypialni i wynajduję ładniejszą parę dżinsów - wąskich, spodobają jej się - oraz świeżą białą koszulę. Suszę włosy, używając dużej okrągłej szczotki; spadają ciężką jedwabistą falą na plecy. Nakładam korektor na worki pod oczami i przyczerwiam rzęsy tuszem. Porywam się nawet na perłowe kolczyki.

Wracam do kuchni i prezentuję się Claire.

- Lepiej - mówi, kończąc zieloną herbatę. - Teraz ci coś pokażę.

- Mogę sobie przynajmniej zrobić herbatę?

- Najpierw chodź tutaj.

Wzdycham i zaglądam jej przez ramię.

- „New York Tribune”? - pytam, patrząc na ekran laptopa. - Naprawdę nie mam już siły...

- Spójrz na ten artykuł - mówi. - Przeczytaj na głos. Mrużę oczy.

- „Kiedy Max Zhang wyjeżdżał z Chin w 1949 roku, nie wiedział, że będzie musiało minąć prawie sześćdziesiąt lat, zanim...” O Boże. - Głos mi słabnie, a serce zaczyna walić tak mocno, że boję się, iż eksploduje.

- „Max Zhang: chiński reżyser wraca do korzeni. Autor: Isabelle Lee” - czyta z satysfakcją Claire. - Pierwsza strona działu kulturalnego! Poprosimy rodziców, żeby przesłali nam egzemplarz. Będą tacy dumni! Widzisz? - dodaje zadowolona z siebie. - Wiedziałaś, że odwaliłaś kawał dobrej roboty.

- Y... y... - Otwieram i zamykam usta, ale jestem w stanie tylko stękać. - Nie wierzę - wykrztuszam wreszcie.

- Uwierz, Iz. - Wyłącza komputer i wstawia naczynia do zlewu. - Jesteś teraz prawdziwą dziennikarką.

Później, kiedy Claire poszła już do pracy i kiedy przesłałam mejle wszystkim, których znam, stoję pośrodku przestronnego salonu, patrząc przez okno na sznur samochodów i wysokościowce sięgające nieba. A potem włączam iPoda i podgłaśniając wciąż muzykę, tańczę po pokoju. Jestem tylko ja i moja ulga, moje nadzieje, moje plany. Tańczę wraz z muzyką, ze wszystkim, co mam.

Szanghaj

Bardziej sycąca, cięższa i słodsza [...] z powodu wykorzystywania w procesie przyrządzania oleju, tłuszczu, cukru i wina. Za brak popularności szanghajskiego jedzenia za granicą częściowo odpowiada jego tłustość i słodkość, ale w większym stopniu winę ponosi prawdopodobnie wykorzystanie unikalnych lokalnych składników.

Yan - Kit So, Classic Food of China

Darmowa wycieczka do Szanghaju zapowiadała się jak spełnienie marzeń, kiedy Ed mi ją zaproponował, ale teraz, gdy wyjazd jest tuż, tuż, zaczynam czuć falę znajomej paniki. Oczywiście za sprawą Eda. Nie zrozumcie mnie źle. Cieszę się, że wreszcie odwiedzę miasto, gdzie urodziła się moja matka, tym bardziej że jadę tam w ramach wypełniania opłaconego przez redakcję zlecenia. Cieszę się też, że po powrocie będę pisać artykuł o jego najlepszych hotelach, restauracjach i sklepach. Chyba że napięty harmonogram mnie wykończy.

Klikam na mejl od Eda zawierający dane kontaktowe kolejnego klubu nocnego, który mam odwiedzić, i z trudem powstrzymuję jęk. Wyjazd zapowiadał się zrazu jako spokojna trzydniowa przechadzka po Perle Orientu (Szanghaj nazywano Perłą Orientu w latach 20. XX w. ze względu na zachwycającą architekturę miasta w stylu art deco.). Dzięki Edowi przechadzka zmieniła się jednak w siedemdziesięciodwugodzinny maraton podzielony na dziesięciominutowe etapy.

Geraldine podnosi wzrok od komputera i patrzy, jak nerwowo wymazuję gumką wpisy ołówkiem z już i tak mocno przetartej kartki.

- To twój harmonogram wyjazdu do Szanghaju? - pyta, biorąc kartkę do ręki, i wybałusza oczy. - Oooo!

- Myślisz, że jest kompletnie szalony? - Ściskam ołówek w palcach.

- Nie. Myślę, że to da się zrobić... - milknie na chwilę. - Weź tylko parę wygodnych butów i kilkaset gramów cracka.

- Cracka?

- Speeda, amfy czy coś takiego. Chyba żartujesz! - woła. - To jest niewykonalne. Nie możesz czegoś obciąć?

- Wiesz, jaki jest Ed. - Rzucam niepewne spojrzenie w kierunku jego gabinetu.

- Wiem, że nie umiesz powiedzieć „nie” - replikuje. - Od

dziesiątej do dziesiątej trzydzieści odwiedzasz osiem sklepów do recenzji? Masz tylko piętnaście minut na Bund? Nocujesz w pięciu różnych hotelach?

- Jeśli dobrze to zorganizuję, dam sobie radę. Ignoruj mnie.

- O, dobrze. Widzę, że przydzieliłaś całe dwadzieścia minut, żeby oblecieć Koncesję Francuską i znaleźć dom matki. - Patrzy na mnie. - Jesz pięć posiłków dziennie: śniadanie, dwa lancze, dwie kolacje?

- Mam dobry apetyt - mówię na swoją obronę. Unosi brwi.

- Niech ci będzie.

Szanghaj, lotnisko Hongqiao, 9:00. Mój samolot wylądował z opóźnieniem z powodu przekłetej pekińskiej mgły i już jestem do tyłu. Wiercę się w fotelu taksówki, mając ochotę walić pięścią w okno na samochody sunące ślimaczo obok. Kierowca ogląda się na mnie i szczerzy w uśmiechu.

- Du che (Korek (na ulicy).)! - mówi.

Tak, wiem, że utknęliśmy w korku. Zgrzytam zębami, ale zmuszam się do uśmiechu.

10:08. Wreszcie, wreszcie, wreszcie jestem w hotelu, arcyszykownym Maison de Chine. Wrzucam torbę do pokoju i idę za menedżerką PR, niejaką Summer, na obchód.

- We wszystkich dwustu pięćdziesięciu dziewięciu pokojach hotelowych jest wysokiej klasy pościel z egipskiej bawełny, telewizory płaskoekranowe i bezprzewodowy internet - mówi. Zatrzymujemy się przed drzwiami, Summer szuka karty klucza. - To nasz pokój standardu Superior. Bardzo się różni od pokoju Deluxe, w którym pani przebywa.

Rozglądam się po brokatowych zasłonach i ciemnych meblach. Wszystko wygląda identycznie włącznie z krzesłem nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Czym się różni? - pytam uprzejmie.

- Deluxe ma trzydzieści metrów kwadratowych, a Superior trzydzieści pięć. - Rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie. - Chodźmy do pokoju standardu Premier.

10:53. Co chwilę spoglądam na zegarek, mając nadzieję, że Summer zrozumie i pospieszy się. Ale nie ma szans.

- W apartamencie orientalnym Deluxe przybory toaletowe umieszczone są przy umywalce oraz prysznicu, podczas gdy w

zwykłych pokojach tylko przy umywalce. - Patrzy na mnie, marszcząc brwi. - Nie notuje pani?

11:10. Dzięki bardzo szybkiemu marszowi przez hotelowe kwatery udało mi się skrócić obchód o dobre osiem minut.

- Ostatni przystanek - oznajmia Summer, wciskając przycisk windy z zaznaczeniem piwnicy. Dzięki Bogu! - Nasze spa z pełnym zakresem usług oferuje zabiegi dla zabieganych gości podróżujących służbowo. Półgodzinne masaże aromaterapeutyczne, czterdziestopięciominutowy pedicure, sześćdziesięciopięciominutowe zabiegi na twarz. - Podaje mi gruby spis. - Szkoda, że się pani tak spieszy, bo zaprosiłabym panią na masaż. Przydałby się pani - uśmiecha się krzywo.

Bezczelna pijarówka. Zaglądam do sali zabiegowej - panuje tam półmrok, pachnie liliami, słysząc kojące dźwięki deszczu i wiatru. Wyobrażam sobie, że kładę się na stole, a ktoś pracuje nad rozluźnieniem skurczu rozciągającego się od mojego karku do ramion...

Patrzę na zegarek. Szlag!

14:10. Pierwotnie planowałam zjeść coś lekkiego na pierwszy lancz, przespacerować się po Bundzie (Bund (chiń. waitan) - nadbrzeżna promenada w Szanghaju, na prawym brzegu rzeki Huangpu, dopływ Jangcy.), a potem z nowym apetytem pójść na drugi posiłek. Ale z powodu ślimaczącej się Summer kilka minut po tym, jak spałaszowałam crème brûlée w Sens + Bund (podali mi darmową tacę deserów dla „publicystki z Pekinu” - nie powinnam była pozwolić asystentce Eda załatwiać moich rezerwacji!) siedzę w M on the Bund, wmuszając w siebie pieczeń jagnięcą w soli.

- Szef kuchni przesyła risotto z białymi truflami - obwieszcza kelner, stawiając przede mną parujący talerz tchnący aromatem truflif. Spoglądam bezradnie na jedzenie i nagle czuję, że spodnie robią się luźne. Razem z kelnerem patrzę, jak guzik spada na drewnianą podłogę i odbija się ze stukotem koło jego lewej stopy.

14:15. Nigdy Więcej. Nie. Wezmę. Nic. Do. Ust.

14:45. Przysięgłabym, że te wredne kelnerki wytykały palcami moje rozpięte spodnie i śmiały się, gdy wytaczałam się z restauracji. Brzuch mam twardy i ciężki, jak gdyby rozepchnął na boki wszystkie inne organy. Tak, zastanawiałam się nad pójściem do toalety, żeby, no cóż, wiadomo, ale uznałam to za nieco nazbyt rzymskie. Do tego

jestem cztery godziny w plecy i zwyczajnie nie mam czasu. Muszę gnać dalej. Zobaczmy, jaki jest następny punkt programu...

14:47. Nie ma mowy, żebym poszła do Four Seasons zapoznać się z popołudniową ceremonią parzenia herbaty! Nie zaciągnęliby mnie tam hunwejbini (Hunwejbini (chiń. Hongweibing, Czerwona Gwardia) - organizacja młodzieżowa działająca w Chinach w czasie rewolucji kulturalnej; popełniali oni liczne okrucieństwa wobec „wrogów ludu”, przede wszystkim inteligencji.). Patrząc na harmonogram, dostrzegam błysk różu w rozstępie moich spodni. O Boże, czy widać mi bieliznę? Tęgi facet z fryzurą na jeża rzuca mi taksujące spojrzenie. Obciągam sweter. Świetnie. Nie spędziłam w Szanghaju nawet sześciu godzin, a już: 1) pochłonęłam miesięczną dawkę kalorii, 2) rozerwałam jedyną parę spodni, 3) zaraz zostanę aresztowana za naruszanie moralności publicznej albo co gorsza za 4) prostytutkę.

14:50. Do diabła z tym. Mam gdzieś, czy Ed zruga mnie za olanie harmonogramu. Zrobię coś, co chcę zrobić. Idę do Francuskiej Koncesji szukać domu matki.

Flotylla samochodów sunie Huaihai Zhong Lu, tchnąc mi spalinami w twarz. Maszeruję tłoczną ulicą w tę i we w tę, próbując wyobrazić sobie moją mamę jako dziewczynkę wlokącą się z ciężkim tornistrem ze szkoły. Lśniące nowe budynki zastąpiły znaczną część art deco, która kiedyś charakteryzowała dawną Koncesję. Ale tu i ówdzie dostrzegam ślady kolonialnej przeszłości. Być może mama zachodziła do tej piekarni na rogu po ciastka i słodkie bułeczki. Być może przebiegała obok zdobnej cerkwi o niebieskiej kopule, bojąc się okrągłookich brodatych mężczyzn. Być może szła na skróty tą spokojną, wysadzaną drzewami uliczką long tang, goniąc za kotem dachowcem obok ogródków i domków.

Zatrzymuję się przed tabliczką z nazwą ulicy, ale to nie to, czego szukam. Według mapy powinnam iść na zachód, ale gdzie jest zachód? Czuję narastającą niepewność. Ten bunt przeciwko szaleńczemu harmonogramowi Eda wydawał się dobrym pomysłem, ale rzut oka na zegarek pozwala się zorientować, że moja godzinna samodzielna wyprawa trwa już dwie godziny. Muszę wkrótce wracać na szlak, inaczej nie wypełnię nawet jednej trzeciej z zaplanowanych zadań.

Wzdycham, obracam się i po raz ostatni idę chodnikiem, patrząc uważnie na każdą tabliczkę w poszukiwaniu ulicy Szóstej. Nic z tego. Może tu być, może się wic za inną uliczką, ale dla mnie tu i teraz jej nie ma. W oczach wzbierają mi łzy rozczarowania. Podchodzę do krawężnika i rozglądam się za taksówką.

- Isabelle!

Czy ktoś mnie woła po imieniu? Niemożliwe. Nie znam w Szanghaju nikogo. Macham na taksówkę.

- Isabelle! - Głos odzywa się ponownie. Rozglądam się, ale w tłumie nie widzę nikogo znajomego. To jakiś absurd. Chyba zaszkodziło mi jedzenie...

- Isabelle Lee! - Słyszę kroki i czuję na ramieniu dłoń. Odwracam się i spoglądam w błękitne oczy Charliego.

- Wołałem cię. Nie słyszałaś? - pyta lekko zadyszany.

- O! Cześć. - Gorączkowo obciążam sweter. - Wydawało mi się, że coś słyszę, ale miałam duży lancz, właściwie dwa duże lancze i spodnie mi się... - gryzę się w język. - Co tu robisz?

- Przyjechałem w takich tam... sprawach służbowych. Udało mi się wyrwać na parę godzin, żeby pozwedzać. - Mruży oczy i uśmiecha się. - Francuska Koncesja jest piękna, prawda? Nie byłem tu od czasów studiów na uniwersytecie Fudan.

- Studiowałeś w Szanghaju? - pytam zaskoczona.

- Wiele lat temu, latem, na wymianie. Pomagałem pewnemu profesorowi katalogować stare budynki do książki o architekturze lat trzydziestych. Znałem kiedyś tę dzielnicę jak własną kieszeń, ale bardzo się zmieniła. - Kręci głową.

- Wiesz może... To znaczy zdaję sobie sprawę, że jesteś zajęty, ale... - Nie kończę zdania. Co ja najlepszego wyprawiam? Charlie jest amerykańskim ambasadorem w Chinach, pracuje nad poprawą stosunków między Stanami a Chinami i, mmm, innymi dyplomatycznymi sprawami. Jeździ z szoferem i ludzie zwracają się do niego per sir. Jest zbyt ważną osobą, żeby chodzić po Szanghaju z kimś, komu opadają spodnie. - Nieważne - mrużę wreszcie pod nosem.

- O co chodzi? - Dotyka mojego ramienia. - Czego ci trzeba? Powiedz. Chętnie pomogę.

Biorę głęboki oddech.

- Próbuję znaleźć dom, gdzie urodziła się moja mama.

Wracamy na Huaihai Zhong Lu albo aleję Joffre'ego - jak poinformował mnie Charlie, tak nazywała się u szczytu swej świetności, kiedy Szanghaj był francuskim portem traktatowym. Ale tym razem skręcamy w krętą boczną uliczkę. Charlie sunie z pewnością siebie. Idziemy w cieniu rozłożystych platanów, mijając odnowione francuskie wille i domy w stylu elżbietańskim. Zaglądamy w okna eleganckich nowych butików i podziwiamy bujne ogrody.

- To miejsce ma niesamowity urok! - wołam. - Jest tu zupełnie inaczej niż w Pekinie. - Podnoszę wzrok na rozłożyste konary na tle nieba. - Są drzewa i ptaki, i... i chodniki.

Charlie śmieje się.

- Pekin to śmiertelna pułapka dla pieszych. Mówi się, że mieszkańców Szanghaju bardziej obchodzi robienie pieniędzy niż wdychanie tlenu, ale jak tak człowiek pospaceruje wystarczająco długo po Francuskiej Koncesji, to zaczyna rozumieć, dlaczego ludzie mają obsesję na punkcie tego miasta.

- Masz obsesję na punkcie Szanghaju?

- Raczej nie. - Odwraca się do mnie z uśmiechem. - Ale lubię jego międzynarodowy blichtr, skomplikowaną, czasem ciemną historię. Weźmy na przykład ten budynek - wskazuje na majestatyczną willę, która zajmuje cały róg ulicy. - Teraz mieści się tu hotel, ale spójrz tylko na ten wysoki kamienny mur... Potrafisz sobie wyobrazić, że w tym domu mogli rezydować gangsterzy? W latach trzydziestych każde dziecko bało się, że zostanie porwane dla okupu. W tych uliczkach roiło się od opiumowych melin i burdeli. - Wzrusza ramionami. - Najciekawszi ludzie i najciekawsze miejsca zawsze mają coś do ukrycia, nie sądzisz?

- Może w poprzednim życiu byłeś jakimś szanghajskim mafioso - zdobywam się na żart. Charlie znów się uśmiecha.

- Może.

Przez chwilę idziemy w ciszy.

- A ty? - pyta nagle. - Myślisz, że mieszkałaś tu w poprzednim życiu?

- Gdybyś zadał mi to pytanie w Pekinie, pewnie poczułabym się dotknięta. Ale Szanghaj? - Znowu patrzę na spokojną uliczkę w sercu nowoczesnego miasta, na dachy z czerwonymi dachówkami, na rzędy staromodnych domów, gdzie na tarasach wiatr wydyma czyste pranie. - Na pewno jest w moim DNA.

Gdy skręcamy w kolejną krętą uliczkę, prawie już nie pamiętam o rozerwanych spodniach, porzuconym harmonogramie i strachu przed gniewem Eda. Charlie zatrzymuje się przed dużym eleganckim budynkiem w stylu art deco o wyraźnych liniach i łukowatych wykuszowych oknach od frontu.

- Może to ten? - pyta.

Większość domu zakrywa wysoki mur, ale przez bramę udaje mi się dojrzeć wysokie okna, rozległy ogród i gałęzie miłorzębu.

- Powinniśmy zadzwonić? - pytam w przypiływie nagłej nieśmiałości.

- Czemu nie.

- Nie jestem pewna, czy mój chiński jest na tyle dobry, żeby wyjaśnić dlaczego tu jestem... Mogą pomyśleć, że jestem jakąś wariatką.

- Nie przejmuj się. - Uśmiecha się zachęcająco. - Razem to wyjaśnimy.

Naciskam guzik, raz, drugi, trzeci. Cisza.

- Chyba nikogo nie ma w domu - mówię. Po raz drugi tego dnia zalewa mnie fala rozczarowania. Podnoszę wzrok na budynek, ale niemal całkowicie ginie za kamiennym murem. Dostrzegam jedynie górną część okna, krawędź drzwi. - No cóż. - Staram się, by mój głos zabrzmiał wesoło. - Może kiedy indziej. - Rzucam ostatnie spojrzenie, stając i chwiejąc się na palcach, by zobaczyć więcej, ale na niewiele się to zdaje. Z żalem odwracam się gotowa do drogi.

- Poczekaj. Mam pomysł - mówi Charlie i nagle klęka tuż przy mnie. - Wejdz mi na ramiona.

- Co ty wyprawiasz? - śmieję się. - Wstań. Pobrudzisz sobie garnitur.

- W ten sposób będziesz mogła spojrzeć ponad murem. Co prawda to nie to samo, co być w środku, ale przynajmniej obejrzyysz ogród.

Patrzę na niego przerażona.

- Ojej, to nie jest dobry pomysł... Charlie, ja w Chinach się objam, a ty jesteś...

- Jestem przyjacielem, który pomaga swojemu przyjacielowi - mówi zdecydowanym głosem. - No chodź. Będę klęczał na tym brudnym chodniku, dopóki się nie zgodzisz.

- Proszę. Ja naprawdę nie chcę.

- To mój najlepszy garnitur - mówi ostrzegawczo.

Biorę głęboki oddech i z wahaniem wchodzę mu na ramiona, starając się utrzymać równowagę, kiedy wstaje. Boże, dlaczego akurat dziś musiałam zjeść dwa lancze? Ale stojąc tak i chwiejąc się jak akrobatka, zapominam o wszystkim, czując ciepło jego dłoni na moich nogach. Jestem na tyle blisko, by widzieć złote pasma w jego włosach, czuć jego czysty, świeży zapach. Policzki mi płoną i cieszę się, że on go nie widzi.

- W porządku? - pyta, zbliżając się do muru.

- W porządku... O! - Chwytam się szczytu i patrzę na przestronny ogród. Jest tam rozległy trawnik ocieniony uroklivym miłorzębem. Tam pod korzeniem musi być zakopana przez mamę jej ukochana króliczka, Czarnulka. Z tyłu wznosi się domek ogrodnika, gdzie dziadek chował przed Japończykami złote sztaby. Przez długie okna obok drzwi dostrzegam kręcone schody o szerokich poręczach idealnych do zjeżdżania. Oczyma wyobraźni widzę mamę jako małą dziewczynkę wracającą ze szkoły w wykrochmalonym mundurku czytającą przy oknie, płaszącą po ogrodzie z siostrą. Wewnątrz domu stał wypolerowany stół jadalny, na którym obfite posiłki z czasem zostały zastąpione wojennymi racjami goluteńskiego ryżu. Na górze znajdowała się sypialnia, gdzie obie trzęsły się pod kołdrami ze strachu przed maszerującymi opodal japońskimi żołnierzami.

Kiedy moja matka opuściła ten dom jako młoda dziewczyna, czy zdawała sobie sprawę, że nigdy już tu nie będzie mieszkać? Czy mogła wyobrazić sobie zmiany w Szanghaju, przewidzieć jego niezliczone wcielenia od udręki pod japońską okupacją (W latach 1937 - 1945 Szanghaj pozostawał pod japońską okupacją.) po cierpienie w trakcie rewolucji kulturalnej? A kiedy wraca teraz, jak to czasem robią z ciotką Marcie, czy czuje przyływ dumy z szalonej ekspansji miasta, z lśniących wysokościowców Pudong (Pudong - dzielnica w Szanghaju, o statusie specjalnej strefy ekonomicznej; finansowe i biznesowe centrum Chin.), z blichtru Bundu? A może czuje w sercu ból lat straconych w rewolucji kulturalnej oraz pozostawionych tu i złamanych przyjaciół?

Mogłabym tak stać godzinami, zadając sobie jedno pytanie za drugim, ale kiedy Charlie przesuwa się lekko, przypominam sobie nagle, gdzie jestem.

- Już wystarczy - mówię. - Mogę już zejść. - Obniża mnie i złączę.

- Dziękuję - dodaję i nagle czuję w oczach łzy. - Jestem ci bardzo wdzięczna. - Szybko mrugam oczami, ale kilka łez stacza mi się po policzkach. Odwracam twarz zawstydzona moimi uczuciami i naszą nagłą bliskością.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mówi poważnie.

- W każdym razie - paplam, żeby wypełnić ciszę - jesteś taki zajęty, na pewno masz milion rzeczy do zrobienia, nie przejmuj się mną, ja sobie...

Nagle znów stoi przy mnie blisko, tak blisko, że czuję szorstkość jego garnituru na nadgarstku i widzę cię zarostu na podbródku.

- Isabelle - mówi. - Nigdzie nie pragnę być bardziej niż tu teraz z tobą. - Nachyla się powoli.

Dzwonek komórki sprawia, że oboje podskakujemy.

- Jezu. To mój telefon? - Sięgam do torebki i grzebię w jej ciemnym skórzanym wnętrzu, marząc, bym mogła tam ukryć także swój rumieniec. Telefon wibruje i błyska. Wciskam „Odrzuć” i odwracam się z powrotem do Charliego.

- Nie odbierzesz? - pyta.

- Nic ważnego - mówię, udając obojętność... - Czyli... - Chwytam go za ramię, gdy nagle telefon znów dzwoni. Cholera!

Kto jest taki namolny? Wyciągam telefon i patrzę na ekran. To Ed. - Jednak muszę odebrać.

Charlie kiwa głową i wyciąga swój telefon.

- Zadzwoń do konsulatu - mruczy.

- Isabelle! - wrzeszczy Ed. - Co ty, kurwa, wyprawiasz? Całe popołudnie dzwonią do mnie pijarowcy. Całe cholerne popołudnie! Bez przerwy. Nie byłaś w Crystalu w Shangri - la, Aprilu w Saint Regis, Kelly w Four Seasons... Lepiej żebyś miała jakieś kurewsko przekonujące wyjaśnienie...

- O, cześć! - Rzucam spojrzenie na Charliego, który trzyma komórkę między ramieniem a uchem. - Tak, wszystko idzie świetnie. Dzięki za telefon.

- Gdzieś ty, kurwa, była?

- O, wiesz, jak to jest. - Śmieję się słabo. - Trochę mi zeszło na... na... sklepach we Francuskiej Koncesji.

- Trochę ci zeszło! Trochę ci zeszło! Lepiej żebyś nie rozbijała się z jakimś szanghajskim przystojniaczkiem, bo inaczej...

- Co? Nie żartuj. Wiesz, że nie znam w Szanghaju nikogo. Jestem

całkiem sama. - Odwracam nerwowo głowę i podskakuję, widząc, że Charlie zakończył już rozmowę.

- Nie myśl sobie, że nie przyjadę tam wyprostować to i owo - mówi Ed ostrzegawczo. - Wracaj, kurwa, do roboty! - rzuca zamiast pożegnania i rozłącza się.

Ręce mi drżą, gdy chowam telefon do kieszeni.

- Wszystko w porządku? - pyta Charlie.

- Taaak, w porządku. - Zdobywam się na wymuszony uśmiech. - W każdym razie... chyba musisz wracać do konsulatu, a ja...

- Zjesz dziś ze mną kolację? - przerywa mi. - Znam wspaniałą restaurację Yongfoo Elite. Mieści się w starej willi, gdzie kiedyś działał konsulat brytyjski. Spodoba ci się. To jak podróż w czasie do Szanghaju lat trzydziestych.

Przez chwilę się waham, ale wizja wściekłej i czerwonej twarzy Eda nie chce mnie opuścić.

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę - mówię z żalem. - Mam niesamowitą ilość rzeczy do zrobienia. Przegapiłam już trzy spotkania, a do północy muszę jeszcze odwiedzić przynajmniej cztery bary i trzy restauracje, a potem jeszcze te kluby nocne... - Zamykam usta, uświadamiając sobie, że gadam jak wariatka.

Charlie rzuca mi zdumione spojrzenie.

- To może chociaż wstąpimy razem na drinka?

Mam ochotę porwać na strzępy harmonogram Eda i wrzucić go w nurt Huangpu. Mam ochotę iść z Charliem pod rękę i całe popołudnie spędzić na spacerach po Bundzie. Mam ochotę wziąć taksówkę do hotelu Grand Hyatt, wjechać windą na osiemdziesiąte siódme piętro, pić szampana i patrzeć na światła miasta.

Ale tylko kręcę głową.

- Naprawdę nie mogę.

Nie wiem, w jaki sposób interpretować jego milczenie, gdy idziemy z powrotem w kierunku Huaihai Lu. Kiedy jednak przywołuję taksówkę i wsiadam z tyłu, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coś straciłam. Charlie zatrzymuje się, trzymając drzwi.

- Wiesz, Iz... - Marszczy brwi z troską. - Mimowolnie podsłuchałem twoją rozmowę telefoniczną i chcę ci powiedzieć, że jeśli będziesz potrzebowała z kimś porozmawiać, zawsze możesz na mnie liczyć.

- O! Nie martw się o mnie. - Śmieję się. - Mój szefo to wariat, ale

daję sobie z nim radę.

Unosi brwi.

- Szefo? Tak go nazywasz?

- Wiem, że to trochę nietypowe, ale on to lubi. Podejrzewam, że dobrze mu to robi na ego.

- Ale nie powinnaś czuć, że musisz go okłamywać. I nikt nie powinien na ciebie w ten sposób wrzeszczeć. Zwłaszcza twój chłopak.

- Na jego twarzy widać zmartwienie. - Możesz mi powiedzieć, żebym pilnował swoich spraw, ale mam nadzieję, że wiesz, że są ludzie, którym na tobie zależy. Nie jesteś sama. - Dotyka mojego ramienia, a potem zamyka drzwi.

To, co powiedział, dociera do mnie dopiero, gdy samochód ujechał spory kawałek. Chwileczkę - chłopak? On myśli, że rozmawiałam z... O nie, on nie wie, że Jeff i ja... Obniżam szybę i wystawiam głowę na zewnątrz.

- Charlie! - wołam. - Charlie! - Och, dzięki Bogu się odwraca. - To nie z Jeffem rozmawiałam! Tylko z Edem! - Odchrząkuję. - Jeff i ja... My nigdy nie byliśmy razem! - Czy słyszy mnie mimo szumu ulicy? Mrużę oczy, by dojrzeć jego twarz, ale on tylko macha mi wesoło, a potem jego postać zasłania autobus. Nie usłyszał mnie.

Świetnie. Nie wystarczy, że jedyny mężczyzna, do którego czuję pociąg, to ambasador Stanów Zjednoczonych w Chinach. Nie. On na dodatek musi myśleć, że jestem zajęta i że jestem zakładniczką w jakimś chorym związku.

Zapadam się w fotelu, a taksówka wiezie mnie na pierwszą z trzech dzisiejszych kolacji.

Mój samolot odlatuje w południe, ale został mi jeszcze jeden punkt harmonogramu do zaliczenia - już ostatni. Jia Jia Tang Bao (Jia Jia Tang Bao - sieć popularnych jadłodajni, serwujących głównie pierożki lub bułeczki gotowane na parze (xiaolongbao).) przypomina McDonalda - jarzeniówki, plastikowe stoliki i krzesła. Mrużąc oczy, przeglądam kolorowe menu i jękając się, zamawiam potrawy u kasjerki, siwowłosej kobiety, w której oczach pojawia się ciekawość, gdy słyszy mój chiński.

- Yi long xiaolongbao - powtarza z akcentem, który trudno mi zrozumieć i wpatruje się w moją twarz. - Skąd jesteś? Nie jesteś Chinką?

Powstrzymuję westchnienie.

- Jestem Chinką z amerykańskim paszportem - wyjaśniam i po chwili dodaję - ale moja mama pochodzi z Szanghaju.

- Urodziłaś się w Ameryce, ale wróciłaś do Szanghaju? Kiwam głową, a ona uśmiecha się szeroko.

Tablica nad kasą głosi: „Najpierw zamówienie, potem ulepienie, potem podgrzanie, potem jedzenie”. Patrzę przez poplamioną szybę do kuchni, gdzie trzy kobiety wyrabiają i wałkują ciasto. Gdy rozplaszczają kulki na cienkie placuszki, ich palce poruszają się tak szybko, że aż się rozmazują. Czwarta kobieta, zapewne ekspertka od lepienia pierogów, wypełnia każdy placuszek porcją wieprzowego farszu i zgrabnie formuje pękatą poduszczkę.

Siadam, biorę drewniane pałeczki z kubelka na porysowanym stoliku i czekam. Czekam. Czekam. Z każdym zamówionym bambusowym koszykiem tłum głodnych klientów rośnie. Siedzą wokół mnie przy wspólnych stolikach, siorbią przezroczystą zupę (czy ja też powinnam zamówić miseczkę?), w której pływają kwadraciki skrzepłej krwi (raczej nie). Ich głosy rozlegają się wokół. Nie jest to surowy pekiński pomruk, ale miękka melodia, której nie rozumiem. Tak brzmi lokalny dialekt. Czasami moja mama rozmawia po szanghajsku z ciotką Marcie, z ulgą wracając do ojczystego języka, ale mnie nigdy go nie nauczyła, uznawszy za nieprzydatny. Musi jej być miło, kiedy tu wraca i słyszy, że jej rodzimy język wciąż żyje.

Kelnerka rzuca wilgotny koszyk pierożków na mój stół i szybko odchodzi. Para opływa moją twarz, kiedy sięgam po pierożek, uważając, by nie rozerwać powłoki. Pierwsze pałace siorbnięcie ujawnia ukrytą w środku zupę. Drugi kęs smakuje imbirem i wieprzowiną.

Po pięciu posiłkach dziennie nie mogę uwierzyć, że wciąż jestem głodna. O Boże, ile kalorii mieści się w koszyku wieprzowych pierożków? Ale nie można im się oprzeć. Są pyszne i tanie - tylko sześć kuai, to mniej niż dolar za tuzin. Kiedy wrócę do Pekinu, zaordynuję sobie dietę. Przez cały miesiąc będę jeść tylko brązowy ryż i wodorosty. Będę wstawać o piątej rano i biegać. Wrzucam do ust kolejnego pierożka, rozkoszując się rozlewającą się po języku zupą. Jak udało im się ją tam umieścić? No jak?

Kolejka tworząca się pod drzwiami daje jasno do zrozumienia, że nie należy przeciągać pobytu, ale zwlekam chwilę przed zjedzeniem ostatniego pierożka. Starsza kobieta o przyprószonych siwizną

włosach siada obok mnie. Wymieniamy skinienie i krótkie spojrzenie, a potem otwiera gazetę i zaczyna czekać na posiłek. Jej oczy prześlizgują się po mnie lekko i wiem, że wzięła mnie za miejscową dziewczynę, która wpadła na wczesny lancz.

I chyba rzeczywiście nią jestem.

Kiedy wracam do Pekinu, chaotyczne place budowy i klockowe budynki są jak cios w twarz. Z okna naszego mieszkania obserwuję sylwetkę żółtego żurawia na tle nieba szarego od późnopołudniowego smogu. Stalowe dźwigary budowanego po drugiej stronie ulicy wieżowca wzbijają się już w niebo, choć nie było mnie tylko cztery dni. Tłum robotników wylewa się na ulice; żółte kaski kontrastują ze stosami gruzu. Idą do jadłodajni, gdzie pochłoną prostą kolację z ryżu oraz bliżej niezidentyfikowanego mięsa i warzyw wysypanych z dymiącej kadzi. Potem położą się spać na cienkim materacu w pokoju pełnym innych robotników sezonowych, a po przebudzeniu znów powtórzą cały cykl. I tak w kółko, aż boom budowlany przeminie i ich praca nie będzie już potrzebna. Co wtedy?

W tok moich myśli wdziera się dźwięk tak cichy, że mógłby to być tupot myszy. Odwracam się od okna i widzę, jak moja siostra znika w pokoju z szelestem włosów.

- Cześć! - wołam za nią, ale nie odpowiada. To dziwne. A w ogóle co robi w domu o piątej po południu? Moja ambitna siostra o tej porze zwykle nie daje się oderwać od swojego biurowego fotela ni prośbą, ni groźbą.

Podchodzę i stukam do jej drzwi.

- Claire?

Siedzi przy biurku, pisząc coś na laptopie.

- O. Cześć, Iz. - Podnosi wzrok z zaaferowaniem, które oznacza, że pracuje.

- Właśnie wróciłam z Szanghaju - przypominam jej. Rzuca okiem na stos papierów na biurku i wraca do pisania.

- Dobrze się bawiłaś?

- Świetnie - odpowiadam i czekam, aż zapyta o więcej.

- Mmm. - Mruży oczy, wpatrując się w ekran.

- A co u ciebie? - pytam wreszcie.

- Pracuję.

Ktoś jest dziś nie w humorze. Zaczynam chodzić po pokoju i po chwili wahania mówię:

- Zamierzam niedługo zamówić jakieś zarcie. Chcesz coś? Podnosi wzrok z ciekawością.

- Gdzie zamawiasz? Mają menu? Możemy zamówić teraz? Padam z głodu - zarzuca mnie pytaniami, jakbym była świadkiem na procesie.

- Xiao Wang Fu (Xiao Wang Fu - nazwa restauracji w Pekinie, bardzo popularnych wśród ekspatów.). Menu jest w kuchni. Chyba można zamówić teraz. - W myślach dodaję: przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- W porządku. Zajmę się tym. - Rzuci mi podejrzliwe spojrzenia, jak gdyby bała się, że zapomnę powiedzieć, iż jedzenie ma nie zawierać glutamianu sodu albo że przejęzyczę się, mówiąc „Nie przesadzać z olejem”, i dostaniemy tłuste brokuły i sos czosnkowy. A przecież drugi raz tych błędów nie popełnię.

Kończę właśnie sprawdzać mejle (Ed, Ed, Ed, znów Ed i nikt inny, nic od Geraldine, nic od Julii i zupełnie nic od Charliego), gdy dzwoni dzwonek do drzwi. Otwieram je i widzę chłopaka uginającego się pod ciężarem kilku plastikowych torebek.

- Apartament 2012?

- Ile płacę? - Wyciągam portfel.

- Yi gong shi (Razem jest...)... - Patrzy na długi rachunek. - Czteryście dwadzieścia kuai. - To ponad pięćdziesiąt dolarów!

- To żart? - Zaczynam się śmiać, ale potrząsa głową.

- Przywieźli jedzenie? - Claire wchodzi na korytarz.

- Chyba nastąpiło jakieś nieporozumienie - mówię - albo zapomniałaś mi powiedzieć, że urządzamy przyjęcie.

- Niech spojrzę. - Zagląda do torebek. - Nie. W porządku. - Podaje chłopakowi gruby plik banknotów i zamyka drzwi. - Idę po talerzyki - mówi, gdy ja dźwigam wszystko na stół i wypakowuję wilgotne, zaparowane torebki. Wyciągam jeden za drugim pojemniki jedzenia, które jest albo smażone, albo nasączone tłustym sosem, albo pływa w oleju. Smażone wieprzowe pierożki, smażony ryż z wieprzowiną, wieprzowina z zieloną papryką, żeberka... Claire zamówiła chyba całego wieprzka!

- Nie zamówiłaś brokułów na parze? - pytam. - Ani ryżu? Wzrusza ramionami.

- Pomyślałam, że dziś sobie odpuszczę.

Patrzę na stół, którego cała powierzchnia zajęta jest przez

jedzenie.

- Umieram z głodu. Jedzmy! - mówi, biorąc pałeczki. Po chwili na jej talerzu piętrzy się wieża potraw: kurczak gongbao (Kurczak gongbao (kurczak Kung Pao) - tradycyjne danie kuchni syczuańskiej składające się ze smażonych kawałków kurczaka z dodatkiem orzeszków ziemnych, papryczek czili, szalotki. Danie popularne zarówno w Chinach, jak i w chińskich restauracjach na Zachodzie. Nazwa „gongbao” oznacza tytuł wybitnego urzędnika z końca dynastii Qing.)ześlizguje się z rozlazłej góry smażonego ryżu, stos mapo tofu nasącza swoim ostrym sosem sąsiednie kłębowisko nudli. Wsuwa sobie sajgonkę do połowy do ust, jednocześnie polewając octem rząderek wieprzowych pierożków.

- Claire... - próbuję - czy wszystko... w porządku? - Tylko raz widziałam, żeby jadła w ten sposób: kiedy rozwiodła się z Tomem. Zaciągnęła mnie wtedy do miejscowej knajpy i zaczęła zaliczać wszystkie pozycje menu, od mlecznych szejków po klopsy, a wszystko to w ciągu trzygodzinnej gastronomicznej orgii.

Delikatnie podnosi zieloną fasolę z talerza gan bian siji dou (Ganbian sijidou - danie syczuańskie; wysmażone strączki zielonej fasoli z mieloną wieprzowiną, papryczkami czili i czosnkiem.).

- Dlaczego pytasz? - mówi beznamiętnie.

- Bez powodu. - Spuszczam wzrok. - Po prostu kiedy się rozwodziłaś...

Jej pałeczki zastygają w powietrzu z uwięzioną pomiędzy nimi fasolą. Blednie jak ściana i widzę z przerażeniem, że jej dłoń drży. Cholera. Nie powinnam była podejmować tego tematu.

- Przepraszam... Nie chciałam cię zdenerwować. Ale jeśli coś jest nie tak, jeśli chciałabyś porozmawiać... - W uszach pobrzmiwają mi słowa Charliego i kładę dłoń na ramieniu Claire, żeby sama się uspokoić. - Przecież jestem twoją siostrą, a do tego współlokatorką - żartuję niepewnie.

Jednym szybkim ruchem strząsa moją dłoń, szura krzesłem i wybiega z pokoju. Kilka sekund później słyszę trzask drzwi do łazienki, a potem stłumione dźwięki niepozostawiające wątpliwości, że Claire właśnie wymiotuje. Idę za nią i delikatnie pukam.

- Claire? - Przekręcam gałkę, a kiedy drzwi się otwierają, widzę siostrę klęczącą przy toalecie. Nasze oczy spotykają się w lustrze.

- W porządku?

- Nie - mówi cicho.
- Chcesz jechać do lekarza? Bierze głęboki, nierówny oddech.
- Jestem w ciąży. - Łzy napływają jej do oczu i chwilę potem szlocha, a jej szczupłe ramiona drżą.

Klękam przy niej i obejmuję ją, czując każdy jej roztrzęsiony oddech. Próbuję ją podnieść, żeby siadła na kanapie, wypić herbatę albo przynajmniej łyknęła Pepto - bismol. Po raz pierwszy w życiu muszę pocieszyć siostrę i nie mam pojęcia, co powiedzieć.

CZEŚĆ TRZECIA
ZACHÓD

Xinjiang

[...] Ogromne pustynie Xinjangu, chińskiej Azji Środkowej [...] zamieszkuje w większości ludność pochodzenia tureckiego, przede wszystkim Ujgurzy. [...] Tutejsze jedzenie nie jest w żaden sposób powiązane z chińskim, za wyjątkiem niedawnych powierzchniowych zapożyczeń. [...] Podstawa diety to pszenny chleb [...] w postaci dużych podłużnych bochenków, które pęcznieją przy wypiekanu. Tradycyjnym dodatkiem jest grillowane mięso, a zwłaszcza małe szaszłycki. Poza cebulą i czosnkiem niewiele tu warzyw, ale ten brak równoważą wspaniałe owoce: morele, winogrona i melony.

E.N. Anderson, *The Food of China*

Claire jest w ciąży. W dziesiątym tygodniu, mówi, czyli nadal nie jest za późno. Nie pytam, na co nie jest za późno. Gdy już udało mi się położyć ją do łóżka i napić herbatą oolong (Oolong (chiń. herbata czarnego smoka) - chińska herbata o unikalnym aromacie i smaku, uprawiana w prow. Fujian i Guangdong oraz w północno - wschodnim Tajwanie.), próbuję z nią porozmawiać, co sprawia pewne trudności, biorąc pod uwagę, że szloch wciąż wstrząsa jej drobnym ciałem. Do tego nie jesteśmy, no cóż, aż tak bliskie. Jednak między jedną a drugą łzą udaje mi się wyciągnąć z niej kilka informacji.

Najpierw upatrywała powodów mdłości w nieświeżym tatarze z łososia, ale kiedy nie ustąpiły po trzech tygodniach, zaczęła się martwić i w trakcie przerwy na lancz pojechała do szpitala Beijing United. Kiedy doktor powiedział jej, w czym rzecz, zemdląca. Klinika nie chciała wypuścić jej samej, więc zadzwoniła do Wang Weia.

- Zrzucił mi, że celowo zaszłam w ciążę. - Policzki płoną jej z oburzenia, pomimo całej udręki. - Powiedział, że chcę go usidlić, żeby spędził ze mną resztę życia.

Wang Wei nie chce mieć nic wspólnego z tym dzieckiem; jasno dał to do zrozumienia, kiedy wysadził Claire pod kancelarią, bo tak było mu bardziej po drodze niż zawieźć moją siostrę do mieszkania.

- Na pewno był po prostu w szoku - tłumaczę, żeby ją uspokoić. - Na pewno zadzw... - milknę. Przypominam sobie zimne oczy Wang Weia, jego nonszalancki urok i okrutny uśmiech i nie jestem wcale przekonana, czy jeszcze kiedykolwiek odezwie się do Claire.

- Nie rozmawiałam z nim od ponad dwóch tygodni - mówi Claire, zalewając się łzami. - Zaoferował mi pieniądze na...

Zaoferował mi pieniądze, a kiedy odmówiłam, przestał odbierać moje telefony.

Dwa tygodnie!

- Od jak dawna wiesz o... o, mmmm... o... - Wskazuję na jej brzuch, nie będąc w stanie wymówić tego słowa.

- Prawie od miesiąca - wyznaje, a jej oczy znów wzbierają łzami.

Podaję jej chusteczkę, zimny okład na oczy, szklaneczkę whisky na nerwy. W końcu przestaje płakać, ale nie jestem przygotowana na wszystko inne, co Claire ma zamiar powiedzieć. Bo oczywiście to jeszcze nie wszystko.

Chińskie rodziny często mają sekrety i nasza nie stanowi wyjątku. Jako jej młodsza siostra dobrze wiedziałam, że nie należy zadawać pytań o rozwód, wścibiać nosa w nie swoje sprawy. Zamiast tego musiałam sama łączyć okrucieństwa informacji i je interpretować. Jak w tamten wieczór, kiedy byłam w domu na cotygodniowej niedzielnej kolacji, a mama poprosiła mnie o nakrycie stołu dla czterech, nie pięciu osób.

- A gdzie Tom? - zapytałam, kiedy Claire pojawiła się sama.

- Nie przyjdzie - odpowiedziała za nią mama. A kiedy usiedliśmy do stołu, zauważyłam, że na palcu Claire nie ma już złotej obrączki.

Były też inne znaki, jak wtedy, w knajpie, gdy Claire zaliczyła wszystkie dania w menu, a potem zwróciła wszystko w łazience. Albo gdy trzy tygodnie z rzędu nie pokazała się na niedzielnej kolacji, twierdząc, że przygotowuje się do procesu, ale kiedy wpadłam do jej biura z domowym jedzeniem, nikogo tam nie zastałam. Albo kiedy matka zaczęła mówić o Tomie tęsknym tonem, który rezerwowała zazwyczaj dla przedkomunistycznego Szanghaju albo Bruce'a Lee. Rzeczywiście, wskazówek nie brakowało - nie były oczywiste, ale i nie niepojęte - i wtedy gratulowałam sobie złożenia ich w sensowną całość. Powinnam jednak zdawać sobie sprawę, że nie była to cała prawda. Wszystkie historie mają wiele warstw, a ja ledwie co musnęłam powierzchnię.

A teraz, gdy Claire leży pod kołdrą Frette i łka, ja siedzę niewygodnie na krawędzi łóżka i próbuję ją pocieszyć.

- Co ja teraz zrobię?! - jęczy. Przez chwilę się waham.

- Czy zastanawiałaś się, żeby... może zatrzymać... - urywam, uświadamiając sobie, że znajduję się w pokoju Claire, którego schludność nijak się ma do pieluszek i śliniaczków.

Jej oczy rozszerza zgroza.

- Miałabym wychować dziecko? Przecież nie potrafię zadbać sama o siebie!

- Oczywiście, że potrafisz! - mówię uspokajająco. - Odnosisz sukcesy w pracy, masz piękne, wysprzątane mieszkanie...

- To nasza ayi sprząta mieszkanie! - przerywa mi. - Ja nie umiem nawet obsługiwać pralki.

Chyba mówi prawdę.

- Wiesz... - Przetykam ślinę. - Masz oczywiście inne... opcje. Nie musisz... mmm... wiesz, możesz...

- Wiem - oddycha drżąco - ale mówmy poważnie. Mam trzydzieści sześć lat. To może być moja jedyna szansa na własne dziecko. - Pociąga nosem. - Poza tym naprawdę nie jestem pewna, czy dam radę znów przez to przejść.

Właśnie podaję jej chusteczkę, ale słysząc to, zamieram.

- Znów? Chcesz powiedzieć, że już kiedyś...

W pokoju zapada kompletna cisza. Na moment Claire przestaje płakać.

- Myślałam, że wiesz - mówi wreszcie powoli.

- Nie. - Patrzę na jej bladą twarz i ciemne rozszerzone oczy.

- To było dziecko Toma - zaczyna, a łzy znów spływają jej po policzkach. - Tego samego dnia, kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, znalazłam w kieszeni jego garnituru majteczki. Nie moje. - Wykrzywia usta. - Kiedy powiedziałam mu to, przyznał, że ma romans z koleżanką z pracy. Powiedział, że to był błąd i że więcej tego nie zrobi. Dałam mu drugą szansę, ale postanowiłam jeszcze nie mówić o dziecku. Trzy tygodnie później znalazłam na komodzie rachunek z karty kredytowej. Wystawiony w hotelu Plaza - mówi beznamiętnie. - Tam spędziliśmy noc poślubną.

Nie wiem, co powiedzieć. Relacjonuje to wszystko rzeczowo, jak gdyby przedstawiała mi nudne zagadnienia prawnicze, ale łzy wciąż płyną jej z oczu.

- To była późna aborcja. Czternasty tydzień. Ludzie mówią, że czasem słycać płacz dziecka. Ale ja nic nie słyszałam. Przez długi czas tylko to dodawało mi otuchy. Że nie słyszałam, jak płacze. - Zamyka oczy na długą chwilę. - Do kliniki przyjechałam taksówką, ale po wszystkim nie chcieli mnie wypuścić samej. Musiałam po kogoś zadzwonić i... - Jej głos drży. - Byłam oszołomiona i

przestraszona, nie wiedziałam, do kogo się odezwać. Więc zadzwoniłam do mamy.

- O Boże, Claire... - Otulam się własnymi ramionami, starając się wypchnąć ze świadomości wizję bladej i roztrzęsionej siostry w szpitalnej poczekalni.

- Powiedziałam jej, że poroniłam, ale chyba się domyśliła. Wzięła mnie do domu, kazała leżeć w łóżku przez tydzień i wszystkim powiedziała, że mam mononukleozę. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Nawet o romansie Toma?

Kręci lekko głową, jak gdyby zbyt ją bolała, by nią poruszać.

- Nie mogłam, zbyt się wstydziłam. Nie chciałam, żeby pomyślała, że to moja wina... że mąż mnie nie chciał... - Znów zaczyna płakać. - Nie kochałam go. Nie kochałam. Ale mogłam kochać nasze dziecko...

- Już dobrze, już dobrze... - szepczę, wciąż głaszcząc ją po plecach.

- A teraz proszę, znów to samo. Jestem w ciąży, a mój facet mnie zdradza. Mogłam przynajmniej nauczyć się czegoś o antykoncepcji. - Próbuje się uśmiechnąć, ale zamiast tego tylko znów roni łzy. - Co teraz zrobię?

Zwlekam chwilę, podając jej kolejną chusteczkę i czekając, aż skończy wydmuchiwać nos.

- Wszystko będzie dobrze. Bez względu na to, co wybierzesz.

- Jesteś pewna? Nie.

- Tak.

- Co powie mama, jeśli urodzę to dziecko?

- Będzie zachwycona - mówię zdecydowanie. - Zachwycona - powtarzam, próbując przekonać nas obie.

- Nie wydaje mi się. - Claire śmieje się niewesoło. - Samotna matka? Nieobecny ojciec?

- Jeśli jej wnuk ma jakąkolwiek szansę być stuprocentowym Chińczykiem, będzie w siódmym niebie.

- Być może. - Claire patrzy na mnie z niepokojem. - Ale nic jeszcze nie mów, okej? Ciągłe nie wiem, co ostatecznie zrobię.

Później, kiedy leżę w łóżku, coś nie pozwala mi zasnąć - niedookreślone, jakby lepkie uczucie wywołane czymś więcej niż tylko cierpieniem Claire. Nie mogę oprzeć się dopasowywaniu do

siebie fragmentów układanki, rozszyfrowywaniu zawołowanych uwag, które dopiero teraz nabierają sensu, przypominam sobie szybki wyjazd Claire z Nowego Jorku, jej izolację od nas.

Ja i Claire nie jesteśmy takie jak te siostry w książkach, nie kochamy się jak Meg, Jo, Beth i Amy z Małych kobietek ani nawet nie rywalizujemy z sobą żartobliwie jak Bennetówny z Dumy i uprzedzenia. Nasz związek cechuje dystans. Czasami zdarzało mi się nawet zapominać, że mam siostrę.

- Zawsze chciałam mieć rodzeństwo - westchnęła kiedyś Julia nad kolejnym dzbanem saketini.

- Ja też - odpowiedziałam bez namysłu.

Ale teraz, kiedy poznałam sekrety Claire - a przynajmniej część z nich - żałuję, że tak się stało. Oczywiście chcę znać siostrę, rozumieć ją, ale wizja jej pogrążonej w smutku i strachu to zbyt szeroka przepaść do przeskoczenia. To ona jest tą utalentowaną z naszej dwójki, silną i mądrą, godną podziwu. Fakt, że Claire stała się nagle bezbronna, oznacza, że nasze role się zmieniły, że wyrosłyśmy z nich. Że dorosłyśmy. A ja nie wiem, czy jestem na to gotowa.

O w pół do ósmej obite sztucznym zamszem kanapy Centro pełne są miejscowych i zagranicznych japsów łąpczywie popijających koktajle. Geraldine wyciąga oliwkę z martini i wrzuca sobie do ust.

- Bierzemy następną kolejkę?

- Jasne - zgadzam się, dopijając drinka.

Kelnerka chwiejnie podchodzi do naszego stolika, poprawia połyskującą czarną grzywę i nachyla się nad nami, przestępując z jednej obutej w wysokie szpilki nogi na drugą.

- Women zai lai liang bei yiyang de (Poprosimy jeszcze raz dwa kieliszki tego samego.) - zamawia Geraldine swoim płynnym mandaryńskim.

Na twarzy kelnerki pojawia się zaskoczenie. Patrzy na mnie.

- Ta shuo shenme? - pyta. Co ona powiedziała?

- Ta bushi wo de fanyi - oznajmia uprzejmie Geraldine, choć wyczuwam w jej tonie zniecierpliwienie. Ona nie jest moim tłumaczem.

- Liang bei futejiajiu ma - ti - ni - poddaję się. Dwie wódki martini. Mój akcent nie jest całkiem poprawny, ale kelnerka kiwa głową i odchodzi.

- Przepraszam - tłumaczy się Geraldine. - Po prostu frustruje

mnie, kiedy ludzie nie rozumieją mojego chińskiego.

- Nie jest chyba najbystrzejsza. - Wskazuję głową oddalającą się kelnerkę. - Z tego co wiem, zatrudniają je na podstawie wzrostu i zdjęć głowy. Stowarzyszenie Swobód Obywatelskich miałoby tu co robić...

- No tak, przecież uczę się mandaryńskiego dopiero od dziesięciu lat... - mówi z przekąsem.

- Daj spokój, Ger. Wiesz, jak to jest. Jako cudzoziemka nie masz szans na opanowanie tak złożonego i zawilego języka. Brak ci po prostu zdolności umysłowych - ironizuję. - Ale jeśli wyglądasz na Azjatkę...

- To oczywiście mówisz po mandaryńsku płynnie i tyle. Ależ ja jestem głupia. - Śmieje się i sięga po orzeszki.

Kelnerka stawia przed nami martini.

- Feichang ganxie ni de bangzhu (Bardzo dziękuję za pomoc.) - dziękuje jej Geraldine, ale w zamian otrzymuje tylko kolejne zdumione spojrzenie.

Pijemy lodowaty i palący zarazem płyn.

- Czyli - Geraldine stawia kieliszek na stoliku - Claire jest w ciąży?

Prawie się krztuszę. - Co?

Wzrusza ramionami.

- Tina Chang rozpuszcza takie plotki. Ale osobiście nie potrafię sobie wyobrazić Claire...

- Jako matki? Witaj w klubie.

- W tej sytuacji.

- No cóż. Każdemu się może zdarzyć.

- Więc to prawda? A... Wang Wei? - pyta ostrożnie.

- Zniknął za horyzontem.

- Oczywiście. Nic nie może odciągnąć go od jego haremu. Znowu czuję to dziwne lepkie uczucie w piersi.

- Co masz na myśli?

- Ojej, Iz, myślałam, że wiesz. - Geraldine się krzywi. - Wang Wei nie był szczególnie... wierny...

Oczywiście wiedziałam o tym, ale nie chciałam, żeby się potwierdziło. Patrząc, jak para skrapla się na moim kieliszku.

- Jak ona się trzyma? - pyta łagodnie Geraldine. Wzruszam ramionami.

- Dobrze. Beznadziejnie. Nie wiem. Wczoraj wieczorem była zdruzgotana, ale dziś rano zachowywała się jak zwykle.

- Czyli była spokojna i opanowana?

- Raczej chłodna i wyniosła - wzdycham. Nieprzyjemne uczucie nie chce minąć i patrząc na tych wszystkich otaczających nas eleganckich ludzi, śmiejących się i palących papierosy, rozpoznaję je. To obawa. Martwię się o Claire. Podnoszę do ust martini z nadzieją, że wódka złagodzi mój niepokój, ale żołądek protestuje. Odstawiam głośno kieliszek i wycieram dłoń, bo drink przelał się przez krawędź. - Muszę coś zjeść, zanim spiję się i stracę przytomność.

- Dobry pomysł - kiwa głową Geraldine. - Wiem, dokąd powinniśmy iść.

- Dokąd? - Moja twarz wydaje mi się nagle niezwykle elastyczna.

Uśmiecha się i rzuca na stolik plik różowych banknotów stokuaiowych.

- Byłaś kiedyś na Dzikim Zachodzie?

Przed wyjazdem do Chin nie odróżniałam Xinjiangu od Xi'anu ani Ujgurów od Ułan Bator. Teraz, przemieszkawszy tu prawie rok, wiem, że w Xi'an znajduje się starożytna terakotowa armia (Armia terakotowa - armia ośmiu tysięcy naturalnej wielkości figur wojowników, koni i zaprzęgów, odkryta w prowincji Shaanxi w 1974 roku w grobowcu chińskiego cesarza Qin Shi Huanga (III w. p.n.e.)), a Xinjiang to zachodnia prowincja, dziki obszar, którego okres świetności przypadł na czasy Jedwabnego Szlaku (Jedwabny Szlak - dawna droga handlowa łącząca Chiny z Europą i Bliskim Wschodem.). Ułan Bator z kolei to stolica Malezji, przepraszam, Mongolii. Co zaś do Ujgurów, to należą oni do jednej z pięćdziesięciu czterech mniejszości narodowych Chin i odróżniają się od Hanów wydatnymi nosami, smagłą skórą i głęboko osadzonymi oczami. Posługują się dialektem tureckim, a po chińsku mówią ze śpiewnym akcentem.

Nawet xinjiangskie miasta mają tajemnicze nazwy: Kaszgar, Urumczy, Turfan. Przywołują na myśl bazyry pełne przypraw i jedwabi, pustynne słońce ogrzewające słynne miejscowe winogrona i melony, długozębe wielbłądy wędrujące po zakurzonych traktach. Dla wielu Chińczyków Xinjiang to wciąż obcy teren, w dużej mierze muzułmański, niechętny rządowi w Pekinie - a zarazem ziemia

obiecana, do której ciągną miliony Chińczyków Han, aby czerpać korzyści z boomu budowlanego w Urumqi oraz zasobów gazu ziemnego, a także szczodrych rządowych pakietów relokacyjnych.

W Tian Shan Pai wita nas chmura tytoniowego dymu zmieszana z jedyną w swoim rodzaju alkoholową wonią baijiu (Wysokoprocentowy napój alkoholowy; (biała) wódka.). We dwie przysiadamy przy wielkim okrągłym stole dla dwunastu osób i popijamy zimne piwo Yanjing.

- Mam ci coś do powiedzenia. - Geraldine przysuwa koszyk z płaskim pieczywem nang (Naan (chiń. nang) - wypiekany w piecu placek, rodzaj pieczywa, popularny w kuchni indyjskiej i środkowoazjatyckiej.). - Odchodzę z pisma.

Barani szaszłyczek spada mi na podłogę.

- No to najlepsze zostawiłaś na koniec. - Kopię szaszłyczek głębiej pod stół. - Co? Gdzie? Kiedy?

Wódka, piwo i doprawione kuminem (Kumin - przyprawa nadająca specyficzny korzenny aromat potrawom indyjskim i arabskim.) mięso sprawiają, że oczy mi łzawią.

- Wiesz, dużo czasu spędzam w galeriach 798, pisząc artykuły do działu kulturalnego. Kilka tygodni temu byłam na otwarciu wystawy współczesnej sztuki chińskiej i podszedł do mnie ten facet, bardzo chudy, bardzo łysy, bardzo europejski...

Ciągnie opowieść szybko i radośnie. Podszedł do niej, kiedy przyglądała się wielkiej gipsowej rzeźbie mundurka Mao, i zapytał, czy to ona jest „zgryźliwą Geraldine Elensky z »Beijing NOW«". Na początku myślała, że chce ją poderwać, ale podczas rozmowy stało się jasne, że nie jest zainteresowany kobietami. Przeszli do Star Gallery, a potem do Beijing - Tokyo Art Project, gawędząc o najnowszych chińskich trendach awangardowych, „cynicznym realizmie” (Realizm cyniczny - jeden z nurtów we współczesnej sztuce Chin wykreowany po 1989 r.) i pokoleniu lat postsiedemdziesiątych.

- Wychodzi na to, że jest właścicielem 508 West! - Uśmiecha się promiennie i patrzy na mnie wyczekująco.

- Yyy... przypomnij mi...

- No wiesz, to ta galeria w Chelsea. Gillen, on tak się nazywa, odkrył tych wszystkich młodych artystów, zanim stali się sławni... Jeffa Koonsa, Chucka Close'a, Matthew Barneya... I wiesz co?! - Bierze głęboki oddech. - Zaproponował mi otwarcie pekińskiego

oddziału 508 West!

- O Boże! - wołam tak głośno, że pół restauracji ogląda się na nas.

- Czytał w internecie moje artykuły i uznał, że jestem właściwą osobą do tej roboty! Możesz w to uwierzyć?

- Oczywiście! - Ściskam ją za rękę. - Masz świetny gust. - Tyle lat starań w galeriach Nowego Jorku... Musiałam jeść ramen i wracałam do domu piechotą, żeby zaoszczędzić na metrze... Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. - Powoli wyciąga mięso z kebabu. - Czy to nie ironia losu? Pół wieku temu nasi dziadkowie opuścili kraje rodzinne, żeby ułożyć sobie lepsze życie w nowym świecie. Mijają dwa pokolenia i jesteśmy w Chinach, mając lepsze możliwości niż w Stanach. U siebie byłyśmy tylko trybikami w maszynie, a tutaj wymyślamy koło.

- Tak, ale w porównaniu z większością Chińczyków jesteśmy na uprzywilejowanej pozycji. Skończyłyśmy studia i zarabiamy na poziomie klasy średniej - zwracam jej uwagę. - Z drugiej jednak strony, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, podgrzewałam kanapki z serem w gofrownicy...

- I nigdy pewnie nie myślałaś, że będziesz miała artykuł na pierwszej stronie „New York Tribune”.

- Na pierwszej stronie działu kulturalnego „New York Tribune” - poprawiam ją. - Ale... nie, w sumie masz rację. Nigdy bym nawet nie spróbowała.

- Zaczęłaś już rozglądać się za wydawcą dla swojego kolejnego tekstu?

- Nie... wciąż szukam dobrego pomysłu.

- Zawsze możesz napisać o Jeffie - podsuwa Geraldine.

- Artykuł o zrywaniu esemesem? No nie wiem... Chyba dość już nabroiłam. - Odrywam kawałek chleba.

- Żartujesz? Zainspirowałaś go! Jego nowy singiel wszedł właśnie do setki „Billboardu”.

- Co? - Szukam w jej twarzy sarkazmu, ale mówi serio. - Singiel? Jaki singiel?

- Zatyłował go... - robi przerwę dla lepszego efektu. - Dostałem esemesa. Nie słyszałaś tego jeszcze? Grają go w Babyface czterdzieści razy dziennie.

- O Boże. - Ukrywam twarz w dłoniach. - Nie mów mi, że

zainspirował się...

- Tak. Chyba tak. Niestety. - Geraldine poklepuje mnie po ramieniu. - Ale nie przejmuj się, w tekście używa twojego chińskiego imienia.

- Świetnie. - Dopijam piwo.

- Poza tym teraz już musi ci odpuścić. Nie może być na ciebie zły, skoro dostał platynę.

Kelnerka stawia na stole ciężką tacę. Kawałki kurczaka odrywają się od kości pośród gęstego sosu pełnego pomidorów, cebuli i papryki. Z dołu wyglądają kawałki ziemniaka i płaskie ciastowate nudle, najpewniej wyrabiane ręcznie. Wlewam sobie łyżkę do miseczki i wdycham kurczakową woń, a potem kosztuję.

- Pycha. Co to jest? - Zanurzam kawałek chleba we wspaniałym sosie.

- Dapanji (Dapanji - popularna w Xinjiangu potrawa składająca się z kawałków kurczaka z dodatkiem ziemniaków, cebuli i przypraw; podawana zwykle z makaronem.). Kurczak na dużym talerzu.

- Tak się nazywa? Nie mogli się wysilić na coś w rodzaju „Feniks z trzema ziemskimi wrózkami”? - Patrzę na nią tępo. - Jesteś pewna, że to chińskie jedzenie?

Śmieje się.

- Ujgurscy separatyści nosiliby cię na rękach. Wiedziałaś, że chociaż Xinjiang leży trzy strefy czasowe od Pekinu, to muszą się posługiwać oficjalnym czasem rządowym (Na całym terytorium Chin obowiązuje ta sama strefa czasowa (zgodna z czasem w Pekinie), mimo że różnice w czasie słonecznym między wschodem i zachodem kraju wynoszą ponad trzy godziny.)? Kiedy byłam w Kaszgarze, jedliśmy kolację o dziesiątej wieczorem, bo właściwie była dopiero siódma.

Siorbię nudle i próbuję wyobrazić sobie miejsce, gdzie słońce wstaje o ósmej rano.

- Zamiast „jeden kraj, dwa systemy” (Jeden kraj, dwa systemy - doktryna sformułowana przez Deng Xiaopinga w 1984 r. dopuszczająca istnienie w Chinach obszarów z ustrojem kapitalistycznym w celu zjednoczenia kraju (z Tajwanem).) powinni mówić „jeden kraj, jedna strefa czasowa”. Wielkie zjednoczenie ojczyzny!

Nasz śmiech wzbija się ponad panujący wokół gwar i sprawia, że

zapominamy o ciekawskich spojrzeniach.

Kiedy jadę taksówką do domu, jakaś drobna stłuczka na trzeciej obwodnicy miesza szyki rzeszom kierowców. Uchylam okno i zagłębiam się w fotelu, myśląc o rozmowie z Geraldine. Ma rację, bez dwóch zdań. Ona i ja, Ed, Claire, Gab, Charlie, wszyscy przybyliśmy do Chin z innych powodów - czy to z racji nauki, pracy, sinofilii, szansy na nowy początek - ale zatrzymały nas tutaj możliwości. Pekin to nasz nowy Dzikie Zachód, oferujący wolność, przywileje, szanse wypełnienia białych plam na mapach.

Kiedy wyjeżdżałam z Nowego Jorku, moja dawna szefowa, Nina, przysłała mi mejla: „Powodzenia w nowej przygodzie. To dla Ciebie wspaniała szansa odkrycia swoich korzeni”. Wystarczyła mi sekunda, by skasować jej wiadomość. W końcu moje korzenie to Manhattan.

Życie w Pekinie oczywiście tego nie zmieniło, ale ostatnie miesiące spędziłam na poszukiwaniu tych prawdziwych chińskich chwil, doświadczeń, które udowodniłyby, że przeprowadzając się tutaj, nie popełniłam szaleństwa. Kocham jeść, więc nic w sumie dziwnego, że większości z nich zaznałam przy stole, przy pierwszym parzącym kęsie xiaolongbao czy w drętwiącym mrowieniu każdej syczańskiej potrawy.

Ale były i inne chwile. Na przykład tamten wieczór, gdy podczas karaoke zaśpiewałam całą piosenkę mandopopu, nie myśląc ani słowa. Albo gdy po raz pierwszy półgodzinna jazda taksówką nie wiązała się z koniecznością odpowiadania na pytanie „skąd jesteś?”. Albo kiedy mój artykuł ukazał się w „New York Tribune”. Albo co rano, gdy wchodzę do redakcji, by kolejny dzień spędzić na pisaniu o jedzeniu, modzie i kulturze - wszystkim tym, co kocham najbardziej. Być może zostałabym dziennikarką także w Nowym Jorku, ale tam było tylu utalentowanych, błyskotliwych i doświadczonych autorów, że poddałabym się onieśmielona. Tutaj jednak, korzystając z rosnącego zainteresowania sprawami chińskimi, mogłam zabłysnąć i nie mając tak morderczej konkurencji, potrafiłam zebrać się na odwagę, by spróbować.

Koniec końców chyba to właśnie jest dar, jaki otrzymałam od Chin - nie tyle szansę na powrót do korzeni, ile na zrealizowanie marzeń.

Białe podłogi Green T. House Living lśnią tak, że odbijają jaskrawe barwy jedwabnych i atlasowych sukni koktajlowych. Jestem

z Claire na gali uświetniającej Włoski Rok w Chinach i chociaż lejące się strumieniami prosecco oraz koła sera Parmigiano Reggiano sprawiają, że impreza mocno różni się od innych, ma także typowe cechy: częste całusy na odległość, błyszczącą biżuterię i uśmiechy równie sztywne, co fryzury.

- Cieszę się, że przyszliśmy - mówi Claire, pociągając łyk musującego trunku ze smukłego kieliszka. Odkąd powiedziała mi o swojej ciąży, minęły prawie dwa tygodnie, ale nadal nie podjęła decyzji, czy urodzi dziecko. Za każdym razem, gdy próbuję podjąć temat, kluczy, jak gdyby wołała udawać, że problemu nie ma. Chyba dlatego pije dziś prosecco, choć łyżki są tak niewielkie, że nie powinny mieć większych konsekwencji. Na pozór jest tą samą Claire, która trzyma wszystkich na dystans aurą zaaferowania, ale podejrzewam, że ukrywa się w biurze, aby uniknąć spotkań towarzyskich. Jestem też pewna, że nocą słyszałam z jej sypialni cichy szloch.

Dziś po południu zaskoczyła mnie, pytając, czy pójdę z nią na przyjęcie. Oczywiście chciałam odmówić, ale widząc, jak gładzi złocony brzeżek zaproszenia z tęsknym wyrazem twarzy, zgodziłam się. Godzinę później ukryła ślady cierpienia pod srebrzystą powłoką jedwabnej sukni podkreślającej jej nadal szczupłą figurę. Jadąc samochodem, byłam tak zajęta pilotowaniem jej (kierowca wyjechał) po Airport Expressway i ciasnych zaułkach Shunyi (Shunyi - dzielnica w Pekinie.), że nie miałam szansy o nic zapytać.

Obok przechodzi kelner; przywłaszczam sobie kieliszek prosecco i kawałek parmezanu. Claire nadstawia kieliszek do napełnienia. Czy powinna tyle pić? Zastanawiam się, jak dyplomatycznie ją o to zapytać, kiedy słyszę za plecami przenikliwy szczebiot.

- Ooo! Czy to siostry Lee? - Serce mi staje na widok zmierzającej ku nam energicznym krokiem wysokiej blondynki. To Kristin z amerykańskiej ambasady.

- Fitaj - mówię z ustami pełnymi sera. Szybko przełykam i przywołuję na usta uśmiech.

- Świetnie was widzieć! - woła, całując powietrze. Jej piżmowe perfumy wypełniają mi nozdrza. - Eileen, schudłaś! - woła, taksując wzrokiem moją sukienkę, czarną i brokatową z dopasowaną górą.

- Mam na imię Isabelle - mówię przez zaciśnięte zęby.

- Ups. Przepraszam, skarbie. Claire! Wspaniała kreacja. Jak się

masz? Wyglądasz na zmęczoną.

Claire otwiera szerzej oczy.

- Świetnie! - odpowiada ze śmiechem i dotyka palcami sznura tahitańskich pereł.

- Co tam słyhać? - Kristin przekrzywia głowę. - Nadal czerpiesz garściami z życia singielki?

- Jasne - rzuca z pewnością siebie Claire. - Nigdy nie było lepiej. Krzyżuje ramiona na piersi i patrzy Kristin chłodno w oczy.

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego Claire musiała tu się dziś zjawić. Chciała zrobić występ i pokazać, że ciąża (choć nikt jeszcze nie wie) oraz złamane przez Wang Weia serce nie przeszkodzą jej zachować godności.

Kristin odwraca się od Claire z lekkim rozczarowaniem i patrzy znów na mnie.

- Widziałaś się ostatnio z Charliem?

- Nie. Ostatnio nie. Nie, odkąd spotkałam go w Szanghaju. - Wzruszam ramionami, jak gdyby mi nie zależało, choć samo jego imię przyprawia mnie o gęsią skórkę.

- Nie ma go tutaj dzisiaj? - pyta Claire. - Byłam pewna, że wesprze swoją osobą Rok Włoski.

Ku memu zdziwieniu wygląda na rozczarowaną: zaciska szczęki i rozpoznaję znaną mi z dzieciństwa oznakę złości, że nie może wyjść na swoje.

- Czyli nic jeszcze nie słyszałyście? - papie niczego nieświadoma Kristin. - Charlie przenosi się do Paryża! Niesamowite, prawda?

Serce tym razem staje mi na dobre.

- Łał! Czyli będzie teraz ambasadorem we Francji?

- Oczywiście, że nie. Nie! - Kristin trąca mnie w ramię paznokciami z francuskim manikiurem. - Widać, że nie znasz się na sprawach zagranicznych. Ambasador we Francji jest zawsze mianowany ze względów politycznych. Charlie bierze urlop naukowy, żeby uczyć na Sjàns Po.

Sjàns Po? Kiwam mądrze głową, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

- Będzie uczył o współczesnej polityce amerykańskiej? - włącza się Claire. - To dla niego wspaniała szansa. - Odwraca się do mnie. - Nasz kuzyn Michael spędził tam rok, prawda?

Aha. Chodzi pewnie o ten francuski instytut Sciences Politiques

czy coś takiego. Oczywiście pretensjonalna Kristin musiała posłużyć się francuską nazwą potoczną.

- Zgadza się - odpowiadam, rzucając Claire wdzięczne spojrzenie.

- Charlie wkrótce wyjeżdża? - pyta Claire, gdy kelner znów dopełnia jej kieliszek. Oczami wpijam się w usta Kristin.

- Wyjedzie chyba na jesienny semestr - mówi ogólnikowo, rozglądając się. - O, czy to Mimi Zhou? Muszę się przywitać. Cieszę się, że mogłam się z wami zobaczyć. Do zobaczenia przy kolacji. Paaa!

Odchodzi, stukając obcasami.

- Szkoda, że tak wyszło z Charliem - mówi Claire niby obojętnie, ale jej ciemne oczy wpatrują się w moją twarz nieco zbyt natarczywie.

- Powinniśmy zaprosić go na kolację, zanim wyjedzie.

Połykam gulę, która nagle pojawiła się w moim gardle.

- Byłoby miło - wykrztuszam wreszcie.

Siostra dotyka mojego ramienia zaskakująco delikatną dłonią. Chcę przycupnąć gdzieś w rogu, ale zajmuje go trupa mimów o białych twarzach odgrywających scenę z Piekła Dantego. Osuszam więc kieliszek i udaję się na poszukiwanie baru. Niestety, kiedy go znajduję, barman w białym stroju informuje mnie, że prosecco się skończyło, więc decyduję się na San Pellegrino i z ponurą miną sączę gazowaną wodę prosto ze szklanej butelki.

Charlie wyjeżdża z Pekinu? Bolesna pustka w brzuchu dowodzi rozczarowania, które chciałabym zignorować. Zawsze wyglądałam go w korytarzach, w windzie, zawsze miałam nadzieję, że na niego wpadnę. Jak to będzie, kiedy on odjedzie? Wiem, że szansa, by do czegoś między nami doszło, była niewielka, ale gdzieś w głębi serca wierzyłam, że być może dostrzegł mnie, prawdziwą mnie, i spodobało mu się to, co ujrzał. Teraz, kiedy wyjeżdża, nigdy już się nie dowiem.

Przy kolacji siedzę między dwiema nieskazitelnie zakonserwowanymi kobietami o ciemnej opaleniznie, które uśmiechają się i kiwają uprzejmie, a potem rozmawiają między sobą po włosku, traktując mnie jak powietrze. Skupiam się na jedzeniu: najpierw pojawiają się talerze z wędlinami, następnie penne z ostrą w smaku oliwą z absolutnie pierwszego tłoczenia. Przy głównym daniu (kotlet cieńczy) patrzę, jak Claire po drugiej stronie stołu śmieje się, rozmawiając z przystojnym i grzecznym Włochem, którego zdjęcie

mogłoby opatrywać w słowniku hasło „zigolo”. Obciaga śnieżnobiałe mankiety i patrzy na nią z uśmiechem. Claire poprawia włosy. Na twarzy ma rumieniec, w ciemnych oczach błysk i nagle uprzytomniam sobie, że jest pijana. Nie podchmielona, ale pijana jak na studiach. Dlaczego to robi? Czy nie wie, że może zaszkodzić dziecku? Posyłam jej ostre spojrzenie, ale ignoruje mnie. Sprawia wrażenie, jak gdyby alkoholem chciała odpędzić problemy.

Wstaję i idę na drugą stronę stołu.

- Claire - szepczę do niej - idę przypudrować nos. - Znaczącym spojrzeniem wskazuję toalety.

- To ładnie, Izzie. - Odwraca się do mężczyzny. - Marco, a to jest moja siostrunia, Isabelle. Musi zrobić siusiu i idzie do łazienki. - Uśmiecha się do mnie i lekko mnie popycha.

- Chodź ze mną - nalegam.

- Jest mi tu dobrze. Popijam sobie wino. - Pociąga z kieliszka kolejny łyk chianti. Biorę ją za rękę i ciągnę ze sobą.

- Co ty wyprawiasz? - pytam w chłodnej i oświetlonej jarzeniówkami toalecie.

- Świetnie się bawię. A co ty wyprawiasz? - Chwiejnym krokiem podchodzi do umywalki i nachyla się do lustra, żeby przyjrzeć się makijażowi.

- Uważaj - wołam, gdy traci równowagę i łapie za krawędź.

- Powinnyśmy iść do domu. Jesteś... wypijaś za dużo. I są tacy, których życie od ciebie zależy. - Patrzę znacząco na jej brzuch.

- Och, proszę cię. Nie bądź taka święta. - Wywraca oczami.

- Dobrze się bawię, nie czułam się tak swobodnie od tygodni. Marco jest uroczy i pewnie zaraz poprosi mnie o numer.

- Nie tylko o to cię poprosi - prychem.

- Daj mi się napić jeszcze trochę - błaga. - Strasznie długo nigdzie nie byłam. Potem pójdziemy.

- W porządku - zgadzam się. - Ale skoro już masz pić, to napij się kawy. Musisz wytrzeźwieć, bo inaczej nie wiem, jak dotrzemy do domu.

Ale albo mnie ignoruje, albo nie słyszy. Kiedy wychodzimy z powrotem na salę, zamiera, patrząc na kogoś w głębi. Tuż przy scenie, wydając dyspozycje grupie akrobatów w maskach i na szczudłach, stoi jedyna osoba, która jest w stanie odesłać Claire do domu, i to natychmiast: Wang Wei.

Claire odwraca się i łapie mnie za ramię.

- Musimy iść. Byłam pewna, że go tu dziś nie będzie. Jak on mógł... ten drań... - mruczy pod nosem i wielkimi krokami sady do drzwi, oglądając się, czy za nią idę. - Szybko - cedzi, rzucając mi wieczorową torebkę. - Ty prowadzisz.

Gdy tylko wychodzimy na suche nocne powietrze, zatrzymuję się.

- Co powiedziałaś?

- No chodź. Prowadzisz.

- Co?!

- No przecież ja nie mogę, a ty cały wieczór piłaś mineralkę. No chodź. - Drżącymi palcami otwiera torebkę i wyciąga kluczyki.

- Żartujesz sobie? W życiu nie siądę w Pekinie za kółkiem. Zdajesz sobie sprawę, jak ci ludzie jeżdżą? Wezwijmy taksówkę, a jutro wrócimy po samochód.

- Jesteśmy na zadupiu. Tu nie ma taksówek. - W jej głosie brzmi udreka. - Iz, proszę, zrób to dla mnie. Nie jestem w stanie na niego spojrzeć. Proszę, proszę, proszę.

Tylko jej desperacja albo rozpacz każe mi sięść na siedzeniu kierowcy. Dziękuję szczęśliwej gwiazdzie, że Ed kazał mi wyrobić pekińskie prawo jazdy potrzebne do pewnego artykułu. Spocone palce ślizgają mi się po kierownicy. Ostrożnie wyjeżdżam na ciemną wąską drogę.

- Spokojnie, bez nerwów - radzi Claire. - Tu się łatwo jeździ.

- Okej - mówię dziwnie piskliwym głosem.

Znaki i tablice kierują mnie ku autostradzie. Kurczowo ściskam kierownicę, stopę trzymam nad pedałem hamulca. Jeżdżę autem, odkąd skończyłam szesnaście lat, ale nic nie jest w stanie przygotować człowieka na pekińskie dziurawe drogi, samochody pojawiające się jakby znikąd i wjeżdżające na pierwszy lepszy pas, kierowców, którzy uważają zmysł wzroku za zbędny. Kiedy wjeżdżamy na trzecią obwodnicę, ręce i nogi mi drżą. Prawie dojechałyśmy, powtarzam sobie w myślach. Prawie jesteśmy w domu. Naciskam pedał gazu, by wyprzedzić ciężarówkę sunącą powoli środkiem drogi.

Dużo później miałam pamiętać głównie to, jak szybko wszystko nastąpiło. Ciężarówka skręca ostro na mój pas, metal zgrzyta, hamulce nie reagują na paniczne wciskanie pedału, samochód wpada w poślizg. Nasze wrzaski, nie krzyki, tylko właśnie wrzaski gdzieś z głębi.

Przez chwilę wydaje się, że samochód nigdy się nie zatrzyma, ale

kiedy wreszcie zamiera, reflektory ciężarówki świecą prosto przez dziurę w okno po stronie kierowcy. Cała jestem w okrucinach szkła, które lśni ostro na mojej czarnej sukienne, fotelu i podłodze.

- Wszystko w porządku? - Głos mi drży, gdy odwracam się do siostry.

- O Boże, Iz, ty krwawisz. - Wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego obojczyka, i drżącą dłonią strąca kawałek szyby.

- To tylko zadrapanie, wszystko w porządku - mówię. - A ty?

- Chyba dobrze.

Gramolimy się z samochodu - moje drzwi się zablokowały, więc wychodzę po stronie pasażera - i powoli przechodzimy na pobocze. Kierowca ciężarówki zbliża się do nas. Jest tęgi, rozpięta koszula ukazuje pękaty brzuch. Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy, gdy przeprasza.

Stoimy tak na poboczu, patrząc na wrak, w jaki zmienił się samochód Claire, i triumfalnie wiszącą nad nim kabinę pomarańczowej ciężarówki. Później kierowca w rozmowie z policją weźmie na siebie całą winę, a my będziemy mówić o wszystkim przyjaciółom, ale nie rodzinie, i opowiadać, jakie miałyśmy szczęście, że wykaraskałyśmy się z całej sytuacji tylko z zadrapaniem. Ale teraz, stojąc pośród nocy, potrafię tylko wciągać z ulgą w płuca suche powietrze powodowana tym samym instynktem, który kazał mi robić to samo, gdy zjawiłam się na tym świecie.

Podmuch wiatru rozwiewa mi włosy, Claire krzyżuje ramiona i dygocze.

- Chcesz jechać do szpitala - pytam - żeby się upewnić, czy wszystko w porządku?

Prawie niedostrzegalnie rusza głową, ale kiedy wreszcie otwiera usta, jej głos jest mocny.

- Tak.

Zabarwiony smogiem zachód słońca nadaje kuchni różowy odcień. Nalewam sobie kieliszek wina i stawiam garnek wody na kuchence. Słyszę trzask frontowych drzwi i kilka sekund później do kuchni wbiega Claire.

- Robisz kolację? Umieram z głodu! - Patrzy z nadzieją na kuchenny blat, gdzie zgromadziłam składniki: spaghetti, masło, parmezan.

- Takie tam spaghetti. Dla ciebie też zrobić?

- O tak. Jestem głodna jak wilk.

Wyciąga butelkę wody z lodówki. W ciągu dwóch tygodni po wypadku Claire odwiedziła lekarza czterokrotnie i okazuje się, że z dzieckiem wszystko w porządku, mimo jej chwilowego wybryku na balu. Nie ma już takich mdłości, a jej policzki odzyskały rumieniec, chociaż w jej oczach nadal widać zmartwienie. To chyba spojrzenie przyszłej matki.

Syk od strony kuchenki daje mi znać, że woda się gotuje. Wrzucam makaron pod czujnym okiem Claire.

- O, czyli czekasz, aż się woda zagotuje, i dopiero wtedy wrzucasz makaron?

- Żartujesz, prawda?

- A może nauczysz mnie, jak robić jedzenie dla Faselki? Na przykład jajecznicę z wędzonym łososiem... A może kawior albo gryczane bliny.

- Widzę, że Faselka odziedziczy smak po matce.

- Mais oui - chichocze.

- Tak po prawdzie - oświadczam, biorąc kawał sera i ścierając go na tarce - wiesz, kogo mogłabyś poprosić o przepisy? Mame.

Zapada milczenie, które trwa tak długo, że staje się niezręczne.

- Dużo ostatnio myślałam o rodzicach - mówi wreszcie Claire. - Nie chciałam nic mówić przed podjęciem ostatecznej decyzji, ale zastanawiam się nad powrotem do domu.

- Do Nowego Jorku? - Patrzę na nią zaskoczona.

- Tak. - Kręci palcem we włosach. - Samej nie będzie mi łatwo i pomoc mi się przyda.

- To ma sens - kiwam głową.

- Naprawdę? - Na jej twarzy widać ulgę. - Nie jesteś zła? Będziesz musiała poszukać sobie mieszkania...

- Może ja też wrócę. - Wzruszam ramionami. - Zdobyłam tu doświadczenie, miałam dobre artykuły. Może dostanę pracę asystentki w jakimś piśmie, na przykład „Conde Nast”, czy coś takiego. Mogłabym też być opiekunką do dziecka.

- To bardzo miło z twojej strony, ale czy naprawdę chcesz znów być asystentką? - Robi minę. - Robić kawę i ksero, przynosić i wynosić... odbierać telefony...

- To nie taka zła praca.

- Aha! - prychnęła. - Oglądałam Diabeł ubiera się u Prady.

- Rozmawiałaś z mamą? - pytam, żeby zmienić temat.

- Zostawiłam jej wiadomość. Pewnie zadzwoni wieczorem. Jemy spaghetti przy telewizorze, nawijając na widelce maślano - serowe nitki makaronu. Puste talerze stoją na stoliku, a Claire znów jest w toalecie, gdy dzwoni telefon.

- Odbierzesz? - woła. - To pewnie mama.

Podnoszę słuchawkę, oczekując donośnego głosu mamy, ale zamiast tego słyszę inny, znajomy i miły.

- Iz? Tu Julia.

- Cześć! - piszczę. - O Boże, co tam u was?

- Mam dobre wieści - odpowiada po chwili.

- Jesteś w ciąży! - wołam. - Twoje dziecko i moja siostrzenica będą się razem bawić.

- Co? Nie! - Śmieje się.

- To co w takim razie?

Słyszę, że poprawia słuchawkę przy uchu - znak, że przygotowuje się do dłuższej rozmowy.

- No więc, pamiętasz tę autorkę, o której ci mówiłam? Tę, która pracuje w „Cuisine”? Wczoraj byłam z nią na lanczu i nie mogła przestać gadać o Chinach. Wiesz, teraz jest straszna moda na Chiny i ludzie...

- Gdzie byliście na lanczu?

- W Lupie.

- Zamówiłyście to spaghetti, które lubię? To z czarnym pieprzem i serem pecorino?

- Iz... - mówi ostrzegawczym tonem. - Ta rozmowa kosztuje mnie osiemnaście dolarów za minutę. - Bierze głęboki wdech i wraca do opowieści. - Ciągle pytała mnie o wycieczkę do Hongkongu i o to, skąd znam tyle świetnych restauracji. Więc w końcu, żeby zmienić trochę temat, powiedziałam jej o tobie i o twoich artykułach o kuchni chińskiej. - Skąd...

- Andrew mi je przesłał. W każdym razie myślałam, że dzięki temu zaczniemy rozmawiać o jej kolejnej książce. Ale bardzo się zainteresowała i kazała mi obiecać, że was ze sobą skontaktuję.

- Po co? - Entuzjazm w głosie Julii każe mi się uśmiechnąć, ale nie mam pojęcia, co ją tak ekscytuje.

- Powiedziałam jej, że zadzwonisz dziś do niej. Czyli wieczorem.

- W porządku, ale po co?

- Z powodu stałej rubryki - odpowiada zniecierpliwiona. - Tej, do której cię namawiałam. O regionalnych kuchniach chińskich.

Przyciskam słuchawkę tak mocno, że aż boli mnie ucho.

- Ona chce usłyszeć, jakie masz pomysły - ciągnie Julia. - Teksty publikowałiby na stronie internetowej i nie płaciliby dużo, ale pomyślałam, że wiesz, mogłabyś od tego zacząć. Halo?... Iz?

Chcę odpowiedzieć, ale tylko gapię się na różowe smugi na marmurowej podłodze, nie mogąc wykrztusić słowa.

Fusion

Fusion. Rzeczownik. 1. czynność lub proces upłynniania lub topienia przy użyciu ciepła. 2. płyn lub stopiona substancja uzyskana przy pomocy ciepła. 3a. Łączenie różnych elementów w jedność. 3b. Jedność będąca rezultatem tego procesu. 4. Reakcja jądrowa, w której jądra łączą się, tworząc cięższe jądra i uwalniając przy tym energię. 5. Muzyka łącząca elementy jazzu i ciężkie powtarzalne rytmy rocka. 6. Styl gotowania łączący składniki i techniki z różnych kultur albo krajów.

American Heritage Dictionary

W Pekinie rzadko trafiają się naprawdę pogodne dni, nieszeszczone smogiem ani pyłem, parnością ani zimnymi wiatrami. Niebo wygląda wtedy jak świeżo wyczyszczone, a budynki rozświetla słońce. Cały tydzień pilnie śledziłam prognozy pogody na CNN, ale spacerując chłodnymi pachnącymi alejkami targowiska kwiatowego Lитай, śmieję się z samej siebie i swoich zmartwień. Przecież to jasne, że ostatnia sobota Claire w Pekinie będzie słoneczna i złocista - wspaniały jesienny dzień. Poprawiam stos kwiatów w ręku i dorzucam jeszcze kilka białych róż, a potem idę z nimi do ekspedientki.

- Waaaa! Neme duo hua'r! - Tyle kwiatów! Dziewczyna dzieli je na dwa bukiety i zaczyna owijać w gazetę.

- To na imprezę - wyjaśniam, rzucając okiem na zegarek. Zostały mi tylko dwie godziny na przygotowanie dekoracji, schłodzenie szampana i przyjęcie dostaw jedzenia.

Po usunięciu rzeczy Claire obszerna przestrzeń mieszkania wygląda na jeszcze większą. Idę szybko przez pokoje, wzdychając z ulgą, bo siostry nie ma w domu. Ed obiecał, że cały ranek zajmie im wycieczka po Zakazanym Mieście, którego Claire jeszcze nie widziała, choć mieszka w Pekinie ponad pięć lat.

- Nie męcz jej - poleciłam mu. - I nie pozwól wrócić zbyt wcześnie, bo niespodzianka nie wypali.

- Nie martw się. - Odwrócił się, ale wydało mi się, że mruknął jeszcze: - Od dawna marzyłem, żeby spędzić z nią trochę czasu sam na sam.

Claire poprosiła kancelarię o przeniesienie trzy miesiące temu. Od tamtej pory czas mijał nam na zakupach i pakowaniu się, wizytach u lekarza, badaniach USG i sprawianiu nowej garderoby na jej powiększającą się sylwetkę. Razem przeglądałyśmy nasze rzeczy,

wyrzucając stare szpargały i ubrania (Claire spędziła przed moją szafą radosną i bezlitosną godzinę) i przygotowując się do przeprowadzki. Od czasu wypadku nasze relacje stały się bliższe pomimo humorów Claire, które potrafią nadciągnąć szybko jak letnie burze. Nie wymieniamy się ubraniami ani sekretami i pewnie nigdy nie będziemy tego robić, ale patrzymy teraz na siebie z szacunkiem i podziwem, a bez nieufności.

Nie sądziłam, że będzie chciała to wiedzieć, ale kilka tygodni wcześniej przyszła do domu i powiedziała, że urodzi dziewczynkę.

- Niesamowite, prawda? Mam tylko nadzieję, że nie będzie mnie nienawidzić. Wiesz, jak to jest między matkami i córkami... - powiedziała, krzywiąc się. Jednak później, kiedy myślała, że nie słyszę, przyłapałam ją na klepaniu się po brzuchu i szeptaniu czegoś o feminizmie trzeciej fali.

Dzwonek do drzwi. Pomagam pracownikom firmy cateringowej wnieść tace z jedzeniem: wielkie misy zimnych nudli sezamowych, patery łososia z wody, pieczoną wołowinę z pieprzem syczańskim, górę liściastej sałatki z junnańskimi ziołami, małe serowe kuleczki pao de queijo, a wszystko z ulubionej restauracji Claire, eklektycznego bistro serwującego brazylijsko - chińsko - europejską kuchnię fusion.

Geraldine zjawia się punktualnie i od razu wkłada fartuszek na zieloną sukienkę. Kładziemy talerze i serwetki na stole w jadalni i układamy kwiaty w wazonach - całe mieszkanie zdobią wielkie kwieciste kłęby w kolorze kremowej bieli.

- Pięknie tu, Iz. - Geraldine zatrzymuje się na chwilę w salonie, patrząc, jak słońce kładzie się pręgami na podłodze. - Będziesz tęsknić?

- Oczywiście. - Wyglądam za okno na lśniące wieżowce i samochody. - Ale nie mogę już się doczekać własnego mieszkania i nowej okolicy.

- A także nowych sąsiadów, mam nadzieję. - Unosi brwi i uśmiecha się. - Świetnie będzie mieszkać tuż obok ciebie!

Z pomocą Geraldine znalazłam mieszkanie niedaleko Houhai, przestronne i jasne, o białych ścianach i zielonych płytkach w kuchni. Jest jakieś trzy razy mniejsze od mieszkania Claire, ale i tak bardziej przestronne niż moje dawne lokum w Nowym Jorku.

- A co z Claire? - pyta Geraldine. - Chyba nie wprowadzi się do

rodziców?

- O Boże, nie! - Śmieję się. - Wynajęła coś na Upper East Side. Ma tam tylko jedną sypialnię, ale wystarczy, dopóki nie znajdzie czegoś lepszego.

- I do tego będzie dość blisko, żeby wasza mama mogła do niej wpadać - zauważa Geraldine. - A może jeszcze nie przeszło jej zdenerwowanie?

- To trwało jeden dzień. Zdażyła już zrobić na drutach dwanaście par bucików i doprowadzić Claire do szału swoimi radami. W ostatnim mejlu ostrzegła Claire, żeby nie rozmawiała przez komórkę i nie korzystała z kserokopiarki. Podobno skaner emituje radioaktywne promieniowanie, bardzo szkodliwe dla płodu. - Wywracam oczami.

Znów dzwonek do drzwi. Otwieram, wyglądając jedwabną spódnicę. Witają mnie uprzejme uśmiechy kolegów Claire z pracy: powściągliwego starszego wspólnika o spiczastej szekspirowskiej bródce i jego żony, sympatycznej hożej kobiety o pulchnych ramionach.

- Witajcie! - wołam, próbując zyskać na czasie i nadrabiając entuzjazmem. Jak oni się nazywają. - Dobrze was widzieć, Donie i... Barbaro.

- Nazywam się Steven - poprawia mnie. Cholera. No cóż, przynajmniej jej imię zapamiętałam.

- Brandy - mówi ona.

- Napijecie się czegoś?

Kiedy wreszcie z niejakim wysiłkiem udaje mi się otworzyć butelkę białego wina i posadzić oboje na kanapie, dzwonek dzwoni raz po raz. Wkrótce salon wypełnia się przyjaciółmi Claire. Daleko od stołu z jedzeniem, pod oknem, stoją chińskie ślicznotki, a grupa ekspatów przy barze nalewa sobie od serca ginu i pomaga otwierać butelki wina.

Współpracownicy Claire relaksują się na kanapie w warunkach nietypowej dla siebie swobody, z dala od biura, w sobotnie popołudnie. Gab i Geraldine zajadają się chlebem serowym w kuchni, podczas gdy Tina Chang i Jeff obściskują się w kącie, za nic mając spojrzenia gości.

Do wpół do czwartej wypiałam już trzy caipirinie, dwa razy dokładałam jedzenia na tacy i raz odetkałam toaletę.

- Irene! Świetne przyjęcie! Gdzie Claire? - Kristin z

amerykańskiej ambasady ociera się o mnie w drodze do łazienki. To dziwne. Nie pamiętam, żebym ją zapraszała.

Geraldine dopełnia mój kieliszek z wysokiego dzbana.

- Czy powinnam się martwić, że Claire i Ed jeszcze nie wrócili? - pytam.

- Powinnaś się zrelaksować i dobrze bawić.

- A jeśli mieli wypadek? A jeśli coś się stało z dzieckiem?

- A jeśli obejmują się namiętnie w mieszkaniu Eda? Szczeka mi opada.

- Poważnie? Ed i Claire?

- O, nie takie rzeczy się już działy! - Uśmiecha się.

Zanim udaje mi się wydusić z niej więcej szczegółów, dwa krótkie piknięcia na mojej komórce obwieszczają esemes od Eda.

- O Boże! Są w windzie! Cicho! Idą!

W mieszkaniu zapada nienaturalna cisza, a ja jestem pewna, że wszyscy słyszą dzikie walenie mojego serca. Czy Claire będzie zaskoczona? Zadowolona? Nagle zaczynam mieć wątpliwości, czy ten cały pomysł z wmku i pociągam pospieszny łyk z kieliszka. Claire śmieje się, gdy drzwi się otwierają, ale jej głos szybko tonie w chórze naszego powitania.

- Niespodzianka!!!

Ciemne oczy Claire wychodzą z orbit, jej twarz oblewa rumieniec, jedną rękę kładzie na ustach, a drugą na brzuchu. Przyjaciele otaczają ją, przytulają i delikatnie poklepują, by poczuć, jak dziecko kopie.

Podnosi dłoń do twarzy i gdybym jej nie znała, gdybym nie była całkowicie pewna jej niechęci do sentymentalizmu, przysięgłabym, że otarła kilka łez. Ktoś przynosi Claire kieliszek szampana, który ona zaczyna powoli saczyć. Mieszkanie wypełnia gwar, goście jedzą i piją, plotkują i śmieją się, a ja stoję z boku i przyglądam się, szczęśliwa, że wszystko się udało.

W kuchni układam kwadraciki czekoladowych ciasteczek z czili na srebrnej tacy i wydobywam z zamrażarki lody mangowe.

- Cześć - słyszę za sobą znajomy głos.

Odwracam się i widzę spokojne błękitne oczy Charliego; w dłoniach ma dwa kieliszki szampana.

- Pomyślałem, że chętnie się napijesz - mówi.

- Jak... Kto cię zapr... To znaczy... Skąd wiedziałeś?

Uśmiecha się.

- Wpadłem na Claire w korytarzu w zeszłym tygodniu i zaprosiła mnie.

- Co? A to mała... nie wierzę, że cały czas wiedziała, a... - Charlie podaje mi kieliszek i podnosi swój do toastu.

- Z tego, co słyszę, należą ci się gratulacje.

- Claire ci powiedziała?...

- ...o twoim nowym cyklu artykułów? Tak. Dobra robota, choć muszę powiedzieć, że wcale mnie to nie zaskakuje. Zawsze wyglądałaś mi na autorkę.

- Błada, z przekrwionymi oczami? - żartuję.

- Raczej z niezwykłym zmysłem obserwacyjnym i olśniewającą błyskotliwością.

Nasze kieliszki stukają się i każde z nas upija łyk.

- Jeśli będziesz potrzebowała materiału do tekstów - ciągnie - albo musiała wypróbować nowe restauracje, z przyjemnością ci potowarzyszę... - urywa i patrzy na mnie nieśmiało.

- Ale ty przecież wkrótce wyjeżdżasz, prawda? Przenosisz się do Paryża? - Mrużę oczy. - To, że nie jestem prawnikiem albo... dyplomata, nie znaczy, że nie możesz mnie brać na serio.

- Brać cię na serio? Zawsze pragnąłem tylko...

- Czy ostatnio mnie nie unikałeś? - pytam. Wygląda na lekko speszzonego.

- Nie. Wiem, że to może tak wyglądać, ale najpierw byłem uwiązany przez północnych Koreańczyków i ich broń atomową, a potem, po spotkaniu w Szanghaju...

- Tak? - Unoszę podbródek.

- Po prostu nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego spotykasz się z tym facetem... jak on się nazywa?

- Jeff - mówię niezadowolona.

- Właśnie. Dlaczego w ogóle się z nim zadawałaś? - Chcę odpowiedzieć, ale on ciągnie. - To prawda, przeprowadzam się do Paryża, ale jeszcze rok będę w Pekinie, a przez rok wiele się może zdarzyć.

Patrzę na niego z powątpiewaniem.

- Nie wiem...

- Na przykład ta restauracyjka z nudlami naprzeciwno: otwarli ją i zamknęli w ciągu roku. Albo Claire: najpierw sekspatka w wielkim

mieście, a za chwilę przyszła matka. A ty, od jak dawna jesteś w Pekinie?

- Od dziesięciu miesięcy - przyznaję.

- No widzisz. Skoro możesz zbudować nowe życie w nowym kraju w ciągu dziesięciu miesięcy, to na pewno jest to dość czasu, żeby... się zakochać.

Czuję, że się waham.

- A co po roku?

Patrzy na mnie z nadzieją.

- Podoba ci się Paryż?

A potem zbliża się do mnie i znów czuję tę czystą świeżą woń. Delikatnie mnie obejmuje, kolana mi miękną, a jego usta dotykają moich.

Nie wiem, jak długo stoimy tak w kuchni, ale mam już zaproponować, żebyśmy poszli do sypialni, kiedy kroki za naszymi plecami sprawiają, że odrywamy się od siebie. Czuję gorąco na policzkach, wygładzam ubranie i patrzę na Claire, która z rozbawieniem odwzajemnia moje spojrzenie.

- No, najwyższa pora - mówi. - Szczerze wam powiem, że nigdy dotąd nie opierano się silniej moim swatom... Uparciuchy z was! - Bierze z lady tackę ciastek i odwraca się do wyjścia.

- Czeka! - wołam za nią. - Czyli... Zaplanowałaś to? Próbowowałaś nas z sobą połączyć?

- Powiedzmy, że od chwili kiedy poznałam Charliego, nie miałam wątpliwości, że to idealny facet dla ciebie. - Uśmiecha się z satysfakcją. - Przynieś lody, dobrze? Możecie się spiknąć, kiedy goście się rozejdą.

Charlie bierze pudełka i wychodzi, ale ja zostaję jeszcze na chwilę, stawiając wodę na kawę. Widoczny z naszego okna Pekin jest klockowaty, upstrzony placami budów, pełen samochodów, zawsze w ruchu. Wyczuwam w powietrzu drżenie energii, powiew kwitującej nadziei, mam przed sobą wielki, nieustający świat pełen możliwości.

Czeka mnie praca, zbieranie materiałów i pisanie oraz wiele, wiele trudnych rozmów po chińsku. A także wiele dobrych rzeczy, narodziny mojej siostrzenicy, czas spędzony z Charliem, pikniki na Wielkim Murze, pływanie łodzią po Houhai, wieczorne spacerunki przez mroczne hutongi.

Czajnik gwizdże, a ja odwracam się od okna, zastanawiając się,

czy Charlie chciałby na kolację coś chińskiego, a jeśli tak, to co konkretnie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Deborah Schneider, która wierzyła w tę książkę, odkąd ją przeczytała, oraz Wendy Lee za jej entuzjazm i pełne wycucia poprawki, które pomogły stworzyć lepszą opowieść. Dziękuję także Cathy Gleanson za wsparcie oraz Katie McGowan za to, że pomogła Isabelle ujrzeć świat.

Jeśli chodzi o Pekin, dziękuję Michaelowi Westerowi oraz Jerry'emu Chanowi za podjęcie ryzyka współpracy z niedoświadczoną pisarką. Lee Ambrozy, Jehanne de Biolley, Adam Pillsbury oraz Judy Pillsbury dzielili się ze mną swoim miastem, a ich entuzjazm był zaraźliwy i inspirujący. Joey Guo, Susu Luo i Belle Zhao uratowali mnie z niezliczonych językowych pułapek.

Za pomoc i radę na wczesnym etapie dziękuję Jonny'emu Gellerowi i Geraldowi Howardowi, a także Andrew Dorwardowi, Andrei Joyce, Susan Hans O'Connor, Amandzie Patten, Sarah Schafer i Lucii Watson, którym zawdzięczam bezcenne uwagi redaktorskie i przyjaźń. Wdzięczna jestem także moim rodzicom, Robertowi Mah i Adeline Yen Mah, którzy są zupełnie niepodobni do rodziców Isabelle (no, może troszeczkę, ale tylko w tym, co dobre).

Na koniec dziękuję mojemu mężowi Christopherowi Kleinowi za słowa otuchy w wielu trudnych chwilach, za towarzyszenie mi w kulinarnych przygodach, za tłumaczenie z chińskiego na angielski i z powrotem (pomimo zdziwionych spojrzeń) - oraz za zabranie mnie do Chin.

AUTORSKA KUCHNIA ANN MAH

Pikantne mapo tofu

Mam wyrzuty sumienia, nazywając tak tę potrawę, ponieważ bardzo odbiega od tradycyjnego syczuańskiego pierwowzoru. Mięso (jeśli je dodaje) to mielona pierś z kurczaka albo indyka zamiast wieprzowiny, a rolę pasty czili pełni sos sriracha w miejsce dou banjiang (słynna słona pasta z fermentowanej soi). Jem to danie, kiedy dręczy mnie chandra - w końcu papryczki czili podnoszą poziom endorfiny! Pasuje do niego miseczka białego ryżu, ale nie stronię także od nudli z gorącym sosem.

Porcja dla dwojga na danie główne (z której zostanie jeszcze coś na drugi dzień):

1/2 kg sprężystego tofu, odsączyć i pokroić na duże kostki

1/4 kg mielonego fileta z kurczaka lub indyka (w wersji z mięsem)

2 łyżeczki oleju lub oliwy z oliwek czterocentymetrowy kawałek korzenia imbiru (obrane i drobno posiekane)

3 ząbki czosnku, obrać i drobno posiekać 1 1/2 szklanki wody

1 1/2 łyżki sosu sojowego jasnego 1 1/2 łyżeczki sosu czili sriracha

do zagęszczenia: 1 łyżka mąki kukurydzianej wymieszana z dwiema łyżkami wody Marynata do mięsa (w wersji z mięsem): 1 łyżka sosu sojowego 1 łyżka wina ryżowego (opcjonalnie) 1 łyżeczka oleju sezamowego

Mięso włożyć do miseczki, zalać marynatą, wymieszać.

Na średnim ogniu rozgrzać dużą patelnię z łyżeczką oleju. W wersji niewegetariańskiej wrzucić mięso na patelnię i mieszając, rozgnieść je drewnianą łyżką. Kiedy będzie gotowe, przełożyć do czystej miseczki.

Rozprowadzić drugą łyżeczkę oleju na rozgrzanej patelni, dodać czosnek i imbir. Mieszać przez 20 - 30 sekund. Dodać wodę, sos sojowy, pastę czili i wymieszać. Wrzucić tofu (i mięso). Doprowadzić wszystko do wrzenia, zmniejszyć płomień i dusić pod przykryciem. Gotować 20 minut.

Zdjąć pokrywkę, zwiększyć płomień i dodać mąkę kukurydzianą z wodą. Mieszać, aż zgęstnieje. Skosztować i doprawić do smaku sosem sojowym lub czili. Podawać gorące.

Spaghetti carbonara

Przyrządzam tę prościutką potrawę (jedynie sześć składników) zawsze, kiedy nie mam ochoty gotować albo iść na zakupy (co się często zdarza).

Na cztery porcje:

1 cebula

3 - 4 paski bekonu

2 szklanki białego wina 1 jajko, roztrzepać

1/2 kg makaronu linguine lub cienkiego spaghetti 1/4 szklanki startego sera parmigiano - reggiano i jeszcze trochę do posypania Do dużego garnka nalać wody na makaron, przykryć i postawić na dużym ogniu do zagotowania. Cebulę obrać, drobno posiekać. Bekon pokroić w kwadraciki. Postawić dużą patelnię na średni płomień i wrzucić bekon. Mieszać, aż zrobi się chrupiący. Dodać Cebulę i mieszać 8 - 10 minut, aż zmięknie. Dolać wino, zagotować wszystko, zmniejszyć płomień i dusić na wolnym ogniu 5 - 7 minut, aż alkohol wyparuje, a objętość zmniejszy się o połowę.

Tymczasem ugotować makaron, co powinno zająć około 8 minut. Kiedy będzie gotowy, odsączyć, zostawiając szklankę wody pozostałą po gotowaniu makaronu. Wrzucić makaron z powrotem do garnka i dodać cebulę, bekon i wino z patelni. Wszystko razem wymieszać. Dodać roztrzepane jajko i mieszać, dolewając wodę z makaronu. Dołożyć ser, doprawić solą i pieprzem. Koniecznie skosztować! Doprawić do smaku.

Podawać od razu z resztą białego wina.

Ostry sos z orzeszków ziemnych

Uwielbiam ten uniwersalny sos, który przyrządzam latem. Świetnie nadaje się do skropienia siekanego gotowanego kurczaka, a dodany do pokrojonych w słupki ogórków tworzy odświeżającą sałatkę. Można również dodać do niego zimnych nudli, aby uzyskać chłodny obiad. Jeśli sos wychodzi zbyt gęsty podczas mieszania z nudlami, pomoże odrobina wystudzonej czarnej herbaty.

3 ząbki czosnku

1 szklanka świeżej kolendry, umyć i wysuszyć (razem z łodyżkami) pięciocentymetrowy kawałek imbiru, obrać i grubo posiekać

1/2 szklanki kremowego masła orzechowego

2 łyżki sosu sojowego

2 łyżki oleju sezamowego 2 łyżeczki sosu sriracha

Wszystkie składniki dokładnie zmiksować do uzyskania gładkiej masy. Skosztować, dodając w razie konieczności sosu sojowego albo czili.

Sałatka z krewetek z solą i pieprzem

W książce to matka Isabelle przyrządzała tę sałatkę, ale w rzeczywistości to potrawa autorstwa mojego ojca. Jako kreatywny kucharz używał tej słono - ostro - słodkiej mikstury, odkąd pamiętam (a pewnie i wcześniej). Przez lata sałatka zmieniła się w prostą i elegancką potrawę, idealną na danie główne.

1/2 kg krewetek (około 12 sztuk), obrać, umyć i osuszyć

1 łyżka wyciśniętego czosnku

1/4 szklanki posiekanej zielonej cebulki

2 łyżki orzechów piniowych, lekko prażonych 2 lub 3 łyżki wytrawnej sherry

2 łyżki mieszanki soli, cukru i pieprzu (przepis niżej) 2 łyżki mąki kukurydzianej oliwa do smażenia

Na sałatkę:

4 szklanki rukoli albo mieszanki sałat, umyć i osuszyć 1/2 łyżki octu balsamicznego 2 łyżki oliwy

1 łyżeczka oleju sezamowego

Mieszanka soli, cukru i pieprzu:

2 łyżki cukru 4 łyżki soli

6 łyżek zmielonego pieprzu czarnego To będzie fundament każdej półki z przyprawami. Można dołożyć większą ilość składników, aby uzyskać więcej przyprawy do przechowywania w słoiku.

Wymieszać rukolę z octem i oliwą, rozdzielić na cztery talerze.

Podgrzać łyżkę oliwy w woku lub na patelni, aż zacznie dymić. Wymieszać krewetki z przyprawą słono - słodko - ostrą (około 2 łyżek) i wrzucić wszystko na oliwę. Oprószyć krewetki łyżką mąki kukurydzianej. W razie konieczności dodać oliwy. Obrócić krewetki i znów posypać łyżką mąki kukurydzianej. Wszystko to trwa kilka minut. Kiedy krewetki zrózowieją, dodać czosnek i wymieszać. Dolać taką ilość sherry, aby sos w dużej mierze przykrył krewetki. Zdjąć z ognia. Dodać orzechy.

Rozłożyć po trzy krewetki na talerz. Podawać od razu.

Kaczka po pekińsku z sosem śliwkowym na placuszkach mandaryńskich

Kiedy w 2003 roku. przeprowadziłam się do Pekinu, z

przyjemnością odkryłam, że kaczką po pekińsku naprawdę jest miejscowym specjałem. Chińscy turyści przyjeżdżają z całego kraju, by spróbować dania nazywanego tu beijing kaoya. Dla szefów kuchni jest ono wyzwaniem. Na przyrządzenie kaczkę po pekińsku potrzeba całego dnia, i jest to tak pracochłonne oraz żmudne zadanie, że sama nigdy się go nie podjęłam - tym bardziej, że kaczkę piecze się w rozgrzanym do 260 stopni Celsjusza piecu opalanym drewnem. Dlatego też nie ręcę za ten przepis. Mogę jednak zagwarantować, że jedzenie, towarzystwo przyjaciół i piwo są trzema niezbędnymi elementami chińskiego świętowania. Zatem jeśli zechcecie wypróbować ten przepis, zaproście koniecznie przyjaciół i upewnijcie się, że macie odpowiednią ilość piwa w zapasie.

Ann Mah

1 kaczką

Marynata:

5 łyżek sosu sojowego

2 łyżki miodu

1 łyżka mąki pszennej

50 ml wódki żytniej

po 1 łyżeczce octu winnego i oleju

1 drobno posiekana cebula

3 ząbki drobno posiekanego czosnku

2 goździki

po szczypcie anyżu, kopru włoskiego i cynamonu, sól, pieprz

Sos śliwkowy:

250 g dżemu śliwkowego

3 łyżki sosu sojowego 50 ml sherry

po dużej szczypcie ostrej papryki, imbiru i cynamonu

Placuszki mandaryńskie: 1,5 szklanki mąki pszennej 3/4 szklanki wrzątku 3 łyżki oleju sezamowego szczypta soli

(składniki na 30 placuszków, a zatem dla 5 - 6 osób)

Przygotowanie mięsa:

Składniki marynaty zmieszać. W garnku zagotować wodę i wrzucić do niej na parę minut sprawioną i wyczyszczoną kaczkę. Potem osuszyć papierowym ręcznikiem. Kaczkę nakłuć delikatnie widelcem i nasmarować marynatą. Tak przygotowane mięso odstawić w chłodne miejsce na minimum 12 godzin.

Kaczkę ułożyć na ruszcie ustawionym tuż nad tacką w piekarniku

rozgrzanym do 200°C. Po 20 minutach zmniejszyć temperaturę do 160 stopni i piec jeszcze godzinę, często podlewając mięso powstałym sosem. Następnie podwyższyć temperaturę do 200°C i piec jeszcze około 20 minut, aż kaczka będzie miękka.

Przygotowanie placuszków:

Przesiać mąkę. Dodać sól, wymieszać i wlać łyżkę oleju. Wyrobić ciasto, powoli dodając do niego wrzątku. Wyrobione ciasto zakryć ścierką i odstawić w chłodne miejsce na 15 minut. Na przysypanej odrobiną mąki stolnicy uformować z ciasta małe placki o średnicy 5 cm i grubości 0,5 cm. Każdy z placków posmarować z jednej strony olejem sezamowym i posmarowaną stroną połączyć po dwa placki w jeden. Każdą taką parę rozwałkować na krążki o średnicy 15 cm. Placki ułożyć na stolnicy i zakryć folią, by nie obeschły.

Smażyć placki na lekko zatłuszczonej patelni na dużym ogniu. Gdy ciasto zacznie puchnąć pod wpływem ciepła, odwrócić na drugą stronę. Przed podaniem delikatnie rozdzielamy sklezione pary.

Składniki sosu śliwkowego wymieszać lub zmiksować. Upieczoną kaczkę odstawić na 5 minut, następnie zdjąć z niej skórę, pokroić na małe kawałki i wyłożyć na półmisku. Na takie same kawałki pokroić mięso i umieścić na skórkach. Na placuszkach posmarowanych odrobiną sosu śliwkowego ułożyć plastry kaczki, słupki ogórka i krążki dymki a następnie zwinąć placki w ruloniki.

Maciej Baranowski www.gustkitchen.wordpress.com

ROZMOWA Z AUTORKĄ

Miłość w pięciu smakach to twoja pierwsza powieść. Co cię zainspirowało? Jak i kiedy zaczęłaś pisać? Na ile jest to opowieść autobiograficzna?

Miesiąc po ślubie z powodu obowiązków zawodowych męża musieliśmy przenieść się do Pekinu. Znalazłam się w nowym mieście, bez pracy (aby przeprowadzić się do Chin, porzuciłam posadę w nowojorskim wydawnictwie) i musiałam zbudować życie od nowa, mając do dyspozycji tylko podstawy chińskiego, które poznałam w szkole. Pierwszy rok w Pekinie był najtrudniejszy, ponieważ co dnia zmagalam się z kwestią tożsamości - myślałam o sobie jako o Amerykance, ale prawie wszyscy inni widzieli we mnie Chinę.

Podobnie jak Isabelle, odnalazłam się dopiero, gdy podjęłam pracę jako krytyk kulinarny w miejscowym piśmie anglojęzycznym dla ekspatów. Poznałam tam ludzi, którzy z własnej woli zamieszkali w Pekinie - w przeciwieństwie do większości obcokrajowców, których tam wysłano. Ich zapał, nie wspominając o doskonałej znajomości chińskiego, pozwoliły mi zrozumieć miasto i nabrać entuzjazmu. Dzięki czasopismu nawiązałam przyjaźnie, dające mi wgląd w życie chińskich dwudziestoparolatków. Nasze codzienne redakcyjne lancze w miejscowych restauracjach dały mi niezwykłą szansę zgłębienia chińskich smaków. Poznając chińskie kuchnie regionalne i przy okazji sam kraj, zaczęłam powoli myśleć o książce - chociaż wiedziałam, że będzie to opowieść fikcyjna, bo wymarzyłam sobie pikantną historię!

Kiedy zaczęłam powieść, pracowałam na pełny etat i musiałam pisać podczas przerw na lancz, weekendów i luźniejszych dni w redakcji (mam nadzieję, że nie czytają tego moi poprzedni szefowie, ale jeśli tak, to przepraszam!). Poza znajdywaniem czasu na pisanie najtrudniej było po prostu nie poddawać się, pisać dalej, chociaż miałam tylko jednego czytelnika: mojego męża. Przez długi czas tylko on wiedział o książce, ale na szczęście okazał się dyskretny i bardzo mnie wspierał.

Oczywiście historia Isabelle zainspirowana była niektórymi moimi doświadczeniami, ale nie jesteśmy identyczne. Przybyłyśmy do Chin w różnych okolicznościach. Kiedy ja wiodłam szczęśliwe małżeńskie życie w Pekinie, Isabelle musiała borykać się z dylematami singielki. Dobrze mi się o tym pisało, ale cieszyłam się, że sama nie muszę tego przeżywać! Rodzina mojej bohaterki łączy w

sobie cechy wielu różnych rodzin, chińskich i niechińskich. Jak się okazuje, azjatyccy rodzice nie mają monopolu na poczucie winy! Isabelle wreszcie jest odważniejsza i ma silniejsze nerwy niż ja. Ja nigdy nie zdecydowałabym się postawić nogi w chińskiej łaźni publicznej. W swoich przygodach radzi sobie z wdziękiem i otwartością, którą podziwiam. Jest także zabawniejsza ode mnie, no i ma to szczęście, że ma siostrę.

Mieszkałaś w Chinach kilka lat. Czy spodziewałaś się tego, co cię tam spotkało? Czy coś w tym kraju i narodzie cię zaskoczyło?

Zanim przeprowadziłam się do Pekinu, byłam tam tylko raz, na weekend, w wieku jedenastu lat. Niewyraźnie pamiętałam szerokie ulice i tabuny rowerów, czytałam też dużo artykułów o zanieczyszczeniu. Innymi słowy nie miałam zielonego pojęcia, czego się spodziewać.

Pierwszą i najbardziej uderzającą niespodzianką stanowiła łatwość, z jaką potrafiłam wtopić się w tłum, i wyobcowanie, jakie przez to czułam. Mieszkając w Nowym Jorku, przywykłam do bycia przedstawicielką mniejszości i wybiła mnie z rytmu świadomość, że otaczają mnie twarze tak podobne do mojej. Ale im dłużej mieszkałam w Pekinie, tym lepiej rozumiałam, że wcale nie wtapiam się w tłum, że w istocie jest dokładnie odwrotnie. W Stanach żartujemy sobie, jak to wszyscy Azjaci wyglądają identycznie, za to w Chinach uważa się, że to wszyscy biali są tacy sami. W efekcie Chińczycy z trudem rozróżniają białych ludzi, ale zapamiętują chińską twarz i dzięki temu zawsze byłam rozpoznawana.

Uderzyło mnie także to, jak bardzo skryci, zwłaszcza w porównaniu z Amerykanami, są Chińczycy. W pracy dziennikarki często spotykałam ludzi, którzy odmawiali rozmowy na tematy tak niewinne jak męskie torebki albo najlepsze syczańskie restauracje. Ale ta skrytość nie omijała nawet przyjaciół. Miałam na przykład znajomych homoseksualistów, którzy nigdy nie rozmawiali ze mną o swoim życiu miłosnym. Wiem także o przynajmniej trzech różnych osobach, które weszły w związki małżeńskie, dzieląc się tą informacją z otoczeniem dopiero kilka tygodni po fakcie.

Przeważnie jednak moje zaskoczenie i podziw wzbudzał niezmordowany entuzjazm tego kraju. Chociaż prawie każdy, kogo poznałam, został dotknięty w jakiś sposób okropnymi wydarzeniami rewolucji kulturalnej, wszyscy odkładali swój ból i smutek na bok, by

spojrzeć w przyszłość z pewnością, że życie ich dzieci będzie lepsze. To potężne i zaraźliwe uczucie!

W książce Isabelle uświadamia sobie, że Chiny dały jej szansę zrealizować marzenia, jak myślisz, czy stosuje się to do licznych obcokrajowców tam mieszkających?

Sądzę, że obcokrajowcom może być nieco łatwiej zabłysnąć w Pekinie choćby dlatego, że mają zagraniczne doświadczenie. Chińska kultura w dużej mierze wciąż zasadza się na statusie, więc dyplom zagranicznego uniwersytetu, zwłaszcza prestiżowego, praca za granicą czy też dobra znajomość angielskiego wzbudzają tu podziw. Szczególnie sprawdza się to w pracy aktora, modela czy muzyka, gdzie wystarczą obce rysy twarzy albo akcent, żeby się wyróżnić. Mam w Pekinie kilkoro przyjaciół, Amerykanów, którzy z powodzeniem realizują się artystycznie, grając na gitarze basowej w zespole rockowym, przewodząc grupie tańca nowoczesnego czy występując w anglojęzycznych filmach instruktażowych. Wszyscy są bardzo utalentowani, ale jak jedna z tych osób powiedziała mi kiedyś: „U siebie byliśmy tylko kółeczkami w maszynerii, a tutaj wymyślamy koło”.

Chińczycy są świadomi, że świat stwarza się na nowo. Pekin tryska niestrudzoną energią - restauracje otwierają się i zamykają w przeciągu miesięcy, a nawet tygodni, cały kwartał budynków może zostać rozebrany w jedno przedpołudnie, wieżowce wyrastają niemal z dnia na dzień. Poczucie zachodzącej przemiany jest doskonale wyczuwalne. A wraz z tymi zmianami pojawia się świadomość niesamowitej szansy: wystarczy trochę pieniędzy (w Chinach wiele rzeczy wciąż jest względnie tanich), ciężka praca, a wszystko jest możliwe, zwłaszcza że kraj tworzy teraz swoją nowoczesną tożsamość kulturową.

Zatem tak, rzeczywiście jestem przekonana, że Chiny to miejsce, gdzie szans jest bez liku, a marzenia można spełnić, ale nie sądzę, żeby były pod tym względem wyjątkiem. Tak się składa, że niedawno czytałam artykuł o drugim pokoleniu Amerykanów pochodzenia indyjskiego, którzy przenoszą się do Indii pracować w twórczych zawodach. W miarę jak ludzie srajają się bardziej mobilni, a tożsamość kulturowa elastyczniejsza, będziemy, moim zdaniem, świadkami sytuacji, w której jeszcze więcej młodych Amerykanów różnego pochodzenia przeprowadzi się za granicę w pogoni za marzeniami.

Jak to się stało, że zainteresowałaś się gotowaniem?

Moi rodzice lubią opowiadać, jak to w wieku trzech lat wgramoliłam się na kuchenny blat i patrząc, jak ojciec kroci warzywa, krzyknęłam: „Bij czosnek, tata!”.

Myślę więc, że moje zainteresowanie jedzeniem i kuchnią okrzepło w bardzo wczesnym wieku. Jako nastolatka lubiłam piec i szalałam za Anglią - organizowałam wymyślne podwieczorki dla rodziny, podawałam babeczki i kanapki, a raz nawet całkiem samodzielnie robiłam racuszki! W miarę jak stawałam się dojrzała i poznawałam świat, uświadomiłam sobie, jak ważnym narzędziem jest kuchnia. Dla mnie jedzenie to kluczowy element poznawania innych kultur.

Lubię gotować i cieszę się, że potrafię to robić. W przeciwieństwie do pisania, które jest procesem bardzo skomplikowanym, gotowanie jest łatwiejszą metodą tworzenia. Przekształcanie surowych produktów w coś zupełnie innego - ciasto, pasztet, zupę - jest dla mnie czymś ekstatycznym, wręcz mistycznym. Oczywiście zdarza się, że nie mam ochoty na gotowanie, zwłaszcza gdy jestem sama; wtedy prędzej sięgnę po tost z serem. Chyba wolę gotować, tak samo jak pisać, dla publiczności! Tak czy owak, kiedy już zacznę, gotowanie pochłania mnie bez reszty, a zarazem wprawia w nastrój filozoficzny, działa na moje zmysły, i to przeżycie może być indywidualne lub grupowe. No i daje innym radość (może poza osobą, która musi po wszystkim pozmywać!).

Jakie są Twoje ulubione książki o jedzeniu, beletrystyczne, reportażowe albo kucharskie?

Kiedy tylko dowiedziałam się o istnieniu czegoś takiego jak umiejętność czytania, chciałam ją posiadać. A kiedy tylko zaczęłam czytać, pokochałam książki o gotowaniu. Jako dziecko uwielbiałam książki z serii Domek, a zwłaszcza Małego farmera, opowieść o Almanzo, późniejszym mężu Laury Ingalls Wilder. Zafascynowały mnie opisy jedzenia, zwłaszcza śniadania złożonego z szynki i szarlotki, albo świeżych pączków i jabłecznika, czy wieczorne przekąski, na które składał się popcorn z mlekiem. Dieta Laury nie była tak barwna, ale bardzo podobała mi się opowieść o przyrządzaniu syropu klonowego, kiedy to Laura z siostrami robiły cukierki, wylewając gorącą ciecz na śnieg.

Jako nastolatka byłam anglofilką. Zaczęło się to, kiedy tata

podarował mi dzieła zebrane P.G. Wodehouse'a. Wiem, że teraz jest postacią dość kontrowersyjną, ale podobały mi się jego zwariowane opowieści

O Jeevesie i Bertramie Woosterze. No i zawsze sięgali po wędzone śledzie i kiełbaski, albo tosty z masłem na gorąco, z istic dżentelmeńską lubością sącząc gorącą herbatę - w moich uszach brzmiało to niebiańsko! W połączeniu z dużą dawką Agathy Christie (Panna Marple zawsze jadła smakołyki typu wiktoriańskie ciasto kminkowe)... To chyba wyjaśnia moją nastoletnią manię podwieczorków.

Zawsze podziwiałam Julię Child, jeszcze zanim przyszło mi do głowy, że przeprowadzę się do Paryża, więc z przyjemnością przeczytałam jej wspomnienia zatytułowane *Moje życie we Francji*. Oczywiście jej przygody w szkole kucharskiej Le Cordon Bleu były fascynujące, ale najbardziej w książce podobał mi się jej duch. Julia miała trzydzieści sześć lat, kiedy wyjechała do Francji, nie miała doświadczenia kulinarnego i nie zdawała sobie sprawy, że stanie się jednym z amerykańskich autorytetów w dziedzinie francuskiej kuchni. Ale tak się stało. A jej historia uświadamia mi, że punkt zwrotny może nastąpić na każdym etapie życia.

Mam zbyt wiele książek kucharskich, na przykład *Italian Easy: Recipes from the London River Cafe* Rose Gray i Ruth Rogers (która ukazała się w Wielkiej Brytanii pod tytułem *The River Cafe Cookbook Easy*). Przepisy są bardzo proste, ale koncentrują się na pysznych i zróżnicowanych kombinacjach smaków i składników, jest tam wiele pomysłów na spaghetti. Mam tylko jedno zastrzeżenie: receptury często wymagają rzadkich albo drogich składników, więc zwykle sięgam po nie, kiedy chcę przygotować wyjątkową kolację dla mojego męża. Na nowo odkryłam także *Julia and Jacques: Cooking at Home* Julii Child i Jacquesa - sa Pepina. Wolę tę pozycję od innej książki Julii Child *Mastering the Art of French Cooking*, która wydaje mi się nieco zbyt wyrafinowana. Przepisy są prostsze, klasyczne i francuskie, ale bardziej domowe i bardzo mi się podoba, jak ta dwójka spiera się o receptury, podając własne rady, które często się wykluczają. Na dodatek niedawno przyrządziłam mojej francuskiej znajomej *boeuf bourguignon* według przepisu z tej książki i usłyszałam, że smakuje, jak gdyby przyrządził go Francuz. To naprawdę największa pochwała!

Na koniec następujące trzy książki na temat Chin długi czas dawały mi do myślenia, zwłaszcza że każda z nich opowiada o życiu obcokrajowca w Pekinie. Frances Wood w *Hand Grenade Practice in Peking* pisze o swoim pobycie na Uniwersytecie Pekińskim w roku 1975, podczas rewolucji kulturalnej. Jej relacja o spartańskich warunkach życia w akademikach, gdzie mieszkała w ramach wymiany studenckiej, i o edukacji poprzez pracę - komuniści uznali, że nauczy się więcej, sadząc ryż na polu niż w klasie zgłębiając marksizm, leninizm i myśli Mao Zedonga - jest dowcipna, szczerza i taktowna. David Kidd w *Peking Story* dzieli się swoją historią - wzenił się w bogatą chińską rodzinę i mieszkał w ich starym przestronnym domostwie w Pekinie tuż przed przejęciem władzy przez komunistów w 1949 roku. Jest to fascynujący obraz świata, który zniknął bez śladu, a epilog, w którym Kidd odwiedza rodzinę w 1980 roku, jest poruszający. Wreszcie jako żona dyplomaty w Chinach zainteresowałam się powieścią *Peking Picnic* pióra Ann Bridge, której okoliczności pojawienia się w Chinach były podobne do moich, chociaż wszystko działo się w latach dwudziestych XX wieku, podczas burzliwej epoki warlordów. To staroświecka opowieść, niestroniąca od niesympatycznych opisów Chińczyków, ale Bridge odmalowuje atmosferę dawnego Pekinu, która choć lekko nierzeczywista, jest pełna życia.

Jakie jedzenie lubisz gotować, chińskie czy moje inne?

Podobnie jak Isabelle dorastałam, jedząc chińszczyznę prawie codziennie. Gotował mój ojciec, który jest wspaniałym kucharzem. I chociaż lubi kuchnie z różnych stron świata, to jednak wyraźna skłonność mojej mamy do wybierania chińskiego jedzenia dyktowała rodzaj naszych posiłków. W rezultacie dziś najbardziej lubię gotować w różnym stylu - nie mogę codziennie jeść chińszczyzny, ale podobnie nie jestem w stanie jeść stale kuchni francuskiej, spaghetti albo sushi (wyjątek stanowi kuchnia indyjska - czasami myślę, że mogłabym żyć samymi masala dosami).

Zazwyczaj gotuję chińszczyznę w ciągu tygodnia, kiedy mam ochotę na coś łatwego, szybkiego i zdrowego (do woka zmieści się dużo warzyw). Ale w przeciwieństwie do mojego taty, który co wieczór przyrządzał trzy, cztery różne potrawy, ja raczej robię jedną, za to w ogromnym woku.

Lubię eksperymentować z kuchnią północnoafrykańską,

odkrywać działanie przypraw, kontrast między słodkim, kwaśnym, pikantnym i słonym. Tajniki kuchni włoskiej poznawałam w Bolonii, gdzie nauczyłam się przyrządzać dekadencją lazanie i gdzie zobaczywszy, jak Włoszki godzinami męczą się nad płachtami ciasta, ugniatając je, wałkując i rozciągając - zrozumiałam, że sama nigdy nie zrobię makaronu! Teraz mieszkam w Paryżu i tu odkrywam pory roku, robiąc zakupy na pobliskim targowisku - kto by pomyślał, że w zimie jest największy wybór przegrzebków! Przyjemność sprawia mi też sformalizowany rytuał francuskich prozonych kolacji, składających się z czterech dań, które należy konsumować powoli, delektując się przy tym.

Właściwie jest tylko jedna rzecz, której nie lubię robić: to chleb. Ten cały proces ugniatacia i wyrastania bardzo mnie stresuje. Do tego zawsze wychodzi mi ciężki, grudowaty i suchy, i myślę sobie wtedy: dlaczego po prostu nie poszłam go kupić do sklepu?

Jakiej rady udzieliłabyś początkującym pisarzom i/lub kucharzom?

Przede wszystkim powiedziałybym: pochłaniaj, co się da. Jeśli chcesz być pisarzem, czytaj, czytaj i jeszcze raz czytaj. I to wszystko bez wyjątku - beletrystykę, literaturę faktu, gazety, czasopisma (zarówno te z wysokiej półki, jak i popularne), klasykę i czytała. To pomaga w wyrobieniu w sobie wyczucia różnych stylów i sposobów mówienia, a przez to odnalezieniu własnego charakteru. Tak samo w przypadku gotowania - jeśli chcesz zostać kucharzem, jedz. Oszczędzaj pieniądze i wydawaj na wspaniałe potrawy. Warto też zakręcić się w dzielnicach zamieszkałych przez mniejszości etniczne i poszukać zatłoczonych restauracji.

Podjechać stolik sąsiada i zamówić to samo, eksperymentować z nowymi smakami, albo kupić jakieś nowe warzywo na targowisku tylko dlatego, że wygląda fajnie i chce się je spróbować. Trzeba badać i odkrywać to, co się lubi, a czego nie.

Po drugie warto wyrobić w sobie odporność. W przypadku gotowania nie obejdziesz się bez okaleczeń, otarć i oparzeń, bez względu na to, jak jest się ostrożnym. Pisarz potrzebuje grubej skóry, bo czeka go mnóstwo przeszkód. Niestety często usłyszy „nie”. Trzeba być naprawdę odważnym, żeby wytrwać w obliczu porażki.

Po trzecie, doskonałe narzędzia. To ważne szczególnie w przypadku gotowania, kiedy ostre noże, ciężkie garnki i patelnie

ujawniają swoje zalety podczas krojenia, siekania czy gotowania. Nie potrzeba wielu wyszukanych gadżetów, tylko podstawowe, za to dobrej jakości. Oczywiście, pisarzom wystarczą długopis i notes. Ale ja dodałabym do tego jeszcze dobry słownik albo komputerową autokorektę - nikt nie chce czytać czegoś, co roi się od literówek (redaktorzy to zauważają) - a także słownik synonimów.

Po czwarte, tak jak w tym starym dowcipie: Jak się dostać do Carnegie Hall? Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć!

Czy mogłabyś polecić jakieś restauracje w Pekinie i Szanghaju? Jak przedstawia się tamtejsza scena kulinarna?

Jako stolica Pekin odzwierciedla różnorodność Chin. Każda z dwudziestu dwóch prowincji ma w Pekinie rządowe biuro i prawie wszystkie mają swoje restauracje, w których serwują regionalną kuchnię. To państwowe jadalnie, gdzie nie ma za grosz atmosfery, ale potrawy są autentyczne - niektóre nawet specjalnie sprowadzają tamtejsze warzywa lub inne nie do zdobycia gdzie indziej składniki! Jednym z moich ulubionych miejsc jest rządowa Syczuańska Restauracja Prowincjalna (Jianguomen Gongyuan Toutiao 5, w dzielnicy Dongcheng, tel: 86 10 6512 2277), gdzie kucharze umiejętnie łączą papryczki czili i pieprz syczuański - wciąż czuję w ustach pikantny smak tamtejszego mapo doufu. Uwielbiam także świeże sałatki miętowe i „nudle pokonywania mostu” serwowane w Yunnańskiej Restauracji Prowincjalnej (Yunteng Shifu - Donghuashi Beili Dongu 7, dzielnica Chongwen).

Jeśli chcecie skosztować kuchni północnej, solidnej i opartej na produktach mącznych, trzeba spróbować nudli zhajiang mian. Lubię gwar Beijing Style Noodle King (Dianmen Xijie 35, dzielnica Dongcheng). Jeśli chodzi o kaczkę po pekińsku, opinie się różnią, ale moim faworytem jest wykwintna kaczka o chrupiącej skórce w restauracji Made in China przy hotelu Grand Hyatt (Dong Changan Jie 1, dzielnica Dong Cheng).

Niestety nie znam Szanghaju tak dobrze, jak bym chciała, ciągle jednak przypomina mi się pewna tamtejsza restauracja, maleńki lokal z pierożkami, Jia Jia Tang Bao (Huanghe Lu 90, przy Fengyang Lu w dzielnicy Huangpu). Wystrój jest dość nieciekawym, coś jak w McDonalddie, ale pierożki (xiaolongbao) na zamówienie faszerowane, zlepiane i gotowane na parze, każą zapomnieć o otoczeniu - są delikatne, mają mięsny smak i eksplodujący w ustach wywar.

Wierzcie lub nie, ale koszyczek piętnastu pierożków kosztuje tylko 7,50 juana. To mniej niż dolar!

Mieszkałaś w Nowym Jorku, teraz w Paryżu. Jak wypadają te miasta w porównaniu z Pekinem? Czy tęsknisz za Chinami, i chciałabyś jeszcze tam kiedyś mieszkać?

Oczywiście różnice między Paryżem i Pekinem są większe niż podobieństwa, ale jednocześnie te dwa miasta mają ze sobą więcej wspólnego, niż można by się spodziewać. Oba miasta są bardzo stare, bardzo dumne i bardzo historyczne. Oba noszą wojenne blizny - w Paryżu nietrudno natknąć się na pomniki monarchów zdewastowane w czasie rewolucji francuskiej; to samo jest w Pekinie, gdzie wiele starych budynków zniszczono podczas rewolucji kulturalnej. Oba miasta to stolice, więc reprezentują różne regiony swoich krajów i przyciągają ludzi zewsząd.

Do tego oba szczycą się żywą i entuzjastyczną tradycją kulinarną, chociaż realizują ją w bardzo różny sposób.

Z trzech wymienionych miast najlepiej czuję się chyba w Nowym Jorku, który jest pełen energii, różnorodności i poczucia, że wszystko jest możliwe. Pekin i Nowy Jork są do siebie całkiem podobne (poza różnicami rasowymi): oba tętnią intensywnym życiem, a do tego w obu miastach można dobrze zjeść o każdej porze dnia i nocy. Ale Nowy Jork charakteryzuje się także otwartością, przyzwoleniem, które uwielbiam: wyrażanie siebie jest dobre, kreatywność się nagradza, odróżnianie się jest pożądane. Trzydzieści lat po zakończeniu rewolucji kulturalnej Pekin nie osiągnął jeszcze takiego poziomu otwartości, ale mam nadzieję, że wkrótce tak się stanie.

Tęsknię za wieloma aspektami życia w Chinach, przede wszystkim za przyjaciółmi i jedzeniem i bardzo chciałabym tam wrócić. Tym razem jednak chciałabym zamieszkać w Szanghaju, gdzie wychowała się moja matka. W historii Szanghaju, w końcu dawnego portu traktatowego, nie brakuje gangsterów, szpiegów, zdrajców i splendoru. Szanghaj byłby wspaniałym miejscem akcji książki! Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała szansę tam zamieszkać, ale pomarzyć można.